

# Inwazja

Cook Robin



calibre 0.9.43

TMN

**ROBIN COOK**

*INWAZJA*

# **Invasion**

**Przełożył: Przemysław Bandel**

Wydanie oryginalne: 1997

**Wydanie polskie: 1998**

Z ręką na pulsie najnowszych osiągnięć w technologiach medycznych Robin Cook z niesamowitym talentem poluje na nasze najgłębsze obawy. Tym razem, w swym najbardziej prowokacyjnym thrillerze, bada nagły wybuch epidemii z dziwnymi nowymi objawami, które opierają się diagnozom. Przyczyna pozostaje nieznana – i niemożliwa do poznania – gdyż jest czymś, czego gatunek ludzki nigdy dotąd nie doświadczył...

# Prolog

W lodowatych przestworzach przestrzeni międzygwiazdnej strumień materii-antymaterii, migocząc, wyrwał się impulsem z próżni z intensywnym błyskiem promieniowania elektromagnetycznego. Na siatkówce ludzkiego oka zjawisko mogło zostać wychwycone jako nagle pojawienie się, eksplozja barw pełnego spektrum światła widzialnego. Oczywiście, ani promienie gamma, ani promienie X, a nawet fale podczerwone i radiowe nie mogły być widoczne dla ograniczonego ludzkiego postrzegania.

Równocześnie z wybuchem kolorów świadkowie na Ziemi mogliby ujrzeć pojawienie się astronomicznej liczby atomów w kształcie wirujących, czarnych, dyskopodobnych kamyków. Zjawisko robiło wrażenie puszczonego wstecz filmu wideo z obiektem wpadającym do krystalicznego płynu, którego falowanie było jak zakrzywienie czasu i przestrzeni.

Jednak lecąca z prędkością bliską prędkości światła niezliczona liczba połączonych atomów wpadła w odległe krańce Układu Słonecznego, śmigając obok orbit nadętych gazami zewnętrznymi planet Neptuna, Urana, Saturna i Jowisza. Przed osiągnięciem orbity Marsa wirowanie i prędkość masy zmniejszyły się znacząco.

Teraz obiekt można było zobaczyć takim, jaki był: międzygalaktyczny pojazd kosmiczny, którego połyskująca powierzchnia przypominała doskonale wyszlifowany onyks. Jediną deformacją kształtu dysku był rząd wybrzuszeń nad zewnętrzną krawędzią obiektu. Kontury każdego z wybrzuszeń odzwierciedlały masywną sylwetkę statku-matki. Nie było żadnych innych zniekształceń zewnętrznej powierzchni: żadnych świetlików, luków, wlotów, wylotów albo anten. Nie było nawet jakichkolwiek konstrukcyjnych łączeń.

Kiedy statek dotarł do zewnętrznych warstw atmosfery ziemskiej, wzrosła temperatura jego powłoki. Pojawił się płonący ogon rozświetlający za nim nocne niebo, kiedy pobudzone tarciami atomy atmosfery w odruchu protestu zaczęły wydzielać fotony.

Pojazd nadal zmniejszał prędkość i zwalniał wirowanie. Daleko poniżej pojawiło się migoczące światłami, niczego się nie spodziewające miasto. Wcześniej zaprogramowany, zignorował światła. Szczęśliwie do upadku doszło w skalistej, pokrytej otoczkami, wypalanej okolicy. Pomimo względnie małej prędkości było to bardziej zderzenie niż lądowanie. W powietrze strzelił słup kamieni, piasku i kurzu. Gdy statek kosmiczny w końcu znieruchomiał, był do połowy zagrzebany w ziemi. Wyrzucone w niebo rumowisko opadło na wypolerowaną powierzchnię.

Kiedy temperatura powierzchni pojazdu spadła poniżej dwustu stopni Celsjusza, nad jego krawędzią otworzyła się pionowa szczelina. To nie wyglądało na jakieś mechaniczne drzwi. Zdawało się, że molekuly współpracują, aby stworzyć wejście bez uszkodzenia niczym nie zarysowanej dotąd powierzchni spodka.

Z pęknięcia wydobyła się para, dowodząc, że w jednostce panuje kosmiczny chłód. W środku rzędy komputerów pracowicie przechodziły przez kolejne sekwencje programów. Do wnętrza wciągnięto próbki ziemskiej atmosfery i gleby i poddano je analizie. Automatyczne procedury działały zgodnie z planem, włączając w to izolowanie z pyłu organizmów prokariotycznych (bakterii). Analizy wszystkich próbek, w tym zawartych w nich kodów DNA, dowiodły, że właściwy cel został osiągnięty. Uruchomione zostały procedury zbrojne. Ze statku wystrzeliła w niebo antena dla przygotowania transmisji na częstotliwości równej promieniowaniu radiowemu kwazarów. Wszystko, by powiadomić, że Magnum przybyło.

## **Rozdział 1**

## Godzina 22.15

– Hej, cześć! – powiedziała Candee Taylor, klepiąc Jonathana Sellersa w ramię. Jonathan w tej samej chwili objął ją i pocałował. – Ziemia do Jonathana, odpowiedz! – dodała i zaczęła lekko uderzać przyjaciela po głowie.

Oboje byli siedemnastolatkami i uczniami w Anna C. Scott High School. Jonathan właśnie zdał egzamin na prawo jazdy i chociaż jeszcze nie dostał zgody na używanie rodzinnego samochodu, udało mu się pożyczyć volkswagena od Tima Appletona. Pomimo szkolnego przedstawienia zdołali się wymknąć i pojechali na urwisko, z którego roztaczał się widok na miasto. Oboje z drzeniem wyobrażali sobie to pierwsze spotkanie na ulubionym w szkole „cyplu kochanków”. Dla wywołania należącego nastroju, jakby rzeczywiście potrzebowali jakiejś pomocy, nastavili radio na KNGA, lokalną radiostację nadającą non stop przeboje z pierwszej czterdziestki listy.

– Co jest? – zapytał Jonathan, dotykając delikatnie czubka głowy.

Uderzenie Candee było dość mocne, aby zwrócić jego uwagę. Jak na swój wiek chłopak był wysoki i szczupły. Cały młodzieńczy rozwój poszedł mu we wzrost, ku największej radości szkolnego trenera koszykówki.

– Popatrz na spadającą gwiazdę.

Candee uprawiała gimnastykę, była więc znacznie lepiej rozwinięta fizycznie niż Jonathan. Jej ciało stanowiło źródło podziwu chłopców i zawiści dziewcząt. Mogła umówić się na randkę z każdym, ale wybrała Jonathana z powodu kombinacji jego dobrego wyglądu i zainteresowań oraz zdolności komputerowych. Tak się bowiem składało, że komputery były też jednym z jej zainteresowań.

– No i co jest takiego wyjątkowego w spadającej gwiazdzie? – jęknął Jonathan. Zerknął w górę na gwiazdę i natychmiast wrócił spojrzeniem do Candee. Nie był pewny, ale zdawało mu

się, że jeden z guzików jej bluzki, który był zapięty, gdy przyjechali na cypel, teraz w tajemniczy sposób został rozpięty.

– Leciała przez całe niebo – powiedziała Candee. Dla podkreślenia słów wskazującym palcem rysowała niewidzialną linię na przedniej szybie samochodu. – To było niesamowite! W półmroku wnętrza wozu Jonathan dostrzegł unoszące się w oddechu i opadające piersi Candee. Uznał to za znacznie bardziej niesamowite niż jakakolwiek gwiazda. Miał zamiar pochylić się i pocałować ją, kiedy radio wyraźnie zaczęło się psuć.

Najpierw zawyło tak, że uszy zabolaly, i wydało z siebie dziwne piski i trzaski. Potem zaiskrzyło się i pojawił się dym.

– Kurde! – wrzasnęli oboje jak na komendę, próbując się gwałtownie odsunąć od iskrzącego odbiornika. Wypadli z samochodu. W bezpiecznej odległości odwrócili się i spojrzeli za siebie, oczekując widoku płomieni. Tymczasem iskrzenie tak szybko ustało, jak się pojawiło. Wyprostowali się i spojrzeli na siebie ponad dzielącym ich samochodem.

– Do cholery, co ja teraz powiem Timowi? – jęknął Jonathan.

– Popatrz na antenę! – odezwała się Candee.

Nawet w ciemności Jonathan mógł dostrzec, że jej czubek poczerniał.

Candee wyciągnęła rękę i dotknęła jej.

– Au! – krzyknęła. – Gorące!

Słyszając niewyraźne głosy, chłopak i dziewczyna rozejrzeli się dookoła. Inni też wyskoczyli ze swoich aut. Nad nimi unosił się całun gryzącego dymu. Każde włączone radio, obojętne czy grało rap, rocka czy klasykę, spaliło się. Przynajmniej wszyscy tak właśnie mówili.



## Godzina 22.15

Doktor Sheila Miller mieszkała w jednej z nielicznych miejskich rezydencji zbudowanych na wzniesieniu. Podobał jej się widok, lubiła wiatr wiejący od pustyni i sąsiedztwo Uniwersyteckiego Centrum Medycznego. Z wszystkiego najbardziej odpowiadało jej to trzecie.

W wieku trzydziestu pięciu lat czuła się tak, jakby przeżyła dwa życia. Wcześniej, jeszcze w college'u, wyszła za mąż za chłopaka ze studium przedmedycznego. Mieli ze sobą tyle wspólnego. Oboje uważali, że medycyna jest ich życiowym celem i powinni razem dzielić marzenia. Niestety, rzeczywistość okazała się brutalnie nieromantyczna z powodu ich trudnych studiów. Jednak związek mógłby przetrwać, gdyby nie irytujące przekonanie George'a, że jego kariera chirurga jest ważniejsza niż wybór Sheili, która najpierw specjalizowała się w internie, a później w pierwszej pomocy. W efekcie cała odpowiedzialność za sprawy domowe spadła na jej barki.

Nie podlegająca dyskusji decyzja George'a o przyjęciu dwuletniego kontraktu w Nowym Jorku stała się kroplą, która przelała kielich goryczy. Pomysł George'a, żeby towarzyszyła mu w Nowym Jorku, mimo iż właśnie otrzymała stanowisko szefa oddziału pierwszej pomocy w Uniwersyteckim Centrum Medycznym, uświadomił Sheili, jak bardzo nie pasują do siebie. Uczucie, które swego czasu pojawiło się między nimi, dawno uleciało, więc po niewielkiej sprzeczce, bez złości podzielili kolekcję kompaktów, starych numerów czasopism medycznych i zdecydowali się na separację. Jeśli chodzi o Sheilę, odczuwała jedynie nieco goryczy na myśl o męskim egoizmie.

W ten właśnie wieczór, jak w większość wieczorów, Sheila zajęta była czytaniem niewyczerpanego stosu medycznych periodyków. Równocześnie nagrywała na wideo stary, klasyczny film z zamiarem obejrzenia go w tygodniu. Panował zupełny spokój, nie licząc

przypadkowego dzwonienia poruszonych wiatrem dzwonek na patio.

Sheila nie widziała spadającej gwiazdy, którą zauważyła Candee, ale w tym samym momencie, kiedy Candee i Jonathan przerazili się zniszczonym radiem, Sheila była tak samo zszokowana identyczną katastrofą magnetowidu. Nagle zaczął iskrzyć i warczeć, jakby miał za chwilę wylecieć na orbitę okołozemską.

Choć wyrwana z głębokiego zamyślenia, Sheila zdołała wyjąć wtyczkę z kontaktu.

Niestety nie na wiele się to zdało. Zanim odłączyła zasilanie, magnetowid nie tylko zamilkł, ale i zaczął dymić. Ostrożnie dotknęła obudowy urządzenia. Było gorące, choć nie zanosilo się na pożar.

Zaklęła pod nosem i wróciła do czytania. Pomyślała, że nazajutrz weźmie magnetowid do szpitala i pokaże technikom zajmującym się elektroniką. Może zdołają coś z tym zrobić. Nie będzie miała czasu na zawieszenie wideo do sklepu, w którym je kupiła.

## Godzina 22.15

Pitt Henderson powoli się rozluźniał, przyjął właściwie horyzontalną pozycję. Leżał rozwalony na wytartej kanapie w pokoju, który zajmował na trzecim piętrze akademika, i wpatrywał się w trzynastocalowy ekran czarno-białego telewizora. Rodzice podarowali mu go na zeszłoroczne urodziny. Obraz być może był maleńki, ale odbiór był czysty i wyraźny. Pitt był na ostatnim roku studiów. Studiował pomoc przedmedyczną z programem uzupełniającym z chemii. Chociaż należał do studentów nieco ponadprzeciętnych, dzięki ciężkiej pracy i zaangażowaniu udało mu się zdobyć dobrą pozycję w szkole medycznej. Był jedynym chemikiem gotowym do pracy według programu maksymalizacji efektów i od pierwszego roku studiów sporo czasu poświęcał na ćwiczenia w laboratorium. Aktualnie pracował na zmianę na oddziale pierwszej pomocy, zajmując się papierkową robotą. Przez lata Pitt zdołał wypracować w sobie umiejętność bycia przydatnym w każdej pracy szpitalnej, do której go przydzielili.

Potężne ziewnięcie wywołało łzawienie i mecz NBA, który oglądał, zaczął się zamazywać, a umysł uciekał w sen. Pitt miał dwadzieścia jeden lat. Był krępy, muskularny, jak przystało na gwiazdę futbolu w szkole średniej. Tutaj jednak nie udało mu się założyć drużyny. Zapomniał o rozczarowaniu i obrócił niepowodzenie w pozytywne doświadczenie przez skoncentrowanie się na najważniejszym celu – zdobyciu wykształcenia medycznego. Gdy powieki mu opadły, kineskop jego ukochanego telewizora eksplodował, obsypując odłamkami szkła brzuch i piersi chłopaka. Stało się to dokładnie w tym samym momencie, w którym zwariowało radio w samochodzie Candee i Jonathana oraz magnetowid Sheili. Przez sekundę Pitt nie poruszał się. Był oszołomiony i skonfundowany, niepewny, czy to, co tak gwałtownie wyrwało go ze snu, pochodziło z zewnątrz czy z wewnątrz, podobnie jak nagłe szarpnięcie, którego czasami doświadczał przed zaśnięciem. Poprawił okulary na nosie,

otworzył oczy i zrozumiał, że spogląda w ciemną czeluść zniszczonego telewizora. Wiedział już, że to nie był sen.

– Co za gówno! – mruknął pod nosem, wstając z tapczanu, i ostrożnie strzepnął kawałki szkła ze spodni. Usłyszał trzaskanie wielu drzwi na korytarzu.

Wychylił się z pokoju, rozglądając w prawo i lewo. Wielu studentów, chłopców i dziewcząt, mniej lub bardziej odzianych, spoglądało po sobie ze zmieszaniem na twarzach.

– Mój komputer po prostu się stopił – powiedział John Barkly. – Byłem w Internecie. –

John wyszedł z pokoju zaraz po Pitcie.

– Telewizor mi wybuchł – oznajmił kolejny student.

– Zaczął się palić mój budzik-radio! – zawołał inny. – Co się dzieje, do cholery? To jakiś kawał?

Pitt zamknął drzwi i popatrzył na resztki telewizora. Jakiś kawał, zadumał się. Gdyby złapał faceta odpowiedzialnego za to, wybiłby mu z głowy wszystkie żarty...

## **Rozdział 2**

## Godzina 7.30

Na zjeździe z głównej drogi w stronę restauracji „U Costy”, tylne prawe koło czarnej toyoty 4runner prowadzonej przez Beau Starka uderzyło w krawężnik i samochodem zarzuciło. Cassy Winthrope siedząca obok kierowcy uderzyła głową w drzwi. Cassy nic się nie stało, ale wstrząs był niespodziewany. Szczęśliwie była zapięta pasem.

– Mój Boże! – krzyknęła Cassy. – Gdzie ty się uczyłeś prowadzić?

– Bardzo zabawne – odparł Beau, wyraźnie zawstydzony. – Zgoda, skręciłem nieco za wcześnie.

– Skoro jesteś czymś zaabsorbowany, powinieneś pozwolić mi prowadzić.

Beau przejechał przez zatłoczony, wysypany żwirem parking i wjechał na puste miejsce przed restauracją.

– Skąd ci przyszło do głowy, że jestem czymś zaabsorbowany? – zapytał. Zaciągnął hamulec i wyłączył silnik.

– Kiedy mieszkasz z kimś, uczysz się odczytywać różne drobne znaki – odpowiedziała

Cassy, odpinając pas i wysiadając z auta. – Szczególnie jeśli jesteś z tym kimś zaręczony.

Beau też wysiadł, ale źle stąpnął i stopa osunęła mu się z jakiegoś kamienia. Dla utrzymania równowagi złapał się drzwi wozu.

– Postanowione – stwierdziła Cassy, dostrzegając tę kolejną oznakę nieuwagi i chwilowego braku koordynacji u Beau. – Po śniadaniu ja prowadzę.

– Umieć prowadzić – odparł poirytowany i trzasnął drzwiami. Zamknął auto pilotem.

Spotkał się z Cassy z tyłu samochodu i oboje ruszyli w stronę wejścia do restauracji.

– Jasne, tak samo jak umiesz się golić – skwitowała dziewczyna.

Na twarzy Beau widniało kilka kawałków papieru toaletowego zakrywającego miejsca, w których zaciął się podczas porannego golenia.

– I nalewać kawę – dodała. Wcześniej Beau wypuścił z ręki dzbanek z kawą i w efekcie rozbił kubek.

– No, może rzeczywiście jestem trochę zamyślony – przyznał niechętnie.

Beau i Cassy mieszkali ze sobą od ośmiu miesięcy. Oboje mieli po dwadzieścia jeden lat i podobnie jak Pitt kończyli studia. Znali się od pierwszego roku nauki, ale nigdy wcześniej nie umawiali się na randki, bo każde z nich sądziło, że drugie jest związane z kimś innym. Kiedy w końcu się spotkali, mimowolnie skojarzeni przez wspólnego kolegę Pitta, który swego czasu sam kilka razy spotkał się z Cassy, spodobali się sobie, zupełnie jakby ich związek zapisany był w gwiazdach.

Większość ludzi uważała, że są do siebie podobni i mogliby być rodzeństwem. Oboje mieli gęste, ciemne włosy, gładką, oliwkową cerę i szokująco krystaliczne, błękitne oczy. Oboje też mieli sportowe zainteresowania i często razem ćwiczyli. Niektórzy żartowali sobie, że chłopak i dziewczyna są ciemnowłosą wersją Kena i Barbie.

– Naprawdę sądzisz, że zadzwonią do ciebie od Nite’a? – Cassy zapytała Beau, który przytrzymał przed nią otwarte drzwi. – Chodzi mi o to, że Cipher Software jest największą firmą software’ową na świecie. Myślę, że skazałeś się na długie czekanie.

– Nie ma wątpliwości, że zadzwonią – odpowiedział konfidencjonalnie Beau i wszedł za dziewczyną do restauracji. – Po informacji, którą wysłałem, zadzwonią w każdej chwili. – Odłonił połą marynarki od Cerrutiego, żeby włączyć telefon komórkowy, który miał w wewnętrznej kieszeni.

Elegancki ubiór Beau nie był przypadkowy. Za punkt honoru stawiał sobie, by każdego dnia dobrze wyglądać. Czuł, że wyglądając na człowieka sukcesu, przyciągnie do siebie sukces. Szczęśliwie dla niego, rodzice byli w stanie i chcieli wyjść naprzeciw jego wymaganiom. Na swoje szczęście był też pracowitym, pilnym studentem osiąającym

wzorowe wyniki. Pewności siebie bez wątpienia mu nie brakowało.

– Cześć! – zawołał Pitt od stolika pod oknem. – Tutaj!

Cassy pomachała i przecisnęła się przez spory tłum. Restauracja, nazywana czule „chlewikiem”, była popularną studencką knajpką, szczególnie chętnie odwiedzaną w porze śniadania. Cassy usiadła naprzeciw Pitta. Beau zrobił tak samo.

– Mieliście wczoraj wieczorem jakieś kłopoty z telewizorem albo z radiem? – zapytał Pitt, zanim jeszcze zdolali wymienić uściski dłoni. – Mieliście coś włączonego około dziesiątej piętnaście?

Cassy zrobiła przesadnie pogardliwą minę.

– Inaczej niż pozostali wieczory poświęcamy na naukę – z udawaną pychą odparł Beau. Pitt bezceremonialnie rzucił w czoło Beau kulką z papierowej serwetki, którą bawił się nerwowo, czekając na przyjaciół.

– Informuję więc was, ignoranci nie mający pojęcia, co się dzieje w prawdziwym świecie, że wczoraj kwadrans po dziesiątej cały radiowo-telewizyjny bajzel w naszym mieście kompletnie wysiadł. Mój także. Niektórzy sądzą, że to kawał jakichś gnojków z wydziału fizyki. Powiem wam, jestem wściekły jak diabli.

– Byłoby fajnie, gdyby objęło to cały kraj – wtrącił Beau. – Po tygodniu bez telewizji narodowy iloraz inteligencji pewnie skoczyłby w górę.

– Sok pomarańczowy dla wszystkich? – zapytała Marjorie, kelnerka, która pojawiła się przy stole.

Zanim zdążyli odpowiedzieć, zaczęła nalewać. To była część normalnego porannego rytuału. Teraz dopiero Marjorie przyjęła zamówienie i krzyknęła po grecku w stronę dwóch kucharzy za kontuarem.

Kiedy wszyscy raczyli się sokiem, telefon Beau odezwał się dostatecznie głośno, aby

można go było usłyszeć spod marynarki. Sięgając po niego, Beau trącił ręką szklankę i tylko instynktowny odruch Pitta zapobiegł wylaniu soku.

Cassy pokręciła głową, z rezygnacją wyciągnęła kilka chusteczek papierowych i wytarła ze stolika kilka kropli soku. Spojrzała na Pitta z wdzięcznością i wspomniała, że Beau od rana popisuje się podobnymi wyczynami.

Beau pojaśniał na twarzy, kiedy zorientował się, iż jego nadzieje się spełniły – telefonowano z korporacji Randy’ego Nite’a. Wymieniono nawet nazwę Cipher w korzystnym dla Beau kontekście.

Cassy powiedziała, że Beau tak się zachowuje, jakby starał się o pracę u samego Pana Boga.

– Z radością przyjdę na rozmowę kwalifikacyjną – odpowiedział Beau z wystudiowanym spokojem. – Będzie mi naprawdę przyjemnie. Kiedykolwiek pan Nite będzie chciał mnie zobaczyć, natychmiast przylecę na Wschód. Jak wspomniałem w liście, kończę studia w przyszłym miesiącu, więc pracę będę w stanie rozpocząć... no cóż, w każdej chwili po tym terminie.

– W każdej chwili! – prychnęła Cassy. Zakrztusiła się sokiem pomarańczowym.

– I kto to mówi? Nie brzmi to jak słowa tego Beau, z którym się zaprzyjaźniłem.

Beau machnął w ich stronę ręką i groźnie spojrzał.

– Właśnie tak – powiedział do słuchawki. – Odpowiadałaby mi posada osobistego asystenta pana Nite’a.

– Posada? – powtórzyła Cassy, powstrzymując się od śmiechu.

– Podoba mi się ten przytłumiony, podrabiany brytyjski akcent – powiedział Pitt. – Może Beau powinien dać sobie spokój z komputerami i zająć się aktorstwem.

– Jest raczej dobrym aktorem – potwierdziła Cassy, łaskocząc Beau za uchem. – Cały



ranek odgrywał ciamajdę.

Beau odsunął rękę dziewczyny.

– Tak. To znakomicie – powiedział do telefonu. – Zrobię wszystko, żeby tam być. Proszę przekazać panu Nite’owi, że z niecierpliwością oczekuję spotkania z nim.

– Niecierpliwością? – powtórzył Pitt, kładąc sobie równocześnie wskazujący palec na usta.

Beau wyłączył telefon i wsunął go do kieszeni. Popatrzył na Cassy i Pitta.

– Jesteście naprawdę dorosłymi ludźmi. To była pewnie najważniejsza rozmowa w moim życiu, a wy robicie sobie jaja.

– Dorośli! Tak, teraz bardziej przypomina mi tego Beau, którego znam – odparła Cassy.

– Kim był ten facet, który rozmawiał tak dziwnie przez telefon? – zapytał Pitt, wskazując na Beau.

– To ktoś, kto ma zamiar pracować od czerwca dla Ciphery – odparł Beau. –

Zapamiętajcie moje słowa. A potem, kto wie? Gdy tymczasem wy, moi drodzy, zamierzacie tracić czas na kolejne cztery lata studiów medycznych.

Pitt roześmiał się w głos.

– Tracić cztery lata w szkole medycznej? A to dopiero dziwny i pokręcony punkt widzenia – uznał.

Cassy przysunęła się do Beau i ugryzła go w płatek ucha.

Odepchnął ją.

– Rany, Cassy, tu są profesorowie, których znam, ludzie, którzy pewnie będą mi pisać rekomendację.

– Och, nie bądź taki spięty – odparła. – Drażnimy się tylko z tobą, bo jesteś taki sztywny.

Prawdę powiedziawszy, jestem zaskoczona, że oddzwonili. To prawdziwy sukces.

Spodziewam się, że mają sporo podań o pracę.

– Oferta pracy od Randy’ego Nite’a to znacznie więcej niż sukces. Doświadczenie może być wprost oszałamiające. To praca ze snów. Facet jest wart miliardy.

– Ale to może również wymagać poświęceń – zauważyła zadumana Cassy. – Zapewne dwadzieścia pięć godzin na dobę, osiem dni w tygodniu, czternaście miesięcy w roku. Nie zostanie wiele czasu dla nas, szczególnie jeśli ja będę tu pracować.

– To po prostu sposób na rozpoczęcie kariery – powiedział Beau. – Chcę zrobić wszystko co się da, abyśmy mogli cieszyć się życiem.

Pitt znowu zrobił minę i poprosił przyjaciół, żeby nie odbierali mu apetytu miłym romantycznym gadaniem.

Kiedy podano zamówione dania, cała trójka zabrała się szybko do jedzenia. Mimowolnie zerkali na swoje eleganckie zegarki. Nie mieli zbyt dużo wolnego czasu.

– Macie ochotę na kino wieczorem? – zapytała Cassy po wypiciu kawy. – Miałam dzisiaj egzamin i gwałtownie potrzebuję nieco relaksu.

– Beze mnie, maleńka – odparł Beau. – Dostałem papierkową robotę na kilka dni. – Odwrócił się i próbował dać znać Marjorie, że czeka na rachunek.

– A ty? – Cassy zwróciła się w stronę Pitta.

– Przykro mi – odpowiedział. – Mam podwójną zmianę w centrum medycznym.

– Może Jennifer? – Cassy nie dawała za wygraną. – Mogłabym do niej zadzwonić.

– To zależy od ciebie. Ale nie powołuj się na mnie. Zrywamy ze sobą.

– Przykro mi – powiedziała z uczuciem Cassy. – Zawsze uważałam was za dobraną parę.

– To tak jak ja – zgodził się Pitt. – Niestety spotkała kogoś, kto bardziej jej pasuje.

Przez moment Cassy i Pitt patrzyli na siebie, by po chwili odwrócić wzrok z uczuciem lekkiego zaambarasowania i wrażeniem déjà vu.

Beau położył rachunek na stole. Chociaż każde z nich miało za sobą kurs matematyki w college'u, obliczenie, ile kto powinien dołożyć napiwku, zabrało im pięć minut.

– Podwieźć cię do centrum medycznego? – Beau zapytał Pitta, gdy wyszli na zalany słońcem parking.

– Może tak – odpowiedział Pitt niezdecydowanie. Był nieco przybity. Kłopot polegał na tym, że ciągle darzył Cassy romantycznym uczuciem, chociaż ona go odtrącała, a Beau był jego najlepszym przyjacielem. Znali się od podstawówki.

Pitt szedł kilka kroków za przyjaciółmi. Zamierzał podejść do samochodu od strony pasażera i otworzyć Cassy drzwi, ale nie chciał stawiać Beau w złym świetle. Zrezygnował więc i poszedł za Beau, by usiąść z tyłu, gdy nagle jego przyjaciel zatrzymał się i położył rękę na ramieniu Pitta.

– Co to, u diabła, jest? – zastanowił się Beau.

Pitt podążył za wzrokiem kolegi. Tuż przy drzwiach kierowcy tkwił wbity w ziemię dziwny, okrągły, czarny przedmiot wielkości mniej więcej srebrnej jednodolarówki. Był symetrycznie kopulasty, gładki i w słońcu połyskiwał tak, że trudno było stwierdzić, czy wykonano go z metalu, czy kamienia.

– To na tym musiałem stanąć, gdy wysiadałem z wozu – domyślił się Beau. Wgłębienie po bucie wyraźnie odcisnięte z jednej strony przedmiotu potwierdzało przypuszczenie. – Ciekawe, dlaczego się ześliznąłem.

– Myślisz, że to wyleciało spod samochodu? – zapytał Pitt.

– Dziwnie wygląda – stwierdził Beau. Schylił się i lekko odgarnął piasek z jednej strony zagrzebanego w ziemi dziwnego przedmiotu. Kiedy to zrobił, dostrzegł osiem małych wypukłości symetrycznie rozłożonych wokół krawędzi przedmiotu. Był nieco większy, niż początkowo sądził.

– Hej, chodźcie już, chłopcy! – z samochodu dobiegł ich głos Cassy. – Muszę jechać na zajęcia. Właściwie już jestem spóźniona.

– Sekundę – odpowiedział Beau. Zwrócił się do Pitta: – Masz jakiś pomysł?

– Kompletnie nic. Spróbuj, czy wóz zapali.

– To nie z samochodu, ośle. – Kciukiem i palcem wskazującym prawej ręki Beau spróbował podnieść przedmiot, ale nie dał rady. – To musi być koniec czegoś długiego.

Obiema rękami odgarnął piasek i żwir i zdziwił się, że tak szybko odsłonił spód tego czegoś. Okazało się, że nie było długie. Spodnia strona przedmiotu była płaska. Podniósł go.

Grubość można było ocenić na mniej więcej centymetr.

– Cholera, ciężkie jak na swój rozmiar – uznał. Podał go Pittowi, który położył przedmiot na dłoni.

Pitt gwizdnął i z zaskoczonym wyrazem twarzy zwrócił przedmiot znalazcy.

– Z czego to jest zrobione? – zapytał.

– Jakby ołów – zgadywał Beau. Spróbował podrapać powierzchnię paznokciem, ale bez rezultatu. – Ale to nie jest ołów. Psiakrew, założę się, że to jest cięższe niż ołów.

– Przypomina mi jeden z tych czarnych kamieni, który znalazłeś kiedyś na plaży – powiedział Pitt. – No wiesz, te kamienie wygładzane latami przez przybrzeżne fale.

Beau chwycił przedmiot w dwa palce, jakby zamierzał puścić kaczkę po wodzie, i zamachnął się.

– Z tak gładką powierzchnią skoczyłby pewnie ze dwadzieścia razy.

– Gówno! – wtrącił Pitt. – Z taką wagą zatonąłby po pierwszym, najdalej drugim odbiciu.

– Pięć dolców, że skoczy co najmniej dziesięć razy – zaproponował Beau.

– Wchodzę – Pitt przyjął propozycję.

– Au! – krzyknął nagle Beau i upuścił przedmiot, który znowu zakopał się do połowy w

piasku i żwirze. Chłopak złapał się za prawą dłoń i ścisnął mocno.

– Co się stało? – zapytał przestraszonym głosem Pitt.

– Ta cholera mnie ukłuła – ze złością powiedział Beau. Ścisnął dłoń u nasady palca wskazującego, na którym widniała kropelka krwi.

– O rety! Śmiertelna rana! – zauważył Pitt z sarkazmem.

– Pieprz się, Henderson – odpowiedział Beau, krzywiąc twarz w grymasie bólu. – Boli.

Jak po użądleniu jakiejś cholernej pszczoły. Czuję w całym ramieniu.

– Ach, nagła posocznica – dodał Pitt ciągle tym samym sarkastycznym tonem.

– A co to, u diabła, jest? – Beau był coraz bardziej zdenerwowany.

– Potrzebowałbym za dużo czasu, żeby ci to wyjaśnić, panie Hipochondryku. Poza tym żartowałem.

Beau schylił się, by odzyskać tajemniczy przedmiot. Ostrożnie zbadał jego krawędź, ale nie natrafił na nic, co mogłoby ukłuć.

– Beau, dalej! – ponagliła zła Cassy. – Muszę jechać. Co wy tam, na miłość boską, robicie?

– Dobra już, dobra – odpowiedział. Spojrzał na Pitta i wzruszył ramionami.

Pitt schylił się i z dna dołka wyłobionego przez przedmiot podniósł cienki odłamek szkła.

– Czy to mogło być jakoś przyczepione i zraniło cię?

– Pewnie tak – przytaknął Beau. Uważał, że to mało prawdopodobne, ale nie potrafił teraz znaleźć innego wyjaśnienia. Przekonywał sam siebie, że przecież przedmiot nie był niczemu winny.

– Beauuuuuu! – warknęła Cassy przez zaciśnięte zęby.

Szybko siadł za kierownicą swojego 4x4. Niemal bezwiednie wsunął dziwny, kopulasty

dysk do kieszeni marynarki. Pitt usiadł z tyłu.

– Teraz na pewno będę spóźniona – fuknęła Cassy.

– Kiedy ostatnio szczepiłeś się przeciwko tężcowi? – zapytał Pitt.

Milę od restauracji rodzina Sellersów właśnie kończyła swoje codzienne poranne czynności. Rodzinny minivan czekał już na podjeździe dzięki Jonathanowi, który siedział wyczekująco za kierownicą. Jego mama, Nancy, stała oparta o framugę otwartych drzwi. Ubrana była w prosty kostium podkreślający jej pozycję zawodową. Pracowała jako wirusolog w miejscowych zakładach farmaceutycznych. Była drobną kobietą, miała metr pięćdziesiąt pięć wzrostu, z głową jak Meduza, pełną gęstych, skręconych blond loków.

– Chodź, kochanie! – Nancy zawołała męża, Eugene’a, który wisiał na telefonie w kuchni i rozmawiał z jednym z miejscowych dziennikarzy prasowych, którego znał towarzysko.

Eugene dał znać, że za minutkę będzie.

Nancy niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę i patrzyła na swego męża. Byli razem już dwadzieścia lat. Wyglądał na tego, kim był: profesora fizyki na uniwersytecie. Nigdy nie udało jej się wyciągnąć go z tych workowatych sztruksowych spodni i marynarki, niebieskiej batystowej koszuli w kratkę i wydzierganego z wełny krawata. Kupowała mu eleganckie ubrania, ale wisiały teraz nie wykorzystane w szafie. Ale przecież nie wyszła za Eugene’a dla jego smaku czy też jego braku w sprawach mody. Spotkali się w szkole średniej i beznadziejnie pokochała go za jego rozum, dowcip i łagodne, dobre spojrzenie.

Odwróciła się i popatrzyła na syna, w którego twarzy bez trudu potrafiła rozpoznać tak siebie, jak i męża. Wydawał się zaniepokojony, kiedy rano pytała go, co robił poprzedniego wieczoru u Tima, swojego przyjaciela. Nietypowe dla Jonathanana wymijające odpowiedzi zaniepokoiły ją. Wiedziała, że próbuje skryć kłopoty nastolatka.

– Szczerze, Art. – Eugene mówił tak głośno, aby słyszała go również Nancy. – Nie ma

mowy, żeby z któregoś z laboratoriów fizycznych wyszedł tak silny impuls fal radiowych. Radzę sprawdzić okoliczne nadajniki radiowe. Poza uniwersyteckim są jeszcze dwa. Podejrzewam, że to mógł być jakiś dziwny wybryk. Ale naprawdę nie wiem.

Nancy znów spojrzała w stronę męża. Wiedziała, że z trudem przychodzi mu być niegrzecznym wobec kogokolwiek, ale wszyscy domownicy już prawie byli spóźnieni.

Podniosła w górę palec i bezdźwięcznie powiedziała: „Masz minutę”, po czym poszła w stronę samochodu.

– Mogę prowadzić? – zapytał Jonathan.

– Nie sędzę. Już jesteśmy spóźnieni. Przesuń się.

– Kurczę – jęknął Jonathan. – Nigdy nie możecie mi zaufać i uznać, że ja też coś potrafię.

– To nieprawda – zaprzeczyła Nancy. – Ale bez wątpienia nie uważam za właściwe zostawienie kierownicy w twoich rękach, kiedy się spieszymy. – Nancy zajęła miejsce kierowcy.

– Gdzie jest tato? – wymamrotał niepoczyszony Jonathan.

– Rozmawia z Artem Talbotem. – Nancy znowu spojrzała na zegarek. Minuta minęła.

Zatrąbiła.

Dzięki Bogu Eugene pojawił się, zamknął drzwi, podbiegł do samochodu i wskoczył na tylne siedzenie. Nancy szybko wyjechała tyłem na ulicę i ruszyła w stronę pierwszego przystanku – szkoły Jonathana.

– Przepraszam, że musieliście na mnie czekać – powiedział Eugene po chwili milczenia.

– Wczoraj wieczorem zdarzyło się coś nadzwyczajnego. Zdaje się, że w pobliżu uniwersytetu uległo zniszczeniu wiele telewizorów, radioodbiorników, a nawet urządzeń otwierających bramy garaży. Powiedz mi, Jonathan, czy ty i Tim oglądaliście telewizję albo słuchaliście radia około dziesiątej piętnaście? O ile pamiętam, Appletonowie mieszkają w tym rejonie.

– Kto, ja? – zapytał zbyt szybko Jonathan. – Nie, nie. My... czytaliśmy. Tak, czytaliśmy.

Nancy zerknęła kątem oka na syna. Nie mogła się powstrzymać od domysłów, co takiego syn robił poprzedniego wieczoru.

– Ooo! – zawołał Jesse Kemper. Zdołał utrzymać kubek z parującą kawą, unikając jej rozlania, kiedy jego partner, Vince Garbon, skręcił na drogę prowadzącą do Pierson's Electrical Supply, kilka przecznic za restauracją „U Costy”.

Choć Jesse miał pięćdziesiąt kilka lat, ciągle zachowywał sportową sylwetkę. Większość ludzi uważała, że nie przekroczył czterdziestki. Imponował też gęstymi włosami, jakby w kontraście do rzadniejących włosów na potężnie sklepionej czaszce.

Jesse był detektywem porucznikiem w policji miejskiej, bardzo lubianym przez swoich kolegów. Był dopiero piątym Afroamerykaninem w oddziale, ale władze miasta, zachęcane między innymi jego osiągnięciami, rozpoczęły poważną akcję rekrutacyjną wśród czarnych policjantów, aby skład rasowy departamentu policji odzwierciedlał proporcje panujące w społeczności miejskiej.

Vince skręcił nie oznaczonym sedanem za budynek i zatrzymał się przed otwartym garażem obok stojącego już tam samochodu policyjnego.

– Tego mi brakowało – powiedział Jesse, wysiadając z samochodu.

Wychodząc z kawiarni, on i Vince usłyszeli w radiu, że znaleziono drobnego kanciarza, Eddiego Howarda, zagonionego w kąt przez psa łańcuchowego. Eddie był tak dobrze znany na posterunku, że traktowano go niemal jak przyjaciela.

Podczas gdy oczy przyzwyczajały się do półmroku panującego w garażu, Jesse i Vince usłyszeli jakieś głosy z prawej strony, zza regału sięgającego aż do sufitu. Dwaj mundurowi policjanci przechadzali się, jakby zrobili sobie przerwę na papierosa. W kącie Jesse i Vince dostrzegli przyklejonego do ściany Eddiego Howarda. Przed nim stał jak posąg potężny



czarno-biały pit bull. Nieruchome oczy były wlepione w Eddiego jak dwa czarne węgle.

– Kemper, dzięki Bogu! – zawołał Eddie, starając się stać nieruchomo. – Weźcie to zwierzę ode mnie!

Jesse spojrział na dwóch umundurowanych gliniarzy.

– Dzwoniliśmy i właściciele są już w drodze – odezwał się jeden z nich. – Normalnie nie zjawiają się przed dziewiątą.

Jesse skinął i wrócił do Eddiego.

– Jak długo już tu jesteś?

– Całą potworną noc. Przyciśnięty do ściany.

– Jak się tu dostałeś?

– Po prostu wszedłem. Kręciłem się w sąsiedztwie i nagle zobaczyłem, jak otwierają się drzwi garażu, same, jak zaczarowane. No to wszedłem, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. No wiecie, żeby pomóc.

Jesse roześmiał się.

– Zdaje się, że ten Reks podejrzewa cię o coś więcej.

– Daj spokój, Kemper – jęknął Eddie. – Weź tę bestię ode mnie.

– W odpowiednim czasie – odparł policjant, chichocząc. – W odpowiednim czasie. –

Odwrócił się znowu w stronę dwóch mundurowych. – Sprawdziliście drzwi garażu?

– Oczywiście – odpowiedział drugi z nich.

– Jakies ślady włamania?

– Myślę, że Eddie powiedział prawdę.

Jesse pokręcił głową.

– Tyle się wydarzyło ostatniej nocy, że nie można się opędzić.

– Ale większość w tej części miasta – zauważył Vince.

Sheila Miller zaparkowała czerwone BMW kabriolet z zamkniętym dachem na rezerwowanym miejscu w pobliżu wejścia do izby przyjęć. Przesunęła przedni fotel do przodu i popatrzyła na magnetowid. Zastanawiała się, jak za jednym razem zabrać swoją torbę, plik papierów i magnetowid i zanieść wszystko do gabinetu. Zdawało się to niemożliwe. Nagle zauważyła zatrzymującą się na parkingu czarną toyotę i wysiadającego z niej pasażera.

– Przepraszam, panie Henderson! – zawołała Sheila, gdy rozpoznała Pitta. Uważała za niezwykle ważne znać z nazwiska każdego pracującego na jej oddziale, nieważne, czy to był chirurg, czy urzędnik. – Mogę pana prosić na chwilę?

Chociaż Pitt wyraźnie się spieszył, odwrócił się na dźwięk swojego nazwiska.

Natychmiast rozpoznał doktor Miller. Zakłopotany cofnął się i podszedł do jej samochodu.

– Wiem, że się trochę spóźniłem – zaczął lekko zdenerwowany. Doktor Miller była znana jako niezwykle konkretny administrator. Wśród członków niższego personelu, szczególnie świeżo zatrudnionych, miała przezwisko „Smocza Lady”. – To się więcej nie powtórzy – zapewnił.

Sheila spojrzała na zegarek, następnie na Pitta.

– Pan ma zamiar zacząć jesienią studia lekarskie.

– Owszem – przyznał Pitt i czuł, jak przyspiesza mu puls.

– Cóż, przynajmniej wygląda pan lepiej niż reszta z tego roku – powiedziała Sheila, ukrywając uśmiech. Wyczuwała zdenerwowanie Pitta.

Skonfundowany uwagą, która brzmiała raczej jak komplement, Pitt ledwo skinął.

Właściwie nie wiedział, co powiedzieć. Miał wrażenie, że bawi się nim, ale nie był pewny.

– Coś panu powiem – odezwała się Sheila, wskazując głową na tylne siedzenie samochodu. – Jeżeli zanieś pan magnetowid do mojego gabinetu, nie wspomnę dziekanowi

o tym skandalicznym naruszeniu regulaminu.

Teraz był pewien, że żartuje sobie z niego, ale ciągle czuł, iż lepiej zrobi, trzymając język za zębami. Bez słowa sięgnął po urządzenie i podążył za doktor Miller do izby przyjęć.

Panowało tu umiarkowane ożywienie, szczególnie po kilku drobnych porannych kolizjach samochodowych bez poważniejszych ofiar. Około piętnastu, może dwudziestu osób siedziało w poczekalni i trochę więcej w sali urazowej. Recepcjonistka przywitała doktor Miller uśmiechem, ale zaraz się zdziwiła, dostrzegając za nią Pitta, tym bardziej że to właśnie on miał ją zmienić.

Szli korytarzem i już mieli wejść do gabinetu Sheili, gdy zauważyli Kerry'ego Winetropa, jednego ze szpitalnych techników od urządzeń elektronicznych. Utrzymywanie „na chodzie” całej szpitalnej aparatury medycznej wymagało zatrudnienia kilku ludzi na pełny etat. Sheila zawołała mężczyznę, który natychmiast podszedł do nich.

– Mój magnetowid zepsuł się wczoraj wieczorem – powiedziała Sheila, wskazując głową na urządzenie w rękach Pitta.

– Witam w klubie – odparł Kerry. – Pani i wielu innych osób. Właściwie w całej sieci telewizyjnej było wczoraj przepięcie mniej więcej kwadrans po dziesiątej. Widziałem już od rana kilka takich urządzeń przyniesionych przez naszych pracowników.

– Przepięcie, hmm – mruknęła Sheila.

– Mój telewizor wystrzelił – wtrącił Pitt.

– Przynajmniej został mi telewizor – zauważyła Sheila.

– Był włączony, kiedy magnetowid pracował? – spytał Kerry.

– Nie.

– Dlatego nic mu się nie stało. Gdyby był włączony, straciłaby pani kineskop – wyjaśnił Kerry.

– Czy będzie można naprawić magnetowid? – zapytała.

– To będzie wymagało wymiany większości bebecchów. Prawdę powiedziawszy, taniej będzie kupić nowy – stwierdził Kerry.

– Szkoda. W końcu nauczyłam się, jak go programować.

Cassy biegła po schodach Anna C. Scott High School i weszła dokładnie w chwili, kiedy dzwonek oznajmiał początek zajęć. Przypominając sobie, że panikowanie niczemu nie zaradzi, pospieszyła głównymi schodami na piętro i dalej korytarzem do swojej sali. Była w połowie trwającej miesiąc obserwacji lekcji języka angielskiego w młodszej klasie. Pierwszy raz się spóźniła.

Zatrzymała się pod drzwiami, aby odgarnąć włosy z twarzy i przyglądzić przesadnie skromną bawełnianą sukienkę. Z sali dobiegało istne pandemonium. Spodziewała się usłyszeć ostry głos pani Edelman. Zamiast tego w klasie panował rozgardiasz, pomieszane piski i śmiechy. Cassy uchyliła drzwi i zajrzała do środka.

Uczniowie byli rozproszeni po całej sali. Niektórzy stali, inni siedzieli na obudowie kaloryferów albo na stołach. Od gwaru rozmów buczało jak w ulu.

Uchyliwszy drzwi szerzej, mogła zobaczyć, dlaczego panuje tu taki chaos. Pani Edelman nie było w klasie.

Cassy z trudem przełknęła ślinę. W ustach jej zaschło. Przez sekundę wahała się, co zrobić. Jej doświadczenia z młodzieżą ze szkoły średniej były minimalne. Do tej pory nauczała wyłącznie na poziomie szkoły podstawowej. Doszła ostatecznie do wniosku, że wybór ma niewielki, wzięła głęboki oddech i weszła.

Nikt nie poświęcił jej ani odrobiny uwagi. Podeszła do biurka pani Edelman i zauważyła na nim kartkę zapisaną jej charakterem pisma. *Panno Winthropo, spóźnię się kilka minut.*

*Proszę prowadzić zajęcia.*

Z przyspieszonym biciem serca Cassy przyjrzała się klasie. Poczwała się bezradna i niekompetentna. Przecież nie była jeszcze nauczycielką.

– Przepraszam! – zawołała. Nie było żadnej odpowiedzi. Zawołała nieco głośniejsze. W końcu krzyknęła tak głośnie, jak potrafiła.

Zapanowała ogłuszająca cisza. Obserwowało ją teraz blisko trzydzieści par oczu. Twarze uczniów wyrażały całą gamę uczuć: od zaskoczenia przez irytację z powodu przerwanej rozmowy aż po okrutne lekceważenie.

– Proszę zająć miejsca – poprosiła Cassy. Głos drżał jej bardziej, niż sobie tego życzyła. Uczniowie z ociąganiem zastosowali się do polecenia.

– Okay – powiedziała Cassy, próbując odzyskać pewność siebie. – Wiem, nad czym mieliście się zastanowić, więc do czasu przyścia pani Edelman możemy chyba porozmawiać ogólnie o stylu Faulknera. Czy ktoś zechciałby zacząć?

Cassy omiotła salę wzrokiem. Uczniowie, którzy chwilę wcześniej byli wzorem ożywienia, teraz wyglądali jak wycięci z kamienia. Wyraz twarzy tych, którzy ciągle patrzyli na Cassy, niczego nie zdradzał. Jedynie pewien rudowłosy, impertynencki chłopak posłał jej całusa, gdy spojrzała w jego stronę. Zignorowała zaczepkę.

Czuła jednak, jak na czole pojawiają jej się krople potu. Sprawy nie układały się dobrze. Na końcu drugiego rzędu zauważyła blondyna, który był pochłonięty pracą na swoim laptopie.

Cassy zerknęła na układ miejsc znajdujący się na biurku i przeczytała nazwisko chłopca: Jonathan Sellers.

Podniosła wzrok i spróbowała jeszcze raz.

– No dobra. Słuchajcie, wiem, że to w porządku mieć mnie w głębokim poważaniu. W końcu jestem studentką na praktyce i wy lepiej się orientujecie, o co tu chodzi, niż ja,

jednak...

W tym momencie otworzyły się drzwi. Cassy odwróciła się w nadziei, że ujrzy kompetentną panią Edelman. Tymczasem sytuacja jeszcze się pogorszyła. Wszedł pan Partridge, dyrektor.

Cassy spanikowała. Partridge był zimnym mężczyzną, który cieszył się u podwładnych olbrzymim posłuchem. Spotkała się z nim tylko raz, kiedy przydzielał zajęcia grupie praktykantów. W bardzo jasny sposób wyraził swój brak sympatii dla programu praktyk studenckich i przyznał, że godzi się na nie tylko pod przymusem.

– Dzień dobry, panie Partridge – wykrztusiła Cassy. – Czy mogę panu w czymś pomóc?

– Proszę kontynuować! – sapnął Partridge. – Poinformowano mnie o nieobecności pani Edelman, więc postanowiłem wejść i przyjrzeć się przez chwilę zajęciom.

– Oczywiście – przytaknęła Cassy. Wróciła wzrokiem ku kamiennym postaciom uczniów i odchrząknęła. – Jonathan Sellers – wywołała. – Może ty mógłbyś zacząć dyskusję.

– Jasne – zgodził się gładko Jonathan.

Cassy niezauważenie odetchnęła z ulgą.

– William Faulkner był wybitnym amerykańskim pisarzem – rozpoczął Jonathan, wyraźnie grając głosem.

Cassy mogła przysiąc, że czyta z ekranu laptopa, ale udała, że się nie domyśla. Właściwie była wdzięczna za jego pomysłowość i zaradność.

– Słynie ze swoich ostrych charakterystyk, jak i rozbudowanego stylu...

Tim Appleton siedzący z boku za Jonathanem daremnie próbował powstrzymać się od śmiechu, widząc, co robi jego kolega.

– Dobrze – przerwała Cassy. – Zobaczmy, czy ma to zastosowanie w powieści, którą mieliście przeczytać na dzisiaj. – Podeszła do tablicy i napisała: „ostre charakterystyki” i

obok: „złożona budowa powieści”. Usłyszała, jak drzwi sali otwierają się, a następnie zamykają. Zerknęła za siebie i zauważyła, że mroczna postać Partridge’a opuściła już klasę. Spoglądając na uczniów z ulgą i radością, zobaczyła w górze kilka rąk osób gotowych do wzięcia udziału w dyskusji. Zanim poprosiła kogoś o zabranie głosu, posłała Jonathanowi lekki, ale pełen wdzięczności uśmiech. Nie była pewna, ale zdawało się jej, że chłopiec się zarumienił, zanim spuścił wzrok na swój laptop.

### **Rozdział 3**

# Godzina 11.15

Olgavee Hali była jedną z największych sal wykładowych w szkole biznesu. Choć Beau nie był dyplomowanym studentem, otrzymał specjalną zgodę na udział w zaawansowanym kursie marketingu, który był wyjątkowo popularny wśród studentów. Był do tego stopnia popularny, że potrzebna okazała się pojemność sali Olgavee. Wykłady były ekscytujące i pobudzające. Kurs prowadzono w stylu interaktywnym, profesorowie zmieniali się co tydzień. Minusem było to, że każde zajęcia wymagały wielu przygotowań. Poza tym wszyscy musieli być przygotowani tak, aby móc w każdej chwili odpowiadać.

Jednak dla Beau skoncentrowanie się tego dnia na wykładzie okazało się niezwykle trudne. Ku konsternacji swoich sąsiadów, a także swojej, nie mógł się powstrzymać od nerwowego wiercenia się na siedzeniu. Przyczyna nie leżała jednak po stronie wykładowcy. Przyczyna tkwiła w nim samym. Czuł narastający ból w mięśniach, który całkiem pozbawił go dobrego samopoczucia. Na dodatek zaczął go męczyć tępy ból głowy, umiejscowiony gdzieś za oczami. Fakt, że siedział w czwartym rzędzie pośrodku, wprost na linii wzroku profesora, jeszcze pogarszał sprawę. Beau zawsze starał się przyjść na wykład wcześniej, aby zająć dobre miejsce. Mógł przysiąc, że wykładowca również zaczyna się denerwować, jednak nie wiedział, co zrobić.

Zaczął się już w drodze do Olgavee Hali. Pierwszym symptomem było jakieś dziwne kłucie w górnej części nosa, wywołujące serię gwałtownych kichnięć. Wkrótce musiał wysiąkać zapchany nos. Początkowo podejrzewał przeziębienie. Teraz jednak musiał przyznać, iż sprawa jest poważniejsza. Podrażnienie szybko się rozwijało, schodząc z zatok do gardła, które go teraz bolało, szczególnie gdy przełykał. Na dodatek zaczął kaszleć, co drażniło gardło tak samo jak przełykanie.

Chłopak siedzący tuż przed Beau odwrócił się i spiorunował go wzrokiem właśnie w



chwili kolejnego napadu ostrego kaszlu.

Czas włókł się, a Beau zaczęło niepokoić narastające sztywnienie karku. Próbował rozmasować mięśnie, lecz nic nie pomagało. Nawet kołnierz marynarki zdawał się pogłębiać uczucie dyskomfortu, drażniąc szyję. Podejrzewając, że to „ołowiany” przedmiot schowany w kieszeni może mieć coś wspólnego ze złym samopoczuciem, wyjął go i położył przed sobą na pulpicie. Wyglądał dziwnie, gdy tak leżał na notatkach. Idealnie okrągły kształt i równie perfekcyjna symetria sugerowały nienaturalne powstanie przedmiotu, mimo to Beau nie miał pojęcia, co to może być. Przyszło mu na myśl, że może to futurystyczny w formie przycisk do papieru, ale szybko się wycofał, uznając pomysł za zbyt prozaiczny. Bardziej prawdopodobne było, że jest to mała rzeźba, lecz naprawdę nie był tego pewien. Niezdecydowany, zastanawiał się, czy nie zanieść tego na wydział geologiczny i zapytać, czy możliwe, aby przedmiot powstał w wyniku zjawisk naturalnych, na przykład, czy to mogła być geoda. Rozważania o przedmiocie przypomniały Beau o skaleczeniu na dłoni. Był to czerwony punkt w bladoniebieskiej otoczce o średnicy kilku milimetrów. Dookoła wytworzyła się dwumilimetrowa czerwona obwódka. Przy dotknięciu lekko bolało. Było to odczucie podobne do tego, które się ma podczas pobierania krwi.

Dreszcz zimna rozproszył myśli Beau. Chłód ogarnął go po dłuższym ataku kaszlu. Kiedy wreszcie odzyskał oddech, zorientował się, że nie ma sensu próbować dotrwać do końca wykładu. Nie był w stanie niczego zapamiętać, a do tego rozpraszał innych studentów i przeszkadzał samemu wykładowcy.

Beau zebrał papiery, wsunął do kieszeni domniemaną rzeźbę i wstał. Wiele razy musiał przeprosić, aby bokiem przesunąć się wzdłuż rzędu. Z powodu wąskiego przejścia jego wyjście spowodowało sporo zamieszania. Jeden ze studentów upuścił nawet swój notes z luźnymi kartkami, które rozsypały się na podłogę. Kiedy wreszcie wyszedł na przejście

między rzędami, zauważył, że wykładowca osłonił dłonią oczy, żeby lepiej zobaczyć sprawcę poruszenia. Na szczęście był jednym z tych, których Beau nie miał zamiaru prosić o list polecający.

Pod koniec dnia pracy Cassy czuła się wyczerpana tak emocjonalnie, jak i fizycznie.

Zeszła po schodach i znalazła się przed szkołą na podjeździe zbudowanym w kształcie podkowy. Stało się dla niej jasne, że z punktu widzenia nauczyciela woli zdecydowanie szkołę podstawową od średniej. Z jej perspektywy uczniowie szkoły średniej zdawali się zbyt egoistyczni i za bardzo zainteresowani przekraczaniem stawianych im barier. Uznała, że wielu z nich jest stanowczo przeciętnych. Nie ma porównania z niewinnym, pełnym zapału trzecioklasistą, pomyślała.

Popołudniowe słońce ogrzewało twarz Cassy. Osłaniając oczy dłonią, przyglądała się samochodom stojącym na podjeździe. Wypatrywała toyoty Beau. Uparł się, żeby odwozić ją każdego popołudnia i zwykle czekał już na nią. Najwyraźniej dzisiaj miało być inaczej.

Rozglądając się za miejscem do siedzenia, dostrzegła w pobliżu znajomą osobę, która również na coś czekała. To był Jonathan Sellers z klasy pani Edelman. Podeszła i powiedziała „cześć”.

– Och, cześć – wyjąkał chłopak. Nerwowo rozglądał się dookoła z nadzieją, że nie widzą go koledzy z klasy. Czuł, że rumieni się na twarzy. Brało się to stąd, że uważał Cassy za najładniejszą nauczycielkę, jaką kiedykolwiek mieli, i powiedział o tym po zajęciach Timowi.

– Dziękuję za przełamanie lodów na dzisiejszych zajęciach – powiedziała Cassy. – To była wielka przysługa. Przez chwilę miałam wrażenie, że znalazłam się na pogrzebie, i to własnym.

– To szczęśliwy traf, że właśnie sprawdzałem w moim laptopie, co napisali o Faulknerze.

– I tak uważam, że powiedzenie czegokolwiek było oznaką odwagi. Doceniam to. Dzięki

tobie wszystko zaczęło się kręcić. Obawiałam się, że nikt się nie odezwie.

– Moi koledzy bywają czasami złośliwi – przyznał Jonathan.

Przy krawężniku zatrzymał się granatowy minivan. Nancy Sellers pochyliła się i otworzyła drzwi pasażera.

– Cześć, mamó – przywitał się Jonathan i nieśmiało machnął ręką.

Bystre, inteligentne oczy Nancy wędrowały między jej siedemnastoletnim synem a tą seksownie wyglądającą kobietą w wieku raczej uniwersyteckim. Wiedziała, że jego zainteresowanie dziewczynami rośnie jak grzyby po deszczu, jednak ta sytuacja zdawała się odrobinę niewłaściwa.

– Nie masz zamiaru przedstawić mnie swojej znajomej? – zapytała syna.

– Ach, tak – odparł Jonathan, oglądając płytki chodnika. – To panna Winthrope.

Cassy pochyliła się i wyciągnęła rękę na przywitanie.

– Miło mi panią poznać, pani Sellers. Proszę mówić mi Cassy.

– Cassy, w takim razie – powtórzyła Nancy i uściśnęła jej dłoń. Nastąpiła krótka, ale znacząca pauza, zanim Nancy zapytała, jak długo się znają.

– Maaamo – jęknął Jonathan. Nagle zrozumiał, co podejrzewa mama, i poczuł się upokorzony. – Panna Winthrope jest praktykantką i uczy nas angielskiego.

– Och, rozumiem – odpowiedziała Nancy z lekką ulgą w głosie.

– Moja mama jest wirusologiem – powiedział Jonathan, chcąc zmienić temat rozmowy i wyjaśnić przy okazji, jak to było możliwe, że sugerowała coś równie głupiego.

– Naprawdę? – skomentowała informację Cassy. – W dzisiejszym świecie to bez wątpienia ważne i interesujące pole działania. Pracuje pani w Uniwersyteckim Centrum Medycznym?

– Nie, pracuję w Serotec Pharmaceuticals – odpowiedziała Nancy. – Ale mój mąż pracuje

na uniwersytecie. Kieruje wydziałem fizyki.

– O rety! – Cassy była pod wrażeniem. – No to nic dziwnego, że macie państwo takiego inteligentnego syna.

Ponad dachem minivana Cassy zauważyła wjeżdżającego na podjazd Beau.

– Miło mi było panią poznać – powiedziała do Nancy. Odwróciła się do Jonathana i dodała: – Jeszcze raz dziękuję.

– Nie ma za co – odparł Jonathan.

Cassy, na wpół biegnąc, na wpół idąc, skierowała się w stronę zaparkowanego auta przyjaciela.

Jonathan odprowadzał ją wzrokiem, zahipnotyzowany falującym pod bawełnianą sukienką biustem dziewczyny.

– No to jak, mam cię podwieźć do domu czy nie? – zapytała Nancy, niszcząc czar. Znowu zaczęło się jej wydawać, że stało się coś, o czym nie wie.

Jonathan wsiadł z przodu i ostrożnie położył swój laptop na tylnym siedzeniu.

– Za co ci dziękowała? – zapytała Nancy, gdy wyjechali na ulicę. Zauważyła, że Cassy wsiada do dobrego samochodu prowadzonego przez przystojnego chłopaka w jej wieku.

Niepokój Nancy znowu stopniał. Wychowywanie nastolatka jest trudnym zajęciem: w jednej chwili duma, w drugiej obawy. Ta emocjonalna karuzela chwilami przerastała jej możliwości.

Jonathan wzruszył ramionami.

– Mówiłem, że to nic takiego.

– Rany boskie! – Nancy była poirytowana. – Wyciągnięcie od ciebie skrawka informacji przypomina wyciskanie wody z kamienia.

– Daj mi spokój – odpowiedział Jonathan.

Gdy przejeżdżali obok czarnej toyoty, ukradkiem rzucił jeszcze jedno spojrzenie na

Cassy. Siedziała przy kierowcy, rozmawiali ze sobą.

– Wyglądasz paskudnie – powiedziała Cassy. Spojrzała przyjacielowi prosto w twarz.

Nigdy nie widziała go tak bladego. Na czole perliły się gęsto rozsiane krople potu. Oczy miał przekrwione.

– Dzięki za komplement – skwitował Beau.

– Ale to prawda. Co się stało?

– Nie wiem. – Zakrył usta przed kolejnym atakiem kaszlu. – Napadło mnie tuż przed zajęciami z marketingu i jest coraz gorzej. Chyba złapałem grypę. No wiesz, bóle w mięśniach, gardło, katar, ból głowy, typowe objawy.

Cassy przyłożyła dłoń do jego spoconego czoła.

– Jest rozpalone – stwierdziła.

– Dziwne, bo jest mi zimno. Miałem dreszcze. Położyłem się nawet do łóżka, ale pod przykryciem natychmiast zrobiło mi się gorąco i musiałem się odkryć.

– Powinieneś zostać w łóżku. Mogłam się z kimś zabrać.

– Nie było sposobu skontaktować się z tobą.

– Mężczyźni – podsumowała Cassy, wysiadając z samochodu. – Nigdy nie potraficie się przyznać do choroby.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał Beau.

Cassy, nic nie mówiąc, okrążyła samochód i otworzyła drzwi od strony kierowcy.

– Przesuń się. Ja poprowadzę.

– Mogę prowadzić – zaprotestował.

– Bez kłótni. Ruszaj się – ponagliła go.

Beau nie miał siły się upierać. Poza tym wiedział, że to najlepsze rozwiązanie, choć nie chciał się do tego przyznać.

Cassy wrzuciła bieg i ruszyła, ale na skrzyżowaniu zamiast skręcić w lewo, pojechała w prawo.

– Dokąd, u diabła, jedziesz? – zapytał zaskoczony Beau. Z tym bólem głowy chciał jak najszybciej znaleźć się w łóżku.

– Powinieneś pojechać do przychodni studenckiej w centrum medycznym. Nie podoba mi się twój wygląd – oznajmiła Cassy.

– Dojdę do siebie – oświadczył Beau, ale nie miał siły protestować. Z minuty na minutę czuł się gorzej.

Do przychodni studenckiej przechodziło się przez izbę przyjęć i kiedy Cassy z Beau tam weszli, Pitt natychmiast ich zauważył. Wstał zza biurka i podszedł do nich.

– Dobry Boże! – powiedział na widok kolegi. – Nite odrzucił twoje podanie czy przeleciała po tobie żeńska drużyna biegaczek?

– Dam sobie radę bez twoich dowcipów. Chyba złapałem grypę.

– Nie żartujesz – uznał Pitt. – Wejdz do poczekalni izby przyjęć. Chyba nie chcieliby widzieć ciebie w przychodni studenckiej w takim stanie.

Beau pozwolił się poprowadzić do gabinetu. Pitt poprosił jedną z najbardziej troskliwych pielęgniarek i zaraz poszedł po któregoś z dyżurujących lekarzy.

Beau został szybko zbadany przez pielęgniarkę i lekarza. Pobrano mu krew i podłączono kroplówkę.

– To żeby zapobiec odwodnieniu – wyjaśnił lekarz, podłączając butelkę z płynem do kroplówki. – Myślę, że przytrafiła się panu gorsza odmiana grypy, ale płuca ma pan czyste.

Mimo wszystko uważam, że najlepiej będzie, jeśli zostanie pan na noc na oddziale studenckim, a przynajmniej na najbliższe kilka godzin na obserwacji, żebyśmy mogli sprawdzić, czy udało się zbić temperaturę i osłabić kaszel. Poza tym będziemy mogli

sprawdzić wyniki krwi, na wypadek gdyby się okazało, że coś przeoczyliśmy.

– Nie chcę zostać w szpitalu – zaprotestował Beau.

– Jeżeli lekarz sądzi, że powinieneś zostać, to zostajesz – zdecydowała Cassy. – Nie chcę słuchać żadnych gównianych popisów macho.

Pitt zdołał przyspieszyć procedurę i w niecałe pół godziny Beau leżał w łóżku w jednym ze szpitalnych pokoi na oddziale dla studentów. Był to typowy pokój szpitalny z winylową wykładziną, metalowymi meblami, telewizorem i oknem wychodzącym na południe, na przyszpitalny trawnik. Beau ubrany był w szpitalną pidżamę. Jego rzeczy wisiały w szafie, a zegarek, portfel i „być może rzeźba” znalazły się w przeznaczonych na przedmioty wartościowe metalowej szafce wmontowanej w górną część biurka. Cassy zaprogramowała szyfrowy zamek na cztery cyfry odpowiadające końcówce jej numeru telefonicznego. Pitt przeprosił i wrócił do izby przyjęć.

– Wygodnie? – spytała Cassy.

Beau leżał na wznak. Oczy miał zamknięte. Otrzymał lek przeciwkaszłowy, który najwyraźniej już zaczął działać. Był wyczerpany.

– Na tyle, na ile można oczekiwać – mruknął.

– Doktor powiedział, że powinnam wrócić za kilka godzin – powiedziała Cassy. – Wyniki badań będą już gotowe i najprawdopodobniej będę mogła zabrać cię do domu.

– Znajdziesz mnie tutaj – odparł Beau. Z ulgą przyjmował dziwną, obezwładniającą senność, która okrywała go niczym koc. Nawet nie usłyszał, jak Cassy zamknęła za sobą drzwi.

Spał tak głębokim snem jak nigdy dotąd. Nawet nie śnił. Po kilku godzinach przypominającego komę snu jego ciało zaczęło lekko fosforyzować. Wewnątrz metalowej skrzynki tajemniczy przedmiot również fosforyzował, szczególnie jedna z małych

kopulastych wypustek zdobiących jego krawędź. Nagle mały dysk poderwał się i zaczął swobodnie płynąć w powietrzu. Poświata nabierała intensywności, aż przedmiot zaczął świecić jasnym światłem, przypominając odległą gwiazdę.

Poruszający się punkt światła zetknął się z metalową obudową szafki, ale nie zwolnił. Z przytłumionym sykiem przepłynął, iskrząc, przez metal i pozostawił za sobą mały, idealnie symetryczny otwór.

Natychmiast po opuszczeniu zamkniętej przestrzeni obiekt skierował się w stronę Beau, powodując wzmocnienie luminescencji jego ciała. Dotarł do prawego oka i zatrzymał się kilka milimetrów nad nim. Jasne światło zmniejszyło powoli swą intensywność, aż obiekt przybrał swą naturalną czarną barwę.

Kilka razy przedmiot zapulsował jasnym światłem, które uderzyło w powiekę. Nagle powieka uniosła się, podczas gdy drugie oko nadal było zamknięte. Źrenica prawego oka była maksymalnie rozszerzona z ledwo widoczną, cienką obwódką tęczówki.

Impulsy promieniowania elektromagnetycznego, w większości o długości fali światła widzialnego, przesyłane były teraz do oka Beau. Przypominało to przekazywanie danych z jednego komputera do drugiego i trwało prawie pełną godzinę.

– Jak nasz ulubiony pacjent? – Cassy zapytała Pitta, kiedy weszła do izby przyjęć.

Pitt zauważył ją, dopiero gdy się odezwała. Izba była pełna ludzi i Pitt miał tego dnia sporo pracy.

– O ile wiem, dobrze – odpowiedział. – Kilka razy zaglądałem do niego, pielęgniarka zresztą też. Cały czas spał jak dziecko. Nawet się nie poruszył. Musiał być wyczerpany.

– Wróciły wyniki badań krwi? – spytała Cassy.

– Tak i są całkiem normalne. Białe ciała nieco podskoczyły, ale tylko w zakresie limfocytów.



– Chwileczkę, pamiętaj, że nie rozmawiasz z fachowcem – zaprotestowała Cassy.

– Przepraszam. Ogólny wniosek jest taki, że może wracać do domu. A dalej rutynowo.

No wiesz: płyny, aspiryna, odpoczynek i nieco czulej opieki ukochanej.

– Co powinnam zrobić, żeby go wypisać?

– Nic. Już załatwiłem papierkową robotę. Teraz musimy go tylko przetransportować do samochodu. Chodź, pomogę ci.

Pitt uzyskał zgodę przełożonej pielęgniarek i opuścił swoje miejsce za biurkiem. Znalazł fotel na kółkach i ruszył korytarzem w stronę oddziału studenckiego.

– Myślisz, że fotel będzie potrzebny? – zapytała Cassy z obawą w głosie.

– Możemy go zabrać na wszelki wypadek. Nie czuł się pewnie na nogach, kiedy go przyprowadziłaś.

Podeszli do drzwi i Pitt cicho zapukał. Kiedy nie usłyszał żadnej odpowiedzi, uchylił je i zajrzał do środka.

– Tak jak myślałem. – Otworzył drzwi szeroko, aby wjechać fotelem. – Śpiąca Królowna ciągle się nie poruszyła.

Postawił fotel i podszedł za Cassy do łóżka. Stanęli po przeciwnych stronach.

– Nie mówiłem? – odezwał się Pitt. – Obraz spokoju. Dlaczego nie miałybyś go pocałować i sprawdzić, czy się nie zamieni w żabę?

– Powinniśmy go budzić? – zapytała Cassy, ignorując poczucie humoru Pitta.

– Jeśli tego nie zrobimy, możemy mieć trudności z przetransportowaniem go do domu.

– Wygląda tak łagodnie – zauważyła Cassy. – No i o niebo lepiej niż wcześniej.

Właściwie nabrał normalnych kolorów.

– Tak sędzę – zgodził się Pitt.

Cassy potrząsnęła lekko ramieniem przyjaciela i zawołała go półgłosem po imieniu. Gdy

nie odpowiedział, potrząsnęła mocniej.

Beau mrugnął powiekami. Patrzył to na nią, to na niego.

– Cześć, jak się macie? – zapytał.

– Myślę, że właściwe pytanie brzmi, jak ty się masz – poprawiła go Cassy.

– Ja? Ja świetnie. – Nagle omiół oczyma pokój. – Gdzie ja jestem?

– W centrum medycznym – odpowiedziała dziewczyna.

– A co tutaj robię?

– Nie pamiętasz? – Cassy znowu się zaniepokoiła.

Beau pokręcił głową. Gwałtownie odrzucił koc i spuścił nogi z łóżka.

– Nie pamiętasz, że zachorowałeś na zajęciach? Nie pamiętasz, jak cię tu przywiozłam?

– Och, tak – powiedział Beau. – Teraz sobie przypominam. Tak, pamiętam. Czułem się strasznie. – Popatrzył na Pitta. – Jezu, co wyście mi dali? Czuję się teraz jak nowo narodzony.

– Wygląda na to, że potrzebowałeś po prostu porządnej drzemki. Poza lekkim nawodnieniem organizmu nie zastosowaliśmy żadnego poważnego leczenia.

Beau wstał i przeciągnął się.

– Może powinienem częściej przychodzić na to nawadnianie – uznał. – Cóż za różnica.

Dla kogo ten wynalazek? – zapytał, spoglądając na fotel na kółkach.

– Dla ciebie, gdybyś czasami potrzebował. Cassy przyjechała, żeby zabrać cię do domu.

– Na pewno go nie potrzebuję – stwierdził Beau. Nagle zakaszłał i zrobił minę. – No cóż, gardło ciągle lekko boli, ale chodźmy już stąd. – Podeszedł do szafy i wyjął ubrania. Wszedł do łazienki i przymknął za sobą drzwi. – Cassy, możesz wyjąć z szafki mój portfel i zegarek?!

– zawołał zza drzwi.

Cassy podeszła do biurka i wybrała właściwą kombinację cyfr.

– Jeśli mnie nie potrzebujecie, wrócę do swojego biurka – odezwał się Pitt.

Cassy odwróciła głowę, wkładając jednocześnie rękę do szafki.

– Byłeś kochany – powiedziała i chwyciła jednocześnie portfel i zegarek. Wyjęła je i zatrzasnęła drzwiczki. Podeszła do Pitta i uścisnęła go. – Wielkie dzięki za pomoc.

– Zawsze do usług – odparł nieco onieśmielony Pitt. Spojrzał na czubki własnych butów, potem w okno. Cassy wprowadzała go w takie zakłopotanie.

Beau wyszedł z łazienki. Zapinał koszulę.

– Tak, dzięki stary – powiedział i klepnął Pitta po przyjacielsku w ramię. – Naprawdę doceniam, co zrobiłeś.

– Cieszę się, że czujesz się lepiej. Do zobaczenia. – Pitt złapał za fotel i wypchnął go z pokoju.

– W porządku facet – rzucił Beau.

Cassy przytaknęła.

– Będzie dobrym lekarzem. Jest troskliwy – przyznała.

## **Rozdział 4**

## Godzina 22.45

Charlie Arnold pracował w Uniwersyteckim Centrum Medycznym przez trzydzieści siedem lat bez przerwy, od siedemnastych urodzin, kiedy zdecydował się rzucić szkołę. Zaczął od koszenia trawników, przycinania drzew i pielienia kwiatowych rabat. Niestety, alergia wywoływana przez trawy zmusiła go do zmiany zajęcia. Ale że był wartościowym pracownikiem, zaoferowano mu pracę w szpitalu. Charlie przyjął propozycję z zadowoleniem. Szczególnie w gorące dni cieszył się, że nie musi pracować na dworze. Charlie lubił pracować samodzielnie. Kierownik dał mu listę pokoi do posprzątania i zostawił samego. Tego wieczoru dostał jeden pokój więcej – jeden z tych na oddziale studenckim. Tam było zawsze łatwiej niż w innych salach szpitalnych. W zwykłym pokoju nigdy nie wiedział, na co się natknie. Wszystko zależało od choroby ostatniego pacjenta. Czasami bywało naprawdę kiepsko.

Pogwizdując cicho, Charlie uchylił drzwi, wepchnął przed sobą wiadro i wciągnął wózek z przyborami i środkami do czyszczenia. Podparł się pod boki i rozejrzał po pokoju. Jak się spodziewał, wystarczyło przetarcie na mokro mopem i odkurzenie. Wszedł do łazienki i też rzucił okiem. Wyglądało, że nikt z niej nie korzystał.

Charlie zawsze zaczynał od łazienki. Włożył grube rękawice ochronne i wyszorował kabinę prysznicową, umywalkę i zdezynfekował sedes, potem wymył podłogę.

Wrócił do pokoju, zdjął pościel i wyczyścił materac. Odkurzył wszystkie płaskie powierzchnie, łącznie z parapetem. Zabierał się do wytarcia podłogi, gdy jego wzrok przyciągnęła jakaś poświata. Odwrócił się przodem do biurka i przyjrzał się szafce na wartościowe przedmioty. Chociaż rozum podpowiadał mu, że to niedorzeczne, szafka promieniowała, jakby w jej wnętrzu znajdowało się potężne źródło światła. Oczywiście to nie miało sensu, bo szafkę wykonano z metalu, więc nieważne, jak jasne byłoby światło – gdyby

się znajdowało w środku, i tak nie wydostałoby się na zewnątrz.

Charlie oparł szczotkę o krawędź wiadra i podszedł do biurka z zamiarem sprawdzenia szafki. Ale metr przed nim zatrzymał się. Poświata otaczająca szafkę rozjaśniła się. Zdało mu się nawet, że na twarzy odczuwa ciepło!

Pierwszą jego myślą było zwiewać z pokoju, lecz zawahał się. To było zaskakujące i nieco przerażające widowisko, ale z drugiej strony niezwykle ciekawe.

Niespodziewanie, ku wielkiemu zaskoczeniu Charliego, z boku szafki trysnęły iskry, którym towarzyszyło syczenie jak przy spawaniu elektrycznym. Charlie instynktownie uniósł ręce, chroniąc twarz przed iskrami, ale one zniknęły niemal w tej samej chwili, w której się pojawiły. Z miejsca iskrzenia wyostał się świecący na czerwono przedmiot nieco większy od srebrnej jednodolarówki. Wypalił sobie drogę z szafki, zostawiając za sobą smugę dymu.

Kompletnie ogłupiony tym zjawiskiem Charlie nie mógł się ruszyć. Wirujący dysk powoli szybował w stronę okna, mijając ramię mężczyzny najwyżej o trzydzieści centymetrów. Przy oknie zawisł, jakby był punktem na odległym niebie. Nagle jego kolor zmienił się z czerwonego na gorący biały i wokół niego pojawiła się aureola przypominająca wąskie halo.

Ciekawość kazała Charliemu podejść bliżej do tajemniczego przedmiotu. Wiedział, że nikt mu nie uwierzy, kiedy zacznie opowiadać. Wyciągnął przed siebie rękę z dłonią skierowaną w dół i machnął nad przedmiotem i pod nim, aby sprawdzić, czy nie ma drutu albo jakiejś struny. Nie potrafił zrozumieć, jak to może wisieć w powietrzu.

Wyczuwając jego ciepło, Charlie złożył ręce i powoli zbliżał je coraz bardziej do przedmiotu. Ciepło wywołało mrowienie skóry. Kiedy dłonie znalazły się w zasięgu aureoli, mrowienie się wzmocniło.

Obiekt ignorował Charliego do chwili, w której ten zasłonił mu widok nocnego nieba. W

tym momencie dysk ruszył w bok i zanim Charlie zdołał zareagować, błyskawicznie i z

olbrzymią siłą przebił się przez dłoń nieszczęśnika, wypalając w niej dziurę! Skóra, kości, ścięgna, nerwy i naczynia krwionośne, wszystko wyparowało.

Charlie krzyknął bardziej z zaskoczenia niż z bólu. To się stało tak szybko. Cofał się, gapiąc się z niedowierzaniem na swoją dziurawą rękę i czując swąd spalonego ciała. Wysoka temperatura zamknęła naczynia krwionośne i nie wystąpiło krwawienie. W następnej sekundzie aureola wokół obiektu eksplodowała i jej średnica powiększyła się do trzydziestu centymetrów.

Charlie nie zdążył zareagować. Dał się słyszeć wizg, który rósł, aż stał się ogłuszający. W tej samej chwili jakaś siła pchnęła mężczyznę w stronę okna. Oszalały ze strachu, zdołał złapać zdrową ręką za łóżko, gdy coś oderwało go od podłogi. Zaciskając zęby, zdołał utrzymać się łóżka, wisząc w powietrzu. Jednak łóżko także zaczęło się przesuwać. Wściekły dźwięk i ruch trwały tylko kilka sekund, zanim zmieniły się w hałas przypominający odgłos wielkiego odkurzacza.

Charlie spadł na łóżko. Starał się stanąć na nogach, ale mięśnie miał jak z gumy.

Wiedział, że stało się coś strasznego, i spróbował zawołać o pomoc, lecz głos miał słaby, a poza tym ślinił się tak obficie, że wymówienie słowa stało się niemal niemożliwe. Przekreślił się, wyężając resztkę sił, i zaczął się czołgać w stronę drzwi. Lecz wysiłek okazał się próżny. Kiedy przesunął się ledwie o kilkadziesiąt centymetrów, zaczął odczuwać nudności. Chwilę później nastąpiła ciemność, a ciałem Charliego wstrząsnęła seria gwałtownych, śmiertelnych drgawek.

## **Rozdział 5**

## Godzina 2.10

Jak na mieszkanie studenckie, lokum było względnie luksusowe i przestronne, a że znajdowało się na piętrze, można powiedzieć, że z okna roztaczał się nawet przyjemny widok. Rodzice i Cassy, i Beau pragnęli, aby ich dzieci mieszkaly w przyzwoitym sąsiedztwie, kiedy zdecydowały się wyprowadzić ze swoich akademików. Jednym z powodów, dla których potrzebowali tak dużego mieszkania, było to, że oboje mieli olbrzymie zbiory akademickich podręczników i pomocy.

Cassy i Beau znaleźli mieszkanie osiem miesięcy temu i wspólnie je wymalowali oraz umeblowali. Meble pochodziły przeważnie z garażowej wyprzedaży i musieli je pomalować i odnowić. Na zasłony w oknach zostały przerobione prześcieradła.

Sypialnia wychodziła na wschód, co czasami sprawiało kłopoty z powodu ostrego porannego słońca. Nie nadawała się do długiego wylegiwania się w łóżku. Ale teraz, nieco po drugiej w nocy, było ciemno. Światło z ulicznych latarni oświetlających parking wpadało pod kątem przez okna i ledwo rozpraszało nocny mrok pokoju.

Cassy i Beau spali głęboko, Cassy na boku, a Beau na plecach. Jak zwykle Cassy co jakiś czas zmieniała pozycję, leżąc raz na jednym boku, raz na drugim. Beau wręcz przeciwnie – w ogóle się nie ruszał. Spał bez ruchu, tak samo jak po południu w szpitalu.

Dokładnie o drugiej dziesięć zamknięte oczy Beau zaczęły świecić tak samo jak fosforyzująca tarcza przeraźliwie dzwoniącego co rano budzika, który Cassy odziedziczyła po babci. Przez kilka minut intensywność świecenia wzmagala się, potem powieki raptownie się uniosły. Obie źrenice były tak rozszerzone jak poprzednio w szpitalu prawa i oboje oczu błyszczało, jakby same w sobie były źródłem światła.

Kiedy światło osiągnęło największe nasilenie, oczy zaczęły przygasać, aż źrenice zrobiły się naturalnie czarne. Następnie tęczówki wróciły do zwyczajnej wielkości. Po kilku

mrugnięciach Beau uświadomił sobie, że nie śpi.

Powoli usiadł na łóżku. Podobnie jak po przebudzeniu w szpitalu w pierwszej chwili był zdezorientowany. Rozglądając się po pokoju, szybko układał wszystkie kawałeczki w całość. Podniósł ręce i sprawdzał je, zginając i prostując palce. Czuł je jakoś inaczej, ale nie potrafił wyjaśnić jak. Prawdę powiedziawszy, całe ciało czuł inaczej, jednak w niewytłumaczalny sposób.

Dotknął Cassy i delikatnie nią potrząsnął. W odpowiedzi przewróciła się na wznak.

Sennymi oczami spojrzała na Beau. Kiedy zorientowała się, że siedzi, natychmiast zrobiła to samo.

– Co się stało? – zapytała ochryłym głosem. – Dobrze się czujesz?

– Dobrze – odpowiedział Beau. – Świetnie.

– Kaszel?

– Na razie nie. Z gardłem też w porządku.

– Dlaczego mnie obudziłeś? Mogę ci jakoś pomóc?

– Nie, dziękuję. Pomyślałem, że zechcesz coś zobaczyć. Chodź. – Beau wyszedł z łóżka, obszedł je i stanął po stronie Cassy. Ujął jej dłoń i pomógł wstać.

– Musisz mi to teraz pokazać? – zapytała Cassy i spojrzała na zegarek.

– Właśnie teraz – przytaknął. Poprowadził ją przez pokój dzienny na balkon. Kiedy zaprosił ją gestem do wyjścia na zewnątrz, zawahała się.

– Nie mogę wyjść. Jestem naga.

– Chodź. Nikt nas nie zobaczy. To potrwa tylko chwilę, a jeśli nie wyjdziemy teraz, przepadnie.

Cassy mocowała się z sobą. W półmroku nie mogła dostrzec wyrazu twarzy przyjaciela, ale głos brzmiał szczerze. Pojawiła się myśl, że to może jakiś kawał.



– Lepiej, żeby to było interesujące – ostrzegła, wychodząc na balkon.

Nocne powietrze przesycał normalny o tej porze chłód i Cassy objęła się rękoma. Mimo to błyskawicznie dostała gęsiej skórki.

Beau stanął za nią i objąłszy dziewczynę ramieniem, starał się pomóc jej opanować dreszcze. Stali przy balustradzie wychodzącej na szeroki przestwór czystego, bezchmurnego i bezksiężycowego nocnego nieba.

– Dobra, to czego powinnam się spodziewać? – zapytała.

Beau wskazał palcem w górę, w stronę północnego nieba.

– Popatrz na Plejady w gwiazdozbiornie Byka.

– Co to, lekcja astronomii? Jest druga dziesiąta w nocy. A poza tym od kiedy znasz się na konstelacjach?

– Patrz! – rozkazał Beau.

– Patrę, ale co mam zobaczyć?

W tej chwili pojawił się deszcz meteorów z nadzwyczajnie długimi ogonami, wszystkie wystrzeliły z tego samego punktu na niebie, zupełnie jak gigantyczny fajerwerk.

– Mój Boże! – krzyknęła Cassy. Wstrzymała oddech, aż do chwili, gdy deszcz spadających gwiazd zniknął. Przedstawienie było tak imponujące, że natychmiast zapomniała o chłodzie. – Nigdy nie widziałam czegoś podobnego! To było piękne. To właśnie nazywają deszczem meteorów?

– Tak sądzę – odpowiedział Beau.

– Będzie ich więcej? – zapytała Cassy, ciągle wpatrując się w odległy punkt, w którym wszystko się zaczęło.

– Nie, to koniec – stwierdził Beau. Pozwolił Cassy wejść do mieszkania i sam ruszył za nią. Zamknął drzwi.

Cassy biegiem wróciła do łóżka i zanurzyła się w pościeli. Kiedy zjawił się Beau, nakryta była po brodę i trzęsła się. Rozkazała mu wejść pod koc i ogrzać ją.

– Z przyjemnością – odpowiedział.

Przytulali się do siebie, aż dreszcze Cassy ustąpiły. Odchyliła głowę od szyi Beau, w którą się wtulała, i spojrzała mu w oczy. Niestety nie dostrzegła ich w mroku.

– Dzięki, że mnie zabrałeś na pokaz spadających meteorów. Najpierw myślałam, że robisz sobie żarty. Ale mam pytanie. Skąd wiedziałeś, że coś takiego się zdarzy?

– Nie pamiętam. Chyba gdzieś o tym słyszałem.

– Może czytałeś w gazecie? – zasugerowała Cassy.

– Raczej nie – odparł i podrapał się w głowę. – Naprawdę nie pamiętam.

Cassy wzruszyła ramionami.

– To zresztą nieważne. Ważne, że to widzieliśmy. Jak się obudziłeś?

– Nie wiem.

Cassy odsunęła się i zapaliła nocną lampkę. Uważnie przyjrzała się twarzy Beau.

Uśmiechnął się pod badawczym spojrzeniem.

– Jesteś pewny, że się dobrze czujesz? – zapytała.

Beau uśmiechał się.

– Tak, jestem pewny. Czuję się znakomicie.

## **Rozdział 6**

## Godzina 6.45

To był jeden z tych bezchmurnych, krystalicznych poranków z powietrzem tak świeżym, że niemal można było czuć w ustach jego smak. Najodleglejsze góry jawiły się oczom z szokującą wyrazistością. Zwykle sucha ziemia pokryta była zimną warstwą rosy iskrzącej się niczym rozsypane diamenty.

Beau stał przez chwilę, przyglądając się otoczeniu. Zupełnie jakby widział to pierwszy raz w życiu. Nie potrafił uwierzyć w ostrość barw odległych wzgórz i zastanawiał się, dlaczego nie cieszył się tym widokiem wcześniej.

Ubrany był starannie w koszulę z oksfordu, džinsy, wsuwane mokasyny włożone na bosc nogi. Odchrząknął. Kaszel całkiem mu przeszedł, bólu gardła też nie odczuwał przy przełykaniu.

Wyszedł z budynku, w którym mieszkał, i przejściem dla pieszych przeszedł przez jezdnię i dalej na tyły parkingu. W żwirze, którym wysypana była ta część placu, znalazł, czego szukał. Trzy czarne „minirzeźby”, identyczne jak ta znaleziona przed restauracją.

Wygrzebał je, oczyścił i włożył do oddzielnych kieszeni.

Po wypełnieniu misji odwrócił się i poszedł do mieszkania.

Budzik zadzwonił tuż przy głowie Cassy. Zegarek stał po jej stronie łóżka, ponieważ

Beau miał brzydki zwyczaj wyłączania go tak szybko, że właściwie żadne z nich nie zdążyło się dobrze obudzić.

Ręka Cassy wysunęła się spod koca i wyłączyła budzik. Dzwonienie ustało na dziesięć cudownych minut. Przewróciła się na plecy i wyciągnęła rękę w stronę Beau, żeby dać mu lekkiego kuksańca, pierwszego z wielu. Beau nie należał do rannych ptaszków.

Poszukująca partnera ręka Cassy trafiła na pustkę, na zimne prześcieradło. Otworzyła oczy, by spojrzeć na Beau, ale nie było go tam, gdzie się go spodziewała!

Zaskoczona tym nieoczekiwanym rozwojem wypadków, Cassy usiadła, próbując usłyszeć jakieś odgłosy z łazienki. W domu panowała cisza. Beau nigdy nie wstawał wcześniej od niej. Nagle ze strachem pomyślała, że nastąpił nawrót choroby.

Włożyła szlafrok i weszła do pokoju dziennego. Miała już go zawołać, gdy zauważyła Beau pochylonego nad akwarium. Przyglądał się uważnie rybkom. Był tak pochłonięty, że nie usłyszał jej. Patrzyła, jak przyłożył palec wskazujący do szyby. Palec jakoś skupił na sobie fluorescencyjne światło akwarium, w efekcie czego koniuszek palca zaczął sam świecić.

Zahipnotyzowana tą sceną Cassy stała nieruchomo, przyglądając się wydarzeniom.

Wkrótce do miejsca, w którym palec Beau dotykał szyby, przyplłynęły wszystkie rybki. Gdy przesunął palec w bok, rybki posłusznie popłynęły za nim.

– Jak ty to robisz? – zapytała Cassy.

Zaskoczony obecnością dziewczyny, Beau wyprostował się i opuścił rękę. W tym samym momencie rybki rozpierzchły się w różne strony akwarium.

– Nie słyszałem, jak wchodziłaś do pokoju – powiedział Beau z miłym uśmiechem na twarzy.

– Najwyraźniej – przytaknęła Cassy. – Co zrobiłeś, żeby tak przyciągnąć rybki?

– Żebym to, kurczę, wiedział. Może sądziły, że będę je karmił. – Podszedł do Cassy i położył ręce na jej ramionach. Jego uśmiech był promienny. – Wyglądasz cudownie.

– O tak, na pewno – odparła drwiącym tonem. Rozczochrała palcami włosy i następnie przyglądała je. – No, teraz jestem gotowa na wybory Miss Ameryki. – Podniosła wzrok i spojrzała w oczy Beau. Były wyjątkowo błękitne, a białka bielsze niż kiedykolwiek. – To ty wyglądasz cudownie – powiedziała Cassy.

– Czuję się cudownie – wyznał Beau i pochylił się, aby pocałować dziewczynę w usta, ale ona wymknęła się pod jego ramieniem.

– Wolnego! – zawołała. – Ten piękny zawodnik musi jeszcze umyć zęby. Nie chciałabym zostać pokonana porannym oddechem.

– Nic z tego – odpowiedział i obdarzył ją wspaniałym uśmiechem.

Cassy przechyliła głowę.

– Wydajesz się dzisiaj szczególnie wesoły – zauważyła.

– Jak już powiedziałem, czuję się znakomicie.

– Bez wątpienia grypa miała błyskawiczny przebieg. Powiedziałabym, że to wyjątkowe ozdrowienie.

– Chyba powinienem ci podziękować za zabranie mnie do szpitala. To tam sprawy przybrały dobry obrót.

– Ale lekarz i siostry niczego nie zrobili. Sami to przyznali.

Beau wzruszył ramionami.

– No to w takim razie miałem nową odmianę błyskawicznej grypy. Nie zamierzam narzekać z powodu szybkiego wyzdrowienia.

– Ani ja – powiedziała Cassy i skierowała się do łazienki. – Wezmę prysznic, a ty może zaparzyłbyś kawę.

– Kawa już zrobiona. Przyniosę ci filiżankę.

– Czyż nie jesteśmy zgrani?! – zawołała, przechodząc przez sypialnię.

– Po prostu obsługa jak w każdym pięciogwiazdkowym hotelu – odpowiedział Beau.

Cassy nie mogła wyjść z podziwu nad tą cudownie szybką zmianą. Gdy przypomniała sobie, jak wyglądał, gdy wsiadała do samochodu przed szkołą, nigdy by się jej nie spodziewała. Odkręciła prysznic i sprawdziła temperaturę. Kiedy już była w sam raz, Cassy weszła pod wodę. Zaczęła od włosów. Myła je codziennie.

Gdy głowę miała całą w pianie, usłyszała pukanie do drzwi kabiny. Bez otwierania oczu

poprosiła Beau, żeby postawił kubek z kawą na umywalce.

Włożyła głowę pod strumień wody i zaczęła ją splukiwać. Następną rzeczą, którą sobie uświadomiła, była obecność Beau pod prysznicem. Otworzyła oczy z niedowierzaniem. Beau stał przed nią całkowicie ubrany. Nie zdjął nawet mokasynów.

– Co ty, na Boga, wyrabiasz? – rzuciła zaskoczona. Nie mogła powstrzymać śmiechu. To było tak niespodziewane, błazeńskie zachowanie jak na niego.

Beau nic nie powiedział. Zamiast tego gwałtownie przyciągnął nagie ciało Cassy, przycisnął do niej usta i obdarzył ją głębokim, namiętym, zmysłowym pocałunkiem.

Cassy udało się wreszcie złapać nieco powietrza. Śmiała się, gdy uprzytomniła sobie, co robią. Beau także się śmiał, gdy woda zlewała mu głowę, a włosy spływały na czoło.

– Jesteś szalony – stwierdziła Cassy. Włosy miała ciągle w pianie.

– Szalony na twoim punkcie, dokładniej mówiąc – poprawił Beau. Zaczął rozpinąć pasek.

Cassy pomogła mu odpiąć guziki przemoczonej koszuli i następnie zdjąć ją z jego muskularnych ramion. Sytuacja mogła być uznana za niekonwencjonalną, szczególnie dla zazwyczaj schludnego i opanowanego Beau, ale Cassy odebrała to jako wyjątkowo podniecające. Było tak cudownie spontaniczne, a pożądanie partnera dodawało pikanterii.

Później, w czasie miłosnego uniesienia, Cassy zaczęła doceniać coś jeszcze. Nie tylko kochali się w niecodziennych okolicznościach, ale także w nietypowy sposób. Beau dotykał ją inaczej. Nie potrafiła wyjaśnić, na czym polegała ta różnica, ale to było cudowne, bardzo jej się podobało. W jakiś sposób Beau był bardziej łagodny i czuły niż zwykle, nawet w samym epicentrum miłosnego żaru.

Pitt wyciągnął ręce nad głową i przeciągnął się. Spojrzał na zegarek na biurku. Była prawie siódma trzydzieści i jego dwudziestoczwierogodzinna zmiana dobiegała końca.

Rozmarzył się, jak to będzie cudownie złożyć swoje zmęczone ciało w pościeli. Myśl o

wypoczynku nasunęła pytanie o to, jak muszą się czuć lekarze rezydenci, dla których normalką są zmiany trzydziestosześciogodzinne.

– Powinieneś pójść do pokoju, w którym znaleźli tego biedaka od sprzątanania – powiedziała Cheryl Watkins, pielęgniarka, która niedawno objęła dyżur.

– Dlaczego? – spytał Pitt.

Pamiętał pacjenta bardzo dobrze. Został przyniesiony do izby przyjęć nieco po północy przez kogoś z działu administracyjnego. Lekarze z dyżuru zaczęli resuscytację, ale szybko przerwali zabiegi, uświadomiwszy sobie, że temperatura ciała jest taka sama jak temperatura w pomieszczeniu.

Łatwo było więc stwierdzić zgon, trudniej natomiast określić, co go zabiło, poza oczywistym atakiem serca, który go również dosięgnął. W dłoni miał straszną, nie krwawiącą dziurę, którą jeden z lekarzy uznał za efekt działania prądu elektrycznego. Jednak w pobliżu zwłok nie było żadnego źródła wysokiego napięcia.

Inny lekarz stwierdził u denata skupioną kataraktę. Było to dziwne, ponieważ nie stwierdzono katarakty w czasie dorocznych badań lekarskich, a jego kolega z pracy nie potwierdził, by zmarły miewał jakieś kłopoty z oczami. To sugerowało, że mężczyzna zapadł na chorobę nagle, co wprowadziło w zakłopotanie lekarzy. Nigdy nie słyszeli o takim działaniu elektryczności, nawet przy potężnym wyładowaniu.

Tajemnicza przyczyna śmierci prowadziła do spekulacji, nawet zakładów. Jediną pewną rzeczą było to, że nikt nie wiedział nic pewnego i ciało zostało wysłane do patologa na sekcję.

– Nie powiem ci, dlaczego powinieneś zobaczyć ten pokój. Dlatego że jak ci powiem, to stwierdzisz, iż sobie z siebie żartuję. Wystarczy stwierdzić, iż to tajemnicze.

– Daj przykład – powiedział Pitt. Był tak zmęczony, że pomysł wyprawy na drugi koniec szpitala nie napawał go entuzjazmem, chyba że chodziło o coś rzeczywiście wyjątkowego.

– Musisz to zobaczyć sam – z uporem powtórzyła Cheryl, zanim ruszyła na odprawę.

Pitt stukał ołówkiem w czoło i zastanawiał się. Sprawa okoliczności śmierci zaintrygowała go. Zapytał oddalającą się Cheryl, gdzie jest ten pokój.

– Na oddziale studenckim! – zawołała, nie odwracając głowy. – Trudno przeoczyć, bo kłębi się tam mnóstwo ludzi ciekawych, co się mogło wydarzyć.

Ciekawość pokonała zmęczenie Pitta. Skoro kręci się tam tak wiele osób, to może powinien się nieco wysilić. Dźwignął się z krzesła i powlókł korytarzem swe zmęczone ciało. Koniec końców oddział studencki nie był tak daleko jak inne. Po drodze doszedł do wniosku, że jeżeli było to naprawdę coś niezwykłego, to może Cassy i Beau też coś o tym słyszeli, skoro byli tam poprzedniego wieczoru.

Gdy minął ostatni zakręt prowadzący na oddział, dostrzegł tłumek ludzi. Kiedy podszedł bliżej, jego ciekawość wzrosła, ponieważ cokolwiek by to było, wydarzyło się w tym samym pokoju, który wcześniej zajmował Beau.

– Co się dzieje? – zapytał szeptem jedną z koleżanek z grupy, która także pracowała w szpitalu według specjalnego programu dla studentów. Nazywała się Carol Grossman.

– Ty mi powiedz – odparła Carol. – Kiedy to zobaczyłam, zasugerowałam, że może Salvador Dali zatrzymał się tu na chwilę, ale nikogo nie rozbawiłam.

Pitt posłał jej zagadkowe spojrzenie, ale nie zareagowała. Ruszył przed siebie. Było tak wiele osób, że musiał się dosłownie rozpychać łokciami. Niestety, był zbyt energiczny w swych staraniach i potrafił lekarce, tak że wylał jej kawę z kubka. Kiedy odwróciła się zła w jego stronę, Pitt wstrzymał oddech. Z całego szpitalnego personelu to musiała być właśnie doktor Sheila Miller!

– Cholera! – sapnęła ze złością, ścierając kawę z grzbietu dłoni. Była w długim lekarskim fartuchu. Kilka świeżych plam zdołało mankiet prawego rękawa.



– Okropnie mi przykro – wyjąkał Pitt.

Sheila uniosła na niego swe zielone oczy. Wyglądała wyjątkowo surowo z blond włosami zaczesanymi w zwarty kok. Policzki płonęły jej z poirytowania.

– Pan Henderson! – wycedziła przez zęby. – W Bogu pokładam nadzieję, że nie zamierza się pan ubiegać o specjalizację wymagającą doskonałej koordynacji ruchów, jak na przykład chirurgia.

– To był przypadek – usprawiedliwiał się Pitt.

– Tak, to właśnie ludzie mówią o pierwszej wojnie światowej. A proszę pamiętać o konsekwencjach! Jest pan pracownikiem w izbie przyjęć. Co pan tu robi, torując sobie siłą drogę?

Umysł Pitta pracował jak szalony w poszukiwaniu jakiegoś sensownego wytłumaczenia, innego niż zwykła ciekawość. Równocześnie jego oczy lustrowały pokój w nadziei, że zobaczy coś, co podsunie mu wyjście z trudnej sytuacji. Zamiast tego widok wprowadził go w osłupienie.

Pierwsze, co zauważył, to kształt czoła łóżka – wykrzywiony, jakby został rozgrzany do temperatury topnienia metalu i pociągnięty w stronę okna. Nocny stolik wyglądał tak samo. Właściwie większość mebli i wyposażenia wyglądała tak samo; jak gdyby wykonano je z plasteliny. Szyby w oknie tymczasem wyglądały na stopione, a szkło uformowało się w szklane stalaktyty zwisające z ramy.

– Rany boskie, co tu się stało? – zapytał Pitt.

Sheila powiedziała przez ciągle zaciśnięte zęby:

– Poszukiwanie odpowiedzi na to pytanie jest powodem, dla którego znaleźli się tu specjaliści. Proszę wracać do izby!

– Właśnie zamierzałem to zrobić – odpowiedział pospiesznie Pitt.

Rzucił jeszcze jedno szybkie spojrzenie na przedziwną transformację, która dokonała się w pokoju, i wycofał się przez tłum gapiów. Nie mógł się powstrzymać od domysłów, jak oblanie Smoczej Lady wpłynie na jego karierę.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała Sheila. Rozmawiała z detektywem porucznikiem Jessem Kemperem i jego partnerem Vince’em Garbonem.

– Nie ma sprawy – odparł Jesse. – I tak niewiele zdołałem z tego zrozumieć. Sądzę, że to niezwykła sytuacja, ale chyba nie doszło tu do żadnego przestępstwa. Reakcja moich wnętrzności podpowiada mi, że to nie było zabójstwo. Może jacyś naukowcy stąd powinni nam powiedzieć, czy mógł przez okno wlecieć piorun.

– Ale przecież nie mieliśmy burzy – przypomniała Sheila.

– Wiem – przytaknął filozoficznym tonem Jesse i rozłożył bezradnie ręce. – Ale mówiła pani, że wasi inżynierowie wykluczyli stacjonarną sieć energetyczną. Tymczasem bez wątpienia wygląda na to, że facet został porażony prądem, więc może był to piorun.

– Nie kupuję tego – upierała się Sheila. – Nie jestem patologiem sądowym, ale o ile pamiętam, kiedy piorun uderza w człowieka, nie robi w nim dziury. Ucieka w ziemię, zwykle wychodzi stopą, czasami nawet niszczy obuwie. Nigdzie tu nie ma takich śladów. Bardziej przypomina to laser o potężnej mocy.

– Ha, o to chodzi! – zawołał Jesse. – Nie pomyślałem o tym. Macie w szpitalu lasery? Może ktoś strzelił przez okno?

– Oczywiście, że mamy w szpitalu lasery – przyznała Sheila. – Jednak żaden z nich nie mógł zrobić takiego otworu, jaki widzieliśmy w dłoni pana Arnolda. Poza tym trudno mi sobie wyobrazić, aby laser mógł być odpowiedzialny za deformacje mebli w pokoju.

– No dobra, dalej to już nie moja liga – uznał Jesse. – Jeżeli autopsja stwierdzi, że mamy ofiarę i że chodzi o morderstwo, wejdę w to. W przeciwnym razie myślę, że musicie zaprosić

tu kilku miłych naukowców.

– Zadzwoniliśmy już na wydział fizyki uniwersytetu – poinformowała Sheila.

– Moim zdaniem to najlepszy pomysł – zgodził się Jesse. – Tu jest moja wizytówka. –

Podszedł do Sheili i wręczył jej kartonik. Dał wizytówkę także Richardowi Halprinowi, dyrektorowi Uniwersyteckiego Centrum Medycznego i Wayne’owi Martinezowi, szefowi szpitalnej ochrony. – Proszę dzwonić o każdej porze. Jestem zainteresowany sprawą, naprawdę. To były dwie dziwne nocki. Wydarzyło się więcej nie wyjaśnionych spraw niż przez ostatnie trzydzieści lat, od kiedy służę w policji. Czy to pełnia, czy co?

Na samym końcu przedstawienia muzyka przeszła w crescendo i po finałowym uderzeniu w talerze pod kopułą planetarium zapanowała ciemność. Nagle zapaliły się główne światła.

Widownia wybuchnęła gromkimi brawami, niektórzy wyrażali aplauz gwizdami, inni okrzykami. Większość miejsc zajmowali uczniowie z podstawówki będący tu na wycieczce przedmiotowej. Oprócz nauczycieli i opiekunów jedynymi dorosłymi byli Cassy i Beau.

– To było naprawdę zabawne – uznała Cassy. – Zapomniałam, jak wyglądają pokazy w planetarium. Ostatni raz byłam tu w czwartej klasie z naszą wychowawczynią, panną Korth.

– Też mi się podobało – Beau przyznał z entuzjazmem. – To fascynujące przyglądać się Galaktyce z ziemskiego punktu widzenia.

Cassy zamrugała i spojrzała uważnie na przyjaciela. Przez cały ranek wykazywał skłonność do podobnych dziwactw.

– Chodź – powiedział Beau, nie zwracając uwagi na lekkie zakłopotanie Cassy. Wstał z fotela. – Spróbujmy wydostać się stąd przed tymi rozwrzeszczanymi dziećmi.

Idąc obok siebie, wyszli z planetarium na szeroki trawnik oddzielający je od muzeum historii naturalnej. U sprzedawcy z wózkiem kupili po hot dogu z chili i cebulą. Usiedli na ławce w cieniu wielkiego drzewa i zabrali się do lunchu.

– Zapomniałam już także, jak fajnie jest pójść na węgry – odezwała się Cassy między dwoma kęsami hot doga. – Szczęśliwie nie miałam na dzisiaj w planie prowadzenia lekcji.

Opuścić zajęcia to jedno, a nie przyjść na lekcję, którą się miało poprowadzić, to jednak coś innego. Nie mogłabym wtedy przyjść tu z tobą.

– Cieszę się, że się udało.

– Byłam zaskoczona, kiedy to zaproponowałeś. Czy to nie pierwszy raz urwałeś się z zajęć?

– Tak – przyznał Beau.

Cassy roześmiała się.

– Jak to jest być nowym Beau? Najpierw zamieniasz się w seksualne zwierzę i wskakujesz pod prysznic w ubraniu, a teraz uciekasz z trzech wykładów. Ale nie zrozum mnie źle, nie narzekam.

– To wszystko twoja wina – powiedział Beau. Odłożył hot doga, przyciągnął Cassy do siebie i objął ją w namiętym uścisku. – Nie można ci się oprzeć. – Spróbował ją pocałować, lecz Cassy uniosła rękę i powstrzymała go.

– Poczekaj sekundę – powiedziała ze śmiechem. – Cała jestem wysmarowana chili.

– To tylko doda smaku – zażartował.

Cassy wytarła usta serwetką.

– Co w ciebie wstąpiło?

Beau nie odpowiedział. Zamiast tego obdarował ją długim, cudownym pocałunkiem. Tak jak pod prysznicem impulsywność jego zachowania była dla niej kolejnym znaczącym dowodem przemiany.

– Rety, jakieś czary przemieniły cię w światowej klasy casanowę – powiedziała Cassy, gdy znowu mogła swobodnie się oprzeć, nabrać powietrza w płuca i w ogóle zebrać w sobie.

Fakt, że tak łatwo można ją było omotać w publicznym miejscu w środku dnia, zaskoczył ją.

Beau, zadowolony, wrócił do hot doga. Przeżuwając, uniósł dłoń i osłonił się od promieni słonecznych, ale równocześnie spoglądał w stronę Słońca.

– Mówili, że jak daleko Ziemia jest od Słońca? – zapytał.

– Jezu, nie wiem. – Po doświadczeniu tak poruszającym zmysły trudno jej było nagle zmienić temat, i to na tak specyficzny jak kosmiczne odległości. – Dziewięćdziesiąt-coś-tam milionów mil.

– Och, tak – przypomniał sobie. – Dziewięćdziesiąt trzy. To znaczy, że promień światła po wybuchu słonecznym potrzebuje trochę ponad osiem minut, żeby dotrzeć do nas.

– Słucham? – spytała Cassy. To było kolejne z jego dziwnych zachowań. Nie miała nawet pojęcia, co to jest taki wybuch słoneczny.

– Spójrz – ciągnął podniecony Beau, wskazując w górę na zachód. – Widać księżyc, chociaż jest dzień.

Cassy osłoniła dłonią oczy i spojrzała w kierunku, w którym pokazywał. Rzeczywiście mogła dostrzec blady zarys księżyca. Popatrzyła na Beau. Był z siebie wielce zadowolony, cieszył się zupełnie jak dziecko. Jego entuzjazm był zaraźliwy i nie potrafiła się powstrzymać od takiej samej radości.

– Co spowodowało, że chciałeś dziś pójść do planetarium? – zapytała po chwili.

Wzruszył ramionami.

– Czyste zainteresowanie. Szansa na dowiedzenie się czegoś nowego o naszej pięknej planecie. Chodźmy teraz do muzeum. Pasuje?

– Czemu nie?! – zawołała Cassy.

Jonathan wyszedł z lunchem na zewnątrz. W taki dzień nie zamierzał dusić się w zatłoczonej stołówce, szczególnie że nie widział tam Candee. Minął maszt flagowy stojący na

środku placu i skierował się na obrzeże boiska baseballowego. Wiedział, że to jedno z ulubionych miejsc Candee, w których chroniła się przed tłumem. Gdy zbliżał się do celu, zobaczył, że wysiłki będą nagrodzone. Candee siedziała w najwyższym rzędzie widowni. Pomachali sobie i Jonathan ruszył w górę. Wiał lekki wiaterek, który podwiał rąbek spódnicy Candee, kusząc widokiem jej ud. Jonathan próbował ukryć fakt, że się przygląda.

– Cześć! – zawołała Candee.

– Cześć – odpowiedział. Usiadł przy niej i wyciągnął jedną ze swoich kanapek z masłem orzechowym i bananem.

– Uch – zareagowała dziewczyna. – Jak ty możesz jeść to świństwo.

Jonathan przyjrzał się uważnie kanapce, zanim ją ugryzł.

– Smakuje mi – odparł.

– Co Tim powiedział o radiu? – zapytała.

– Ciągłe jest wściekły. Ale przynajmniej nie uważa już, że to była moja wina. To samo przydarzyło się koledze jego brata.

– Będziemy mogli jeszcze pożyczyć samochód?

– Obawiam się, że nie – stwierdził Jonathan.

– To co zrobimy?

– Nie wiem. Cholera, żeby moi starzy nie byli tacy sztywni w sprawie naszego samochodu. Traktują mnie jak dwunastolatka. Wolno mi sięść za kierownicą, tylko kiedy są w pobliżu.

– Twoi przynajmniej pozwolili ci zrobić prawo jazdy, moi każą mi czekać do skończenia osiemnastu lat – narzekała Candee.

– To istny kryminał. Jakby spróbowali tak ze mną, zwałbym. Ale ile jest warte prawo jazdy bez czterech kółek? Wkurza mnie, że nie chcą mi bardziej zaufać. Przecież mam swój

rozum. Mam dobre oceny, nie biorę narkotyków.

Candee wywróciła oczami.

– Przecież nie można trawki uznać za narkotyk – stwierdził Jonathan. – Poza tym ile razy to się zdarzyło: dwa!

– Patrz – powiedziała Candee. Wskazała na podjazd, gdzie wozy dostawcze przywożą towar dla szkoły, około dwudziestu metrów od nich. To było przy podjeździe za końcową linią boiska do baseballu.

– Czy to nie pan Partridge ze szkolną pielęgniarką? – zapytała Candee.

– Jasne, że on – potwierdził Jonathan. – Nie wygląda najlepiej. Patrz, jak panna Golden go podtrzymuje. Słysząc, jak ta stara pierdoła kaszle.

W tej sekundzie zza budynku wynurzył się lincoln town car i zbliżył się do podjazdu. Za kierownicą Candee i Jonathan rozpoznali panią Partridge, którą dzieciaki w szkole nazywały Miss Piggy. Pani Partridge zdawała się kaszleć tak samo jak jej mąż.

– Niezła para – skomentował Jonathan.

Candee i Jonathan obserwowali, jak panna Golden z wysiłkiem sprowadza zgiętego wpół dyrektora na dół do podjazdu i pomaga mu wsiąść do samochodu. Pani Partridge nie wysiadła nawet z auta.

– Wygląda na wściekle chorego – odezwała się Candee.

– Miss Piggy wygląda jeszcze gorzej – dodał Jonathan.

Samochód wycofał się, zawrócił i przyspieszając, opuścił podjazd. W połowie drogi lekko otarł się o murek. Zgrzyt wywołał u Jonathana uśmiech.

– Mała robótka dla lakiernika – skomentował.

– Na miłość boską, co ty tu robisz? – zapytała Cheryl Watkins. Siedziała za biurkiem w

izbie przyjęć, kiedy przez wahadłowe drzwi wszedł do środka Pitt Henderson. Wyglądał na

wykończonego, oczy miał podkrążone.

– Nie mogłem spać. Postanowiłem więc przyjść i spróbować ocalić ile się da z mojej lekarskiej kariery – powiedział.

– O czym ty, u diabła, mówisz?

– Rano, kiedy poszedłem do tamtego pokoju, o którym mówiłaś, popełniłem niewybaczalne faux pas.

– Czyli? – spytała Cheryl. Spostrzegła, że jest zakłopotany, i zmartwiła się. Pitt był lubiany na oddziale.

– Przypadkowo wpadłem na Smoczą Lady i wylałem jej kawę na rękę i bielutki fartuch. I powiem ci, była niemiłosiernie wkurzona. Zastanawiała się, co tam robię, i zrobiła ze mnie głupka, dociekając powodów.

– Uff, och – wzdychała współczująco Cheryl. – Doktor Miller nie lubi mieć brudnego fartucha, szczególnie z samego rana.

– O czym wszyscy wiemy! – dodał Pitt. – Ale się wściekła. No, w każdym razie pomyślałem, że wrócę i może zrobię na niej wrażenie swoim zaangażowaniem.

– Zaszkozić nie może, chociaż to ponad wymagane obowiązki. Z drugiej strony zawsze możemy skorzystać z pomocy, więc dowiem się, czy nasz nieustraszony szef ma coś przeciwko. Tymczasem dlaczego nie miałbyś sprawdzić kilku bardziej rutynowych przypadków. Godzinę temu mieliśmy poważny wypadek drogowy, jesteśmy zawaleni robotą, rejestratorka nie może nadążyć.

Zadowolony z otrzymanego zadania, szczególnie że takie właśnie lubił, Pitt wziął karty zgłoszeń i poszedł do poczekalni dla pacjentów. Pacjentką była Sandra Evans, wiek cztery lata.

Pitt wywołał ją po nazwisku. Z tłumu niecierpliwie oczekującego na zwolnienie



plastikowego krzeselku wyszła matka z córką. Kobieta miała około trzydziestu kilku lat i wysiadała na przemoczoną i zmęczoną. Dziewczynka była aniołkiem z kręconymi blond włoskami, ale była umorusana i wyraźnie robiła wrażenie chorej. Ubrana była w zabrudzoną pidżamę i cienki szlafrok.

Pitt zaprowadził je do pokoju badań. Podniósł dziewczuskę i posadził na stole. Jej niebieskie oczy były szkliste, a skórę miała bladą i pokrytą kroplami potu. Była na tyle poważnie chora, że nie było obawy, by musiała długo czekać w izbie przyjęć.

– Pan jest lekarzem? – zapytała matka dziewczynki. Pitt wydawał jej się zbyt młody.

– Recepcjonistą – przedstawił się. Pracował dość długo w izbie przyjęć i miał do czynienia z wieloma pacjentami, nie czuł się więc skrępowany swoim statusem.

– Co się stało, kochanie? – zapytał spokojnie, nakładając równocześnie opaskę aparatu do mierzenia ciśnienia krwi na rączkę dziewczynki i nadmuchując ją.

– Znalazłam pająka – zdradziła dziewczynka.

– Ma na myśli robaka – wtrąciła matka. – Nie potrafi ich rozróżniać. To grypa czy coś takiego. Złapało ją rano. Pojawił się kaszel i katar. Wie pan, jak to bywa z dziećmi.

Cięnienie było dobre. Gdy zdjął opaskę, zauważył na prawej dłoni Sandry kolorowy plaster.

– Zdaje się, że zrobiłaś sobie także małe bubu – powiedział. Wyjął termometr i spojrzał, aby odczytać wynik.

– Kamień ugryzł mnie na podwórku – powiedziała Sandra.

– Sandro, prosiłam, żebyś nie opowiadała bajek – upomniała córkę pani Evans.

Najwyraźniej matka traciła resztki cierpliwości.

– Nie kłamie – upierała się przy swoim dziewczynka.

Pani Evans zrobiła minę, jakby chciała powiedzieć: „No i co mam zrobić?”

– Znalazłaś dużo takich kamieni, które gryzą? – zapytał Pitt. Temperatura wynosiła 39,5 stopnia. Zapisał ten wynik, jak i ciśnienie w karcie chorobowej dziecka.

– Tylko jeden. Czarny.

– Zdaje się, że powinniśmy uważać na czarne kamienie – powiedział Pitt. Poinstruował matkę, aby uważnie przypilnowała dziecka, zanim zjawi się lekarz.

Wrócił do biurka i zostawił kartę w pojemniku, z którego zabierze ją pierwszy wolny lekarz. Miał już wejść za ladę recepcji, gdy ktoś gwałtownie pchnął wahadłowe drzwi wejściowe.

– Pomocy! – zawołał mężczyzna podtrzymujący zwisającą mu przez ramię kobietę.

Zdołał podejść kilka kroków w stronę punktu przyjęć, zachwiał się i prawie upadł.

Pitt był pierwszą osobą, która podtrzymała mężczyznę za ramię. Bez chwili namysłu ulżył mu, przejmując kobietę. Trudno było ją utrzymać, ponieważ cały czas jej ciało ogarniały silne spazmy bólu.

Podbiegła do nich Cheryl Watkins, kilka innych osób także pospieszyło z pomocą, nawet doktor Sheila Miller wyszła ze swojego gabinetu, słysząc wołanie o pomoc.

– Na urazówkę – poleciła doktor Miller.

Nie czekając na łóżko na kółkach, Pitt zaniósł kobietę w drgawkach w głąb izby przyjęć.

Przy pomocy Sheili, która stanęła po drugiej stronie stołu badań, Pitt położył chorą. Gdy to zrobił, po raz drugi tego dnia jego wzrok spotkał się ze wzrokiem Sheili. Nie padły żadne słowa, lecz tym razem spojrzenie mówiło całkiem co innego.

Pitt wycofał się. Do gabinetu wbiegły pielęgniarki i lekarze. Recepcjonista stał jednak i przyglądał się. Zawsze kiedy mógł, starał się dla treningu pozostawać w czasie udzielania pomocy.

Zespół lekarski pod kierunkiem Sheili szybko poradził sobie z atakiem. Kiedy zaczęli się

zastanawiać nad diagnozą, pacjentka dostała następnego gwałtownego ataku.

– Co się z nią dzieje? – wymamrotał jej mąż. Wszyscy zapomnieli, że wszedł za pozostałymi do sali. Jedna z pielęgniarek podeszła do niego i gestem ręki poprosiła o opuszczenie gabinetu. – Ma cukrzycę, ale nigdy nie miała ataków. To się nie powinno było stać. To znaczy, miała tylko kaszel. Jest przecież młodą kobietą. Coś jest nie tak, wiem to.

Kilka minut po wyjściu mężczyzny do poczekalni Sheila uniosła głowę i spojrzała na monitor rejestrujący pracę serca. Jej uwagę przyciągnęła nagle zmiana dźwięku dochodzącego z urządzenia.

– Uff. Coś się tu dzieje i nie podoba mi się to.

Regularne dotychczas bicie serca stało się nierówne. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, włączył się alarm. Pacjentka miała migotanie komór.

– Czerwony kod! – rozległo się z głośników.

Do gabinetu wpadło kilku następnych lekarzy zaalarmowanych sygnałem o zatrzymaniu akcji serca. Pitt wycofał się jeszcze głębiej, aby nie przeszkadzać. Zdarzenie uznał za podniecające, ale i przerażające. Zastanawiał się, czy zdoła się kiedykolwiek nauczyć wystarczająco dużo, żeby skutecznie zachować się w podobnej sytuacji.

Zespół pracował niezmordowanie, lecz bez skutku. Sheila wyprostowała się znowu i przedramieniem otarła pot z czoła.

– Po wszystkim – powiedziała niechętnie. – Straciliśmy ją.

Już od trzydziestu minut na ekranie monitora widzieli wyłącznie prostą linię. Cały zespół zwiesił głowę z przygnębienia.

Stara waga sprężynowa zaskrzypiała, kiedy doktor Curtis Lapree włożył wątrobę Charliego Arnolda na szalę. Wskazówka podskoczyła na skali.

– Normalna – powiedział Curtis.

– Spodziewałeś się, że nie będzie normalna? – zapytał Jesse Kemper.

On i detektyw Vince Garbon zatrzymali się, żeby przyjrzeć się autopsji pracownika administracji Uniwersyteckiego Centrum Medycznego. Obaj policjanci ubrani byli w ochronne ubrania.

Ani Jesse, ani Vince nie należeli do osób, na których autopsja robiła silniejsze wrażenie.

Przez lata widzieli ich setkę lub więcej, szczególnie Jesse starszy od Vince'a o jedenaście lat.

– Nie – odpowiedział Curtis. – Wątroba wygląda normalnie, więc sądziłem, że wagę też ma w normie.

– Przychodzi ci do głowy, jak ten biedak mógł zginąć? – spytał Jesse.

– Nie. Wygląda jak kolejna tajemnicza ofiara.

– Tylko mi tego nie mów. – Jesse był rozdrażniony. – Liczę, że mi powiesz, czy to zabójstwo, czy wypadek.

– Spokojnie, poruczniku – odparł Curtis ze śmiechem. – Żartuję sobie. Powinieneś przecież wiedzieć, że sekcja zwłok to dopiero początek autopsji. W tym przypadku spodziewam się, że badania mikroskopowe okażą się szczególnie ważne. Najgorsze, że zupełnie nie wiem, co myśleć o tej dziurze w ręce. Spójrzcie na to!

Curtis uniósł rękę Charliego Arnolda.

– Ta cholerna dziura jest idealnie okrągła.

– Czy to może być rana po kuli? – zastanowił się Jesse.

– Sam sobie odpowiedz na pytanie. Widziałeś wiele ran postrzałowych.

– Prawda, to nie wygląda na ranę postrzałową – przyznał Jesse.

– Jak jasna cholera, że nie wygląda – przytaknął Curtis. – To by musiała być kula pędząca z prędkością światła, rozgrzana jak wnętrze Słońca. Spójrz, jak wszystko na krawędziach rany jest spalone. A co się stało z kością i tkanką miękką? Mówiłeś, że nie znaleźliście żadnych

odprysków kości ani fragmentów ciała.

– Nic – potwierdził Jesse. – Żadnych plam zakrzepłej krwi. Stopione szkło i meble, ale brak krwi i ciała.

– Co twoim zdaniem mogło stopić meble? – zapytał Curtis. Zdjął wątrobę z wagi i wytarł ręce w fartuch.

Jesse opisał pokój, wywołując szczere zainteresowanie Curtisa.

– O, do diabła – skwitował patolog usłyszane informacje.

– Masz jakiś pomysł? – zapytał na koniec Jesse.

– W pewnym sensie. Ale nie spodoba ci się. To trochę zwariowane – odpowiedział Curtis.

– Zaryzykuj – przynaglił Jesse.

– Pozwól, że najpierw coś ci pokażę. – Curtis podszedł do stolika pod ścianą i wziął z niego parę rozwieraczy. Włożył je między górną i dolną wargę i rozchylił, pokazując zęby.

Twarz zmarłego przybrała okropny grymas.

– Och, świetnie – odezwał się Vinnie. – Chcesz mi zafundować nocne koszmary.

– Okay, doktoru. Czego mam szukać poza ohydną robotą dentysty? – zapytał Jesse. –

Wygląda, jakby facet nigdy nie mył zębów.

– Spójrz na szkliwo przednich zębów – powiedział Curtis.

– Patrę. Wygląda na dość zniszczone.

– No właśnie. – Curtis wyjął rozwieracz i odłożył na boczny stół.

– No, wystarczy już tych podchodów – zniecierpliwił się Jesse. – Co ci chodzi po głowie?

– Jedyne, co mogę podejrzewać o wywołanie podobnych zmian na zębach, to ostre skażenie promieniotwórcze.

Twarz Jesse'ego wydłużyła się.

- Mówiłem, że ci się nie spodoba – przypomniał Curtis.
- Jesse jest już bliski emerytury – wtrącił Vinnie. – To nieładnie tak się z nim drażnić.
- Mówię poważnie – zapewnił Curtis. – To jedyne, co pasuje do wszystkich objawów, jak otwór w dłoni czy uszkodzone szkliwo zębów. A nawet katarakta, której nie stwierdzono przy rutynowym badaniu lekarskim.
- No więc co spotkało biedaka?
- Wiem, że to zabrzmiało głupio – ostrzegł Curtis. – Ale jedynym sposobem na wytłumaczenie wszystkich objawów jest hipoteza, że ktoś włożył mi do ręki kulkę rozgrzanego do czerwoności plutonu, który wypalił otwór w dłoni i w efekcie potężnie go napromieniował.
- To absurd – stwierdził Jesse.
- Mówiłem, że ci się to nie spodoba – jeszcze raz przypomniał Curtis.
- Nie było tam żadnego plutonu. Sprawdziłeś, czy ciało jest napromieniowane?
- Owszem. Z uwagi na własne bezpieczeństwo.
- I?
- Nie jest radioaktywne. Inaczej nie zabierałbym się do tej roboty.

Jesse pokręcił głową.

- To zamiast poprawić, pogarsza tylko sprawę. Pluton, kurde! To w jakimś sensie sprawa bezpieczeństwa narodowego. Lepiej wyślę kogoś do szpitala, żeby sprawdził, czy tam nie ma jakichś gorących kawałków. Mogę skorzystać z telefonu?
- Ależ proszę bardzo – zgodził się Curtis.

Nagły atak kaszlu zwrócił ich uwagę. To był Michael Schonhoff, technik w zakładzie medycyny sądowej, który przy zlewie mył narzędzia. Napad kaszlu trwał kilka minut.

- Jezu, Mike! – zawołał Curtis. – To wygląda coraz gorzej. I, wybaczyć porównanie,

wyglądasz jak chodząca śmierć.

– Przepraszam, doktorze Lapree. Chyba złapałem gripę, którą próbowałem zignorować, ale teraz nawet czuję, że dostałem dreszczy.

– Skończ wcześniej. Idź do domu i połóż się do łóżka, weź aspirynę, wypij gorącą herbatę.

– Chciałem tu skończyć i oznaczyć jeszcze butelki z próbkami.

– Zapomnij o tym – zdecydował Curtis. – Kto inny dokończy za ciebie.

– Dobrze – zgodził się Mike. Pomimo sprzeciwów, był naprawdę zadowolony z wcześniejszego zwolnienia.

## **Rozdział 7**

# Godzina 20.15

– Nieustannie zadaję sobie pytanie, dlaczego nigdy dotąd tutaj nie przyszliśmy – powiedział Beau. – To jest piękne. – On, Cassy i Pitt przechadzali się promenadą w centrum miasta, zjadając lody po obiedzie złożonym ze spaghetti i białego wina.

Pięć lat wcześniej centrum wyglądało jak miasto duchów, gdyż większość ludzi i restauracji wyniosła się na przedmieścia. Ale jak w wielu amerykańskich miastach tu też nastąpiło przebudzenie. Kilka udanych renowacji rozpoczęło samorealizację przepowiedni. Teraz śródmieście było ucztą dla oczu i podniebienia. Tłum cieszył się chwilą.

– Naprawdę zwialiście z dzisiejszych zajęć? – zapytał Pitt. Był pod wrażeniem, choć z drugiej strony nie chciało mu się wierzyć.

– Czemu nie – odpowiedział Beau. – Poszliśmy do planetarium i do muzeum historii naturalnej, do muzeum sztuki, a na koniec do zoo. Nauczyliśmy się więcej, niż gdybyśmy poszli na zajęcia.

– To interesujący punkt widzenia. Mam nadzieję, że na najbliższym egzaminie dostaniesz mnóstwo pytań z zoologii – stwierdził Pitt.

– Ach, ty po prostu zazdrościsz – powiedział Beau, tarmosząc Pitta po głowie.

– Może i tak – przytaknął Pitt. Odsunął się poza zasięg ręki kolegi. – Od wczorajszego ranka spędziłem w izbie trzydzieści godzin.

– Trzydzieści godzin? – powtórzyła Cassy. – Naprawdę?

– Szczerze. – Pitt opowiedział im historię o pokoju, w którym Beau spędził popołudnie, i o wylaniu kawy na doktor Miller, kierującą oddziałem przyjęć.

I Beau, i Cassy byli niezwykle zaaferowani, szczególnie po opisie wyglądu pokoju i faktach dotyczących śmierci pracownika szpitala. Beau zadał wiele pytań, lecz Pitt znał niewiele odpowiedzi.



– Czekają na rezultaty autopsji – poinformował Pitt. – Wszyscy mają nadzieję, że uzyskają z niej jakieś wyjaśnienia. W tej chwili nikt nie ma pojęcia, co się mogło wydarzyć.

– Brzmi to przerażająco – odezwała się Cassy, robiąc przy tym minę pełną obrzydzenia. – Otwór wypalony w dłoni. No, no. Nie mogłabym zostać lekarzem, w żadnym wypadku.

– Beau, mam do ciebie pytanie – odezwał się Pitt po kilku chwilach milczenia. – Jak Cassy zdołała cię na mówić na ten dzień ukulturalnienia?

– Hola, sekundkę! – zaprotestowała Cassy. – To nie był mój pomysł. Beau sam na to wpadł.

– Daj spokój – Pitt przyjął wyjaśnienie sceptycznie. – Sądysz, że uwierzę... Pan Wzór, który nigdy nie opuścił zajęć w szkole.

– Zapytaj go! – zachęciła Cassy.

Beau jedynie się roześmiał.

Cassy, której zależało na udowodnieniu, że nie jest odpowiedzialna za lekkomyślnie spędzony dzień, mimo że na ulicy było wielu ludzi, wyprzedziła chłopców, odwróciła się i idąc tyłem, prowokowała Pitta.

– No dalej, zapytaj go!

Nagle Cassy zderzyła się z pieszym, który szedł z naprzeciwka i też nie zwracał uwagi na to, co się dzieje dookoła. Oboje podskoczyli, ale nic poważnego nikomu się nie stało.

Cassy natychmiast przeprosiła, tak zresztą jak i ów drugi ze sprawców wypadku. Ale wtedy uświadomiła sobie, że to pan Partridge, srogi dyrektor z Anna C. Scott High School. Ed także uświadomił sobie, skąd zna tę młodą dziewczynę.

– Chwileczkę – powiedział, a uśmiech od ucha do ucha rozjaśnił jego twarz. – Znam panią. Panna Winthrope, czarująca praktykantka z klasy pani Edelman.

Cassy czuła, że twarz jej płonie rumieńcem. Nagle przestraszyła się, że prawdopodobnie

wywołała małą katastrofę. Tymczasem pan Partridge był wzorem dżentelmena.

– Cóż za miła niespodzianka – mówił. – Chciałbym przedstawić pani moją wybrankę.

Cassy obowiązkowo uściśnęła dłoń żony pana Partridge'a i stłumiła uśmiech. Doskonale wiedziała, jak uczniowie nazywają tę kobietę.

– A to nasz nowy młody przyjaciel – powiedział pan Partridge. Objął ramieniem towarzyszącego im mężczyznę. – Pragnę przedstawić Michaela Schonhoffa. Jest jednym z tych oddanych „cywilów”, którzy pracują w zakładzie medycyny sądowej.

Wszyscy kolejno uściśnęli sobie ręce. Michaeliem szczególnie zainteresował się Beau i szybko pograżyli się w rozmowie, podczas gdy Ed Partridge zainteresował się Cassy.

– Doszły mnie bardzo dobre opinie o pani pracy – powiedział Partridge. – No i byłem pod wrażeniem, jak znakomicie poradziła sobie pani na wczorajszych zajęciach, gdy niespodziewanie zabrakło pani Edelman.

Cassy nie wiedziała, co odpowiedzieć na te nieoczekiwane komplementy. Nie wiedziała również, jak zareagować na natarczywe, lubieżne spojrzenia dyrektora szkoły. Kilka razy jego oczy wędrowały w górę i w dół po jej ciele. Za pierwszym razem pomyślała, że może jest przewrażliwiona, lecz po trzecim razie była pewna, że jego zachowanie jest rozmyślne.

W końcu jednak obie grupy pożegnały się i poszły własnymi drogami.

– Kimże, u diabła, jest ten Partridge? – zapytał Pitt, kiedy tylko znaleźli się poza zasięgiem ich słuchu.

– Jest dyrektorem w szkole, w której mam praktyki studenckie – wyjaśniła Cassy i pokręciła głową.

– Najwyraźniej zrobiłaś na nim duże wrażenie – stwierdził Pitt.

– Zauważyłeś, jak mi się przyglądał?

– Jak można było nie zauważyć? Wstydzilem się za niego, szczególnie że obok stała ta

jego beczka. Co ty o tym sądzisz, Beau?

– Nie zauważyłem – odpowiedział spytany. – Rozmawiałem z Michael'em.

– Nigdy nie zachowywał się w taki sposób – powiedziała Cassy. – Zwykle przyjmował pozę konserwatywnego sztywniaka.

– Ludzie, po drugiej stronie jest kolejna lodziarnia! – zawołał z entuzjazmem Beau. –

Kupię sobie jeszcze jedną porcję. Wy też?

Cassy i Pitt zaprzeczyli.

– Zaraz wracam – rzucił Beau. Pobiegnął sprintem przez ulicę, żeby stanąć w kolejce po lody.

– Wierzysz mi, że wagary były pomysłem Beau? – spytała Cassy.

– Skoro tak mówisz. Ale z pewnością rozumiesz moją reakcję. To trochę nie pasuje do niego – stwierdził Pitt.

– Ma się rozumieć – zgodziła się Cassy.

Spoglądali w stronę Beau, który flirtował z parą atrakcyjnych dziewcząt z college'u.

Nawet z miejsca, w którym stali, słyszeli jego charakterystyczny śmiech.

– Folguje sobie – skomentował Pitt.

– Można to tak ująć – stwierdziła Cassy. – Mieliśmy dziś wesoły dzień, nie ma wątpliwości. Ale jego zachowanie zaczyna mnie wprawiać w lekkie zakłopotanie.

– Jak to?

Cassy roześmiała się krótko i bez radości.

– Jest zbyt miły. Wiem, że brzmi to dziwnie i może nieco cynicznie, ale nie zachowuje się normalnie. Nie zachowuje się jak Beau, którego znam. Opuszczenie zajęć to tylko jedna sprawa.

– Co jeszcze?

– To właściwie osobiste sprawy.

– Przecież jesteśmy przyjaciółmi – powiedział zachęcająco Pitt. W tym samym momencie poczuł suchość w gardle. Nie był pewny, czy chce słuchać o sprawach zbyt osobistych. Im bardziej starał się sobie zaprzeczyć, tym bardziej wiedział, że jego uczucia do Cassy nie są platoniczne.

– Jest też inny pod względem seksualnym – z wahaniem w głosie zaczęła Cassy. – Dziś rano...

Zamilkła w połowie zdania.

– Co? – zapytał Pitt.

– Nie do wiary, że mówię ci o tym wszystkim. – Cassy była speszona. – W każdym razie jest jakiś inny.

– Tylko dzisiaj?

– Ostatniej nocy i dzisiaj. – Uznała, że mogłaby opowiedzieć, jak wyciągnął ją nagą na balkon w środku nocy, żeby pokazać deszcz meteorów, ale zmieniła zdanie.

– Każdy z nas ma dni, kiedy czuje się nieco bardziej ożywiony – powiedział Pitt. – No wiesz, jedzenie lepiej smakuje i seks... wydaje się lepszy. – Wzruszył ramionami. Teraz sam był speszony.

– Może – Cassy odparła bez przekonania. – Jednak zastanawiam się, czy ta odmiana może mieć coś wspólnego z błyskawiczną gripą, na którą wczoraj zachorował. Nigdy nie widziałam go tak chorego, a tymczasem wyzdrowiał w mgnieniu oka. Może się wystraszył. To znaczy pomyślał, że może umrzeć czy coś takiego. Brzmi to rozsądnie?

Pitt pokręcił przecząco głową.

– Moim zdaniem nie był aż tak chory.

– Masz jakiś inny pomysł?

– Szczerze powiedziawszy, jestem zbyt zmęczony, aby myśleć twórczo – przyznał Pitt.

– Gdybyś... – zaczęła Cassy, ale przerwała. – Popatrz, co robi Beau!

Pitt spojrział w stronę kolegi. Beau ponownie spotkał się z Partridge'ami i ich przyjacielem Michaeliem. Cała czwórka pogрузyła się w głębokiej dyskusji.

– O czym, u diabła, on z nimi gada? – zastanawiała się Cassy.

– Cokolwiek by to było, wygląda, że się ze sobą zgadzają – stwierdził Pitt. – Bez przerwy przytakują głowami.

Beau zerknął na zegarek na tablicy swego samochodu. Była druga trzydzieści w nocy.

Oprócz niego w samochodzie był Michael Schonhoff. Zaparkowali na parkingu zakładu medycyny sądowej obok jednej z furgonetek należących do kostnicy.

– Więc sądzisz, że to najlepsza pora? – zapytał Beau.

– Absolutnie – odpowiedział Michael. – Sprzątaczkę będą już na górze. – Otworzył drzwi i wysiadł.

– Nie będziesz potrzebował mojej pomocy?

– Dam sobie radę – zdecydował Michael. – Ty raczej zostań tutaj. Jak natknę się na ochronę, łatwiej będzie mi się wytłumaczyć samemu.

– Jakie jest prawdopodobieństwo spotkania strażnika?

– Małe – uznał Michael.

– To pójdę z tobą. – Beau wysiadł również.

– Twój wybór – zgodził się Michael.

Razem podeszli do drzwi. Michael użył swych kluczy i po sekundzie byli w środku.

Schonhoff gestem ręki nakazał Beau iść za sobą. Gdzieś w dali słychać było radio.

Nastawiono je na stację z całonocnym talk-show.

Droga wiodła przez przedsionek, wzdłuż małej rampy aż do sali, w której trzymano ciała.

Ściany pokryte były drzwiczkami lodówek.

Michael dokładnie wiedział, które drzwiczki otworzyć. W panującej ciszy kliknięcie odblokowanego zamka było głośne. Ciało bez problemu wysunęło się na stalowych szynach. Doczesne szczątki Charliego Arnolda znajdowały się w plastikowym worku. Twarz miał przerażająco białą. Dokładnie obeznany z otoczeniem Michael szybko przyprowadził wózek do przewożenia ciała. Z pomocą Beau położył na nim ciało Arnolda i zamknął pustą lodówkę. Upewniwszy się, że przedsionek nadal jest pusty, przewieźli ciało na parking. Złożenie go w samochodzie zabrało im tylko moment.

Kiedy Beau wsiadł, Michael odwiózł wózek. Szybko wrócił do auta i bezpiecznie odjechali.

– To było łatwe – stwierdził Beau.

– Powiedziałem ci, że nie będzie problemów – przypomniał Michael.

Beau zatrzymał samochód. Wyciągnęli ciało i zanieśli je około trzydziestu metrów dalej na pobocze. Położyli zwłoki na występie skalnym. Ponad nimi rozciągało się bezksiężycowe sklepienie nocnego nieba z milionami gwiazd.

– Gotowy? – zapytał Beau.

Michael wycofał się kilka kroków.

– Gotowy – potwierdził.

Beau wyjął jeden z czarnych dysków, który znalazł tego dnia rano, i położył go na ciele Arnolda. Niemal natychmiast dysk zaczął świecić, a intensywność światła gwałtownie wzrosła.

– Lepiej się wycofajmy – poradził Beau.

Odsunęli się na odległość kilkunastu metrów. Do tego czasu dysk tak świecił, że pojawiła się wokół niego aureola, a ciało Arnolda również zaczęło świecić. Czerwone światło dysku

zamieniło się w białe, a aureola objęła całe ciało.

Pojawił się wizm, a wraz z nim zaczął wiać wiatr, który najpierw poruszył liśćmi, później małymi kamykami, w końcu dużymi kawałkami skał, tocząc je w stronę ciała. Dźwięk stawał się ogłuszający, jak hałas startującego odrzutowca. Beau i Mike trzymali się, żeby nie zwały ich z nóg.

Dźwięk urwał się tak nagle, że wywołał szok, który wstrząsnął obu mężczyznami. Czarny dysk, ciało, kamienie, liście, patyki i mnóstwo bałaganu – wszystko zniknęło. Skała, na której znalazło się ciało, była gorąca, a jej powierzchnia spiralnie skrzycona.

– To powinno wywołać niezłe zamieszanie – odezwał się Beau.

– Rzeczywiście – przytaknął Mike. – I na jakiś czas ich zajmie.

## **Rozdział 8**

## Godzina 8.15

– Nie zamierzasz mi powiedzieć, gdzie byłeś zeszłej nocy? – zapytała rozdrażniona

Cassy. Trzymała rękę na klamce i chciała wysiąść z samochodu.

Beau zatrzymał się na podjeździe przed Anna C. Scott High School.

– Już ci mówiłem: po prostu jeździłem. Co to takiego wielkiego? – odparł Beau.

– Nigdy nie jeździłeś samochodem w środku nocy. Dlaczego mnie nie obudziłeś i nie powiedziałeś, że wyjeżdżasz?

– Spałaś zbyt głęboko. Nie chciałem ci przeszkadzać.

– A nie pomyślałeś, że jak się obudzę, to będę się o ciebie niepokoić?

– Przepraszam – powiedział Beau. Pogłaskał ją po ramieniu. – Chyba powinienem cię obudzić. Wtedy jednak wydawało się, że lepiej będzie zostawić cię śpiącą.

– Obudzisz mnie, jeżeli zdarzy się to jeszcze kiedyś? – zapytała Cassy.

– Obiecuję. Rany, robisz z igły widły.

– Przestraszyłam się. Nawet zadzwoniłam do szpitala, by sprawdzić, czy cię tam nie ma.

Również na policję, czy nie zdarzył się jakiś wypadek.

– No dobrze już – zgodził się Beau. – Masz rację.

Cassy wysiadła z samochodu, ale jeszcze zajrzała do środka przez okno.

– Ale po co jeździć o drugiej w nocy? Dlaczego nie przejść się albo, jeżeli nie możesz spać, popatrzeć trochę na telewizję? Albo jeszcze lepiej poczytać?

– Nie zaczynajmy wszystkiego od początku – powiedział Beau zdecydowanie, ale bez złości. – Okay?

– Okay – zgodziła się niechętnie. Przynajmniej uzyskała przeprosiny i wzbudziła w Beau wyrzuty sumienia.

– Do zobaczenia o trzeciej – pożegnał Cassy.



Pomachali sobie i Beau odjechał sprzed szkoły. Dojechał do rogu, nie obejrzawszy się nawet za siebie. Gdyby się odwrócił, zobaczyłby, że Cassy nie ruszyła się z miejsca, w którym wysiadła z auta. Patrzyła, jak skręca na drogę prowadzącą od uniwersytetu. Pokręciła głową. Zachowanie Beau nie poprawiło się.

On tymczasem wesoło pogwizdywał pod nosem i zupełnie nie przejmując się obawami Cassy, jechał przez śródmieście. Miał misję i był nią pochłonięty, ale nie na tyle, aby nie zauważyć, szczególnie gdy zatrzymał się na światłach, ilu przechodniów i kierowców kaszle i kicha. Wyglądało, jakby u niemal każdej osoby wystąpiły symptomy infekcji górnych dróg oddechowych. Ponadto wielu było bladych i pociło się.

Dojeżdżając do rogatek po przeciwnej w stosunku do uniwersytetu stronie miasta, Beau skręcił z Main Street w Goodwin Place. Po prawej miał schronisko dla zwierząt. Przejechał przez otwartą bramę. Zaparkował obok budynku administracyjnego, zbudowanego z pomalowanych betonowych pustaków z oknami przysłoniętymi aluminiowymi żaluzjami. Zza budynku dochodziło uporczywe szczekanie. Wszedł do środka i spotkanej sekretarce powiedział, czego chce. Poprosiła, żeby usiadł w małej poczekalni i poczekał. Beau mógł poczytać, lecz zamiast tego wolał posłuchać szczekania przerywanego miauczeniem kilku kotów. Pomyślał, że to dziwny sposób komunikowania się.

– Nazywam się Tad Secolow. – Mężczyzna przerwał myśli Beau. – Domyślam się, że szuka pan psa.

– Właśnie – odpowiedział Beau, wstając z fotela.

– Przyszedł pan pod odpowiedni adres – zapewnił go Tad. – Mamy właściwie każdą rasę, której może pan poszukiwać. Jeśli zechce pan dużego psa, wybór będzie jednak większy niż w wypadku jakiegoś małego szczeniaczka. Czy ma pan określone życzenie co do rasy?

– Nie. Ale kiedy zobaczę, będę wiedział, czego chcę.

– Nie rozumiem – powiedział Tad.

– Powiedziałem, że rozpoznam zwierzę, którego potrzebuję, gdy na nie spojrzę –  
powtórzył Beau.

– Chce pan najpierw przejrzeć zdjęcia? Mamy fotografie wszystkich psów, które są  
dostępne dla klientów.

– Wolę oglądać zwierzęta – stwierdził Beau.

– Doskonale. – Tad poprowadził klienta przez sekretariat do części budynku w której  
stały klatki ze zwierzętami. W powietrzu unosił się smród przypominający nieco odór obory,  
przemieszany z zapachem psich odchodów. Tad wyjaśnił, że zgromadzone tu zwierzęta  
znajdują się pod opieką weterynarza, który zagląda każdego dnia. Większość psów nie  
szczękała. Niektóre wyglądały na chore.

W tylnym rzędzie były klatki ogrodzone siatką. W centrum znajdowały się długie  
wybiegi, także odgródzone siatką. Podłoga w całym pomieszczeniu była betonowa. Pod  
ścianą dostrzegł zwinięty wąż służący do polewania pomieszczenia wodą.

Tad poprowadził Beau wzdłuż pierwszego rzędu. Na ich widok psy zaczęły wściekle  
ujadać. Tad opatrywał nie milknącym komentarzem każde mijane zwierzę, wyliczając jego  
zalety. Zamilkł dopiero przed klatką zajmowaną przez pudła. Był srebrzystoszary z  
ciemnymi, proszącymi oczami. Zdawał się rozumieć swoje smutne położenie.

Beau potrząsnął głową i ruszyli dalej.

Kiedy Tad zachwalał przymioty czarnego labradora, Beau zatrzymał się i przyglądał  
dużemu, silnemu psu płowej maści, który odwzajemnił jego spojrzenie z lekkim  
zaciekawieniem.

– A ten? – zapytał.

Tad uniósł brwi, gdy zorientował się, o którego psa pyta klient.

– To piękne zwierzę – powiedział. – Ale jest wielki i silny. Jest pan zainteresowany psem tej wielkości?

– Jaka to rasa?

– Bull mastiff. Ludzie zazwyczaj boją się ich z powodu wielkości, a ten pewnie zdołałby odgryźć panu rękę, gdyby był wrogo nastawiony. Ale wydaje się przyjazny. „Mastiff” to słowo pochodzenia łacińskiego i oznacza „łagodny”.

– Skąd się tutaj wziął? – pytał dalej Beau.

– Będę z panem szczery. Poprzedniemu właścicielowi urodziło się dziecko. Bali się reakcji psa, a nie chcieli ryzykować. Pies uwielbia małe polowania.

– Proszę otworzyć klatkę – zasugerował Beau. – Zobaczymy, czy dam sobie z nim radę.

– Proszę pozwolić założyć mu obrozę zaciskową. – Tad poszedł gdzieś i zniknął w głębi budynku.

Beau schylił się i otworzył małe drzwi, przez które podawano zwierzęciu pokarm. Pies wstał i podszedł obwąchać jego dłoń. Machał przy tym niezobowiązująco ogonem.

Beau sięgnął do kieszeni i wyjął jeszcze jeden czarny dysk. Trzymając przedmiot między kciukiem i palcem wskazującym, nagle przycisnął go do boku psa. W tej samej chwili pies odskoczył i zaskowyczał. Przekrzywił pytająco głowę. Beau schował dysk w momencie, gdy pojawił się Tad.

– Skamlał? – zapytał, stając obok Beau.

– Zdaje się, że za mocno go podrapałem – przyznał Beau.

Tad otworzył drzwi klatki. Przez chwilę pies się wahał, patrząc to na jednego mężczyznę, to na drugiego.

– Chodź, olbrzymie – powiedział Tad. – Z twoimi wymiarami powinieneś być bardziej zdecydowany.

– Jak się wabi? – spytał Beau.

– King. Dokładniej King Arthur. Ale to nieco za długie. Wyobraża pan sobie wołać na niego King Arthur?

– King to dobre imię – uznał Beau.

Tad założył psu obrozę i wyprowadził go z klatki. Beau wyciągnął rękę, lecz pies odskoczył w tył.

– No, King! – powiedział Tad z wyrzutem w głosie. – To twoja wielka szansa. Nie zmarnuj jej.

– W porządku – uspokoił go Beau. – Podoba mi się. Myślę, że jest doskonały.

– Czy to znaczy, że bierze go pan?

– Absolutnie – odparł Beau.

Wziął smycz, przykucnął i kilka razy klepnął Kinga po łbie. Pies wolno podniósł ogon i zaczął nim machać.

– Nie mam zbyt wiele czasu – powiedziała Cassy do Pitta. Szli korytarzem z izby przyjęć w stronę oddziału studenckiego. – Mam tylko godzinę między zajęciami.

– To zabierze najwyżej minutę. Mam nadzieję, że się nie spóźniliśmy.

Stanęli przed pokojem, który zajmował Beau. Niestety przez chwilę nie mogli wejść.

Dwóch robotników wynosiło pogiete, zniszczone łóżko.

– Popatrz na ramę u węzłowia – szepnął Pitt.

– Ciekawe – stwierdziła Cassy. – Wygląda jak stopione.

Gdy tylko było to możliwe, weszli do środka. Inni robotnicy zajmowali się demontażem zniszczonego sprzętu i metalowych ram podtrzymujących podwieszony sufit. Ktoś inny zajmował się szkleniem okna.

– Mają już jakieś wytłumaczenie tego, co się stało? – spytała Cassy.

– Zupełnie nic. Po autopsji pojawił się pomysł z promieniowaniem, ale pokój i jego otoczenie zostały dokładnie zbadane i niczego takiego nie stwierdzono.

– Sądziś, że jest jakiś związek między tym wszystkim a nietypowym zachowaniem Beau?

– Dlatego właśnie chciałem, żebyś to zobaczyła. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale po tym, jak mi opowiedziałaś o zachowaniu Beau, zacząłem rozmyślać. W końcu zajmował ten pokój, zanim wszystko się wydarzyło.

– To dziwne.

Cassy przechadzała się po pokoju. Patrzyła na powykręcany stelaż, na którym wcześniej stał telewizor. Wyglądał tak samo dziwacznie jak rama łóżka. Właśnie miała podejść do Pitta, gdy napotkała wzrok mężczyzny naprawiającego okno. Robotnik popatrzył przez chwilę w oczy dziewczyny, następnie zlustrował lubieżnie jej ciało, w taki sam sposób, w jaki przypatrywał jej się wcześniej pan Partridge. Podeszła do Pitta i pociągnęła go za rękaw.

Spoglądał w górę na wiszący na ścianie zegar. Zauważył, że obie wskazówki odpadły.

– Chodźmy stąd – powiedziała Cassy i wskazała na drzwi.

Na korytarzu Pitt złapał ją za ramię.

– Hej, zwolnij – poprosił.

Cassy zwolniła.

– Widziałeś, jak ten szklarz patrzył na mnie? – zapytała oburzona.

– Nie, nie widziałem. Co robił?

– Jak wczoraj Partridge. Co się dzieje z tymi facetami? Jakby wszyscy powrócili do manier nastolatków.

– Czy robotnicy budowlani nie są właśnie z tego znani? – zapytał Pitt.

– To było więcej niż tylko gwizdnięcie i „cześć, maleńka”. Było prawie tak, jakby mnie

zgwalił wzrokiem. Może nie potrafię ci tego wyjaśnić. Ale kobieta wiedziałaby, o czym mówię. To nieprzyjemne, nawet przerażające.

– Chcesz, żebym tam wrócił i wyzwiał go? – zapytał Pitt.

Cassy posłała mu spojrzenie typu „czyś ty oszalał?” i powiedziała:

– Nie bądź głupi.

Wrócili do izby przyjęć.

– No, muszę już wracać do szkoły. Dzięki, że mnie tu zaprosiłeś, chociaż nie bardzo poprawiło mi to nastrój. Nie wiem, co z tym wszystkim zrobić.

– Coś ci powiem – zaproponował Pitt. – Dzisiaj Beau i ja gramy nasz mecz koszykówki trzech na trzech. Będę miał okazję zapytać go, co się dzieje.

– Nie wspominaj, że mówiłam coś o seksie – poprosiła Cassy.

– Jasne, że nie powiem. Wykorzystam wasze wagary, żeby zacząć rozmowę. Potem powiem mu, że w czasie naszego ostatniego spotkania w knajpie i później na spacerze nie był sobą. Różnica jest subtelna, ale jest.

– Powiesz mi, czego się dowiedziałeś?

– Oczywiście – zapewnił Pitt.

Pokój operacyjny na posterunku był zawsze pełen ludzi, szczególnie około południa. Lecz Jesse Kemper przyzwyczajony był do zamieszania i z łatwością potrafił je ignorować. Jego biurko stało z tyłu sali, pod przeszkloną ścianą oddzielającą pokój kapitana od reszty pomieszczenia.

Jesse czytał wstępny raport autopsyjny doktora Curtisa Lapree. Ani trochę mu się nie podobał.

– Doktor ciągle się upiera przy skażeniu radioaktywnym! – zawołał Jesse w stronę

Vince'a stojącego przy automacie z kawą. Vince wypijał średnio piętnaście filiżanek kawy

dziennie.

– Przekazałeś mi, że w szpitalu nie wykryto żadnego promieniowania? – zapytał Vince.

– Pewnie, że mi powiedziałem – odparł zirytowany Jesse. Cisnął raport na biurko i sięgnął po fotografię Charliego Arnolda, na której widać było otwór w dłoni. Studiując pilnie zdjęcie, Jesse drapał się w wyraźnie łysiejącą głowę. To była jedna z najdziwniejszych rzeczy, jakie dane mu było zobaczyć.

Vince podszedł do biurka Jesse'ego. Kiedy mieszał kawę, łyżeczka dzwoniła o filiżankę.

– To musi być najdziwniejszy przypadek – narzekał Jesse. – Ciągłe mam przed oczami obraz pokoju i zadaję sobie pytanie, jak to się stało.

– Czy wiadomo, co stwierdzili naukowcy, którzy mieli zbadać pokój? – spytał Vince.

– Tak. Dzwoniła doktor Miller i powiedziała, że nikt nie ma konkretnego pomysłu.

Powiedziała też, że jeden z fizyków odkrył, że metal w pokoju został namagnesowany.

– I co to znaczy? – zapytał Vince.

– Dla mnie niewiele. Zadzwoiłem do Lapree i powiedziałem mu o tym. Odpowiedział, że to mógł być piorun.

– Ale wszyscy się zgadzają, że nie było żadnych piorunów – przypomniał Vince.

– Właśnie. I tak wróciliśmy do początku.

Zadzwoił telefon Jesse'ego. Zignorował go, więc słuchawkę podniósł Vince.

Jesse zakręcił się na swym obrotowym krześle, rzucając przez ramię zdjęcie Arnolda, na którym widać było dziurę w jego dłoni. Wylądowało wśród reszty drobiazgów na biurku. Był wyprowadzony z równowagi. Ciągłe nie wiedział, czy ma do czynienia ze zbrodnią, czy zdarzeniem naturalnym. Jakby nieobecny słyszał Vince'a powtarzającego raz za razem: „tak, tak, tak”. Zakończył rozmowę słowami: „Okay. Powiem mu. Dziękuję za telefon, doktorze”.

Zanim Jesse odwrócił się z powrotem, zauważył dwóch umundurowanych policjantów

wychodzących z biura kapitana. Jego uwagę przyciągnął ich okropny wygląd, obaj byli bladzi jak Charlie Arnold na fotografii, którą Jesse dopiero co rzucił na biurko. Kaszleli i kichali jak ciężko chorzy.

Jesse należał do hipochondryków, więc irytowali go ludzie na tyle beztroscy, że rozsiewali zarazki na innych. Według niego powinni siedzieć w domu.

Przytłumione „auu!” dobiegło z biura kapitana i odwróciło uwagę Jesse’ego od chorych policjantów. Przez szybę widział kapitana ssącego palec. W drugiej ręce ostrożnie trzymał mały, czarny dysk.

– Jesse, słuchasz czy nie? – dobiegł go głos Vince’a.

Odwrócił się.

– Przepraszam, co mówiłeś?

– Powiedziałem, że dzwonił doktor Lapree. Pojawiła się kolejna komplikacja w sprawie Charliego Arnolda. Ciało zniknęło.

– Żartujesz.

– Nie. Doktor powiedział, że postanowił jeszcze pobrać próbki szpiku kostnego, ale kiedy otworzył lodówkę, w której leżało ciało Charliego Arnolda, zobaczył, że zniknęło.

– Co za gówno! – zawołał Jesse. Zerwał się z krzesła. – Lepiej chodźmy tam. To za bardzo pokręcone.

Pitt przebrał się w strój koszykarski, wziął rower i pojechał z akademika na boisko. On i Beau często grywali w kosza trzech na trzech. Mecze były zawsze dobre. Wielu zawodników grywało w meczach międzyszkolnych, co podnosiło motywację.

Zgodnie ze swoim zwyczajem Pitt przyjechał nieco wcześniej, aby poćwiczyć rzuty.

Czuł, że potrzebuje więcej czasu niż inni na rozgrzanie się. Ku swemu zaskoczeniu zobaczył, że Beau już tam jest. Był ubrany w dres, lecz stał poza boiskiem, za siatką ogrodzenia, i



rozmawiał z dwoma mężczyznami i kobietą. Zaskakujące było także i to, że rozmówcy wyglądali na biznesmenów w wieku trzydziestu paru lat. Cała trójka ubrana była w typowe dla takich ludzi stroje. Jeden z mężczyzn trzymał w ręku drogą skórzaną walizkę. Pitt wziął piłkę i zaczął rzucać. Gdy Beau go zauważył, nie dał żadnego znaku. Po kilku minutach coś jeszcze zdziwiło Pitta. To Beau cały czas mówił! Pozostali słuchali, od czasu do czasu jedynie przytakując na znak aprobaty.

Zaczęli się schodzić pozostali gracze. Przyszedł także Tony Ciccone, trzeci z ich zespołu. Beau zakończył konwersację dopiero po zjawieniu się wszystkich graczy, również z drużyny przeciwnej. Pitt wykonywał właśnie ćwiczenia rozciągające, kiedy dołączył do niego przyjaciel.

– Cześć, dobrze cię widzieć – powiedział Beau. – Bałem się, że po tym maratonie w izbie przyjęć, jaki sobie zafundowałeś, nie zdołasz się dzisiaj zmobilizować.

Pitt wyprostował się, podnosząc przy okazji piłkę.

– Biorąc pod uwagę twoje wczorajsze samopoczucie, powinieneś być raczej zaskoczony własną obecnością – powiedział Pitt.

Beau roześmiał się.

– Wydaje mi się, że to było wieki temu. Teraz czuję się wspaniale. Prawdę powiedziawszy, nigdy nie czułem się lepiej, więc rozwalimy tych gogusiów.

Trzej gracze z przeciwnej drużyny rozgrzewali się nadal przy swoim koszu. Tony zawiązywał na nowo sznurowadła swych koszykarskich butów.

– Nie byłbym zbyt pewny siebie – stwierdził Pitt. – Spójrz na tego umięśnionego faceta w purpurowych spodenkach. Nazywa się Rocko. Jest znakomity w przechwytych i do tego świetnie rzuca.

– Żaden problem – uznał Beau. Wziął piłkę z rąk Pitta i rzucił ją w stronę kosza. Przeszła

przez obręcz z tym charakterystycznym dźwiękiem informującym, że otarła się jedynie o siatkę.

Pitt był pod wrażeniem. Stali dobre dziewięć metrów od kosza.

– Najważniejsze, że mamy dobry zespół – powiedział Beau. Złożył razem kciuk i palec wskazujący i włożył je do ust. Gwizdnął głośno.

Ponad trzydzieści metrów od nich podniósł się z cienia, w którym leżał, i przyczłapał do nich ogromny, jasnobrązowy pies. Położył się na brzegu boiska i złożył łeb na przednich łapach.

Beau schylił się i poklepał go po głowie. Pies pomachał ogonem, który zaraz opadł na ziemię.

– Czyj to pies? – zapytał Pitt. – Jeżeli to jest pies. Bardziej przypomina cielę.

– Mój. Nazywa się King.

– Ty masz psa? – Pitt był wielce zdziwiony tym, co usłyszał.

– Owszem. Zapragnąłem psiego towarzystwa, więc poszedłem do schroniska, no i on tam na mnie czekał.

– Tydzień temu powiedziałaś, że to nie w porządku trzymać w mieście dużego psa – przypomniał Pitt.

– Zmieniłem zdanie. W chwili gdy go ujrzałem, od razu wiedziałem, że o nim marzyłem.

– Cassy wie?

– Jeszcze nie. – Z czułością podrapał Kinga za uchem. – Czyż to nie będzie niespodzianka?

– Bez dwóch zdań – odparł Pitt, wywracając oczami. – Szczególnie gdy ma takie rozmiary. Ale co z nim? Jest chory? Wygląda na ospałego, oczy ma czerwone.

– Ach, to tylko problemy z adaptacją. Dopiero co wyszedł z klatki. Mam go od kilku

godzin – wyjaśnił Beau.

– Ma ślinotok – zauważył Pitt. – Nie sądzisz chyba, że ma wściekłość, prawda?

– W żadnym wypadku – powiedział Beau. – Co do tego jestem pewny. – Przykrył potężny łeb psa dłońmi. – No, King. Powinieneś już czuć się lepiej. Potrzebujemy twojego dopingu. – Beau wstał, ciągle spoglądając na nowego towarzysza. – Może i jest ospały, ale przyznasz, że dobrze wygląda, co?

– Owszem – zgodził się Pitt. – Ale posłuchaj, Beau. Kupienie psa, w dodatku tak wielkiego, jest działaniem strasznie impulsywnym i znając cię tak jak ja, należy dodać: nieoczekiwanym. Właściwie z mojego punktu widzenia to ostatnio zrobiłeś mnóstwo nieoczekiwanych rzeczy. Martwię się i myślę, że powinniśmy porozmawiać.

– Porozmawiać o czym?

– O tobie. O tym, jak się zachowujesz, o opuszczeniu zajęć. Wygląda, jakby od czasu twojej grypy wszystko...

Zanim zdążył dokończyć zdanie, od tyłu podszedł Rocko i klepnął Pitta po przyjacielsku w plecy, tak że ten poleciał kilka kroków do przodu.

– Macie zamiar zagrać, kołki, czy poddajecie się od razu? – zadrwił. – Od pół godziny jesteśmy gotowi was oskubać.

– Lepiej chyba będzie, jak porozmawiamy później – szepnął Beau do Pitta. – Miejscowi zaczynają się niecierpliwić.

Mecz się zaczął. Jak podejrzewał Pitt, grę zdominował Rocko ze swoją taktyką buldożera. Ku zmartwieniu Pitta ciężar krycia Rocko spadł na niego, gdyż ten wybrał właśnie Pitta na swego przeciwnika. Za każdym razem, gdy Rocko miał piłkę, uznawał, że najpierw musi zderzyć się z Pittem, a dopiero potem odskoczyć w tył i zdobyć punkty.

W połowie meczu, gdy Rocko i jego koledzy mieli piłkę, Pitt wywołał faul po

świadomym zagranium łokciem przez Rocko w chwili zbierania piłki po niecelnym rzucie.

– Co? – Rocko się wściekł. Z całej siły rzucił piłką o ziemię, tak że odbiła się na jakieś trzy metry w górę. – Czy jakiś mały śmierzdel mówi o faulu ofensywnym? Nic z tego. Piłka jest nasza! Nie ma mowy, żebym się godził na takie numery.

– To ja zawołałem – stwierdził Pitt. – Sfaulowałeś mnie. Prawdę mówiąc, po raz drugi użyłeś tej samej taniej sztuczki.

Rocko podszedł do Pitta i pchnął go brutalnie w piersi.

Zaatakowany cofnął się o krok.

– Tania sztuczka, co? – warknął Rocko. – No dobra, spryciarzu. Gadanie nic nie kosztuje. Zobaczmy, jak nasz mazgaj zatańczy. Dalej! Podnieś rączki.

Pitt dobrze wiedział, czym się może skończyć bójka z Rocko. Inni próbowali, ale tylko po to, by skończyć z wybitym zębem albo podbitym okiem.

– Przepraszam – grzecznie wtrącił się Beau. Stał pomiędzy Pittem a Rocko. – Nie wydaje mi się, żeby ten drobiazg był warty tak poważnych rozwiązań. Coś ci powiem. Oddamy wam piłkę, ale zmienimy krycie. Ja będę krył ciebie, a ty spróbujesz kryć mnie.

Rocko roześmiał się i popatrzył na Beau. Chociaż obaj mieli około metra osiemdziesięciu, Rocko był masywniejszy i cięższy o jakieś osiem, dziesięć kilogramów.

– Nie masz nic przeciwko? – Beau zapytał Pitta.

– Do diabła, nie – zgodził się Pitt.

Po tym ustaleniu grę wznowiono. Na zaciętej twarzy Rocko pojawił się uśmiech. Gdy dostał piłkę, z całym impetem natarł na Beau.

Ze znakomitą koordynacją Beau zszedł mu z drogi w chwili, gdy ten spodziewał się zderzenia. Efekt był niemal komiczny. Oczekując starcia, Rocko mocno wysunął do przodu klatkę piersiową. Kiedy nie nastąpiło zderzenie, poleciał na ziemię.

Wszyscy, nawet Pitt, roześmiali się, widząc Rocko leżącego na asfalcie. Na jego skórze pojawiły się otarcia upstrzone ziarenkami piasku i żwiru.

Beau natychmiast znalazł się obok leżącego z wyciągniętą, pomocną dłonią.

– Przepraszam, Rocko – powiedział. – Pozwól, że ci pomogę.

Rocko zignorował wyciągniętą rękę i sam sobie poradził.

– Ojj – powiedział ze współczującym uśmiechem Beau. – Brzydko się podrapałeś. Lepiej będzie, jeśli przerwiemy grę i będziesz mógł pójść do przychodni, by oczyścić rany.

– Do diabła z tobą – warknął Rocko. – Dawaj piłkę. Kończymy grę.

– Jak sobie życzysz – zgodził się Beau. – Ale piłka jest nasza. Zgubiłeś ją w czasie upadku.

Pitt obserwował starcie z rosnącą uwagą. Beau ośmieszał Rocko, tak jakby zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, jakim tamten jest gnojkiem. Pitt zaczął się bać, że popołudnie zakończy się kłopotami.

Kiedy gra została wznowiona, Rocko postanowił kontynuować taktykę siły, ale Beau przy każdej okazji skutecznie unikał kontaktu. W efekcie Rocko upadł jeszcze kilka razy, co go potężnie zirytowało, a im bardziej był wściekły, tym łatwiej Beau dawał sobie z nim radę.

W ataku Beau zamienił się w dynamit. Po otrzymaniu piłki zdobywał punkty bez względu na wysiłki przeciwnika. Kilka razy udało mu się obejść Rocko z taką szybkością, że ten zostawał w miejscu z wyrazem kompletnego zaskoczenia na twarzy. Gdy Beau zdobywał ostatniego, zwycięskiego kosza, oblicze Rocko płonęło złością.

– Dzięki, że pozwoliliście nam wygrać! – zawołał Beau w kierunku Rocko. Wyciągnął rękę, ale tamten jakby jej nie widział. Zszedł z kolegami na stronę, aby się wytrzeć.

Beau, Pitt i Tony podeszli do leżącego na trawie Kinga. Pies wyglądał na jeszcze bardziej ospałego.

– Mówiłem ci, że King nam pomoże – powiedział Beau.

Tony wyjął kilka zimnych napojów. Pitt chętnie wziął puszkę i pomimo zadyszki wypił zawartość w rekordowym czasie. Tony podał mu następną. Pitt miał już zamiar zacząć ją opróżniać, kiedy zauważył, że Beau uważnie przygląda się dwóm atrakcyjnym licealistkom idącym ulicą. Miały na sobie skąpe stroje do biegania.

– Wspaniałe nogi – powiedział Beau.

Dopiero teraz Pitt zauważył także, że Beau, inaczej niż on i Tony, nie był w ogóle zadyszany. Do tego nawet się nie spocił i nie był wcale spragniony.

Beau kątem oka złapał spojrzenie Pitta.

– Coś nie tak? – zapytał.

– Nie dyszysz tak jak my – stwierdził Pitt.

– Bo też próżnowałem na boisku, zostawiając wam całą robotę.

– Oho – odezwał się Tony. – Zbliża się czołg Sherman.

Obaj, Beau i Pitt, odwrócili się i zobaczyli, że Rocko idzie przez boisko w ich stronę.

– Nie prowokuj go – z naciskiem powiedział Pitt.

– Kto, ja? – zapytał niewinnie Beau.

– Chcemy rewanżu – zakomunikował Rocko, gdy podszedł bliżej.

– Na dzisiaj mam dość – powiedział Pitt. – Jestem wykończony.

– Ja też – przyznał Tony.

– No, wydaje mi się, że to na tyle – dodał Beau z uśmiechem. – Nie byłoby chyba fair, gdybym miał grać za całą trójkę.

Rocko popatrzył na niego przez moment.

– Zaczynasz być trochę bezczelny, dupku.

– Nie powiedziałem przecież, że wygrałbym. Chociaż bez wątplenia miałbym wielką

szansę, szczególnie gdybyście grali tak jak pod koniec meczu.

– Facet, aż się prosisz – warknął Rocko.

– Wolałbym, żebyś nie podnosił głosu – upomniął go Beau. – Mój piesek śpi obok ciebie, a nie jest dziś w sosie.

Rocko spojrział w dół, a potem znowu na Beau.

– Nie obchodzi mnie ten wór psiego łajna.

– Zaraz, zaraz – powiedział Beau i stanął twardo na nogach. – Czy ty nazywasz mojego nowego psa „worem łajna”?

– Nawet gorzej – potwierdził Rocko. – Myślę, że to pie...

Z szybkością, która wszystkich zaszokowała, Beau złapał Rocko za gardło. Tamten zareagował równie szybko, zaciskając lewą dłoń w pięść i posyłając potężnego lewego haka. Beau zauważył zbliżający się cios, ale zignorował go. Pięść wylądowała z boku twarzy, tuż przed jego prawym uchem. Rozległo się potężne, głuche klaśnięcie, po którym Pitt wykrzywił twarz w grymasie bólu.

Rocko poczuł kłujący ból w dłoni, która uderzyła w kość policzkową Beau. Cios był silny i trafił prosto w cel, a jednak uderzony w ogóle nie zareagował. Zupełnie jakby go nie poczuł. Rocko był zdumiony, że cios, który w przeszłości uchodził za jego najsilniejszą broń, nie dał żadnych efektów. Przeciwnicy nigdy się nie spodziewali, że pierwszym uderzeniem będzie lewy hak. To zawsze przechylało szalę na korzyść Rocko i najczęściej kończyło walkę. Ale z Beau sprawy miały się inaczej. Jemu jedynie rozszerzyły się źrenice. Wydawało się nawet, że zaczynają świecić.

Innym problemem Rocko było pogłębiające się uczucie braku tlenu. Twarz mu poczerwieniała, oczy wychodziły na wierzch. Próbował się wykręcić z uścisku Beau, ale nie dawał rady. Trzymała go para żelaznych szczypiec.

– Przykro mi – powiedział spokojnie Beau. – Wydaje mi się, że jesteś winien przeprosiny  
mojemu psu.

Rocko złapał obiema rękami za ramię Beau, ale i tak nie zdołał się wyswobodzić.

Wszystko, co mógł zrobić, to charczeć.

– Nie dosłyszałem – powiedział Beau.

Pitt, który chwilę wcześniej był pełen obaw o przyjaciela, teraz zaczął się martwić o  
Rocko. Twarz chłopaka zaczęła sinieć.

– Nie może oddychać! – zawołał Pitt.

– Masz rację – zgodził się Beau. Puścił gardło Rocko i złapał go za włosy. Ciągnąc w  
górze, zmusił chłopaka do wspięcia się na palce. Rocko próbował, lecz nie potrafił się uwolnić.

– Czekam na przeprosiny – oświadczył Beau i pociągnął mocniej za włosy.

– Przepraszam za psa – wystękał Rocko.

– Nie mnie to mów. Powiedz to psu.

Pitt zaniemówił. Przez moment zdawało się, że Beau podniesie Rocko jak piórko.

– Przepraszam cię, pies – wyjąkał Rocko.

– Nazywa się King – wyjaśnił Beau.

– Przepraszam cię, King – powtórzył obolały chłopak.

Beau zwolnił uchwyt. Ręce Rocko natychmiast powędrowały na czubek głowy. Skóra na  
głowie paliła go. Ze spojrzeniem, w którym zmieszały się złość, ból i upokorzenie, Rocko bez  
zwłoki pospieszył w stronę zszokowanych kolegów ze swojej drużyny.

Beau wytarł ręce.

– Uff. Ciekawe, jakiego żelu używa do włosów – powiedział.

Pitt i Tony byli oszołomieni tak samo jak koledzy Rocko. Spoglądali na Beau z otwartymi  
ze zdziwienia ustami. Zauważył ich zaskoczenie, gdy pochylał się po smycz.



– Co się z wami dzieje, chłopcy? – zapytał.

– Jak ty to zrobiłeś? – spytał Pitt.

– O czym mówisz?

– Jak to możliwe, że tak łatwo sobie z nim poradziłeś?

Beau postukał się palcem w głowę.

– Inteligencją – odpowiedział. – Biedny Rocko korzysta wyłącznie z mięśni. Mięśnie potrafią być użyteczne, ale przegrywają z inteligencją. Dlatego właśnie ludzie zdominowali tę planetę. Nic nie zbliżyło się do nas na drodze ewolucji. – Nagle spojrzał w stronę znajdującej się nieopodal biblioteki. – Och, wygląda na to, że będę musiał was opuścić, chłopcy – rzekł nagle.

Pitt podążył wzrokiem za spojrzeniem kolegi. Około trzydziestu metrów od nich zobaczył następną grupę osób wyglądających na biznesmenów, która zmierzała w ich stronę. Tym razem było ich sześcioro: czterech mężczyzn i dwie kobiety. Wszyscy nieśli teczki.

Beau odwrócił się do kolegów.

– Wspaniały mecz, chłopcy. – Podniósł rękę i przybił obydwóm kolegom piątkę. Zwrócił się jeszcze do Pitta: – Tę rozmowę, o której mówiłeś, będziemy musieli odbyć innym razem.

W odpowiedzi na szarpnięcie smyczą King wstał niechętnie i podążył za swoim panem na tę zaimprovizowaną konferencję.

Pitt spojrzał na Tony'ego. Ten wzruszył ramionami.

– Nie wiedziałem, że Beau jest taki silny – powiedział.

– Jak, do diabła, może zniknąć ciało? – zapytał Jesse doktora Curtisa Lapree. – Przytrafiło wam się już kiedyś coś takiego? – Jesse i Vince zjawili się w kostnicy i stali teraz po obu stronach pustej lodówki, w której jeszcze niedawno złożono ciało Charliego Arnolda.

– Niestety, zdarzało się to wcześniej – przyznał doktor Lapree. – Nierzęsto, dzięki Bogu,

ale zdarzało się. Ostatni raz nieco ponad rok temu. Zniknęły zwłoki młodej kobiety, samobójczyni.

– Odnaleziono je? – spytał Jesse.

– Nie.

– Przekazano nam tę sprawę?

– Szczerze powiedziawszy, nie wiem – oświadczył doktor Lapree. – Sprawę badał urzędnik z wydziału zdrowia, który bezpośrednio porozumiewał się z komisarzem policji.

Sprawa była dla wszystkich wstydliva i starano się nie nadawać jej rozgłosu.

– Co zrobiliście teraz?

– To samo. Poinformowałem szefa zakładu medycyny sądowej, a on powiadomił miejski wydział zdrowia. Zanim cokolwiek zrobicie, lepiej skontaktujcie się ze swoimi przełożonymi.

Prawdopodobnie nawet nie powinienem wam nic mówić.

– Rozumiem – powiedział Jesse. – Doceniam twoje zaufanie. Masz jakieś podejrzenia, dlaczego ktoś mógł chcieć ukraść ciało?

– Jako patolog sądowy wiem lepiej niż inni, że świat pełen jest dziwnych ludzi. Zdarzają się i tacy, którzy lubią martwe ciała – powiedział doktor Lapree.

– Sądzisz, że taka była motywacja w tym przypadku? – spytał Jesse.

– Nie mam najmniejszego pojęcia – przyznał Curtis.

– Obawiamy się, że wykradzenie zwłok wzmacnia teorię o zabójstwie – stwierdził Jesse.

– Jakby sprawca nie chciał zostawiać za sobą tropu – dodał Vince.

– Rozumiem. Problem polega jednak na tym, że ja już zdążyłem zrobić autopsję – wyznał doktor Lapree.

– Tak, ale zamierzałeś pobrać jeszcze jakieś próbki – powiedział Jesse.

– Prawda. Nie udało mi się pobrać próbek szpiku kostnego. Jednak to miało dostarczyć

tylko dodatkowych argumentów na rzecz mojej teorii o promieniowaniu.

– Jeżeli powodem zabrania ciała była chęć powstrzymania cię od pobrania tych próbek, to znaczy, że sprawcą może być ktoś od was – doszedł do wniosku Jesse.

– Już się do tego wzięliśmy. Sprawdzamy każdego, kto miał dostęp do ciała – oznajmił doktor.

Jesse westchnął.

– Co za przypadek – jęknął. – Świadomość zbliżającej się emerytury jest coraz słodsza.

– Poinformuj nas, jeśli się czegoś dowiecie – poprosił Vince.

– Oczywiście – zapewnił doktor.

Jonathan zamknął swoją szafkę w szatni. W tym semestrze zepchnął zajęcia sportowe na koniec dnia, choć nie mógł tego ścierpieć. Zdecydowanie bardziej wolał trochę sportu w środku dnia, jako przerywnik między innymi zajęciami.

Opuścił salę bocznymi drzwiami i ruszył przez boisko. Przy maszcie flagowym dostrzegł grupę dzieciaków. Gdy się zbliżył, usłyszał ich śmiech. Podszedł jeszcze bliżej i zrozumiał, w czym rzecz. Dziewiątoklasista, którego Jonathan słabo znał, wspinał się na szczyt. Nazywał się Jason Holbrook. Jonathan znał go tylko dlatego, że grał w młodszej drużynie koszykówki.

– Co jest grane? – Jonathan zapytał jednego ze swoich stojących z boku kolegów klasowych. Na imię miał Jeff.

– Ricky Javetz i jego paczka znaleźli nowego dziewiątaka do zabawy – wyjaśnił Jeff. –

Dzieciak musi dotknąć orła na szczycie albo nie przyjmą go do gangu.

Jonathan osłonił oczy przed ostrym popołudniowym słońcem.

– Słup jest cholernie wysoki – zauważył. – Jakies piętnaście, może nawet osiemnaście metrów.

– I na czubku bardzo cienki – dodał Jeff. – Cieszę się, że to nie ja jestem na górze.

Jonathan rozejrzał się dookoła. Dziwił się, iż nie zjawił się żaden nauczyciel, aby położyć kres tej niezwyklej sytuacji. Wtedy też zauważył Cassy Winthrope wychodzącą z północnego skrzydła. Jonathan trącił łokciem Jeffa.

– Idzie ta seksowna studentka.

Jeff odwrócił głowę. Cassy jak zwykle ubrana była w lekko dopasowaną, prostą sukienkę bawełnianą. Kiedy promienie słońca przenikały przez materiał, chłopcy mogli dostrzec kształt ciała dziewczyny, nawet szczególny fason wysoko wyciętych majtek.

– Uff! – stęknął Jeff. – Ale tyłeczek.

Zahipnotyzowani patrzyli, jak Cassy rozplywa się w tłumie, żeby po chwili pojawić się przy maszcie. Położyła na ziemi książki, które niosła, złożyła dłonie w tubę i zawołała do Jasona, by natychmiast zszedł na dół.

Tłumek zareagował na interwencję Cassy gwizdami.

Mając za sobą niemal trzy czwarte drogi do orła, Jason zawahał się. Maszt zaczął się chwiać. Nagle chłopak stwierdził, że to wyżej, niż sądził.

Cassy rozejrzała się wokół. Tłum uczniów otoczył ją. W większości byli to dorośli uczniowie, wyżsi od niej. Przeszło jej przez głowę, że codziennie w całych Stanach nauczyciele są znieważani przez uczniów.

Znowu popatrzyła w górę. Z dołu wygięcie masztu było wyraźne.

– Słyszysz mnie?! – zawołała jeszcze raz, ignorując tłum. Ręce oparła na biodrach. –

Zejdź tu natychmiast!

Poczuła uścisk dłoni na swoim ramieniu. Drgnęła. Z zaskoczeniem stwierdziła, że przypatruje jej się dyrektor Ed Partridge. Uśmiechał się.

– Panno Winthrope, wygląda pani dzisiaj uroczo.

Cassy zdjęła dłoń dyrektora z ramienia.

– Na maszcie mamy ucznia, trzy czwarte drogi na wierzchołek – powiedziała.

– Zauważyłem – przyznał Ed. Śmiał się, przekrzywiając głowę i spoglądając w górę na ucznia, teraz już przestraszonego nie na żarty. – Założę się, że da radę.

– Sądzę, że nie można tolerować takiego zachowania – Cassy powiedziała to wbrew sobie.

– Och, a dlaczego? – spytał Ed. Przyłożył dłonie do ust i zawołał: – No dalej, chłopcze. Nie poddawaj się teraz. Już prawie jesteście.

Jason podniósł wzrok. Miał przed sobą jeszcze jakieś pięć metrów. Słyszając, że tłum go zachęca, zaczął się wspinać. Kłopot sprawiały mu spocone dłonie. Przy każdym ruchu w górę, zjeżdżał co najmniej o połowę dystansu.

– Panie Partridge, to jest... – zaczęła Cassy.

– Spokojnie, panno Winthrope – przerwał Ed. – Musimy pozwolić naszym studentom manifestować swoje postawy tak, jak uznają to za stosowne. Poza tym to rozrywka oglądać, jak dorastający chłopak, taki jak Jason, próbuje zmierzyć się z tak trudnym zadaniem.

Cassy spojrzała w górę. Maszt chwiał się coraz mocniej. Dreszcz ją przeszedł na myśl o tym, co by się stało, gdyby chłopak spadł. Ale Jason nie spadł. Dzięki wsparciu tłumy zdołał dotrzeć do czubka, dotknął orła i zaczął się zsuwać. Kiedy dotknął ziemi, Partridge był pierwszy z gratulacjami.

– Dobrze zrobione, chłopcze – powiedział Ed, klepiąc Jasona po plecach. – Nie podejrzewałem ciebie o takie możliwości. – Partridge powiódł wzrokiem po tłumie gapiów. – No dobrze, czas na przerwę się skończył.

Cassy nie odeszła od razu. Obserwowała, jak dyrektor odprowadza grupę uczniów do centralnego skrzydła, rozmawiając z nimi po drodze. Była skonfundowana. Zachęcanie do takiego zachowania było nieodpowiedzialne i bez wątplenia sprzeczne z charakterem Eda

Partridge'a.

– To chyba pani książki – usłyszała czyjś głos. Odwróciła się i zobaczyła Jonathana Sellersa podającego jej podręczniki. Wzięła je i podziękowała.

– Nie ma za co – odparł. Spoglądał za znikającym Partridge'em. – Nagle stał się zupełnie innym człowiekiem – stwierdził, jakby czytając w myślach Cassy.

– Tak jak moi rodzice – powiedział inny głos.

Jonathan rozpoznał głos Candee. Nie wiedział, że cały czas stała w tłumie. Jąkając się, przedstawił ją Cassy. Robiąc to, zauważył, że jego dziewczyna ma podkrążone, niewyspane oczy.

– Dobrze się czujesz? – spytał.

Candee przytaknęła.

– Dobrze się czuję, tyle że niewiele spałam w nocy. – Rzuciła nieśmiałe spojrzenie na Cassy, obawiając się rozmawiać w obecności obcej osoby. Równocześnie jednak poczuła silne pragnienie otwarcia się. Jako jedynaczka nie miała okazji porozmawiać o tym i czuła się zakłopotana.

– Dlaczego nie mogłaś zasnąć? – zapytał Jonathan.

– Bo rodzice zachowywali się bardzo dziwnie. Zupełnie jak nie oni. Zmienili się.

– Co masz na myśli, mówiąc, że się zmienili? – wtrąciła się do rozmowy Cassy, myśląc jednocześnie o Beau.

– Są inni. Nie wiem, jak to wyjaśnić. Są inni. Jak pan Partridge.

– Kiedy zauważyłaś zmianę? – spytała Cassy. Była zadziwiona. Co takiego dzieje się z ludźmi?

– To się stało chyba jakoś tak wczoraj – niepewnie odpowiedziała Candee.

## **Rozdział 9**

# Godzina 16.15

– Chcesz fenytoinę?! – doktor Draper zawołał do Sheili Miller. Draper był jednym ze starszych lekarzy rezydentów, zaangażowanych do realizacji programu pierwszej pomocy medycznej w Uniwersyteckim Centrum Medycznym.

– Nie! – warknęła Sheila. – Nie chcę w żadnym wypadku ryzykować arytmii. Daj mi dziesięć miligramów valium do kroplówki, żebyśmy mieli zabezpieczone drogi oddechowe.

Z ambulansu miejskiego zadzwonili wcześniej, by powiadomić, że wiozą czterdziestodwuletniego diabetyka, który ma silne ataki bólu. Mając w pamięci, co poprzedniego dnia zdarzyło się z cierpiącą na podobne ataki diabetyczką, cały zespół izby przyjęć, razem z Sheilą Miller, przygotowywał się na przyjęcie kolejnego przypadku.

Po przybyciu mężczyznę natychmiast zabrano do sali zabiegowej, gdzie przede wszystkim zapewniono drożność układu oddechowego. Natychmiast przeprowadzono badanie krwi. Równocześnie rozpoczęto monitorowanie chorego i podłączono kroplówkę z dużą dawką glukozy.

Ponieważ ataki nie ustąpiły, trzeba było podać więcej leków. Wtedy właśnie Sheila zdecydowała o valium.

– Valium podano – poinformował Ron Severide. Ron był jednym z dyplomowanych pielęgniarzy na wieczornym dyżurze.

Sheila obserwowała monitor. Pamiętała wydarzenia poprzedniego dnia i nie chciała stracić także tego pacjenta.

– Jak się nazywa pacjent? – zapytała. Chory znajdował się już od dziesięciu minut w sali.

– Louis Devereau – odpowiedział Ron.

– Cokolwiek z wywiadu lekarskiego poza cukrzycą? Jakies problemy z sercem? – pytała dalej.

– O niczym nas nie poinformowano – powiedział doktor Draper.

– Dobrze. – Zaczęła się uspokajać. Pacjent również. Po kilku kolejnych drgawkach atak ustąpił.

– Wygląda dobrze – zauważył Ron.

Jeszcze Ron nie skończył mówić, a pacjent znowu dostał konwulsji.

– Dziwne – stwierdził Draper. – Ma atak pomimo glukozy i valium. Co tu się dzieje?

Sheila nie odpowiedziała. Była zbyt pochłonięta obserwacją monitora z wykresem pracy serca. Na ekranie pojawiły się skurcze dodatkowe. Miała zamiar zaordynować lidokainę, kiedy pacjent zaczął odchodzić.

– Nie rób mi tego! – krzyknęła, dołączając do reszty zespołu zaczynającego resuscytację.

Zgon Louisa Devereau, podobnie jak zgon kobiety dzień wcześniej, poprzedziło migotanie komór, któremu wysiłki lekarzy kompletnie nie mogły zaradzić. Ku swemu wielkiemu smutkowi musieli się przyznać do kolejnej porażki. Pacjent zmarł. Okoliczności towarzyszące obu zgonom były dziwnie podobne.

Czując złość z powodu bezskuteczności wysiłków, Sheila zerwała rękawiczki z dłoni i rzuciła je z całej siły do pojemnika na odpadki medyczne. Doktor Draper zrobił to samo. Razem wyszli z sali zabiegowej.

– Zadzwoń na patologię – poleciła Sheila. – Upewnij się, że rozumieją, jak ważne jest wykrycie przyczyny zgonu. To się nie może ciągnąć. Oboje byli względnie młodymi ludźmi.

– Oboje używali też insuliny – powiedział doktor Draper. – Od dawna byli cukrzykami.

Doszli do recepcji izby przyjęć. Panował spory ruch.

– Więc kiedy cukrzyk w średnim wieku znajduje się w krytycznej sytuacji? – spytała Sheila.

– No właśnie – doktor Draper uznał pytanie za trafne.



Sheila zerknęła w stronę poczekalni i aż uniosła brwi. Było tak wielu pacjentów, że większość z nich musiała stać. Dziesięć minut wcześniej ruch był normalny jak na tę porę dnia. Odwróciła się, żeby zapytać któregoś z przyjmujących, czy jest jakieś wytłumaczenie dla tego nadzwyczajnego tłumy, i znalazła się oko w oko z Pittem Hendersonem.

– Czy pan w ogóle stąd nie wychodzi? – zapytała. – Cheryl Watkins powiedziała mi, że spędził pan tu wiele godzin po swojej całodobowej zmianie.

– Jestem tu, żeby się uczyć – odparł Pitt. To była zaplanowana odpowiedź. Widział lekarzkę zbliżającą się do recepcji.

– Nie wypalaj się tak – powiedziała Sheila. – Jeszcze nawet nie zacząłeś studiów lekarskich.

– Słyszałem właśnie, że ten przywieziony diabetyk zmarł. To musi być dla pani bardzo trudne.

Sheila popatrzyła na ucznia ostatniej klasy college'u. Zaskakiwał ją. Tylko wtedy rano rozłościł ją, wylewając na nią kawę w pokoju, w którym zjawił się nie wiadomo po co. Teraz sądziła, że jest nad wyraz wrażliwy jak na chłopca w jego wieku. Był także atrakcyjnym młodzieńcem z tymi czarnymi włosami i ciemnymi oczami. Nagle zastanowiła się, co by odpowiedziała, gdyby był o dwadzieścia lat starszy.

– Mam coś, co chciałaby pani na pewno zobaczyć. – Wręczył lekarce wydruk z laboratorium.

Sheila wzięła kartkę i rzuciła na nią wzrokiem.

– Co to jest?

– To wyniki badań krwi diabetyczki, która zmarła wczoraj – wyjaśnił Pitt. – Sądziłem, że będzie pani szczególnie tym zainteresowana, ponieważ wszystkie wartości są zupełnie normalne. Nawet poziom cukru.

Przeleciała wzrokiem po danych. Pitt miał rację.

– Interesujące będzie porównanie tego z wynikami dzisiejszego pacjenta – powiedział. –

Z tego, co odczytałem, nie potrafię podać żadnej przyczyny nagłych ataków, na które cierpiała wczorajsza pacjentka.

Teraz Sheila była pod wrażeniem. Żaden z innych studentów college’u odbywających zajęcia zgodnie z programem wspomaganie w służbie administracyjnej szpitala nie okazał nigdy tak wielkiego zainteresowania.

– Liczę, że dostanę od ciebie wyniki badań krwi dzisiejszego pacjenta – powiedziała Sheila.

– Z przyjemnością – odpowiedział Pitt.

– A tymczasem może wiesz, dlaczego w poczekalni mamy tylu ludzi?

– Chyba tak. Prawdopodobnie dlatego, że wszyscy postanowili przyjść do nas po pracy.

Wszyscy też skarżą się na grypę. Sprawdzając wczorajsze i dzisiejsze raporty, stwierdzamy, że jest coraz więcej osób z tymi samymi objawami. Myślę, że powinna pani przyjrzeć się temu.

– Przecież mamy okres grypowy – przypomniała Sheila. Była jednak jeszcze bardziej pod wrażeniem. Pitt bez wątplenia okazał się myślącym młodzieńcem.

– Może i mamy sezon grypowy, ale taka epidemia nie jest czymś zwykłym – upierał się

Pitt. – Sprawdziłem w laboratorium, że muszą jeszcze poczekać na wynik testu na grypę.

– Czasami zanim otrzymają pozytywny wynik testu, muszą wyhodować wirus w hodowli komórkowej. To może zabrać kilka dni.

– Tak, czytałem o tym. Ale w tej sytuacji uważam, że to dziwne, ponieważ wszyscy pacjenci mają wiele objawów zakażenia górnych dróg oddechowych, więc wirusów powinno tam być w nadmiarze. Przynajmniej tak napisano w książce, którą czytałem.

– Muszę powiedzieć, że swoim zaangażowaniem zrobiłeś na mnie wrażenie – pochwaliła Sheila.

– Cóż, ta sytuacja mnie martwi. A jeśli to nowy szczep, nowa choroba? Mój przyjaciel złapał to dwa dni temu i był naprawdę chory, ale tylko przez kilka godzin. Dla mnie to nie wyglądało jak stara, normalna grypa. Poza tym gdy wyzdrowiał, przestał być sobą. Chciałem powiedzieć, że jest zdrowy, ale dziwnie się zachowuje.

– Co to znaczy dziwnie? – Sheila zaczęła się martwić możliwością wystąpienia wirusowego zapalenia mózgu. To była rzadko występująca komplikacja pogrypowa.

– Jak ktoś inny – odparł Pitt. – No, nie zupełnie inny, ale trochę inny. To samo chyba przytrafiło się dyrektorowi szkoły.

– Jakaś drobna zmiana osobowości?

– Tak, chyba można by to tak określić – zgodził się Pitt. Bał się powiedzieć jej, że Beau nagle stał się dużo silniejszy i szybszy i że zajmował pokój, który uległ zniszczeniu. Bał się, że straci jej zaufanie. Obawiał się troszkę rozmowy z doktor Miller i z własnej woli nigdy by jej nie zaczynał. – I jeszcze jedno – dodał, sądząc, że skoro doszedł tak daleko, może powiedzieć wszystko. – Sprawdziłem kartę wczorajszej diabetyczki. Zanim dostała ataku, pojawiły się u niej symptomy grypy.

Sheila patrzyła w ciemne oczy Pitta i zastanawiała się nad tym, co usłyszała. Nagle odwróciła głowę i zapytała doktora Drapera, czy Louis Devereau miał objawy grypy przed wystąpieniem ataków.

– Miał. Dlaczego pytasz?

Zignorowała pytanie kolegi. Zamiast odpowiedzieć, spojrzała znowu na Pitta.

– Ilu pacjentów przyjęliśmy z tą grypą i ilu jeszcze czeka?

– Razem pięćdziesięcioro troje – odparł Pitt. W rękę trzymał zestawienie chorych.

– Jezu Chryste – stęknęła Sheila. Przez chwilę patrzyła niewidzącymi oczami w dal i przygryzała policzek od wewnątrz. Zastanawiała się nad dalszym postępowaniem. – Weź papier i chodź ze mną! – powiedziała do Pitta.

Pitt z trudem nadażał za Sheilą, która szła, jakby to był chód sportowy.

– Dokąd idziemy? – spytał, kiedy znaleźli się w zasadniczej części szpitala.

– Do biura szefa – odpowiedziała, nie zatrzymując się.

Wsiadł za nią do windy. Próbował coś wyczytać z jej twarzy, ale nie zdołał. Nie miał pojęcia, po co zabrała go do działu zarządzania. Zaczął się bać, że to z powodów dyscyplinarnych.

– Chcę się natychmiast zobaczyć z doktorem Halprinem – zakomunikowała pani Kapland, kierownicze sekretariatu szpitala.

– Teraz doktor Halprin jest zajęty – odpowiedziała pani Kapland z przyjaznym uśmiechem na ustach. – Ale poinformuję go, że pani czeka. A tymczasem może mogę zaproponować kawę albo coś chłodnego?

– Proszę mu powiedzieć, że to pilne – odparła jedynie Sheila.

Po dwudziestu minutach czekania sekretarka zaprowadziła ich do biura szefa. Sheila i Pitt mogli stwierdzić, że mężczyzna nie czuje się dobrze. Był blady i niemal bez przerwy kasłał. Kiedy usiedli, Sheila zwięźle streściła, co usłyszała od Pitta, i zasugerowała, żeby szpital przedsięwziął odpowiednią akcję.

– Powoli – doktor Halprin wtrącił się między jednym atakiem kaszlu a drugim. –

Pięćdziesiąt przypadków grypy w sezonie grypowym to nie liczba, która upoważnia nas do straszenia społeczeństwa. Do diabła, sam się zaraziłem, ale to nie jest znowu aż takie straszne. Chociaż gdybym miał wybór, poszedłbym do domu i położył się do łóżka.

– Mówimy o ponad pięćdziesięciu przypadkach tylko w tym szpitalu – stwierdziła Sheila.

– Zgoda, ale jesteśmy największym szpitalem w mieście. Mamy najlepszy wgląd we wszystko.

– Mam dwa przypadki śmiertelne; dwóch diabetyków wcześniej właściwie prowadzonych, którzy zmarli prawdopodobnie na tę chorobę – powiedziała Sheila.

– W wypadku grypy to możliwe – skomentował Halprin. – Niestety wszyscy doskonale wiemy, że grypa może być niebezpieczna szczególnie dla osób starszych i chorych.

– Pan Henderson zna dwie osoby, które cierpiały na tę chorobę, a po wyzdrowieniu zmieniły się ich osobowości. Jednym z tych ludzi jest jego najlepszy przyjaciel.

– Zasadnicza zmiana osobowości? – zapytał Halprin.

– Nie zasadnicza, ale wyraźna – przyznał Pitt.

– Proszę dać mi przykład – poprosił pan Halprin i głośno wysiąkał nos.

Pitt opowiedział o nagłej beztroscie Beau i całodniowych wagarach połączonych z wycieczką do muzeum i zoo.

Halprin opuścił chustkę i popatrzył na Pitta. Musiał się uśmiechnąć.

– Przepraszam, ale to nie brzmi jak trzęsienie ziemi.

– Żeby zrozumieć, jakie to było zaskakujące, powinien pan znać Beau – Pitt obstawał przy swoim.

– Cóż, mieliśmy pewne doświadczenia z tą chorobą w naszym dziale – powiedział doktor Halprin. – Nie tylko ja na to cierpię dzisiaj, ale obie moje sekretarki miały te same objawy wczoraj. – Pochylił się do przodu i nacisnął przycisk interkomu. Poprosił obie sekretarki, aby przyszły do gabinetu.

Pani Kapland weszła niemal natychmiast, za nią zjawiła się młodsza kobieta. Nazywała się Nancy Casado.

– Doktor Miller martwi się z powodu tej krążącej wokół nas grypy – stwierdził Halprin. –

Może potraficie rozwiązać obawy pani doktor?

Panie spojrzały na siebie, nie wiedząc, która 'z nich powinna zacząć. Rozpoczęła pani Kapland, jako zajmująca wyższe stanowisko.

– Przyszła nagle i wywołała okropne samopoczucie – powiedziała. – Ale kilka godzin później zaczęła się poprawa. Teraz czuję się wspaniale. Lepiej niż w czasie wielu ostatnich miesięcy.

– Ze mną było niemalże identycznie – powiedziała Nancy Casado. – Zaczęło się od kaszlu i bólu gardła. Bez wątpienia miałam temperaturę, lecz nie zmierzyłam jej, więc nie potrafię powiedzieć, ile stopni.

– Czy odniosły panie wrażenie, że osobowość koleżanki zmieniła się po wyzdrowieniu? – zapytał Halprin.

Obie zachichotały, zakrywając usta dłońmi. Popatrzyły na siebie znacząco.

– Co jest takie zabawne? – spytał.

– To taki nasz prywatny żart – wyjaśniła pani Kapland. – Ale żeby odpowiedzieć na pańskie pytanie: żadnej z nas nie wydaje się, abyśmy się zmieniły. A pan tak uważa, doktorze Halprin?

– Ja? Chyba nie mam czasu na dostrzeganie takich drobiazgów, ale nie, nie sądzę, żebyście się zmieniły.

– Czy znacie panie innych, którzy zachorowali? – włączyła się do rozmowy Sheila.

– Wielu – odparły równocześnie.

– Zauważyły panie jakieś zmiany w ich zachowaniu?

– Ja nie – powiedziała pani Kapland.

– Ani ja – dodała Nancy Casado.

Doktor Halprin rozłożył ręce.

– Nie sądzę, żebyśmy mieli tu jakiś problem – stwierdził. – Ale dziękuję, że pani przyszła. – Uśmiechnął się.

– To mój obowiązek – odpowiedziała Sheila i wstała.

Pitt zrobił to samo, uklonił się dyrektorowi i obu sekretarkom. Kiedy jego oczy spotkały wzrok Nancy Casado, zauważył, że patrzy na niego w dziwnie prowokujący sposób. Usta miała lekko rozchylone, między wargami igrał ledwo widoczny koniuszek języka. Gdy tylko się zorientowała, że spogląda na nią, zmierzyła go wzrokiem z góry na dół i z powrotem. Pitt szybko odwrócił się i podążył za wychodzącą z gabinetu doktor Miller. Nie czuł się dobrze. Nagle zrozumiał to, co Cassy próbowała mu powiedzieć rano po wizycie w szpitalnym pokoju.

Starając się utrzymać książki, torebkę i kupione na wynos chińskie jedzenie, Cassy zdołała w końcu włożyć klucz do zamka i otworzyć drzwi. Weszła i zamknęła je za sobą kopnięciem.

– Beau, jesteś tu?! – zawołała i uwolniła się od bagażu, składając wszystko na małym stoliku w holu.

Głęboki, przerażający pomruk podniósł jej wszystkie włosy na karku. Warczenie dochodziło z bardzo bliska. Właściwie miała wrażenie, że dochodzi zza jej pleców. Powoli podniosła wzrok w stronę dekoracyjnego lustra wiszącego nad stolikiem. Tuż za sobą po lewej stronie zauważyła sylwetkę potężnego, jasnobrazowego bull mastiffa w całej jego olbrzymiej psiej okazałości.

Nadal bardzo wolno, tak aby nie rozgniewać już podrażnionego zwierzęcia, Cassy odwróciła głowę w jego stronę. Oczy miał jak czarne węgle. Ten przerażający stwór sięgał jej powyżej pasa.

Beau, chrupiąc jabłko, stanął w drzwiach do kuchni.

– Hej, King! Wszystko w porządku. To Cassy.

Pies przestał warczeć, odwrócił się w stronę Beau i przechylił pytająco głowę.

– To jest Cassy – powtórzył Beau. – Ona też tu mieszka.

Beau założył blokadę drzwi, klepnął Kinga po głowie i powiedział: „Dobry piesek”, zanim pocałował Cassy namiętnie w usta.

– Witaj, kochanie – przywitał ją serdecznie. – Tęskniliśmy za tobą. Gdzież się podziewałaś? – Poszedł do pokoju i usiadł na fotelu, zwieszając nogi przez boczne oparcie. Cassy nie drgnął ani jeden mięsień. Nie ruszył się także pies, rzucił jedynie krótkie spojrzenie w stronę Beau. Nie warczał już, ale cały czas przyglądał się dziewczynie groźnym wzrokiem.

– Co to znaczy, gdzie się podziewałam? – spytała Cassy. – Miałeś mnie odebrać.

Czekałam pół godziny.

– Ach, tak. Przepraszam. Miałem ważne spotkanie, a nie było szansy skontaktować się z tobą. Sama mówiłaś, że bez trudu znajdziesz transport.

– Tak, jeśli się tego spodziewam – zwróciła uwagę Cassy. – Zanim się zorientowałam, że nie przyjedziesz, wszyscy znajomi pojechali. Musiałam dzwonić po taksówkę.

– Rany! Przepraszam. Naprawdę. Raptem tyle rzeczy się wydarzyło. Pozwolisz się zaprosić na obiad do twojego ulubionego „Bistro”?

– Wczoraj wyszliśmy – przypomniała. – Nie musisz popracować? Przyniosłam do domu trochę chińszczyzny.

– No cóż, jak sobie życzysz, skarbie. Ale tak mi przykro, że zostawiłem cię samą sobie, i chciałbym ci to jakoś wynagrodzić.

– Przeprosiny zupełnie wystarczą. – Teraz Cassy spojrzała na nieruchomego psa. – Skąd się tu wzięła ta bestia? Masz zamiar podarować ją komuś?



– Nie. To mój pies. Nazywa się King.

– Żartujesz?

– Skądże – zaprzeczył Beau. Podniósł się z oparcia i stanął obok Kinga. Podrapał go mocno za uchem. Pies w odpowiedzi pomachał ogonem i polizał swym wielkim jęzorem rękę swego pana. – Uznałem, że możemy skorzystać z jego ochrony.

– Ochrony przed czym? – Cassy nie mogła zebrać myśli.

– Tak w ogóle – odpowiedział Beau z wahaniem. – Taki pies ma znacznie lepiej rozwinięty zmysł węchu i słuchu niż my.

– Czy nie uważasz, że powinniśmy wcześniej przedyskutować tę decyzję? – Strach Cassy zamienił się w gniew.

– Możemy to przedyskutować teraz – zauważył niewinnie Beau.

– Dobry Boże! – w głosie Cassy zabrzmiała złość. Schwyciła chińskie jedzenie, poszła do kuchni i trzasnęła za sobą drzwiami. Wyjęła z siatki pojemniki, a z szafki talerze. Z szuflady obok zmywarki do naczyń wyjęła sztućce i z hałasem nakryła do stołu.

W drzwiach pojawił się Beau.

– Nie ma powodu do takiej złości – powiedział.

– Och, naprawdę? – odparła i łzy napłynęły jej do oczu. – Łatwo ci mówić. To nie ja zachowuję się dziwnie. Nie wychodzę w środku nocy i nie wracam z psem wielkości krowy. Wszedł do kuchni i spróbował objąć Cassy ramieniem. Odepchnęła go i pobiegła do sypialni. Rozplakała się. Beau wszedł za nią i objął ją. Nie broniła się więcej. Przez moment nic nie mówił. Pozwolił jej płakać. W końcu obrócił ją i spojrzał w jej oczy, a ona spojrzała w jego.

– Dobra – powiedział. – Przepraszam także za psa. Powinienem porozmawiać z tobą o tym pomysle, ale byłem taki zajęty. Mam teraz tyle spraw na głowie. Miałem odpowiedź od

ludzi Nite'a. Mam jechać na spotkanie.

– Kiedy z nimi rozmawiałeś? – zapytała, przecierając oczy. Wiedziała, jak bardzo Beau zależało na pracy w Cipher Software. Może tu leżało wyjaśnienie jego dziwnego zachowania.

– Dzisiaj. Wszystko jest wielce obiecujące.

– Kiedy wyjeżdżasz?

– Jutro.

– Jutro! – powtórzyła. Sprawy zaczęły się toczyć tak szybko. To było zbyt wielkie obciążenie emocjonalne. – Nie miałeś zamiaru mi powiedzieć?

– Ależ oczywiście, że miałem zamiar powiedzieć.

– I naprawdę chcesz mieć psa? Co z nim zrobisz, kiedy pojedziesz do Nite'a?

– Zabiorę go ze sobą – odparł bez wahania.

– Na rozmowę w sprawie pracy też go weźmiesz?

– Czemu nie? To cudowne zwierzę.

Cassy starała się przetrwać, co usłyszała. Z jej perspektywy wydawało się to niewłaściwe, najdelikatniej mówiąc. Pies nie pasował do ich stylu życia.

– Kto go będzie wyprowadzał w czasie twoich zajęć? Kto go będzie karmił? Posiadanie psa wymaga odpowiedzialności.

– Wiem, wiem. – Beau podniósł ręce w geście poddania się. – Obiecuję, że będę się nim zajmował. Będę go wyprowadzał, karmił, sprzątał po nim i karał go, jeżeli pogryzie któryś z twoich butów.

Cassy uśmiechnęła się wbrew sobie. Beau zachowywał się jak mały chłopiec proszący mamę o zgodę na psa, gdy tymczasem ona wie bardzo dobrze, na kogo w końcu spadnie ciężar opieki nad zwierzęciem.

– Zabrałem go ze schroniska. Jestem pewny, że go polubisz, ale jeśli nie, oddamy go z

powrotem. Potraktujemy całą sprawę jako eksperyment. Po tygodniu zdecydujemy.

– Poważnie?

– Oczywiście – potwierdził Beau. – Pozwól, że go przyprowadzę, to lepiej mu się przyjrysz. Jest wspaniałym psem.

Cassy skinęła głową i Beau wyszedł z sypialni. Wzięła głęboki oddech. Tak wiele się działo. Skierowała się do łazienki, by przemyć twarz. Po drodze zauważyła, że przez monitor komputera Beau przelatuje szybko jakiś program. Zatrzymała się i spojrzała. Dane w formie tekstu i grafiki pojawiały się i znikwały na ekranie z niezwykłą szybkością. Nagle zauważyła coś jeszcze. Przed stacją dysków leżał dziwny czarny przedmiot, który Beau znalazł parę dni wcześniej na parkingu przed restauracją „U Costy”. Zapomniała o nim; teraz przypomniała sobie, że chłopcy mówili, iż jest niezwykle ciężki, i wyciągnęła rękę, żeby się przekonać.

– Oto potwór – powiedział Beau, odwracając uwagę Cassy. Na polecenie chłopaka pies zbliżył się do dziewczyny i z zadowoleniem polizał jej rękę.

– Ale szorstki język – zauważyła Cassy.

– To wspaniały pies – powiedział Beau, promieniejąc.

Cassy poklepała Kinga po boku.

– Jest masywny – stwierdziła. – Ile on waży? – Ciekawiło ją, ile misek psiego jedzenia będzie potrzebował dziennie.

– Myślę, że ponad sześćdziesiąt – odpowiedział Beau.

Cassy podrapała Kinga za uchem i wreszcie skinęła głową w stronę komputera.

– Co się dzieje z twoim komputerem? Zupełnie jakby zwariował.

– Ładuje jedynie pewne dane z Internetu – wyjaśnił Beau. Podeszedł do urządzenia. –

Myślę, że mogę wyłączyć monitor.

– Masz zamiar to wszystko wydrukować? Będziesz potrzebować o wiele więcej papieru

niż mamy w domu.

Beau wyłączył monitor, ale upewnił się, czy światełko kontrolne twardego dysku nadal mruga z dużą szybkością.

– No więc jak będzie? – zapytał, prostując się. – Chińszczyzna na wynos czy „Bistro”?

Ty decydujesz.

Oczy Beau i Kinga otworzyły się gwałtownie w tym samym momencie. Chłopak podparł się na łokciu i patrząc nad śpiącą Cassy, sprawdził czas. Była druga trzydzieści w nocy.

Ostrożnie, aby nie zaskrzypiały sprężyny łóżka, wysunął nogi spod przykrycia i wstał.

Klepnął Kinga i wskoczył w ubranie. Teraz podszedł do komputera. Sekundę wcześniej czerwone światełko sygnalizujące pracę twardego dysku zgasło.

Podniósł czarny dysk i schował go w kieszeni. W leżącym obok komputera notesie napisał: „Wyszedłem na spacer. Niedługo wracam. Beau”.

Położył notes na swojej poduszce i po cichu wyszedł z Kingiem. Wyszedł z budynku i skierował się na parking. Pies trzymał się nogi Beau bez smyczy. Była to kolejna wspaniała noc z widocznym szerokim pasem Mlecznej Drogi wyginającym się łukiem ponad głową. Nie było księżycy, więc gwiazdy tym bardziej wydawały się błyszczeć.

Z tyłu parkingu Beau znalazł kawałek wolnego od samochodów placu. Wyjął dysk z kieszeni i położył go na asfalcie. Niemal w tej samej chwili, w której puścił dysk, ten zaczął świecić. Gdy Beau z Kingiem znaleźli się w odległości około piętnastu metrów od niego, obiekt otoczył się aureolą i zmienił swą barwę z czerwonej na białą.

Cassy spała twardo całą noc, lecz miała niepokojące sny. Nie wiedziała, co ją obudziło, ale nagle stwierdziła, że wpatruje się w sufit. Oświetlało go niezwykle światło.

Usiadła. Cały pokój był rozświetlony jaśniejącą z chwili na chwilę poświatą. Pewne było tylko to, że blask przenika z zewnątrz, przez okno. Wstając z łóżka, by sprawdzić, co się

dzieje, zauważyła nieobecność Beau, zupełnie tak samo jak poprzedniej nocy. Tym razem jednak znalazła notatkę.

Wzięła notatnik i podeszła do okna. Wyjrzała przez nie i natychmiast odkryła źródło jasności. Była to biała kula światła, którego intensywność gwałtownie rosła, tak że najbliższe samochody rzucały ciemne cienie. W następnej chwili światło zgasło, jakby je kto zdmuchnął. Cassy miała wrażenie, że nastąpiła implozja. Po sekundzie usłyszała ostry wizg, który równie nagle ustał.

Nie miała pojęcia, czego była świadkiem. Zastanowiła się, czy nie powinna zadzwonić na policję. Rozważając tę myśl, chciała się odwrócić od okna i wrócić do pokoju. W tym momencie zauważyła jakiś ruch na parkingu. Wyteńczywszy wzrok, dostrzegła mężczyznę i psa. Niemal natychmiast rozpoznała Beau i Kinga.

Musiał widzieć kulę światła! Już zamierzała do niego krzyknąć, gdy z cienia wyłoniły się jakieś postaci. Ku jej zaskoczeniu w tajemniczy sposób pojawiło się ze trzydzieści, czterdzieści osób. Parking otaczało kilka latarni, więc mogła dojrzeć niektóre twarze. Najpierw nie rozpoznała nikogo. Ale po chwili wydało jej się, że dwoje z ludzi zna. Do złudzenia przypominali Partridge'ów! Cassy kilka razy zamrugła powiekami. Obudziła się czy nadal śni? Przeszedł ją dreszcz. To było okropne uczucie nie mieć pewności co do poczucia rzeczywistości. Przez chwilę pomyślała o chorobie psychicznej.

Spojrzała znowu przez okno i zauważyła, że ludzie zgromadzili się w centrum parkingu. Zupełnie jakby mieli tajne spotkanie. Przemknęło jej przez myśl, żeby się ubrać i zejść na dół, by sprawdzić, o co chodzi, ale sama przed sobą musiała się przyznać do strachu. Cała sytuacja była surrealistyczna.

Nagle odniosła wrażenie, że King wypatrzył ją w oknie. Głowa psa odwróciła się w jej stronę, a oczy zalśniły mu jak oczy kota, kiedy świeci w nie światło. Warczenie zwróciło

uwagę wszystkich obecnych, także Beau. Popatrzyli w górę.

Cassy cofnęła się o krok, kompletnie zaskoczona. Oczy wszystkich ludzi lśniły tak samo jak oczy Kinga. Znowu przeszedł ją dreszcz i znowu zadała sobie pytanie, czy czasami nie śni.

Podeszła do swojego łóżka i włączyła lampkę nocną. Przeczytała notatkę, mając nadzieję, że znajdzie w niej jakieś wyjaśnienie, lecz była niezwykle lakoniczna. Odłożyła ją na stolik i zastanowiła się, co robić dalej. Czy powinna zadzwonić na policję? Jeśli zadzwoni, co ma powiedzieć? A jeśli ją wyśmieją? No a jeżeli przyjadą i ku jej zawstydzeniu odkryją, że istnieje proste, sensowne wytłumaczenie?

Nagle pomyślała o Pitcie. Złapała za słuchawkę i zaczęła wybierać numer. Lecz nie skończyła. Przypomniała sobie, że dochodzi trzecia nad ranem. Co on może jej poradzić? Odłożyła słuchawkę i westchnęła. Zdecydowała, że musi poczekać na powrót Beau. Nie miała pojęcia, co się dzieje, ale postanowiła, że się dowie. Zmusi Beau do wyjaśnienia wszystkiego.

Podjąwszy decyzję, nawet taką bierną, poczuła, jak jej niepokój nieco osłabł. Położyła się z powrotem do łóżka i podłożyła ręce pod głowę. Starła się nie myśleć o tym, co widziała.

Zamiast tego spróbowała się zrelaksować, koncentrując się na swoim oddechu.

Usłyszała skrzypnięcie drzwi wejściowych i błyskawicznie usiadła. Obudziła się, więc pomyślała, czy jednak to, co widziała przed chwilą, nie było snem. Rzut oka na stolik z notatnikiem Beau oraz włączone światło upewniły ją o prawdziwości całej historii.

Beau i King stanęli w drzwiach. Chłopak trzymał w ręku buty. Starał się być cicho.

– Nie śpisz – stwierdził rozczarowany.

– Czekam na ciebie – odparła.

– Ufam, że znalazłaś moją informację. – Wrzucił buty do szafy i zaczął się rozbierać.

– Owszem i doceniam to – odpowiedziała Cassy. Walczyła ze sobą. Chciała zadać swoje

pytania, ale coś ją powstrzymywało. Cała sytuacja przypominała nocny koszmar.

- Dobrze – powiedział Beau. Zniknął w łazience.
- Co tam się działo?! – zawołała za nim, dodając sobie odwagi.
- Poszliśmy na spacer, jak napisałem – stwierdził.
- Kim byli ci wszyscy ludzie?

Beau pojawił się w drzwiach łazienki, wycierał ręcznikiem twarz.

- Grupa osób tak jak ja spacerujących w nocy.
- Partridge'owie?
- Tak, byli tam. Mili ludzie. Nastawieni bardzo entuzjastycznie.
- O czym rozmawialiście? Widziałam cię z okna. Wyglądało to na spotkanie.
- Wiem, że nas widziałaś. Zresztą nie kryliśmy się ani nic w tym rodzaju. Po prostu rozmawialiśmy, przeważnie o środowisku.

Cassy wyrwał się sardoniczny śmiech. Nie mogła uwierzyć, że w tej sytuacji Beau wymyślił tak niepoważne wytłumaczenie.

- Tak, z pewnością – powiedziała. – O trzeciej nad ranem sąsiedzkie spotkanie w sprawie środowiska.

Beau podszedł do łóżka i usiadł na krawędzi. Na jego twarzy malowała się głęboka troska.

- Cassy, o co chodzi? Znowu jesteś taka zła.
- Jasne, że jestem zła.
- Uspokój się, kochanie, proszę.
- Och, Beau. Za kogo ty mnie bierzesz? Co się z tobą dzieje?
- Nic. Czuję się świetnie, sprawy idą znakomicie.
- Nie rozumiesz, jak dziwnie zacząłeś się zachowywać?

– Nie wiem, o czym mówisz. Może mój system wartości się zmienił, ale, do diabła, przecież jestem młody. Studiuję w college’u, mam się uczyć.

– Nie jesteś sobą – upierała się Cassy.

– Ależ oczywiście, że jestem. Jestem Beau Eric Stark. Ten sam facet, którym byłem w zeszłym tygodniu i dwa tygodnie temu. Urodziłem się w Brooklinie w stanie Massachusetts, z Tami i Ralpa Starków. Mam siostrę imieniem Jeanine i...

– Przestań, Beau! – wrzasnęła Cassy. – Wiem, że życiorys ci się nie zmienił. Zmieniło się twoje zachowanie. Nie widzisz?

Beau wzruszył ramionami.

– Nie widzę. Przepraszam, ale jestem tą samą osobą co zawsze.

Cassy westchnęła z poirytowaniem.

– Nie, nie jesteś, a ja nie jestem jedyną, która to dostrzegła. Twój przyjaciel Pitt uważa tak samo.

– Pitt? Twierdzisz, że powiedział, iż zachowuję się w nieoczekiwany sposób?

– No właśnie. O tym cały czas mówię. Słuchaj! Chcę, żebyś porozmawiał ze specjalistą.

Mówiąc dokładniej, pójdziemy oboje. Co ty na to? – Znowu zaśmiała się sarkastycznie. – Cholera, może to ja?

– Dobra – zgodził się Beau.

– Porozmawiasz z kimś?

– Jeżeli poprawi ci to samopoczucie, zobaczę się z kimś – przyrzekł. – Ale oczywiście będzie to musiało poczekać, aż wrócę ze spotkania z ludźmi od Nite’a, a nie wiem dokładnie, kiedy to nastąpi.

– Sądziłam, że zajmie ci to dzień – powiedziała Cassy.

– Potrwa nieco dłużej – oświadczył Beau. – Ale nie dowiem się, jak długo, dopóki się u



nich nie zjawię.

## **Rozdział 10**

## Godzina 9.50

Nancy Sellers pracowała w domu tak intensywnie, jak mogła. Z komputerem podłączonym do głównej sieci Serotec Pharmaceuticals i ze znakomitą grupą techników w swoim laboratorium potrafiła wykonać w domu znacznie więcej pracy niż w biurze.

Podstawowym powodem takiego stanu rzeczy było fizyczne odosobnienie, które chroniło ją od tysiąca problemów związanych z kierowaniem dużym laboratorium badawczym i wynikającego z nich bólu głowy. Drugim powodem był spokój wyciszonego domu, sprzyjający kreatywności.

Przyzwyczajona do całkowitej ciszy natychmiast zwróciła uwagę na trzaśnięcie frontowych drzwi. Była dziewiąta pięćdziesiąt. Pomyślała pesymistycznie, że muszą to być złe wiadomości, więc zatrzymała program, w którym pracowała, wstała i wyszła z gabinetu. Zatrzymała się przy balustradzie i spojrzała w dół na główny hol. W polu widzenia pojawił się Jonathan.

– Dlaczego nie jesteś w szkole?! – zawołała Nancy z góry. Jednocześnie otaksowała go wzrokiem, szukając śladów choroby. Krok miał jednak normalny, kolor cery także wydawał się właściwy.

Jonathan zatrzymał się u podnóża schodów i popatrzył w górę.

– Musimy z tobą porozmawiać – powiedział.

– Co znaczy „my”? – spytała Nancy. Ale ledwie rzuciła pytanie, zobaczyła za plecami syna młodą kobietę. Dziewczyna uniosła głowę.

– To Candee Taylor, mamó – Jonathan przedstawił koleżankę.

Nancy wyszło w ustach. Zobaczyła buzię chochlika i nieźle zbudowane młode ciało.

Pierwszą myślą, która przemknęła przez jej umysł, było podejrzenie o ciążę. Bycie matką nastolatka to jak balansowanie na linie – za rogiem cały czas czai się niebezpieczeństwo.

– Już schodzę – powiedziała. – Idźcie do kuchni.

Weszła jeszcze do sypialni, ale raczej żeby uspokoić emocje, a nie poprawić swój wygląd. Martwiła się, że Jonathan wpadnie w tego rodzaju kłopoty, kiedy jego zainteresowanie dziewczynami pojawiło się niczym meteor, a on sam stał się zamknięty i niekomunikatywny.

Gdy uznała, że jest przygotowana, zeszła do kuchni. Czekali na nią. Wzięli sobie po filiżance kawy. Nancy też sobie naląła i usiadła na stołku przy kuchennym pulpicie dzielącym pomieszczenie na dwie części. Dzieciaki siedziały przy stole.

– Dobra – powiedziała Nancy, przygotowana na najgorsze. – Strzelajcie.

Zaczął Jonathan. Candee najwyraźniej była zdenerwowana. Opisał, jak zachowują się rodzice Candee. Powiedział, że był tam zeszłego popołudnia i osobiście widział, co się dzieje.

– I to o tym chcieliście mi powiedzieć? – zapytała Nancy. – O rodzicach Candee?

– Tak – odparł Jonathan. – Widzisz, mama Candee pracuje w księgowości w Serotec Pharmaceuticals.

– To pewnie Joy Taylor – domyśliła się Nancy. Starła się, aby ton jej głosu nie zdradził ulgi, jaką odczuła. – Rozmawiałam z nią wiele razy.

– O tym właśnie pomyśleliśmy – powiedział Jonathan. – Mamy nadzieję, że zgodzisz się z nią porozmawiać, bo Candee jest naprawdę wystraszona.

– Cóż takiego dziwnego robi pani Taylor?

– Oboje, mama i tata – poprawiła ją Candee.

– Mogę ci opowiedzieć, jak to wygląda z mojego punktu widzenia – zaproponował Jonathan. – Aż do wczoraj nie chcieli widzieć mnie w pobliżu. Za żadne skarby. Nagle wczoraj okazali się tak przyjacielscy, że nie mogłem uwierzyć. Zaproponowali mi nawet, żebym został na noc.

– Dłaczego uznali, że chciałbyś zostać na noc? – zapytała Nancy.

Jonathan i Candee wymienili spojrzenia. Oboje zarumienili się.

– Mówisz, że zasugerowali, abyście spali razem? – sprecyzowała.

– No tego tak dosłownie nie wyrazili – odpowiedział Jonathan. – Ale tak to odebraliśmy.

– Chętnie coś powiem twoim rodzicom – stwierdziła Nancy i tak też myślała. Była przerażona.

– Ale to nie wszystko – wtrąciła Candee. – Zupełnie jakby byli innymi ludźmi. Kilka dni temu mieli zero przyjaciół. Teraz nagle wszędzie dookoła nich są ludzie... cały dzień i noc gadają o wiecznie zielonych lasach, zanieczyszczeniach atmosfery i tym podobnych sprawach. Ludzie, których, przysięgam, nigdy wcześniej nie spotkali, kręcą się po domu. Muszę zamykać drzwi do sypialni na klucz.

Nancy odstawiła filiżankę z kawą. Czowała zakłopotanie w związku z pierwotnym podejrzeniem. Popatrzyła na Candee i zamiast uwodzicielskiego powabu dostrzegła przestraszone dziecko. Wyraz jej twarzy poruszył w niej jakąś strunę instynktu macierzyńskiego.

– Chętnie porozmawiam z twoją matką – oznajmiła Nancy. – A na razie, jeśli chcesz, możesz zostać u nas, w gościnnym pokoju. Ale będę miała was na oku, żadnych wygłupów. Wiecie, co mam na myśli.

– Co ma być? – zapytała Marjorie Stephanopolis. Oboje, Cassy i Pitt, zauważyli jej promienny uśmiech. – Piękny dzień, kto by pomyślał.

Wymienili między sobą spojrzenie. Pierwszy raz zdarzyło się, żeby Marjorie podjęła próbę konwersacji z nimi. Siedzieli teraz przy stoliku „U Costy”.

– Ja wezmę hamburgera, frytki i coca-colę – powiedziała Cassy.

– Dla mnie to samo – dodał Pitt.

Marjorie zabrała menu.

– Podam jedzenie najszybciej, jak będę mogła. Mam nadzieję, że będzie wam smakowało.

– Przynajmniej ktoś cieszy się dniem – powiedział Pitt, widząc znikającą w kuchni

Marjorie. – Przychodzę tu od trzech i pół roku, ale nigdy nie usłyszałem od niej tyle co dzisiaj.

– Nigdy nie zamawiałaś hamburgera i frytek – powiedziała Cassy.

– Ani ty – dodał Pitt.

– To była pierwsza rzecz, jaka mi przyszła do głowy – przyznała Cassy. – Jestem kompletnie zbita z tropu. To, co ci powiedziałam o ostatniej nocy, to prawda. Nie miałam halucynacji.

– Ale sama przyznałaś, że zastanawiałaś się, czy to sen, czy jawa – przypomniał jej Pitt.

– Sprawdziłam, że to nie był sen – ze złością zareagowała Cassy.

– W porządku, uspokój się – odparł Pitt. Rozejrzał się dookoła. Kilka osób przy sąsiednich stolikach patrzyło w ich stronę.

Cassy pochyliła się nad stołem i szepnęła:

– Kiedy oni wszyscy spojrzeli w górę, na mnie, nawet pies, ich oczy świeciły.

– Ej, Cassy, daj spokój.

– Mówię ci prawdę! – warknęła.

Pitt rzucił kolejne spojrzenie po sali. Coraz więcej osób spoglądało na nich. Najwyraźniej głos Cassy niepokoił gości.

– Nie podnoś głosu! – Pitt szepnął z naciskiem.

– Dobra, już dobra. – Ona także zauważyła zainteresowanie, jakie wywołała. – Kiedy zapytałam Beau, o czym rozmawiali o trzeciej nad ranem, odpowiedział: „O środowisku”.

– Nie wiem, czy się śmiać, czy płakać – zastanowił się Pitt. – Myślisz, że próbował sobie żartować?

– Nie, absolutnie nie – stwierdziła z przekonaniem.

– Ale pomysł spotkania się na parkingu w środku nocy, aby porozmawiać o środowisku naturalnym, jest absurdalny.

– Tak jak to, że ich oczy świeciły. Ale nie powiedziałaś mi, co usłyszałaś od Beau w czasie waszego wczorajszego spotkania – Cassy wróciła do ich poprzedniej rozmowy.

– Nie dał mi szansy – przyznał Pitt.

Opowiedział następnie Cassy o wszystkim, co się wydarzyło w czasie gry i po niej.

Słuchała z wielkim zainteresowaniem, szczególnie o spotkaniu Beau z dobrze ubranymi biznesmenami na boisku sportowym.

– Masz pojęcie, o czym mogli rozmawiać? – spytała Pitta.

– Nic a nic.

– Czy mogli przyjechać z Cipher Software? – Miała nadzieję znaleźć jakieś racjonalne wytłumaczenie dla wszystkiego, co się wydarzyło.

– Nie wiem. A dlaczego o to pytasz?

Zanim Cassy zdołała odpowiedzieć, Pitt dostrzegł stojącą przy stole Marjorie z dwiema colami. W chwili gdy ją zauważył, stawiała napoje na stoliku.

– Zaraz będzie wasze jedzenie – poinformowała z uśmiechem na twarzy.

Gdy odeszła, Pitt powiedział:

– Muszę chyba być paranoikiem. Mógłbym przysiąc, że stała tu, by nas podsłuchiwać.

– Dlaczego miałyby to robić? – spytała Cassy.

– Zabij mnie, nie wiem. Powiedz mi, czy Beau poszedł na dzisiejsze zajęcia?

– Nie, poleciał do Cipher Software. Dlatego właśnie o nich pytałam. Twierdził, że miał

od nich wczoraj wiadomość. Sądziłam, że dzwoniли, ale może zjawili się osobiście. W każdym razie pojechał na rozmowę.

– Kiedy wraca?

– Nie wiedział.

– Cóż, może to i dobrze. Może gdy wróci, znowu będzie sobą.

Marjorie zjawiała się z jedzeniem. Z rozmachem postawiła przed nimi talerze i nawet lekko je przekręciła, tak aby dania znalazły się przed nimi w idealnej pozycji, jakby lokal „U Costy” był wykwinną restauracją.

– Smacznego! – życzyła radośnie, zanim wróciła do kuchni.

– Nie tylko Beau zachowuje się inaczej – stwierdziła Cassy. – Dotyczy to także Eda Partridge’a i jego żony oraz innych. Myślę, że cokolwiek to jest, rozszerza się. Prawdę powiedziawszy, uważam, że ma to coś wspólnego z panującą wokoło gripą.

– Amen! – dokończył Pitt. – Mam te same odczucia. To samo powiedziałem wczoraj szefowej oddziału.

– I jak zareagowała? – zainteresowała się Cassy.

– Lepiej, niż się spodziewałem. Doktor Sheila Miller należy do wyjątkowo racjonalnych i pragmatycznych osób, a mimo to zechciała mnie wysłuchać, a nawet zabrała mnie na rozmowę z szefem szpitala.

– Jaka była jego odpowiedź?

– Nie był zachwycony. Lecz gdy z nim rozmawialiśmy, on także miał objawy grypy.

– Nie smakuje wam jedzenie? – zapytała Marjorie, która znowu nieoczekiwanie pojawiła się przy stole.

– Wszystko w porządku – odpowiedziała Cassy niezadowolona, że im przerywają.

– Przecież nawet go nie tknęliście – zauważyła kelnerka. – Jeżeli coś jest nie tak, mogę

przynieść nową porcję.

– Nie ma potrzeby! – odparł ze złością Pitt.

– Jak będziecie mnie potrzebować, zawołajcie – powiedziała i szybko odeszła.

– Zaczyna mnie wkurzać – stwierdził Pitt. – Wolałem ją ponurą.

W tej samej chwili obojgu zaświtało to samo pytanie.

– O mój Boże! – szepnęła Cassy. – Myślisz, że ona też miała grypę?

– Zastanawiam się! – Pitt był równie podekscytowany. – Bez wątpienia zachowuje się inaczej niż zwykle.

– Musimy coś zrobić – zdecydowała Cassy. – Do kogo powinniśmy pójść? Masz jakiś pomysł?

– Nie bardzo. Może jeszcze raz zwrócić się z tym do doktor Miller. Ona przynajmniej słuchała. Chciałbym jej powiedzieć, że są inni ludzie, których osobowość uległa zmianie.

Wspomniałem jej jedynie o Beau.

– Miałbyś coś przeciwko, gdybym poszła z tobą? – zapytała Cassy.

– Ależ skąd. Nawet bym wolał. Zróbmy to zaraz.

– Wchodzę w to – zgodziła się Cassy.

Pitt daremnie rozglądał się po sali za Marjorie. Nie dostrzegł jej, więc westchnął z rozdrażnieniem. To było frustrujące, że prześladowała ich w czasie całego posiłku, a teraz, gdy była potrzebna, zniknęła na dobre.

– Marjorie jest za tobą – poinformowała go Cassy, wskazując palcem za plecy Pitta. – Stoi przy kasie i rozmawia z właścicielem.

Pitt odwrócił się na krześle. W tym samym momencie Marjorie i Costa również odwrócili głowy i spojrzeli Pittowi prosto w oczy. W ich spojrzeniu była taka siła, że dreszcz przeszedł mu po plecach. Odwrócił się w stronę Cassy.



– Chodźmy stąd w cholerę – powiedział. – Chyba naprawdę jestem paranoikiem. Nie wiem, dlaczego jestem tak pewny tego, ale Marjorie i Costa rozmawiali o nas.

Beau nigdy przedtem nie był w Santa Fe, ale słyszał wiele dobrego o mieście i oczekiwał tego wyjazdu. Nie rozczarował się – polubił miasto od pierwszego spojrzenia.

Przyleciał zgodnie z planem na skromne lotnisko i został zabrany przez olbrzymiego jeepa Cherokee! Nigdy wcześniej nie widział takiego pojazdu i nawet w pierwszej chwili uznał go za komiczny. Ale w czasie jazdy stwierdził, że dzięki swej wysokości przewyższa chyba normalne limuzyny. Oczywiście, z drugiej strony musiał przyznać, że nie ma dostatecznego doświadczenia z limuzynami w ogóle.

Atrakcyjność Santa Fe okazała się tylko wstępem do tego, co miał zobaczyć w Cipher Software. Po przejściu przez punkt kontrolny Beau uznał, że firma przypomina bardziej elegancki ośrodek wypoczynkowy niż zakład pracy. Trawniki z gęstą, idealnie przystrzyżoną trawą rozciągały się między rozproszonymi, zgrabnymi, nowoczesnymi budynkami. Gęsto rosnące drzewa iglaste i połyskujące stawy dopełniały obrazu.

Zaprowadzono go do centralnego budynku, podobnie jak inne wyłożonego granitem i szkłem łączonych złączącym się metalem. Kilka osób, które już wcześniej spotkał, przywitało Beau informacją, że pan Randy Nite czeka na niego w swoim gabinecie. Gdy Beau i jego liczna eskorta jechali oszkloną windą, zapytano go, czy nie ma ochoty czegoś przekąsić lub napić się. Podziękował i dodał, że czuje się świetnie.

Gabinet Randy'ego Nite'a był olbrzymi, zajmował większą część trzeciego i czwartego piętra zachodniego skrzydła. Powierzchnia o boku około piętnastu metrów została podzielona na trzy części trzema szklanymi ścianami działowymi sięgającymi po sam sufit. W centrum tej wystawnie zaaranżowanej przestrzeni stało biurko Randy'ego. Wykonano je z grubego na dziesięć centymetrów bloku czarno-złotego marmuru.

Gdy Beau został wprowadzony do gabinetu, Randy rozmawiał przez telefon, ale natychmiast przerwał rozmowę i przywołał go ręką, zapraszając do zajęcia miejsca w nowoczesnym fotelu obitym czarną skórą. Powiedział jeszcze, że za kilka minut skończy, i wrócił do rozmowy. Eskorta po wykonaniu zadania cicho opuściła gabinet szefa.

Beau widział zdjęcia Randy'ego nieskończenie wiele razy, często też oglądał go w telewizji. Przy bezpośrednim spotkaniu jawił się jako młody, wręcz chłopięcy mężczyzna z niesamowitą rudą czupryną i mnóstwem sympatycznie wyglądających piegów rozsianych na szerokiej, zdrowo wyglądającej twarzy. W jego szarzielonych oczach tliła się iskierka radości. Był wzrostu Beau, lecz nie tak jak on umięśniony, chociaż też zdawał się wysportowany.

– Ładunek nowego software'u zostanie wysłany drogą morską w następnym miesiącu – mówił Randy – a kampania reklamowa ma się zacząć już w najbliższym tygodniu. To prawdziwy dynamit. Sprawy nie mogłyby wyglądać lepiej. Zdaje się, że przewalimy się po rynku światowym jak nawałnica. Wierz mi!

Randy odłożył słuchawkę i uśmiechnął się szeroko. Ubrany był na sportowo, w niebieski blezer, sprane dzinsy i sportowe buty. To, że Beau był ubrany podobnie, nie było przypadkiem.

– Witam – powiedział Randy. Wyciągnął rękę i przywitał się z Beau. – Muszę powiedzieć, że moi doradcy jeszcze nigdy nikogo nie rekomendowali tak zdecydowanie jak ciebie. Przez ostatnie czterdzieści osiem godzin słuchałem nie kończących się pochwał. To mnie intryguje. Jak student college'u zdołał osiągnąć takie poparcie?

– Myślę, że to mieszanina szczęścia, zainteresowania i staromodnej, ciężkiej pracy – odpowiedział Beau.

Randy uśmiechnął się.

– Dobrze powiedziane. Słyszałem, że nie chcesz zaczynać od gońca, tylko od razu jako mój osobisty asystent.

– Każdy musi gdzieś zacząć.

Tym razem Randy szczerze się roześmiał.

– To mi się podoba. Pewność i poczucie humoru. Przypominasz mi mnie, kiedy zaczynałem. Dobra. Zaprezentuj się.

– Izba przyjęć wygląda na zatłoczoną – stwierdziła Cassy.

– Nigdy jeszcze nie widziałem takiej sytuacji – przyznał Pitt.

Przeszli przez parking przed szpitalem w kierunku wejścia do izby przyjęć. Stało tam kilka karet z włączonymi światłami alarmowymi. Samochody zaparkowane były przypadkowo i funkcjonariusze z ochrony szpitala musieli łagodzić wybuchające co chwila kłótnie między pacjentami. Cały hol pełen był ludzi, którzy nie mieścili się już w poczekalni.

Pitt i Cassy dosłownie musieli się przepychać do stanowiska recepcji. Pitt zauważył

Cheryl Watkins i zawołał:

– Co tu się dzieje?!

– Zalewa nas fala grypy – odparła Cheryl, po czym kichnęła i zakasłała. – Niestety personel nie jest na nią odporny.

– Jest tu gdzieś doktor Miller? – zapytał.

– Pracuje razem z innymi.

– Poczekaj tu. Zobaczę, czy uda mi się ją złapać – powiedział do Cassy.

– Pospiesz się – poprosiła. – Nigdy nie lubiłam szpitali.

Pitt włożył biały fartuch i przypiął swój szpitalny identyfikator. Tak przygotowany wyruszył na poszukiwania. Znalazł doktor Miller ze starszą kobietą, która nalegała, aby przyjąć ją do szpitala. Kobieta siedziała na wózku gotowa do powrotu do domu.

– Bardzo mi przykro – powiedziała doktor Miller. Skończyła pisać na formularzu izby przyjęć i wsunęła go do kieszeni z tyłu wózka. – Zaobserwowane u pani objawy grypy nie usprawiedliwiają pobytu w szpitalu. Jedyne, czego pani potrzeba, to wypoczynek w łóżku i dużo płynów. Za chwileczkę zjawi się mąż i zabierze panią do domu.

– Ale ja nie chcę jechać do domu – sprzeciwiała się kobieta. – Chcę zostać w szpitalu.

Mój mąż mnie przeraża. Nie jest sobą. Jest kimś innym.

W tej samej chwili zjawił się mąż. Przyprowadził go jeden z dyżurnych, aby odebrał swą żonę. Chociaż był w wieku żony, robił wrażenie bardziej rzeźkiego i sprawnego umysłowo.

– Nie, nie, proszę – błagała kobieta, widząc nadchodzącego męża. Próbowwała złapać doktor Miller za rękaw, lecz mężczyzna odwrócił wózek i skierował się ku wyjściu.

– Uspokój się, kochanie – powiedział łagodnie do żony. – Nie powinnaś niepokoić tych dobrych lekarzy.

Zdejmując lekarskie rękawiczki, Sheila złapała spojrzenie Pitta.

– Miałaś całkowitą rację z tym rozwojem grypy. Słyszałaś, co mówiła ta kobieta?

Pitt przytaknął.

– Brzmiało to podejrzenie, jakby u jej męża nastąpiła jakaś zmiana osobowości.

– Też tak to odebrałam – powiedziała i wyrzuciła rękawiczki do kubła. – No ale starsi ludzie łatwiej ulegają złudzeniom.

– Wiem, że jest pani zajęta – zaczął Pitt – ale czy mogłaby pani poświęcić mi minutę?

Moja przyjaciółka i ja chcielibyśmy z panią porozmawiać. Nie wiemy, do kogo poza panią moglibyśmy pójść.

Sheila zgodziła się natychmiast mimo chaosu panującego w izbie przyjęć. Wczorajsza opinia Pitta okazała się prorocza. Teraz Sheila była pewna, że ta grypa to coś innego; ciągle nie wyodrębniono odpowiedzialnego wirusa. Zabrała Pitta i Cassy do swojego gabinetu. Gdy

tylko drzwi zamknęły się za nimi, poczuli się jak na wyspie spokoju w samym środku sztormu. Sheila usiadła. Była wyczerpana.

Cassy opowiedziała całą historię Beau po chorobie. Chociaż poruszając pewne kwestie, czuła się nieswojo, niczego nie opuściła. Zrelacjonowała nawet wydarzenia poprzedniej nocy. Mówiła o dziwnej świetlistej kuli, potajemnym spotkaniu i świecących oczach ludzi..

Kiedy Cassy skończyła, Sheila najpierw nic nie powiedziała. Uderzała tylko ołówkiem w biurko, jakby nieobecna. Wreszcie podniosła wzrok.

– W normalnych okolicznościach przez taką opowieść trafiłabyś do psychiatry. Ale my nie mamy tu normalnych okoliczności. Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć, ale powinniśmy ustalić fakty. Więc Beau zachorował trzy dni temu?

Cassy i Pitt równocześnie przytaknęli.

– Powinnam go zobaczyć – uznała Sheila. – Sądzicie, że zechce przyjść i poddać się badaniom?

– Powiedział, że przyjdzie – zapewniła Cassy. – Specjalnie go prosiłam o wizytę u jakiegoś specjalisty.

– Możesz go przyprowadzić tutaj jeszcze dzisiaj?

Cassy pokręciła głową.

– Jest w Santa Fe.

– Kiedy wróci?

Cassy poczuła wzburzenie.

– Nie wiem. Nie powiedział mi – wydukała.

– To jedno z moich ulubionych miejsc w naszym ośrodku, czy Strefie, jak go chętnie nazywamy – powiedział Randy. Zatrzymał elektryczny wózek golfowy i wysiadł. Beau wysiadł ze swojej strony i podążył za królem software’u na mały, trawiasty pagórek. Gdy

stanęli na szczycie, widok był spektakularny.

Przed nimi znajdowało się krystaliczne jezioro pełne dzikich kaczek. Za nim wyrastał dziewiczy las odcinający się od rysujących się w tle Gór Skalistych.

– Co o tym sądzisz? – zapytał z dumą Randy.

– Wzbudza szacunek – powiedział Beau. – Pokazuje, co koncern może zrobić dla środowiska, a to daje promyk nadziei. To niewyobrażalna tragedia dla gatunku inteligentnych istot, jakimi są ludzie, że dokonały takich spustoszeń na tej wspaniałej planecie.

Zanieczyszczenia, konflikty polityczne, podziały rasowe, przeludnienie, zwyrodnienia genetyczne...

Randy przytakiwał z aprobatą aż do ostatniego zdania. Rzucił spojrzenie w stronę Beau, ale ten mówił jak w transie, spoglądając w stronę odległych gór. Randy zastanawiał się, co jego rozmówca miał na myśli, mówiąc o „zwyrodnieniach genetycznych”. Ale zanim zdołał zapytać, Beau ciągnął dalej:

– Te negatywne siły powinny znaleźć się pod kontrolą i znajdują się. Głęboko wierzę, iż istnieją odpowiednie środki do odwrócenia szkód wyrządzonych planecie. Wszystkiego tego dokona wielki wizjoner niosący pochodnię, ktoś, kto zna zagrożenia, ma siłę i nie boi się przywództwa.

Uśmiech uznania przemieszany z wdzięcznością przemknął bezwiednie przez twarz Randy’ego. Beau zauważył to kątem oka. Ten uśmiech powiedział mu, że ustawił Randy’ego tam, gdzie chciał go mieć.

– To prawdziwie wizjonerska idea jak na tak młodego człowieka – stwierdził Randy. –

Lecz czy ty naprawdę wierzysz, że naturę ludzką, taką jaka jest, można na tyle kontrolować, aby udało się naprawić całe zło?

– Zorientowałem się, że natura ludzka stanowi przeszkodę – przyznał Beau. – Jednak z

tymi zasobami finansowymi i światowymi kontaktami, jakie zgromadził pan dzięki Cipher Software, trudności można pokonać.

– Dobrze mieć wizję. – Choć postrzegał Beau jako idealistę, był pod wrażeniem. Jednak nie na tyle, aby mianować go swoim osobistym asystentem. Mógłby zacząć w służbie łączności i awansować później dzięki pracy jak inni jego asystenci.

– Co to jest tam, na kupie żwiru? – spytał Beau.

– Gdzie? – rozejrzał się Randy.

Beau podszedł kawałek i pochylił się. Udał, że podnosi jeden ze swoich czarnych dysków, który w rzeczywistości chował dotychczas w kieszeni. Trzymając w dłoni dysk, wrócił do Randy'ego i podał go na wyciągniętej ręce.

– Nie wiem, co to jest – powiedział Randy. – Ale ostatnio widziałem to u kilku moich asystentów. Z czego to zrobiono?

– Nie potrafię powiedzieć. Jest ciężkie, więc może z metalu. Proszę wziąć. Może panu uda się to stwierdzić.

Randy wziął przedmiot i zważył go w ręku.

– Zbity drobiazg – zauważył. – Jaka gładka powierzchnia. I spójrz na te symetryczne wypukłości rozmieszczone dookoła krawędzi... Ajjj! – krzyknął nagle. Upuścił dysk i chwycił się za palec, na którym natychmiast ukazała się kropla krwi.

– Ta cholerna rzecz mnie ukłuła!

– Dziwne. Proszę pozwolić mi spojrzeć – poprosił Beau.

– Także u innych osób łatwo dostrzec zmiany osobowościowe – stwierdziła Cassy w rozmowie z Sheilą. – Na przykład dyrektor szkoły, w której mam praktyki studenckie, zachowuje się kompletnie inaczej niż przed gripą. Słyszałam też o innych, choć osobiście ich nie widziałam.

– Szczerze powiedziawszy, to najbardziej mnie niepokoją właśnie te mentalne zmiany – przyznała Sheila.

Cassy, Pitt i Sheila udali się do gabinetu doktora Halprina. Sheila, uzbrojona w nowe informacje, ufała, że szef centrum tym razem będzie miał inną odpowiedź niż poprzedniego dnia. Ale kiedy znaleźli się na miejscu, spotkało ich rozczarowanie i zaskoczenie.

– Przykro mi, ale pan doktor Halprin zadzwonił dziś rano i powiadomił, że bierze wolne – oświadczyła sekretarka, pani Kapland.

– Pierwsze słyszę, żeby doktor Halprin opuścił dzień pracy w szpitalu – stwierdziła Sheila. – Podał powód?

– Powiedział, że on i żona potrzebują trochę czasu dla siebie. Ale będzie w kontakcie telefonicznym. Czy chciałaby pani zostawić wiadomość?

– Jeszcze tu zajrzemy – zdecydowała Sheila.

Zakręciła się na pięcie. Cassy i Pitt pospieszyli za nią. Dogonili ją przy windzie.

– Co teraz? – spytał Pitt.

– Nadszedł czas, aby zadzwonić do ludzi, którzy powinni przyrzeć się dokładniej sprawie – odparła Sheila. – Halprin z powodów osobistych bierze dzień wolny. To zbyt dziwne.

– Nie cierpię samobójstw – powiedział Vince. Skręcił w prawo na Main. Tuż przed nimi widział koguty wozów policyjnych i karetki pogotowia. Policyjna taśma odgradzała tłumek gapiów od miejsca wypadku. Było późne popołudnie i zaczęło zmierzchać.

– Bardziej niż zabójstw? – spytał Jesse.

– Tak. Ofiara morderstwa nie ma żadnego wyboru. Samobójstwo to sytuacja dokładnie odwrotna. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak to jest zabić siebie samego. Ciarki po mnie przechodzą.



– Jesteś dziwny – powiedział Jesse. Dla niego wszystko było na odwrót. Jego

wyprowadzała z nerwów świadomość, że ma do czynienia z niewinną ofiarą mordercy.

Uznawał, że jeśli ktoś chce z sobą skończyć, to jest to jego sprawa. Prawdziwym problemem było tylko stwierdzenie, czy samobójstwo to samobójstwo, czy może morderstwo jedynie pozorujące samobójstwo.

Vince zaparkował tak blisko miejsca zdarzenia, jak mógł. Na chodniku leżały szczątki przykryte żółtym brezentem. Jedynym widocznym śladem była strużka krwi biegnąca do krawężnika.

Detektywi wysiedli z samochodu i spojrzeli w górę. Na występie piątego piętra zobaczyli kilku chłopców z kryminalnej węszących dookoła.

Vince kichnął potężnie dwa razy pod rząd.

– Na zdrowie – zareagował błyskawicznie Jesse. Podeszedł do mundurowego stojącego blisko barierki oddzielających tłum. – Kto dowodzi? – zapytał.

– Kapitan – odparł policjant.

– Jest tu kapitan Hernandez? – zapytał zaskoczony Jesse.

– Tak, na górze.

Jesse i Vince wymienili pełne zdziwienia spojrzenia, kierując się w stronę wejścia do budynku. Kapitan rzadko pojawiał się na miejscu zdarzenia.

Budynek należał do Serotec Pharmaceuticals. Mieścił biura administracji i pomieszczenia badawcze. Oddziały produkcyjne znajdowały się poza miastem.

W windzie Vince zaczął kaszleć. Jesse odsunął się tak daleko, że można by między nich wstawić mały samochód.

– Rany. Co z tobą? – spytał chorego kolegę.

– Nie wiem. Może to jakaś reakcja alergiczna albo co.

– Zakryj chociaż usta, jak kaszlesz – poprosił Jesse.

Dojechali na piąte piętro. Front budynku zajmowały laboratoria. Znajdowało się tu kilku umundurowanych policjantów kręcących się przy otwartym oknie. Jesse zapytał, gdzie jest kapitan, i jeden z policjantów wskazał na znajdujące się z boku biuro.

– Nie sądzę, chłopcy, żebyście byli potrzebni – powiedział kapitan Hernandez na widok Jesse’ego i Vince’a. – Całość jest na taśmie.

Hernandez przedstawił policjantów kilku osobom z personelu Serotecu i technikowi operacyjnemu, który badał miejsce wypadku i znalazł taśmę. Nazywał się Tom Stockman.

– Puść jeszcze raz taśmę, Tom – polecił kapitan Hernandez.

Była to czarno-biała taśma z kamery wewnętrznego systemu ochronnego z szerokokątnym obiektywem. Dźwięk przypominał nieco odbijające się echo. Zobaczyli niskiego mężczyznę w białym kitlu laboratoryjnym stojącego twarzą do kamery. Za plecami miał okno, wyglądał na zaniepokojonego. Przed nim zgromadziła się grupa pracowników Serotecu, wszyscy w takich samych białych fartuchach. Dopóki przyglądali się niskiemu mężczyźnie, widać ich było tylko od tyłu. Jesse domyślił się, że to te same osoby, które stoją teraz w biurze obok niego.

– Nazywał się Sergei Kalinov – powiedział kapitan Hernandez. – Nagle zaczął krzyczeć na wszystkich, żeby go zostawili w spokoju. To było wcześniej na taśmie. Łatwo możecie zobaczyć, że nikt go nie dotyka ani nawet niczym nie grozi.

– Po prostu zaczął się rzucać – odezwał się jeden z pracowników. – Nie wiedzieliśmy, co robić.

Nagle Sergei zaczął szlochać, mówił, że wie, iż został zainfekowany, i że nie znieśie tego. Teraz jeden z pracowników przesunął się w kierunku Sergeia.

– To kierownik laboratorium, Mario Palumbo – wyjaśnił Hernandez. – Próbował

uspokoić Sergeia. Trudno usłyszeć słowa, bo mówił bardzo łagodnie.

– Powiedziałem tylko, że chcemy mu pomóc – usprawiedliwił się Mario.

Wtem Sergei odwrócił się i rzucił ku oknu. Mocował się z jego otwarciem. Jego szalone ruchy sugerowały, że bał się, iż ktoś zainterweniuje. Ale nikt z obecnych, włącznie z Mariem, nie spróbował go powstrzymać.

– O kurczę... – stęknął Vince i odwrócił wzrok.

Nawet Jesse poczuł nieprzyjemny skurcz żołądka, patrząc na śmierć małego człowieka.

Taśma przewijała się dalej. Jesse zobaczył pracowników Serotecu podchodzących do okna i spoglądających w dół. Lecz nie robili wrażenia ludzi przerażonych. Wyglądali bardziej na zaciekawionych. Wtem, ku zaskoczeniu Jesse'ego, zamknęli okno i wrócili do pracy.

Tom zatrzymał taśmę. Jesse popatrzył na pracowników laboratorium. Oglądali okropne sekwencje po raz kolejny, więc oczekiwał jakiejś reakcji. Nie było żadnej. Byli w jakiś zadziwiający sposób oderwani od całej sprawy.

Tom wyjął taśmę z magnetowidu i już miał ją wsunąć do torebki, w której przechowuje się dowody w sprawie, kiedy chwycił ją kapitan Hernandez.

– Zajmę się nią – powiedział.

– Ale to nie...

– Zajmę się nią – powtórzył autorytatywnie.

– W porządku – odparł Tom z akceptacją, chociaż wiedział, że nie jest to postępowanie przyjęte w policji.

Jesse patrzył za kapitanem wychodzącym z pokoju z taśmą w dłoni. Spojrzał na Toma.

– Kapitan już taki jest – powiedział Tom na swoje usprawiedliwienie.

Vince eksplodował nowym atakiem kaszlu tuż za plecami Jesse'ego. Ten odwrócił się i spojrzał zły na kolegę.

– Jezu. Jak nie zaczniesz zakrywać ust, wszystkich nas tu pozarażasz.

– Przepraszam. Zaczynam się naprawdę źle czuć. Czy tu jest zimno?

– Nie, nie jest zimno – odparł Jesse.

– Cholera, pewnie mam temperaturę – domyślił się Vince.

– Może wyjdziemy gdzieś na meksykańskie jedzenie – zasugerował Pitt.

– Nie, mam ochotę coś upichcić – zdecydowała Cassy. – To mnie zawsze uspokaja.

Przechodzili pod sznurem żarówek wiszących ponad straganami bazaru w europejskim stylu. Główną część tworzyły stanowiska sprzedaży świeżych warzyw i owoców z okolicznych gospodarstw. Ale były i inne stragany. Można było na nich kupić wszystko: od ryb aż po antyki i dzieła sztuki. To było pełne kolorów, wesołe i bardzo popularne miejsce. O tej porze, wczesnym wieczorem, bazar zatłoczony był kupującymi.

– A co chcesz przygotować?

– Spaghetti. Spaghetti primavera.

Pitt niósł siatkę, a Cassy wybierała towar. Szczególnie wybredna okazała się przy kupowaniu pomidorów.

– Nie wiem, co mam zrobić, kiedy Beau wróci – powiedziała. – Teraz tak się czuję, że nawet nie chcę go widzieć. A w każdym razie dopóki nie wróci do normalnego stanu. Cała historia coraz bardziej mnie przeraża.

– Mam dostęp do wolnego mieszkania – zaoferował się Pitt.

– Naprawdę?

– Niedaleko knajpy Costy. Właściciel jest jakimś moim dalszym kuzynem czy kimś takim. Wykłada na wydziale chemii, ale na semestr wyjechał do Francji na urlop naukowy. Chodzę karmić jego rybki i podlewać rośliny. Proponował mi, żebym został u niego, ale za dużo było kłopotów z przeprowadzką na tak krótki czas.

– Myślisz, że nie będzie miał nic przeciwko temu, żebym tam pomieszkała? – zapytała

Cassy.

– Skądże. To duże mieszkanie. Trzy sypialnie. Jeśli chcesz, ja też mogę się wprowadzić.

– Myślisz, że jestem przewrażliwiona?

– W żadnym wypadku. Po tamtej małej demonstracji na boisku ja też się go nieco obawiam – przyznał Pitt.

– Boże! Aż trudno uwierzyć, że rozmawiamy tak o Beau – powiedziała Cassy podniesionym głosem.

Pitt instynktownie objął ją ramieniem. Również instynktownie ona zrobiła to samo.

Przytulili się do siebie, nagle zupełnie niepomni obecności innych kupujących, kręcących się wokół nich. Po kilku chwilach Cassy podniosła wzrok i popatrzyła w ciemne oczy Pitta.

Oboje czuli, co mogłoby się wydarzyć. Nagle, niespodziewanie zakłopotani sytuacją, odsunęli się od siebie i szybko wrócili do wybierania pomidorów.

Z zakupami – w tym butelką wytrawnego włoskiego wina – ruszyli z powrotem do samochodu.

Przechodzili przez pchli targ. Pitt zatrzymał się gwałtownie przed jednym ze straganów.

– Cholera jasna! – krzyknął.

– Co? – przestraszyła się Cassy, gotowa uciekać. Była w stanie takiego napięcia, że spodziewała się najgorszego.

– Patrz! – powiedział Pitt, wskazując na wystawione na straganie przedmioty.

Cassy przeleciała wzrokiem zróżnicowaną kolekcję rupieci, które miały uchodzić za antyki. Przeważały małe przedmioty, jak popielniczki, porcelanowe zwierzątka, ale było też kilka większych: gliniane posążki ogrodowe czy lampki nocne. Dostrzegła też kilka szklanych pudełek z tanią sztuczną biżuterią.

– Na co miałybyśmy patrzeć? – spytała Cassy.

– Na samej górze, na półce. Między kuflem a podpórkami do książek.

Podeszli do straganu. Cassy zauważyła, co przyciągnęło wzrok Pitta.

– Czyż to nie jest interesujące – skomentowała. W idealnym szeregu leżało sześć czarnych dysków, takich jak ten znaleziony przez Beau na parkingu restauracji.

Cassy sięgnęła po jeden z nich, ale Pitt złapał ją za rękę.

– Nie dotykaj tego! – upomniał ją.

– Nie mam zamiaru zepsuć, chcę tylko zobaczyć, jakie jest ciężkie.

– Obawiam się, że to on tobie może wyrządzić krzywdę! – powiedział Pitt. – Nie odwrotnie. Ten, który znalazł Beau, jakoś go skaleczył. Albo przynajmniej Beau tak myślał.

Cóż za zbieg okoliczności. Zapomniałem o tamtym znalezisku. – Pitt pochylił się i obejrzał dysk z bliska. Pamiętał, że ani on, ani Beau nie zdołali stwierdzić, z czego zrobiony jest przedmiot.

– Zeszłej nocy widziałam ten dysk, który znalazł Beau – powiedziała Cassy. – Leżał przed komputerem, kiedy ładowały się jakieś dane z Internetu.

Pitt próbował przyciągnąć uwagę właściciela, aby zapytać go o dyski, ale ten zajęty był innym klientem.

Kiedy przyglądali się dyskom, czekając, aż sprzedawca będzie wolny, obok nich przepchnęli się potężnie zbudowany mężczyzna z kobietą.

– Tu jest kilka tych czarnych kamieni, o których wczoraj mówiła Gertruda – powiedziała kobieta.

Mężczyzna mruknął potwierdzająco.

– Gertruda mówiła, że znalazła za domem aż cztery takie – ciągnęła dalej kobieta. Nagle zaśmiała się. – Myślała, że mogą być wartościowe, dopóki się nie okazało, że inni ludzie też

znaleźli ich pełno.

Kobieta wzięła jeden do ręki.

– Ooo, ale ciężki – stwierdziła z zaskoczeniem i zacisnęła go w dłoni. – I zimny – dodała.

Zamierzała podać go swemu towarzyszowi, kiedy nagle zawołała: – Auu! – i poirytowana odłożyła przedmiot na półkę. Niefortunnie dysk zsunął się i wpadł do popielnicy, która rozprysła się na milion kawałeczków.

Odgłos tłuczonego przedmiotu natychmiast przyciągnął uwagę straganiarza. Kiedy zobaczył, co się stało, zażądał zapłaty za zniszczoną popielnicę.

– Nie mam zamiaru za nic płacić – powiedziała z oburzeniem kobieta. – To małe, czarne byle co zraniło mnie w palec. – Na dowód wyzywająco uniosła skaleczony palec.

Gest obraził właściciela straganu, który błędnie odczytał go jako obsceniczny.

Kiedy sprzedawca i kobieta sprzeczekali się, Pitt i Cassy spojrzeli na siebie dla potwierdzenia tego, co zobaczyli w zapadającym zmroku. Kiedy kobieta trzymała w górze zraniony palec, pojawił się na nim blady, niebieski, opalizujący siniak.

– Skąd się to mogło wziąć? – spytała Cassy.

– Mnie pytasz? Nawet nie jestem pewny, czy to się zdarzyło. To był przecież moment – odparł Pitt.

– Ale oboje widzieliśmy – przypomniała Cassy.

Zanim straganiarz i kobieta doszli do porozumienia, minęło ze dwadzieścia minut. Gdy kobieta i jej przyjaciel odeszli, Pitt zapytał straganiarza o czarne dyski.

– Co pan chce wiedzieć? – zapytał sprzedawca ponuro. Za popielnicę dostał tylko połowę żądanej kwoty.

– Wie pan, co to jest? – spytała Cassy.

– Nie mam najmniejszego pojęcia.

– Za ile pan je sprzedaje?

– Na początku szły nawet po dziesięć dolarów. Ale to było dzień, dwa temu. Teraz okazało się, że rynek jest nimi zasypany. Ale coś wam powiem. Te są wyjątkowej jakości, żadne podróbki. Sprzedam wam wszystkie sześć za dziesięć dolarów.

– Czy te dyski skaleczyły już kogoś wcześniej? – pytał dalej Pitt.

– No, jeden z nich mnie zakłuł. – Sprzedawca wzruszył ramionami. – Nic się nie stało.

Jak ukłucie szpilką. Teraz jednak nie potrafię powiedzieć, jak do tego doszło. – Podniósł jeden z dysków. – Są gładkie jak pupa niemowlaka.

Pitt chwycił Cassy za rękaw i odciągnął ją. Mężczyzna zawołał za nim:

– Hej, może za osiem dolarów?!

Pitt nie zwrócił uwagi na propozycję. Opowiedział natomiast Cassy historię małej dziewczynki zbesztanej przez matkę za kłamstwo, że uządlił ją czarny kamień.

– Myślisz, że to był jeden z takich dysków?

– Tego jestem właśnie ciekaw. Dziewczynka miała grypę. Dlatego znalazła się w szpitalu.

– Sugerujesz, że te czarne dyski mają coś wspólnego z grypą?

– Wiem, że to brzmi zwariowanie, ale taka była kolej zdarzeń w wypadku Beau. Ukłuł się, a kilka godzin później był chory.

## **Rozdział 11**



## Godzina 9.15

– Kiedy słyszałeś o konferencji prasowej Randy’ego Nite’a? – spytała Cassy.

– Dziś rano, gdy oglądałem Today – wyjaśnił Pitt. – Prezenter powiedział, że NBC ma zamiar przeprowadzić transmisję na żywo.

– I wymienili nazwisko Beau?

– To właśnie było zdumiewające. Dopiero co pojechał na rozmowę w sprawie pracy, a już jest częścią zespołu biorącego udział w konferencji prasowej firmy. Wielce tajemnicze.

Cassy i Pitt siedzieli w świetlicy lekarskiej w izbie przyjęć i oglądali program w trzynastocalowym telewizorze. Sheila Miller zadzwoniła do Pitta wcześniej i kazała mu zjawić się w szpitalu, najlepiej z Cassy. Salę nazywano świetlicą lekarską, ale służyła całemu personelowi za miejsce do odpoczynku czy zjedzenia przyniesionego z domu lunchu.

– Po co tu siedzimy? – zapytała Cassy. – Nie lubię opuszczać zajęć.

– Nie powiedziała, ale zgaduję, że pominęła doktora Halprina i chce, żebyśmy porozmawiali z kimś, z kim się skontaktowała.

– Wspomnimy o wczorajszym popołudniu? – zastanowiła się Cassy.

Pitt podniósł rękę, prosząc Cassy o ciszę. Prezenter w telewizji oznajmił, że Randy Nite wszedł do sali. Sekundę później ekran wypełniła znana chłopięca twarz.

Zanim zaczął mówić, odwrócił głowę i zakasłał. Zbliżył się do mikrofonu i przeprosił za swój głos.

– Właśnie złapałem grypę, więc wybaczenie.

– Uff! – stęknął Pitt. – On też.

– No więc do rzeczy – zaczął Randy. – Witam wszystkich. Dla tych, którzy mnie nie znają, nazywam się Randy Nite i zajmuję się sprzedażą software’u.

Dał się słyszeć dyskretny szmer rozbawienia wśród niewidocznego na ekranie

audytorium. Prowadzący transmisję dziennikarz wykorzystał chwilę na pogratulowanie

Randy'emu poczucia humoru; Nite był jednym z najbogatszych ludzi na świecie, więc w cywilizowanych społeczeństwach niewielu było takich, którzy go nie znali.

– Zwołałem na dzisiaj konferencję, ponieważ rozkręcam nowe przedsięwzięcie... prawdę powiedziawszy, najbardziej ekscytujące i najważniejsze w całym moim życiu.

Pomruk podniecenia przeszedł wśród zgromadzonych osób. Oczekiwali wielkich nowin i wyglądało na to, że się nie zawiodą.

– To nowe przedsięwzięcie – kontynuował Randy – nazwaliśmy Instytutem Nowego

Początku i będziemy je wspomagać wszelkimi zasobami Cipher Software. Zanim omówimy tę całkiem nową kampanię, chcę najpierw przedstawić państwu młodego człowieka, który ma wspaniałą wizję. Panie i panowie, przywitajcie mojego nowego osobistego asystenta, pana Beau Starka.

Cassy i Pitt patrzyli na siebie z szeroko otwartymi ustami.

– Nie wierzę – szepnęła Cassy.

Beau wśród aplauzu wskoczył na podwyższenie. Ubrany w garnitur ze znanej pracowni krawieckiej, z włosami zaczesanymi gładko do tyłu przypominał polityka.

– Dziękuję wszystkim za przyście – zaczął Beau z czarującym uśmiechem. Jego błękitne oczy skrzyły się niczym szafiry w opalonej twarzy. – Instytut Nowego Początku to trafnie dobrana nazwa. Będziemy szukać najlepszych i najnowocześniejszych pomysłów na polu medycyny, inżynierii, architektury i innych nauk. Naszym celem będzie odwrócenie negatywnych trendów, które zdominowały naszą planetę. Możemy skończyć z zanieczyszczeniami! Powstrzymać społeczne i polityczne konflikty! Stworzyć świat odpowiedni dla nowego gatunku ludzkiego! Możemy to zrobić i zrobimy!

Reporterzy obecni na konferencji eksplodowali tysiącem pytań. Beau podniósł rękę, aby

ich wszystkich uciszyć.

– Nie będziemy dzisiaj odpowiadać na pytania. Spotkaliśmy się tutaj, aby zareklamować przedsięwzięcie. Za tydzień zorganizujemy kolejną konferencję, na której nasi rzecznicy udzielą dokładniejszych wyjaśnień. Jeszcze raz dziękujemy wszystkim za przyście.

Pomimo pytań wykrzykiwanych przez dziennikarzy Beau zszedł z mównicy, ucisnął Randy'ego Nite'a i obaj, ramię przy ramieniu, zniknęli z wizji.

Prezenter starał się teraz wypełnić lukę, która powstała po tak niespodziewanym zakończeniu konferencji prasowej. Zaczął spekulować na temat, jakie to właściwie cele mają przyświecać nowemu instytutowi i co Randy Nite miał na myśli, mówiąc, że zaangażuje w tę inicjatywę wszelkie zasoby Cipher Software. Zauważył, że te zasoby są znaczne, przekraczają dochód narodowy wielu krajów.

– Mój Boże, Pitt! Co się stało z Beau?

– Według mnie rozmowa w sprawie pracy przebiegła pomyślnie – odparł Pitt, starając się być zabawny.

– To nie do śmiechu – zauważyła Cassy. – Coraz bardziej się boję. Co powiemy doktor Miller?

– Sądzę, że jak na razie powiedzieliśmy jej dość – zdecydował Pitt.

– Daj spokój! Musimy jej opowiedzieć o wczorajszym zdarzeniu z czarnym dyskiem.

Musimy...

– Cassy, powoli – powstrzymał ją Pitt, łapiąc za ramiona. – Pomyśl, jak to będzie dla niej brzmiało. Jest naszą jedyną szansą na zainteresowanie kogoś ważnego tym, co tu się dzieje.

Uważam, że nie powinniśmy przyspieszać.

– Ale teraz ona wie tylko o tej dziwnej grypie – powiedziała Cassy.

– I o to mi chodzi. Zwróciliśmy jej uwagę na grypę i na to, że zapewne zmienia jakoś

osobowość. Boję się, że jak zaczniemy opowiadać o odległych skojarzeniach, jak choćby to, że roznoszą ją czarne dyski, czy o świecącym na niebiesko palcu ukłutego takim dyskiem, nikt nas nie będzie słuchał. Pewnie już się zastanawia, czy nie posłać nas do psychiatry.

– Ale przecież widzieliśmy to błękitne światło – przypomniała Cassy.

– Sądzymy, że widzieliśmy. Moim zdaniem najpierw musimy ludzi w to wciągnąć. Gdy dojdą do wniosku, że w tej grypie jest coś dziwnego, wtedy natychmiast powiemy im wszystko.

Otworzyły się drzwi i weszła Sheila.

– Przyjechał człowiek, z którym chciałabym, żebyście porozmawiali – powiedziała. – Ale był głodny, więc posłałam go na dół do stołówki. Chodźmy do mnie. Przygotujemy się do rozmowy i poczekamy na jego powrót.

Cassy i Pitt wstali i poszli za Sheilą.

– Słuchajcie. Chcę, żebyście poczekali w samochodzie, a ja pójde i porozmawiam z mamą Candee. Może być? – zapytała Nancy Sellers Jonathana i Candee.

Oboje skinęli potwierdzająco głowami.

– Naprawdę to doceniam, pani Sellers – powiedziała Candee.

– Nie musisz mi dziękować. Już to, że twoi rodzice byli wczoraj zbyt zajęci, żeby porozmawiać ze mną przez telefon, i nie oddzwonili później, jest wystarczająco poważne i niewłaściwe. Oni nawet nie wiedzieli, że nocowałam poza domem.

Nancy wysiadła z samochodu, pokiwała do dzieciaków i ruszyła w stronę głównego wejścia do Serotec Pharmaceuticals. W miejscu, gdzie spadł Kalinov, ciągle jeszcze widniała plama na chodniku. Nie znała go dobrze. Był względnie nowym pracownikiem i pracował na wydziale biochemicznym, ale wiadomość wstrząsnęła nią. Wiedziała, że miał rodzinę z dwiema nastoletnimi córkami.

Wchodząc do budynku, zastanawiała się, czego powinna oczekiwać. Nie wiedziała, w jakim stanie jest zespół po wczorajszym śmiertelnym wypadku. Msza za zmarłego została zamówiona na to popołudnie. Ale natychmiast po wejściu do gmachu przekonała się, że wszystko wróciło już do dawnego trybu.

Księgowość mieściła się na trzecim piętrze i kiedy Nancy jechała na górę zatłoczoną windą, słyszała normalne rozmowy. Doszedł jej uszu nawet śmiech. Z początku sprawiło jej ulgę, że ludzie poradzili sobie ze smutnym wydarzeniem, ale gdy wszyscy pasażerowie windy wybuchnęli śmiechem po słowach, których dokładnie nie usłyszała, zaczęła czuć się nieswojo. Wesołość zdawała się nie na miejscu.

Bez kłopotu znalazła Joy Taylor. Jako jedna ze starszych pracownic miała własny pokój.

Gdy Nancy weszła, Joy zajęta była przy komputerze. Nancy pamiętała, że była to nieśmiała osoba równa jej wzrostem, ale znacznie szczuplejsza. Stwierdziła, że Candee odziedziczyła rysy raczej po ojcu.

– Przepraszam – odezwała się Nancy.

Joy podniosła wzrok. Na jej ściągniętej twarzy przemknął przez ułamek sekundy wyraz irytacji z powodu nieoczekiwanego zakłócenia pracy. Natychmiast jednak na ustach pojawił się uśmiech i oblicze stało się przyjazne.

– Witam – odparła. – Jak się pani miewa?

– Dobrze, dziękuję – odpowiedziała Nancy. – Nie jestem pewna, czy mnie pani pamięta.

Nazywam się Nancy Sellers. Mój syn Jonathan chodzi z pani córką Candee do tej samej klasy.

– Oczywiście, że panią pamiętam.

– Straszna tragedia wydarzyła się wczoraj – powiedziała Nancy, zastanawiając się, jak przejść do sprawy, która ją tu sprowadziła.

– I tak, i nie. Z pewnością dla rodziny tak, ale tak się składa, iż wiem, że pan Kalinov miał poważnie chorą nerkę.

– Tak? – zareagowała pytaniem Nancy. Informacja zaskoczyła ją.

– Owszem. Od lat musiał poddawać się dializie raz na tydzień. Była mowa o transplantacji. Jakieś problemy genetyczne. Jego brat cierpiał na to samo.

– Nie miałam pojęcia o jego chorobie – przyznała Nancy.

– W czym mogę pani pomóc? – Joy zmieniła temat.

– No właśnie. – Nancy usiadła. – Oczywiście przyszłam porozmawiać z panią o czymś innym. Jestem pewna, że to nic poważnego, ale czuję, że powinnam przynajmniej wspomnieć o tym. Chciałabym, aby pani zrobiła dla mnie to samo, gdyby Jonathan przyszedł z podobnym problemem do pani.

– Candee przyszła do pani? Z czym?

– Martwi się. I szczerze mówiąc, ja również.

Nancy dostrzegła, że rysy twarzy Joy nieznacznie się wyostrzyły.

– Co takiego powiedziała Candee, że zaczęła się pani martwić?

– Wyczuwa, że w domu zaszły jakieś zmiany. Przede wszystkim pani i mąż nagle zaczęliście oddawać się licznym rozrywkom. Doprowadziło to do tego, że straciła poczucia bezpieczeństwa. Podobno nawet jacyś ludzie próbowali wtargnąć do jej sypialni.

– Jesteśmy ludźmi towarzyskimi. Ostatnio oboje z mężem staliśmy się rzeczywiście bardziej aktywni w sprawach ochrony środowiska naturalnego. To wymaga pracy i poświęcenia, ale oboje tego chcemy. Może i pani zechciałaby dziś wieczorem wpaść na nasze spotkanie.

– Dziękuję, może innym razem – odpowiedziała Nancy.

– Proszę tylko dać znać. No, ale teraz muszę już wracać do pracy – oświadczyła Joy.

– Jeszcze chwileczkę. – Rozmowa się nie kleiła. Joy okazała się oporna wobec dyplomatycznych wysiłków Nancy. Nadszedł więc czas na większą bezpośredniość. – Mój syn i państwa córka z zaskoczeniem przyjęli także fakt, że zachęcaliście ich państwo do wspólnego spędzenia nocy. Chcę, żeby pani wiedziała, iż zdecydowanie nie zgadzam się na takie postępowanie.

– Przecież są zdrowi, a ich geny doskonale do siebie pasują – odparła Joy.

Nancy z wysiłkiem opanowała się i zachowała spokój. Nigdy nie słyszała tak dziwacznej uwagi. Nie potrafiła zrozumieć obojętności Joy wobec takiej sprawy, tym bardziej że mogło się to zakończyć ciążą nastolatki. Tak jak i spokoju Joy w porównaniu z własnym oczywistym poruszeniem.

– Jonathan i Candee tworzą udaną parę – Nancy zmusiła się do mówienia. – Ale mają dopiero po siedemnaście lat i nie są przygotowani do dorosłego życia.

– Jeśli jest tak, jak pani się wydaje, z przyjemnością wezmę to pod uwagę – odparła Joy.

– Jednak mój mąż i ja uważamy, że są sprawy o wiele bardziej palące, jak na przykład wycinanie wiecznie zielonych lasów.

Nancy miała dość. Stało się dla niej jasne, że nie jest w stanie prowadzić racjonalnej rozmowy z Joy Taylor. Wstała.

– Dziękuję, że poświęciła mi pani czas – powiedziała chłodno. – Radzę jedynie, aby zwracała pani nieco więcej uwagi na stan umysłu własnej córki. Ona się martwi. – Odwróciła się w stronę drzwi.

– Jeszcze chwileczkę – zatrzymała ją Joy.

Nancy zawahała się.

– Pani wydaje się bardzo zaniepokojona – powiedziała Joy. – Myślę, że mogę pani pomóc. – Wysunęła górną szufladę biurka i wyjęła z niej czarny dysk. Położyła go na dłoni i

wyciągnęła rękę w stronę Nancy. – To drobny upominek dla pani.

Nancy była już pewna, że Joy Taylor jest bardziej niż trochę ekscentryczna, a ten spontanicznie podarowany prezent pogłębiał tylko to wrażenie. Nancy pochyliła się, aby lepiej przyjrzeć się przedmiotowi. Nie miała pojęcia, co to jest.

– Proszę to wziąć – zachęcała Joy.

Z ciekawością sięgnęła po czarny dysk. Ale nagle rozmyśliła się i cofnęła rękę.

– Dziękuję – powiedziała – lecz powinnam już pójść.

– Proszę to wziąć – zachęcała Joy. – To odmieni pani życie.

– Lubię moje życie takie, jakie jest – odparła Nancy. Odwróciła się i wyszła z pokoju.

Wsiadając do windy, zastanawiała się nad rozmową, którą właśnie przeprowadziła. Nie spodziewała się takiego obrotu sprawy. Teraz nie wiedziała, co ma powiedzieć Candee.

Jonathan to oczywiście inna historia. Jemu powie, żeby trzymał się z daleka od Taylorów.

Drzwi do gabinetu doktor Miller otworzyły się i oboje, Pitt i Cassy, natychmiast wstali.

Łysy, choć dość jeszcze młody mężczyzna, wszedł do pokoju przed Sheilą. Ubrany był w nieokreślony, pognieciony, szary garnitur. Na końcu szerokiego nosa trzymały się okulary bez oprawek.

– To doktor Clyde Horn – Sheila przedstawiła gościa. – Jest epidemiologiem z Centrum Kontroli Chorób w Atlancie. Jego specjalnością są wirusy wywołujące gripę.

Przedstawiła też Pitta i Cassy.

– Jesteście najmłodszymi pracownikami, jakich kiedykolwiek spotkałem – skomentował Clyde.

– Nie jestem pracownikiem – poprawił go Pitt. – Jesienią mam zamiar zacząć dopiero studia medyczne.

– A ja jestem studentką, obecnie na praktykach szkolnych – dodała Cassy.



– Ach, rozumiem – odpowiedział Clyde, ale wyraźnie był zaskoczony.

– Pitt i Cassy są tu, aby przedstawić problem ze swego punktu widzenia – wyjaśniła Sheila, zapraszając jednocześnie Clyde'a do zajęcia miejsca.

Wszyscy usiedli.

Sheila opisała przypadki grypy, z którymi zetknęli się w izbie przyjęć. Miała ze sobą kilka kart choroby i wykresy, które pokazała Clyde'owi. Największe wrażenie robił gwałtowny wzrost liczby zachorowań w ciągu ostatnich trzech dni. Zaskakująca była także liczba zgonów osób z takimi samymi objawami grypy, które poza tym cierpiały na chroniczne choroby, jak cukrzyca, rak, problemy z nerkami, artretyzm czy kłopoty z wątrobą.

– Zdołaliście określić szczep? – zapytał Clyde. – Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, jeszcze go nie mieliście.

– Ciągłe nam się nie udaje. Nawet nie wydzieliliśmy wirusa – poinformowała Sheila.

– To dziwne – skomentował Clyde.

– Jedyne, co konsekwentnie obserwujemy, to znaczny wzrost limfokin we krwi – powiedziała Sheila i wręczyła Clyde'owi kolejny wykres.

– O rety, ależ wysoka koncentracja – zauważył Clyde. – I mówisz, że symptomy typowe dla grypy.

– Tak – potwierdziła Sheila. – Jedyne bardziej intensywne niż zwykle i zlokalizowane najczęściej w okolicy górnych dróg oddechowych. Ani razu nie wystąpiło zapalenie płuc.

– To z pewnością stymuluje system immunologiczny – powiedział Clyde, analizując wykres obrazujący wzrost limfokin.

– Przebieg choroby jest bardzo krótki. W przeciwieństwie do normalnej grypy choroba osiąga szczyt po kilku godzinach, pięciu, sześciu. Po dwunastu pacjent ma się już całkiem dobrze.

– Nawet lepiej niż przed chorobą – wtrącił Pitt.

Clyde zmarszczył czoło.

– Lepiej? – zapytał.

Sheila przytaknęła.

– To prawda. Po wyzdrowieniu pacjentów ogarnia jakiś rodzaj euforii z równoczesnym wzrostem poziomu energii. Niepokojące jest to, że wielu zachowuje się tak, jakby zmieniła się ich osobowość. I dlatego właśnie są tu Pitt i Cassy. Mają takiego przemienionego przyjaciela. Twierdzą z uporem, że po wyzdrowieniu zachowuje się zupełnie inaczej. Jego przypadek może być szczególnie ważny, ponieważ jest pierwszą osobą, która zachorowała na tę chorobę.

– Wykonano jakieś badania neurologiczne? – spytał Clyde.

– Owszem – potwierdziła Sheila. – U wielu pacjentów. Ale wszystko było w normie, włączając w to płyn mózgowo-rdzeniowy.

– Co z tym przyjacielem, jak się nazywa?

– Ma na imię Beau – powiedziała Cassy.

– Jego nie badaliśmy neurologicznie – oznajmiła Sheila. – Zaplanowaliśmy to, ale chwilowo jest nieosiągalny.

– W jaki sposób zmieniła się osobowość Beau? – spytał Clyde.

– Dotyczy to niemal każdej dziedziny – odparła Cassy. – Przed chorobą nigdy nie opuszczał zajęć. Po wyzdrowieniu nie poszedł już na żadne. Wstawał w nocy i wychodził na spotkania z dziwnymi ludźmi. Gdy go zapytałam, o czym z nimi rozmawiał, powiedział, że o środowisku.

– Czy ma świadomość czasu, miejsca, osoby? – pytał Clyde.

– Zdecydowanie tak – stwierdził Pitt. – Jego umysł wydaje się szczególnie precyzyjny.

Wydaje mi się także, że Beau stał się nadzwyczaj silny.

– Fizycznie? – zapytał Clyde.

Pitt skinął.

– Zmiana osobowości po grypie nie jest powszechna – stwierdził Clyde, drapiąc się bezwiednie po łysej głowie. – Ale ta grypa jest niezwykła także z innego powodu. Nigdy nie słyszałem o równie szybkim przebiegu. Dziwne! Orientujecie się, czy inne szpitale w okolicy mają te same problemy?

– Nie wiemy, ale sądzę, że Centrum Kontroli Chorób łatwiej znajdzie odpowiedź na to pytanie – stwierdziła Sheila.

Głośne walenie do drzwi poderwało Sheilę na równe nogi. Ponieważ wydała polecenie, aby jej nie przeszkadzać, najwidoczniej przysłali po nią z izby przyjęć. Ale zamiast tego zobaczyła doktora Halprina. Za nim stał Richard Wainwright, szef techników laboratoryjnych, który pomógł Sheili przygotować materiały dla Clyde'a. Richard był czerwony na twarzy i nerwowo przestępował z nogi na nogę.

– Witam, doktor Miller – Halprin przywitał się pogodnie. Całkiem już wydobrzał po grypie i rzeczywiście prezentował się jak okaz zdrowia. – Richard był łaskaw poinformować mnie, że mamy oficjalnego gościa. – Wszedł do pokoju i przedstawił się Clyde'owi jako dyrektor szpitala. Richard, onieśmielony, pozostał w drzwiach. – Obawiam się, że zjawił się pan tutaj z nie byle jakiego powodu – rzekł Halprin do Clyde'a. Uśmiechnął się łaskawie. – Jako dyrektor wykonawczy oczekuję, że wszelkie prośby o współpracę z urzędnikami z CKCh będą przechodzić przez moje biurko. Tak ujęliśmy to w naszym wewnętrznym regulaminie. Chyba, że mamy do czynienia z chorobą, o której musimy powiadomić Centrum. Ale grypa do nich nie należy.

– Bardzo mi przykro – odezwał się Clyde. Wstał. – Miałem wrażenie, że otrzymaliśmy

formalną prośbę i wszystko jest w porządku. Nie zamierzałem ingerować.

– Nic się nie stało – odpowiedział doktor Halprin. – To tylko nieistotne nieporozumienie.

Najważniejsze jest to, że nie potrzebujemy pomocy z Centrum Kontroli Chorób. Ale zapraszam do mojego gabinetu, tam wszystko wyjaśnimy. – Objął Clyde'a ramieniem i poprowadził w stronę drzwi.

Sheila z frustracją popatrzyła w sufit. Cassy, zła, że wymyka im się znakomita okazja, stanęła przed drzwiami, zastawiając wyjście.

– Proszę, doktorze Horn – odezwała się. – Niech pan nie słucha doktora Halprina. On także przeszedł tę grypę. Jest jednym z nich!

– Cassy, dość tego! – zawołała Sheila. Chwyciła ją i odciągnęła na bok.

– Przepraszam za to, Clyde – powiedział Halprin uspokajająco. – Mogę mówić do pana Clyde?

– Oczywiście – odpowiedział Clyde, nerwowo oglądając się przez ramię, jakby spodziewał się ataku.

– Jak widzisz, ten mały kłopot wzbudza wiele niepokoju – kontynuował Halprin, ciągnąc Clyde'a ze sobą do holu. – Niestety, ma to swoje złe strony. Ale przedyskutujemy to w moim biurze i załatwimy ci transport powrotny na lotnisko. Mam nawet coś, co chciałbym, abys zawiózł do Atlanty. Chyba zainteresuje to CKCh.

Sheila zamknęła drzwi za opuszczającymi jej gabinet osobami i oparła się o nie.

– Cassy, nie sądzę, żeby to było mądre.

– Przepraszam. Nie mogłam się powstrzymać.

– To z powodu Beau. On i Cassy są razem – wyjaśnił Pitt.

– Nie musisz przeproszać – powiedziała Sheila. – Jestem tak samo wściekła. Problem w tym, że wróciliśmy do punktu wyjścia.

Posiadłość była wspaniała. Choć po latach jej powierzchnia liczyła już tylko pięć akrów, dom ciągle był w dobrym stanie. Zbudowany został na początku dziewiętnastego wieku w stylu francuskich zamków. Do budowy użyto miejscowego granitu.

– Podoba mi się – powiedział Beau. Rozpostarł ramiona i zawirował na środku eleganckiej sali balowej.

King usiadł w pobliżu drzwi, jakby się bał, że może zostać pozostawiony samemu sobie w olbrzymiej rezydencji. Randy i pośredniczka w handlu nieruchomościami, Helen Bryer, stali z boku.

– Ma cztery i sześć dziesiątych akra – mówiła Helen. – To nie jest dużo jak na dom tych rozmiarów, ale przylega bezpośrednio do terenów Cipher Software, więc faktycznie ziemi jest znacznie więcej.

Beau podszedł do masywnych okien i pozwolił, aby promienie słoneczne spływały po nim. To, co zobaczył, było oszałamiające. Widok z połyskującym na pierwszym planie basenem przypominał mu obraz, który ujrzał z pagórka na terenie Cipher Software.

– Słyszałam dzisiaj pańskie poranne oświadczenie – odezwała się pani Bryer. – Muszę panu powiedzieć, panie Nite, że moim zdaniem Instytut Nowego Początku to cudowny pomysł. Ludzkość będzie panu wdzięczna.

– Nowa ludzkość – poprawił Randy.

– Tak, prawda – przytaknęła pani Bryer. – Nowa ludzkość wrażliwa na potrzeby środowiska. Myślę, że na coś takiego długo czekaliśmy.

– Nie ma pani pojęcia, jak długo! – zawołał Beau spod okna. Nagle zbliżył się do Randy'ego i Helen Bryer. – Ten dom nadaje się idealnie na potrzeby instytutu. Bierzemy go!

– Słucham? – spytała pani Bryer, choć doskonale zrozumiała, co powiedział Beau.

Chrząknęła. Spojrzała na Randy'ego dla uzyskania potwierdzenia. Randy przytaknął.

Beau uśmiechnął się i wyszedł z pokoju. King poszedł za nim.

– No cóż, to świetnie! – ucieszyła się Helen, gdy odzyskała głos. – To wspaniała posiadłość. Ale czy nie chce pan się dowiedzieć, ile żąda sprzedający?

– Proszę się skontaktować z moimi prawnikami – odpowiedział Randy i wręczył Helen Bryer wizytówkę. – Niech przygotowują dokumenty. – Randy opuścił pokój, rozglądając się za Beau.

– Oczywiście, panie Nite – potwierdziła Helen Bryer. Zamrugła. Jej głos odbił się echem w pustej teraz sali. Uśmiechnęła się do własnych myśli. To była najdziwniejsza transakcja, jaką przeprowadziła, ale co za prowizja!

Deszcz bębnił o szyby, jakby z nieba spadały ziarna grochu. Atmosfery dopełniał łoskot grzmotów. Jesse lubił burze z piorunami. Przypominały mu dzieciństwo w Detroit.

Było późne popołudnie i w normalnych warunkach zbierałby się do domu. Niestety Vince Garbon dzwonił rano, że jest chory, i Jesse musiał wykonać pracę za dwóch. Wiedział, że papierkowej pracy ma na co najmniej godzinę, sięgnął więc po pusty kubek po kawie i odsunął się od biurka. Po latach pracy wiedział, że jeszcze jedna kawa nie spowoduje bezsennej nocy, a pomoże przetrwać resztę dnia.

Jesse ruszył do automatu z kawą. Po drodze przyszło mu do głowy, że wielu z jego kolegów kichało, kaszlało i pociągało nosem. Na dodatek wielu było nieobecnych, tak jak Vince. Coś się działo i Jesse błogosławił los, że on nie został w to włączony.

Wracając do biurka, zajrzał przez szklaną ścianę do gabinetu kapitana. Ku swemu zaskoczeniu zobaczył szefa stojącego przy szybie i spoglądającego na podwładnych w sali. Ręce miał założone z tyłu, a uśmiech rozjaśniał jego twarz. Kiedy spotkał się ze wzrokiem Jesse'ego pomachał mu i ukazał zęby w szerokim uśmiechu.

Jesse też machnął ręką. Jednak usiadłszy przy swoim biurku, zaczął się zastanawiać, co

się stało kapitanowi. Po pierwsze rzadko zostawał do tej godziny, jeśli nie było jakichś szczególnych operacji, a po drugie po południu zawsze był w złym nastroju. Jesse nigdy nie widział uśmiechu na jego twarzy po dwunastej w południe.

Rozsiadł się wygodnie i z ołówkiem w ręku skupił się nad jednym z niezliczonych formularzy. Po pewnym czasie zaryzykował kolejne spojrzenie w stronę pokoju kapitana. Z zaskoczeniem stwierdził, że tamten stoi ciągle w tym samym miejscu z tym samym uśmiechem na ustach. Niczym podglądacz Jesse przyglądał się przez chwilę szefowi, zastanawiając się głęboko, z jakiego powodu może się tak uśmiechać. To nie był uśmiech rozbawienia. Miał przed sobą twarz człowieka odczuwającego satysfakcję.

Kręcąc głową z niedowierzaniem, wrócił do pliku formularzy leżących przed nim na biurku. Nie znosił papierkowej roboty, ale wiedział, że musi być zrobiona.

Pół godziny później, po wypełnieniu kilku dokumentów, Jesse znowu wstał od biurka.

Tym razem wezwała go natura. Jak zwykle kawa szybko przelatywała przez niego. Idąc do toalety na końcu sali, rzucił okiem w stronę pokoju kapitana i z ulgą stwierdził, że jest pusty. W toalecie nie tracił czasu. Zrobił, co miał do zrobienia, i szybko wyszedł. Zastał tam z pół tuzina kolegów kaszlących, kichających i wycierających zakatarzone nosy.

W drodze powrotnej zatrzymał się przy pijalni wody i przepłukał gardło. W pobliżu znajdowało się stanowisko sierżanta Alfreda Kinselli, który zauważył Jesse'ego ze swojego boksu.

– Hej, Jesse! – zawołał Alfred. – Jak leci?

– W porządku. A jak tam z twoim zdrowiem?

– Bez zmian – odpowiedział Alfred. Odkaslnął. – Ciągle muszę od czasu do czasu mieć transfuzję.

Jesse skinął głową. Podobnie jak większość chłopaków dawał często krew dla Alfreda.

Przykro mu było z jego powodu. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak to jest mieć ciężką chorobę, której lekarze nie potrafią nawet zdiagnozować.

– Chcesz zobaczyć coś dziwnego? – spytał Alfred. Znowu chrząknął i nagle złapał go atak kaszlu. Przyłożył rękę do piersi.

– Wszystko dobrze?

– Tak, tak myślę – odparł Alfred. – Ale w ciągu ostatniej godziny zacząłem się czuć dość licho.

– Ty i wszyscy inni. Co masz takiego dziwnego?

– Te drobiazgi – powiedział Alfred.

Jesse podszedł do sięgającego piersi kontuaru otaczającego stanowisko sierżanta.

Zauważył, że przed Alfredem leżą w rzędzie czarne dyski, każdy miał około czterech centymetrów średnicy.

– Co to jest? – spytał Jesse.

– Nie mam zielonego pojęcia. Miałem nadzieję, że może ty mi to powiesz.

– Skąd się wzięły?

– Słyszałeś o tych łobuzach, których zamknięto w czasie ostatnich dwóch dni za zachowania lubieżne i zgromadzenia w miejscach publicznych bez zezwolenia.

Jesse skinął. Wszyscy o tym mówili i Jesse na własne oczy widział ich dziwne zachowanie.

– Każdy z tych ludzi miał ze sobą taką małą zabawkę.

Jesse zbliżył twarz do dziwnych przedmiotów, żeby lepiej im się przyjrzeć. Wyglądały jak przykrywki jakichś pojemników. Było ich chyba ze dwadzieścia.

– Z czego są zrobione? – zapytał Jesse.

– Cholera je wie, ale jak na swój rozmiar są ciężkie. – Alfred kichnął kilka razy i



wysiąkał nos.

– Zobaczmy jednego – zdecydował Jesse. Wsunął rękę przez otwór w siatce oddzielającej stanowisko dyżurującego podoficera od reszty sali, aby wziąć jeden z dysków.

Alfred złapał go za rękę.

– Ostrożnie! – ostrzegł. – Wyglądają na idealnie gładkie, ale kłują. To jakaś diabelska sztuczka, bo nie byłem w stanie znaleźć żadnej ostrej krawędzi. A ukłuły mnie już kilka razy.

Uczucie jak przy użądleniu pszczoły.

Biorąc sobie do serca radę Alfreda, Jesse cofnął rękę, sięgnął po długopis i usiłował nim zakreślić dyskiem. Ku jego zdziwieniu nie przyszło to łatwo. Rzeczywiście był ciężki. W żaden sposób nie udało się wprowadzić go w ruch wirowy. Jesse poddał się.

– No dobra, wygrałeś – powiedział. – Nie mam pojęcia, co to jest.

– Dzięki, że przynajmniej spróbowałeś – powiedział Alfred, pokaszując.

– Zdaje się, że ci się pogorszyło przez tę chwilę, jak tu stoję. Może lepiej poszedłbyś do domu – zasugerował Jesse.

– Wytrzymam. Służbę zacząłem dopiero o piątej.

Jesse poszedł do swojego biurka, planując, że zostanie nie dłużej niż pół godziny, ale nie zaszedł daleko. Za nim najpierw rozległ się ciężki, głośny kaszel, a potem łomot.

Odwrócił się i zobaczył, że Alfred zniknął z pola widzenia. Podbiegł do kontuaru i usłyszał stukanie, jakby ktoś kopał w szafkę. Na ile mógł, przechylił się przez blat i spojrzał w dół. Na podłodze leżał Alfred. Skulonym ciałem wstrząsały konwulsje.

– Hej, ludzie! – zawołał. – Alfred zemdlął!

Pierwszy wskoczył na kontuar i przeskoczył na drugą stronę, przy okazji strącając na podłogę większość przedmiotów, w tym wszystkie czarne dyski. Skupiony na Alfredzie, Jesse nie zauważył, że wszystkie wylądowały gładko, zajmując tę samą pozycję co przedtem.

Pierwsze, co zrobił, to wziął klucze Alfreda i rzucił je na blat, żeby koledzy mogli otworzyć drzwi do boksu. Większość z nich jednak nie zareagowała. Teraz wcisnął zwinięty papier pomiędzy zaciśnięte szczęki Alfreda. Zabrał się do rozpinania guzika pod szyją sierżanta, gdy zauważył coś, co wprawiło go w osłupienie. Z oczu Alfreda zaczęła się sączyć piana!

Zszokowany widokiem Jesse wyprostował się. Nigdy nie widział czegoś podobnego. Przypominała mu pianę w kąpielni.

Do Jesse'ego dołączyło kilku innych policjantów. Wszyscy stali równie zaskoczeni, widząc wydobywającą się z jego oczu pianę.

– Skąd, u diabła, to się bierze? – zapytał jeden z policjantów.

– Co to ma za znaczenie – odparł Jesse, przerywając trans. – Wzywamy pogotowie.

Szybko!

Rozległ się głośny huk grzmotu. Równocześnie wózek z trzaskiem otworzył drzwi do izby przyjęć Uniwersyteckiego Centrum Medycznego. Pchało go dwóch sanitariuszy. Kilka kroków za nimi szedł Jesse Kemper. Na wózku leżał Alfred Kinsella. Jego ciałem wstrząsały konwulsje. Twarz miał siną, a z oczu ciągle wydobywała się piana, zupełnie jak z dwóch otwartych butelek szampana.

Z gabinetu wyszła Sheila oraz Pitt i Cassy. Przez większość dnia porównywali wszystkie przypadki grypy, włącznie z tymi z bieżącego dnia. Sheila usłyszała poruszenie i natychmiast zareagowała. Dyżurna pielęgniarka poinformowała ją o niecodziennym przypadku. Pacjent był w izbie. Sanitariusze zadzwonili z karetki zaraz po opuszczeniu posterunku policyjnego.

Sheila przejęła wózek z chorym. Spojrzała na Alfreda. Dostrzegłszy pianę, nakazała sanitariuszom wieźć chorego do sali zarezerwowanej dla przypadków zakaźnych. Nie spotkała się jeszcze z takimi objawami, więc nie chciała ryzykować. Kiedy sanitariusze

szybko toczyli wózek do wyznaczonej sali, Sheila zawała przełożoną pielęgniarek i nakazała jej sprowadzić zespół neurologiczny.

Jesse złapał Sheilę za ramię.

– Pamięta mnie pani? Jestem detektyw porucznik Jesse Kemper. Co się stało sierżantowi Kinselli?

Sheila odepchnęła rękę policjanta.

– Tego właśnie chcemy się dowiedzieć. Pitt, chodź ze mną. To będzie lekcja w ogniu walki. Cassy, zabierz porucznika Kempera do mojego gabinetu. Poczekalnia jest zbyt zatłoczona.

Cassy i Jesse odprowadzili wzrokiem spieszących za wózkiem Sheilę i Pitta.

– Cieszę się, że nie jestem lekarzem – powiedział Jesse.

– Ja również – dodała Cassy. Wskazała na gabinet Sheili. – Chodźmy. Pokażę panu, gdzie ma pan poczekać.

Nie czekali długo. Pół godziny później Sheila i Pitt stanęli w drzwiach. Miny mieli pogrzebowe. Nietrudno było odgadnąć przyczynę.

– Nie udało się? – spytała Cassy.

Pitt pokręcił głową.

– Nie odzyskał przytomności – powiedziała Sheila.

– To ta sama grypa? – zapytała Cassy.

– Prawdopodobnie. Miał wysoki poziom limfokin we krwi – odparł Pitt.

– A czym, do diabła, są te limfokiny? – wtrącił się Jesse. – Czy to go zabiło?

– Limfokiny to składniki krwi, które bronią organizmu przed inwazją – wyjaśniła Sheila.

– To reakcja na chorobę, a nie jej przyczyna. Proszę mi powiedzieć, czy pan Kinsella był chory na jakąś chorobę chroniczną, na przykład cukrzycę?

– Nie był cukrzykiem. Ale cierpiał na poważne kłopoty z krwią. Co jakiś czas musieli mu robić transfuzję.

– Mam pytanie – wtrąciła się nieoczekiwanie Cassy. – Orientuje się pan, czy sierżant Kinsella wspominał kiedykolwiek o czarnych dyskach tej mniej więcej wielkości? – Złożyła kciuk i palec wskazujący w kółko o średnicy około czterech centymetrów.

– Cassy! – jęknął Pitt.

– Cicho! W tej chwili nie mamy wiele do stracenia, a sporo do zyskania.

– Co to za historia z czarnymi dyskami? – zapytała Sheila.

Pitt wywrócił oczami.

– No i mamy – rzucił w powietrze.

– Masz na myśli dyski o płaskiej podstawie, kopulastym wierzchu i takich małych wypustkach dookoła krawędzi? – spytał Jesse.

– Właśnie – potwierdziła Cassy.

– Tak, pokazał mi ich kilkanaście tuż przed atakiem konwulsji.

Cassy posłała Pittowi pełne triumfu spojrzenie. Wyraz rozdrażnienia na jego obliczu ustąpił miejsca zainteresowaniu.

– Czy mówił, że któryś z nich go ukłuł? – zapytał chłopak.

– Tak, i to wielokrotnie – przytaknął Jesse. – Mówił, że to jakaś sztuczka, bo nie potrafił znaleźć żadnej ostrej krawędzi. I wiecie co, teraz gdy o tym myślę, przypominam sobie, że szef posterunku, kapitan Hernandez, też został ukłuty przez jeden z tych przedmiotów.

– Może ktoś wyjaśniłby mi, o co chodzi z tymi dyskami – poprosiła Sheila.

– Znaleźliśmy jeden cztery dni temu – powiedziała Cassy. – No, właściwie znalazł go Beau. Wydłubał go ze zwiru na parking.

– Byłem tam, gdy go znalazł – dodał Pitt. – Nie mieliśmy pojęcia, co to może być.

Myślałem, że to wypadło spod samochodu.

– Po chwili Beau powiedział, że to coś go ukłuło – dziewczyna kontynuowała opowieść.

– No i kilka godzin później zachorował na grypę.

– Jeśli mam być szczery, to zupełnie zapomnieliśmy o dysku – przyznał Pitt. – Ale tutaj,

w izbie przyjęć, robiłem wywiad z małą dziewczynką chorą na grypę, która powiedziała, że ugryzł ją czarny kamień.

– Ale dopiero wczoraj zdarzyło się coś, co każe nam poważnie o tym myśleć – znowu opowiadanie przejęła Cassy.

Zrelacjonowała zdarzenie z targu. Powiedziała nawet o sinoniebieskim świetle, które, jak im się zdawało, widzieli. Kiedy skończyła, zapadła cisza.

Wreszcie Sheila wydusiła przez zaciśnięte usta:

– To istne wariactwo i jak już powiedziałam, w normalnych okolicznościach zaordynowałabym wam obojgu poradę psychiatryczną. Jednak w tej chwili chcę zbadać każdy możliwy trop.

– Powiedz mi, czy Beau zorientował się, że zachowuje się inaczej? – zapytał Jesse.

– Twierdzi, że nie – zaprzeczyła Cassy. – Ale trudno mi w to uwierzyć. Robi takie rzeczy, których nigdy wcześniej nie robił.

– Zgadzam się – potwierdził Pitt. – Tydzień temu był zdecydowanym wrogiem trzymania w mieście dużych psów. Nagle kupił sobie takiego.

– Tak, i to bez porozumienia ze mną. A mieszkamy razem. Ale czemu pan pyta?

– To mogłoby być ważne, gdyby ludzie zainfekowani celowo oszukiwali – stwierdziła Sheila. – Musimy być dyskretni. Ale może przyjrzymy się jednemu z tych dysków.

– Możemy wrócić na targ – zaproponował Pitt.

– Chyba udałoby mi się skołować jeden z posterunku – zaoferował się Jesse.

– Spróbujcie obaj – powiedziała Sheila. Wzięła dwie służbowe wizytówki i na odwrocie napisała domowy telefon. Jedną wręczyła Pittowi, drugą Jesse’emu. – Który z was pierwszy zdobędzie dysk, niech do mnie zadzwoni. Ale jak powiedziałam, zachowajcie dyskrecję. Według mnie, jeśli jest w tym choć odrobina prawdy, możemy się spodziewać paniki, jeśli rozejdą się plotki.

Zanim się rozstali, Pitt dał Sheili i Jesse’emu numer telefonu do mieszkania swojego kuzyna. Wyjaśnił, że on i Cassy zatrzymają się tam na jakiś czas. Cassy popatrzyła na niego pytająco, lecz nie zaprzeczyła.

– W którą stronę do straganu z dyskami? – spytał Pitt.

Znaleźli się na targu mniej więcej o tej samej wieczornej porze co poprzedniego dnia.

Rynek zajmował sporych rozmiarów teren, prawie tyle, ile dwie miejskie przecznice, więc zabudowany małymi straganami był trudną do opanowania płataniną dróg i drózek.

– Pamiętam, gdzie kupowaliśmy produkty – powiedziała Cassy. – Spróbujmy pójść tą samą drogą.

– Dobry pomysł – zgodził się Pitt.

Stosunkowo łatwo znaleźli miejsce, gdzie kupili pomidory.

– Co po pomidorach? – zastanawiał się chłopak.

– Kupiliśmy owoce. To było w tamtym kierunku. – Cassy wskazała ponad ramieniem Pitta.

Znalazłszy stragan z owocami, oboje bez trudu przypomnieli sobie, jak dojść do pchlego targu. Kilka minut później stali przed poszukiwanym kramem. Niestety, był pusty.

– Przepraszam – Cassy zagadnęła właściciela sąsiedniego straganu. – Może mi pan powiedzieć, gdzie jest człowiek, który wczoraj tu sprzedawał?

– Zachorował. Rozmawiałem z nim dziś rano. Jak większość z nas dostał grypy.

– Dziękuję – powiedziała Cassy, a szeptem zapytała Pitta: – Co teraz zrobimy?

– Miejmy nadzieję, że porucznikowi Kemperowi lepiej się powiedzie.

Jesse prosto ze szpitala pojechał na posterunek, lecz zanim wszedł do środka, zawahał się.

Wieści o śmierci Kinselli z pewnością dotarły tu i ludzie będą zdenerwowani. Z pewnością

nie był to najlepszy moment, aby kręcić się wokół stanowiska podoficera dyżurnego,

szczególnie jeżeli w pobliżu znajduje się też kapitan. Tym bardziej że po tym, co

opowiedzieli Pitt i Cassy, przypomniał sobie, jak dziwnie zachowywał się ostatnio szef.

Jesse pojechał więc do domu. Mieszkał około półtora kilometra od posterunku w małym

domku, wystarczająco jednak dużym dla jednej osoby. Mieszkał samotnie od ośmiu lat, gdy

jego żona zmarła na raka piersi. Mieli dwoje dzieci, jednak wolały one atmosferę Detroit.

Jesse przygotował sobie prosty obiad. Po kilku godzinach zaczęła go kusić myśl o powrocie

na posterunek, jednak wiedział, że wzbudzi zdziwienie paru osób, bo normalnie nie miał w

zwyczaju zjawiać się o tej porze w pracy, jeżeli nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego.

Zastanawiając się nad jakimś wyjaśnieniem zdarzeń, pomyślał o Cassy i Pitcie i o tym, czy im

się udało. Jeżeli zdobyli dysk, nie musiał już się starać.

Przeszukał pełne skrawków papieru kieszenie i znalazł telefon do dzieciaków. Wybrał

numer. Odebrał Pitt.

– Porażka – powiedział chłopak. – Facet od dysków zachorował. Pytaliśmy innych, ale

cały targ opanowany jest chorobą, więc nikt ich więcej nie ma.

– Cholera – zaklął Jesse.

– Panu też się nie udało? – spytał Pitt.

– Jeszcze nie próbowałem – przyznał Jesse. Niespodziewanie przyszedł mu do głowy

pewien pomysł. – Słuchaj, czy moglibyście pójść ze mną na posterunek? Może to się wydać

śmieszne, ale jeżeli wejdę sam, wszyscy zaczną się zastanawiać, co tam robię. A jeżeli będzie

wyglądało, że prowadzę jakieś dochodzenie, nie będzie problemu.

– Dla mnie może być – zgodził się Pitt. – Proszę poczekać, zapytam Cassy.

Jesse bawił się przewodem telefonicznym. Chłopak szybko wrócił.

– Zrobi wszystko, aby pomóc – powiedział. – Gdzie się spotkamy?

– Przyjadę po was. Ale dopiero po północy. Niech wieczorne gangi wrócą do domu.

Łatwiej będzie w czasie nocnej zmiany. Na posterunku jest znacznie mniej ludzi. – Im

bardziej o tym myślał, tym sensowniejszy wydał mu się pomysł.

Był kwadrans po pierwszej, kiedy Jesse zajechał na parking posterunku policyjnego i zatrzymał się na swoim miejscu. Wyłączył silnik.

– Dobra – powiedział. – Plan jest następujący. Wchodzimy głównym wejściem.

Przejdziecie przez bramkę z wykrywaczem metalu. Zaraz potem idziemy prosto do mojego biurka. Gdyby ktoś was pytał, co tu robicie, odpowiedzcie po prostu, że jesteście ze mną, jasne?

– Jest się czego bać? – spytała Cassy. Nigdy nie sądziła, że będzie musiała znaleźć się na posterunku policji.

– Nie, absolutnie nie – zapewnił Jesse.

Wysiedli z wozu i weszli do budynku. Gdy Pitt i Cassy przechodzili przez detektor, usłyszeli słowa policjanta siedzącego przy biurku: „Tak, proszę pani. Będziemy tak szybko, jak się da. Rozumiemy, że szopy potrafią wyrządzić szkody. Niestety z powodu panującej grypy mamy niedobór funkcjonariuszy”. Kilka chwil później siedzieli przy biurku Jesse’ego.

Sala operacyjna posterunku była wyludniona.

– Jest lepiej, niż sądziłem – stwierdził Jesse. – Prawie nikogo tu nie ma.

– Dobry czas na obrabowanie banku – stwierdził Pitt.

– To nie jest zabawne – syknęła Cassy.



– Okay, wstajemy i idziemy do stanowiska podoficera dyżurnego – zdecydował Jesse.

Okratowane stanowisko było zamknięte. Jedyne światło z sali nieco rozjaśniało odgródzone od reszty wnętrze.

– Poczekajcie – powiedział Jesse. Wyjął swój klucz, żeby otworzyć drzwi. Krótki rzut oka na podłogę dał do zrozumienia, że ktoś posprzątał po wypadku i podniósł z podłogi czarne dyski oraz inne przedmioty. – Cholera! – zaklął.

– Coś nie tak? – zapytał Pitt.

– Ktoś tu sprzątał. Dyski pewnie pochowano w koperty z dowodami, a leży tu ich cała góra.

– Co pan zamierza?

– Otworzyć je wszystkie. Nie ma innego rozwiązania.

Jesse zaczął pracę. Trwało to dłużej, niż się spodziewał. Musiał odgiąć zabezpieczające blaszki, otworzyć kopertę i zajrzeć do środka.

– Możemy pomóc? – zaoferował się Pitt.

– Tak, czemu nie. Inaczej spędzimy tu całą noc.

Oboje weszli do boksu i naśladując porucznika, zabrali się do pracy.

– Muszą gdzieś tu być – odezwał się po chwili milczenia poirytowany Jesse.

Pracowali w ciszy. Po kolejnych pięciu minutach porucznik podniósł rękę i szepnął:

– Cicho!

Uniósł się powoli, tak że mógł spojrzeć ponad kontuarem. Usłyszał kroki. To, co zobaczył, przyprawiło go o szybsze bicie serca. Musiał zamrugać, aby się upewnić, że to nie przywidzenie. Nie mylił się. To był kapitan i szedł w ich kierunku.

Skulił się momentalnie.

– Jezu – wyszeptał. – Kapitan tu idzie. Włóżcie pod kontuar i ani mru-mru.

Gdy dzieciaki się ukryły, Jesse wstał. Miał jeszcze dość czasu, żeby wyjść z boksu. Szedł szybko i spotkał się z kapitanem w połowie sali.

– Oficer na dole powiedział, że tu jesteś, Kemper – odezwał się kapitan. – Co ty, u diabła, tu robisz? Jest prawie druga w nocy.

Jesse miał zamiar odwrócić pytanie, bo o wiele bardziej zaskakująca była obecność o tej porze kapitana niż jego. Ale powstrzymał się.

– Mam sprawę, w którą wplątana jest para dzieciaków.

– W boksie oficera dyżurnego zajmującego się ewidencją dowodów? – zapytał kapitan, spoglądając ponad ramieniem Jesse’ego w stronę boksu.

– Tak, właśnie szukam jednego dowodu – odparł Jesse i aby zmienić temat, dodał: – Straszna historia z Kinsellą.

– Bo ja wiem – powiedział kapitan. – Cierpiał na chroniczną chorobę krwi. Słuchaj, Kemper, a jak ty się czujesz?

– Ja? – Jesse odpowiedział pytaniem. Poczul się naprawdę zakłopotany reakcją kapitana na wspomnienie o Kinselli.

– Jasne, że ty. Kogo jeszcze mógłbym w tej chwili pytać?

– Dobrze. Dzięki Bogu.

– Tak, to dziwne – skomentował kapitan. – Zanim wyjdiesz, zajrzyj do mnie.

– Jasne, kapitanie – odparł Jesse.

Hernandez jeszcze raz popatrzył ponad ramieniem Jesse’ego na boks, zanim wrócił do swego pokoju. Jesse odprowadził przełożonego wzrokiem, zastanawiając się, cóż może mu chodzić po głowie.

Gdy kapitan zniknął z pola widzenia, Jesse wskoczył do boksu i powiedział:

– Musimy znaleźć jeden z tych dysków i zmiatajmy stąd.

Cassy i Pitt wyczołgali się ze swojego ukrycia. Cała trójka intensywnie wznowiła poszukiwania.

– Aha! – szepnął Jesse, zaglądając do wyjątkowo ciężkiej koperty. – Wreszcie! – Włożył rękę, żeby wyciągnąć zawartość.

– Niech pan nie dotyka! – ostrzegła go Cassy.

– Będę ostrożny – uspokoił ją Jesse.

– To się dzieje bardzo szybko – powiedział Pitt.

– Dobra już, więc nie dotknę tego – obiecał. – Podpiszę tylko kwit pobrania i wychodzimy stąd.

Kilka minut później znaleźli się z powrotem przy biurku Jesse’ego. Porucznik zerknął w stronę pokoju szefa. Paliło się światło, ale kapitana nigdzie nie dostrzegł.

– Przyjrzyjmy się temu – zaproponował Jesse. Rozchylił kopertę i pozwolił dyskowi wysunąć się na blat.

– Wygląda dość niewinnie – stwierdził. Tak jak wcześniej użył długopisu do obrócenia dysku. – Nie ma tu żadnego otworu. Jak to może kogokolwiek ukłuć?

– Dwukrotnie byłem świadkiem. Raz ktoś palcem, a raz całą dłonią okrył zewnętrzną powłokę dysku – powiedział Pitt.

– Ale jeżeli nie ma żadnego otworu, to jest niemożliwe – upierał się Jesse. – Może nie wszystkie są takie same. Może niektóre kłują, a inne nie. – Wyjął okulary do czytania, które nosił raczej na pokaz, włożył je na nos i pochylił się nad dyskiem, aby lepiej mu się przyjrzeć.

– Przypomina wypolerowany onyks, tyle że nie błyszczy. – Końcem palca dotknął wierzchołka kopuły dysku.

– Nie robiłbym tego – ostrzegł Pitt.

– Jest zimny – relacjonował swe wrażenia Jesse, lekceważąc uwagę. – Jest też bardzo

gładki. – Ostrożnie przesunął koniuszek palca po kopule w dół ku krawędzi, aby zbadać małe wypukłości oznaczające brzeg dysku. Odgłos zatrzasniętej szafki przy biurku oficera dyżurnego wystraszył go i spowodował, że gwałtownie cofnął rękę. – Jestem chyba nieco spięty – wyjaśnił.

– I słusznie – zauważył Pitt.

Jesse, gotowy cofnąć dłoń przy najmniejszej reakcji dysku, dotknął małej wypustki. Nic się nie wydarzyło. Równie ostrożnie zaczął wodzić końcem palca wokół krawędzi dysku.

Przesunął się o mniej więcej dziewięćdziesiąt stopni, gdy zaszło coś niezwykłego.

Milimetrowej wielkości otwór pojawił się w gładkiej i jednolitej dotychczas powierzchni na krawędzi dysku.

Jesse oderwał rękę w chwili, w której pojawiła się srebrzysta igła. Wysunęła się na kilka milimetrów z otworu, a z jej końca wypłynęła kropla żółtawego płynu. W następnej chwili igła się schowała, a otwór znikł. Wszystko trwało sekundę.

– Też to widzieliście czy może zwariowałem? – odezwał się Jesse.

– Widziałam – potwierdziła Cassy. – I to jest dowód. Mokra plamka na blacie.

Jesse, zdenerwowany, przechylił głowę i przez szkła, jak zawsze nazywał okulary, dokładnie badał miejsce, gdzie przed chwilą pojawił się otwór.

– Nic tu nie ma, nawet rysy.

– Zaraz. Niech się pan zanadto nie zbliża. Ten płyn musi wywoływać infekcję – przypomniał Pitt.

Jesse, nieustannie bojący się o swoje zdrowie, nie potrzebował kolejnych ostrzeżeń.

Wstał z krzesła i cofnął się o kilka kroków.

– Co powinniśmy zrobić? – zapytał.

– Potrzebne będą jakieś nożyczki i pojemnik, najlepiej szklany – powiedział Pitt. –

Przydałoby się też coś do odkażania.

– Mógłby być słoik po śmietance do kawy? – zapytał Jesse. – Co do płynu do odkażania, to nie wiem, ale sprawdzę w apteczce. Nożyczki są w górnej szufladzie.

– Słoik będzie dobry – uznał Pitt. – Macie gumowe rękawiczki?

– Tak. Zaraz wracam.

Jesse zdołał znaleźć wszystko, czego potrzebował Pitt. Chłopak nożyczkami wyciął kółko z bibuły, nasączył je tajemniczym płynem i włożył do słoika. Chociaż nie dostrzegł już plamy na blacie, zdezynfekował miejsce. Rękawiczki i nożyczki włożył do plastikowego worka.

– Sądzę, że powinniśmy teraz zadzwonić do doktor Miller – zaproponował, kiedy uporał się ze wszystkim.

– Teraz? – powtórzył z niedowierzaniem Jesse. – Przecież jest po drugiej w nocy.

– Prosiła, żeby natychmiast ją o wszystkim informować. Domyślam się, że chciałaby bez zwłoki się dowiedzieć, co zawiera nasza próbka – stwierdził Pitt.

– Dobrze, ale ty dzwonisz – zgodził się porucznik. – Ja pójde się zobaczyć z kapitanem.

Zanim wrócę, zastanówcie się, czy mam was odstawić do centrum medycznego, czy do domu.

Umysł Jesse'ego wypełniała plątanina nie powiązanych ze sobą myśli. Tak wiele szalonych rzeczy wydarzyło się w krótkim czasie, szczególnie to magiczne wręcz pojawienie się pęknięcia w czarnym dysku, że poczuł się oszołomiony. Był też wyczerpany. Bądź co bądź dawno minęła pora, w której normalnie kładł się spać. Wszystko wydawało się nierealne. Łącznie z tym, że po drugiej w nocy szedł na rozmowę do kapitana.

Drzwi do gabinetu kapitana były uchylone. Jesse stanął w wejściu. Hernandez siedział przy biurku i pochłonięty był pisaniem, jakby to się działo za dnia, a nie w środku nocy. Jesse musiał przyznać, że szef wygląda lepiej niż kiedykolwiek i to pomimo późnej pory.

– Przepraszam, kapitanie, miałem się zgłosić.

– Wejdz – zaprosił kapitan i przywołując Jesse’ego ręką, wskazał mu krzeselko przy biurku. Uśmiechał się. – Dzięki, że wpadłeś. Powiedz, jak się czujesz?

– Bardzo zmęczony – przyznał Jesse.

– Nie chory?

– Nie, dzięki Bogu.

– Rozwiązałeś sprawę z tymi dzieciakami?

– Pracuję nad tym.

– Tak, chciałem cię nagrodzić za ciężką pracę. – Kapitan wysunął jedną z szuflad i wyjął z niej czarny dysk!

Zaskoczony Jesse otworzył szeroko oczy.

– Chcę, żebyś przyjął ten symbol nowego początku – powiedział kapitan. W wyciągniętej dłoni trzymał czarny dysk.

Porucznika zaczęła opanowywać panika.

– Dziękuję, kapitanie, ale nie mogę tego przyjąć.

– Ależ oczywiście, że możesz. To może nie wygląda aż tak, ale potrafi zmienić twoje życie. Zaufaj mi.

– Och, wierzę panu. Ja po prostu nie zasługuję na to.

– Nonsens, bierz to, mój drogi.

– Nie, dziękuję. Naprawdę jestem zmęczony. Muszę położyć się spać.

– Rozkazuję ci to wziąć – powiedział kapitan. W jego głosie pojawiła się odległa nuta złości.

– Tak jest – odparł Jesse. Wyciągnął drżącą rękę. Oczami wyobraźni zobaczył błyszczącą chromem igłę. Nagle przypomniało mu się, że aby uruchomić mechanizm, należy dotknąć krawędzi dysku. Zauważył też, że kapitan nie dotyka krawędzi, lecz trzyma przedmiot płasko

na dłoni.

– Weź to, przyjacielu – ponaglał kapitan.

Jesse przysunął swoją otwartą dłoń do dłoni kapitana. Ten patrzył mu prosto w oczy.

Jesse odwzajemniał spojrzenie i zauważył, że źrenice oczu kapitana rozszerzyły się. Przez chwilę panowało trudne do wytrzymania, pełne napięcia milczenie. W końcu kapitan ostrożnie podsunął kciuk pod spód dysku, a palcem wskazującym przytrzymał go za wierzchołek kopuły. Najwyraźniej unikał kontaktu z krawędzią. Włożył dysk w dłoń Jesse'ego.

– Dziękuję, szefie – powiedział porucznik, unikając spoglądania na przekłęty przedmiot.

Postanowił czym prędzej wyjść z pokoju kapitana.

– Jeszcze będziesz mi wdzięczny! – zawołał za nim kapitan.

Jesse dopadł swego biurka przerażony, że w każdej chwili może zostać ukłuty. Tak się jednak nie stało. Udało mu się bez wypadku zsunąć dysk z dłoni. Upadając, stuknął w swego kolegę niczym jedna bila w drugą.

– Rany! A co to... – zaczął Pitt.

– Nie pytaj! – przerwał mu Jesse. – Ale coś wam powiem: kapitan na pewno nie jest po naszej stronie.

Trzymając słoik po śmietance do kawy pod światło, Sheila wpatrywała się w skrawek bibuły.

– To może się okazać przełomem w naszej sprawie – powiedziała. – Ale powiedzcie jeszcze raz, co dokładnie się wydarzyło.

Cassy, Pitt i Jesse jednocześnie zaczęli mówić.

– Oj! – przerwała im. – Nie wszyscy naraz.

Cassy i Pitt ustąpili Jesse'emu. Porucznik zaczął opowiadać, a oni uzupełniali historię

detalami. Kiedy Jesse doszedł do tego momentu, gdy w dysku pojawił się otwór, szeroko otworzył oczy i cofnął gwałtownie rękę tak samo jak wtedy.

Sheila postawiła słoik na biurku i popatrzyła przez okular mikroskopu. Jeden z dysków leżał na podstawie.

– Cała sytuacja staje się coraz bardziej dziwaczna – zauważyła. – Coś wam powiem: powierzchnia wygląda na całkiem gładką, pozbawioną wszelkich skaz. Daję słowo, to solidny kawałek, cokolwiek to jest.

– Tak to wygląda, ale takie nie jest – stwierdziła Cassy. – To bez wątpienia jakiś mechanizm. Wszyscy widzieliśmy otwór.

– I igłę – dodał Pitt.

– Kto mógłby coś takiego zrobić? – zastanawiał się na głos Jesse.

– Kto to zrobił – poprawiła go Cassy.

Cała czwórka popatrzyła na siebie z konsternacją. Przez dłuższą chwilę nikt się nie odezwał. Pytanie dziewczyny wprowadziło ich w zakłopotanie.

– Cóż, wydaje mi się, że nie zdołamy odpowiedzieć na żadne pytanie, dopóki nie dowiemy się, co znajduje się w płynie, którym nasiąkła bibułka – powiedziała w końcu Sheila. – Problem w tym, że będę musiała to zrobić sama. Richard, kierownik techników laboratoryjnych, zdradził się już przed szefem w sprawie naszego gościa z CKCh. Nie mogę zaufać ludziom z laboratorium.

– I tak musimy postarać się o pomoc innych – stwierdziła Cassy.

– Tak, na przykład wirusologa – dodał Pitt.

– Biorąc pod uwagę to, co przydarzyło się panu Hornowi, nie będzie to łatwe – uznała Sheila. – Trudno jest stwierdzić, kto przechodził tę grypę, a kto nie.

– Z wyjątkiem osób, które dobrze znamy – wtrącił Jesse. – Wiedziałem, że kapitan



zachowuje się dziwnie. Nie wiedziałem tylko dlaczego.

– Ale nie możemy usprawiedliwiać się tym, że nie wiemy, kto był chory, a kto nie, i siedzieć z założonymi rękami – powiedziała Cassy. – Musimy ostrzec ludzi, którzy jeszcze nie zostali zainfekowani. Znam parę, która może służyć wielką pomocą. Ona jest wirusologiem, a on fizykiem.

– Brzmi to idealnie, jeżeli nie zostali zakażeni – stwierdziła Sheila.

– Myślę, że mogę sprawdzić – ofiarowała się Cassy. – Ich syn jest uczniem w jednej z klas, gdzie mam praktykę. On może się domyślać, że coś się dzieje, bo rodzice jego dziewczyny zachorowali.

– To może niepokoić – uznała Sheila. – Z tego, co porucznik Kemper mówi o kapitanie, wynika dla mnie, że ludzie po przejściu grypy zachowują się jak głosiciele ewangelii.

– Amen – podsumował Jesse. – Nie zamierzał przyjąć odmowy. Postanowił dać mi dysk bez względu na to, co o tym sądzę. Chciał, żebym zachorował, co do tego nie ma wątpliwości.

– Będę ostrożna i dyskretna – obiecała Cassy.

– Dobrze, spróbujmy. Ja tymczasem wykonam kilka wstępnych badań tego płynu – zdecydowała Sheila.

– Co zrobimy z dyskami? – zapytał Jesse.

– Pytanie brzmi raczej, co one zrobią z nami – zauważył Pitt i popatrzył na przedmiot umieszczony pod mikroskopem.

## **Rozdział 12**

# Godzina 9.00

Poranek był cudowny. Dalekie, poszarpane, purpurowe szczyty gór na tle bezchmurnego, błękitnego nieba przypominały kryształy ametystu zatopione w kąpeli ze złotego światła. Przed bramą posiadłości zebrał się wyczekujący tłum. Stali tam ludzie w różnym wieku i o różnej pozycji społecznej, od mechaników po supernaukowców, od gospodyń domowych po prezydentów korporacji, od studentów po profesorów uniwersyteckich. Wszyscy byli ożywieni, szczęśliwi, promieniujący zdrowiem. Panowała świąteczna atmosfera.

Z domu wyszedł Beau, u jego boku szedł King. Zszedł po schodach, przeszedł około piętnastu metrów i odwrócił się. To, co zobaczył, wielce go uradowało. Poprzedniego dnia nad ścieżką do domu powieszono olbrzymi transparent: INSTYTUT NOWEGO POCZĄTKU... WITAMY!

Beau omiótł wzrokiem otoczenie. W ciągu ostatniej doby wykonał kawał roboty. Cieszył się, że poza krótką drzemką nie potrzebował już normalnego snu. Inaczej wszystko to nie byłoby możliwe.

W cieniu drzew, ale i na skąpanych słońcem trawnikach spacerowały dziesiątki psów rozmaitych ras. W większości były to duże zwierzęta, a żadne nie było na smyczy. Beau wiedział jednak, że są czujne jak wartownicy, i był zadowolony.

Raźnym krokiem wrócił do przedsionka, aby dołączyć do Randy'ego.

– To jest to – powiedział Beau. – Możemy zaczynać. – Co za dzień – odparł Randy.

– Wpuszczamy pierwszą grupę. Zaczną w sali balowej.

Randy wyjął telefon komórkowy, połączył się z jednym ze swoich ludzi i kazał mu otworzyć bramę. Kilka chwil później Randy i Beau usłyszeli śmiechy w rześkim porannym powietrzu. Z miejsca, w którym stali, nie mogli dojrzeć bramy głównej, ale doskonale słyszeli narastający gwar rozmów zbliżających się ludzi.

Huczący z podniecenia tłum zaroił się przed domem, otaczając wejście gęstym półkolem.

Beau uniósł rękę niczym rzymski wódz, a wszyscy natychmiast zamilkli.

– Witajcie! – zawołał. – Oto nowy początek! Wy jesteście dowodem, iż podzielamy te same idee i wizje. Wiemy, co musimy zrobić. Więc zrobmy to!

Tłum eksplodował brawami i okrzykami aprobaty. Beau popatrzył na promieniejącego Randy'ego. On także klaskał. Beau skinął Randy'emu, żeby ten wszedł do domu, i zaraz ruszył za nim.

– Cóż za elektryzująca chwila – powiedział Randy, wchodząc do ozdobionej sali balowej.

– Jakbyśmy tworzyli jeden potężny organizm – odparł Beau, kiwając głową ze zrozumieniem.

Obaj mężczyźni znaleźli się w dużym, słonecznym pokoju. Stanęli na uboczu. Tuż za nimi weszli zgromadzeni goście. Wypełnili salę. Wtem, jakby w odpowiedzi na nie wypowiedziany, niewidoczny gest, zaczęli demontować wystrój sali.

Cassy odetchnęła z ulgą, kiedy drzwi do domu Sellersów otworzyły się i ujrzała w nich Jonathana. Spodiewając się najgorszego, przypuszczała, że od razu stanie twarzą w twarz z Nancy Sellers.

– Panna Winthrop! – powiedział Jonathan z mieszaniną zaskoczenia i zachwytu.

– Rozpoznajesz mnie także poza szkołą – odpowiedziała Cassy. – Jestem pod wrażeniem.

– Oczywiście, że panią rozpoznaję. – Jonathan zarumienił się. Siłą woli musiał się powstrzymać, aby jego wzrok nie powędrował poniżej szyi Cassy. – Proszę wejść.

– Czy rodzice są w domu? – spytała Cassy.

– Mama jest.

Cassy przyjrzała się obliczu chłopca. Z jasnymi włosami opadającymi na czoło i ciągle uciekającym, nieśmiałym spojrzeniem wyglądał bardzo naturalnie. Ubranie jeszcze to

potwierdzało. Luźne bermudy i za duży blezer po prostu wisiały na nim.

– Jak się ma Candee? – spytała Cassy.

– Nie widziałem jej od wczoraj.

– A co z jej rodzicami?

Zaśmiał się krótkim, sardonicznym śmiechem.

– To dziwacy. Moja mama rozmawiała z matką Candee. Zero rezultatów.

– A jak się czuje twoja mama? – Starła się przyjrzeć dokładnie oczom Jonathana.

Niestety, przypominało to pogoń wzrokiem za piłeczką pingpongową.

– Moja mama jest w porządku. Czemu?

– Wielu ludzi zachowuje się ostatnio dziwnie. No wiesz, jak rodzice Candee czy pan Partridge.

– Tak, wiem. Ale mama jest okay.

– A tata?

– Z nim też wszystko dobrze.

– Świetnie. No to teraz chętnie skorzystam z twojego zaproszenia. Przyszłam porozmawiać z twoją mamą.

Jonathan zamknął drzwi za Cassy i ryknął na całe gardło, że przyszedł gość. Głos odbił się echem we wnętrzu domu. Cassy aż podskoczyła. Zamiast zachowywać się spokojnie, była napięta jak struny gitary.

– Napije się pani czegoś? – zapytał Jonathan.

Zanim zdolała odpowiedzieć, przy balustradzie na piętrze stanęła Nancy Sellers. Ubrana była w sprane dzinsy i luźną bluzę.

– Kto przyszedł, Jonathanie?! – zawołała. Widziała Cassy, ale ponieważ promienie słońca wpadały przez okno nad schodami, twarz dziewczyny znalazła się cieniu.

Jonathan odkrzyknął, kim jest gość, i skinął ręką na Cassy, aby weszła do kuchni. Jeszcze dobrze nie usiadła przy barowym stole, a już zjawiała się Nancy.

– A to niespodzianka – powiedziała. – Wypije pani filiżankę kawy?

– Chętnie – odparła Cassy. Obserwowała uważnie kobietę, gdy ta kazała synowi przygotować filiżankę, a sama zajęła się ekspresem do kawy. O ile była w stanie stwierdzić, Nancy wyglądała i zachowywała się tak samo jak podczas ich pierwszego spotkania.

Cassy poczuła pewną ulgę. Zaczęła się rozluźniać, gdy Nancy nalewała kawy. Nagle zauważyła na palcu kobiety plaster i poczuła, jak serce zabiło jej żywiej. Jakakolwiek rana na dłoni nie była tym, czego sobie w tej chwili najbardziej życzyła.

– Czemu zawdzięczamy wizytę? – zapytała Nancy, nalewając również sobie małą kawę.

Cassy zapanowała nad tonem.

– Co się pani stało w palec? – zapytała.

Nancy spojrzała na plaster, jakby pojawił się dopiero w tej chwili.

– Drobne skaleczenie.

– Podczas prac kuchennych?

Nancy przyjrzała się Cassy uważnie.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– No... – zająknęła się Cassy. – Owszem, ma. Nawet duże znaczenie.

– Mamo, panna Winthrope niepokoi się ludźmi, którzy się zmieniają – wtrącił Jonathan, znowu przychodząc jej z pomocą. – No wiesz, jak matka Candee. Powiedziałem, że z nią rozmawiałaś i że nie robiła wrażenia normalnej.

– Jonathan! – sapnęła Nancy. – Ojciec i ja ustaliliśmy, że nie będziemy rozmawiać z Taylorami. Przynajmniej do czasu...

– Nie sądzę, aby to mogło czekać – przerwała Cassy. Wybuch Nancy wzbudził zaufanie i

wiarę, że matka Jonathana nie została zainfekowana. – Ludzie zmieniają się w całym mieście, nie tylko Taylorowie. Być może dzieje się tak i w innych miastach. Nie wiemy tego.

Związane jest to z chorobą przypominającą grypę i na ile jesteśmy w stanie dziś stwierdzić, epidemię roznoszą małe czarne dyski, które potrafią kłuć.

Nancy wpatrywała się w Cassy szeroko otwartymi oczami.

– Mówi pani o czarnych dyskach z wypustkami na obwodzie, o średnicy około czterech centymetrów?

– Właśnie. Widziała pani takie? Wielu ludzi je ma.

– Matka Candee próbowała mi dać jeden – wyjaśniła Nancy. – Czy dlatego pytała pani o to skaleczenie?

Cassy przytaknęła.

– To był nóż. Oporny chleb plus ostry nóż.

– Przepraszam za podejrzenie – powiedziała Cassy.

– Myślę, że było usprawiedliwione – przyznała Nancy. – Ale dlaczego przyszła pani właśnie do nas?

– Poprosić panią o pomoc. Stworzyliśmy grupę, małą grupę, która próbuje wyjaśnić, co się dzieje. Ale potrzebujemy pomocy. Mamy nieco płynu z jednego z dysków, a pani jako wirusolog będzie wiedziała, co z tym dalej zrobić. Boimy się skorzystać z laboratorium szpitalnego, ponieważ podejrzewamy wielu ludzi ze szpitala o zainfekowanie.

– Spodziewacie się wirusa?

Cassy wzruszyła ramionami.

– Nie jestem lekarzem, ale choroba bardzo przypomina grypę. Niczego również nie wiemy o czarnych dyskach. W związku z nimi pomyśleliśmy o pomocy, jakiej mogłby udzielić pani mąż. Nie wiemy, ani jak działają, ani z czego są zrobione.

– Muszę to przedyskutować z mężem – stwierdziła Nancy. – Jak mogę się z panią skontaktować?

Cassy dała numer telefonu do mieszkania kuzyna Pitta, w którym spędziła ostatnią noc, a także bezpośredni numer do doktor Sheili Miller.

– Doskonale. Jeszcze dzisiaj postaram się z panią skontaktować – obiecała Nancy.

Cassy wstała.

– Dziękuję. Jak powiedziałam, potrzebujemy waszej pomocy. Problem rozprzestrzenia się jak dżuma.

Ulica była ciemna, rozjaśniona jedynie plamami światła rzucanymi przez uliczne latarnie.

Zbliżało się dwóch mężczyzn prowadzących duże owczarki niemieckie. Tak mężczyźni, jak i psy zachowywali się, jakby patrolowali okolicę. Nieprzerwanie kręcili głowami to w jedną, to w drugą stronę, obserwując i nasłuchując.

Nadjechał ciemny sedan i zatrzymał się. Szyba zjechała i w oknie pojawiła się blada twarz kobiety. Mężczyźni patrzyli na nią, ale nikt nic nie mówił. Wyglądało to na rozmowę bez słów. Po kilku minutach szyba podniosła się i samochód odjechał.

Mężczyźni podjęli na nowo swój marsz, a kiedy spojrzenie jednego z nich powędrowało w kierunku Jonathana, chłopcu zdało się, że oczy mężczyzny świecą albo raczej odbijają niewidoczne światło. Instynktownie cofnął się od okna i zasunął zasłonę. Nie zorientował się, czy mężczyzna z ulicy dostrzegł go, czy nie. Po chwili palcem delikatnie rozchylił zasłony na środku, robiąc wąską szparę. Stał w ciemnym pokoju i nie bał się, że zdradzi go błysk światła. Zbliżył oko do szpary. W dole ulicy tak jak przedtem szło dwóch mężczyzn z psami.

Odetchnął z ulgą. Nie zauważyli go.

Zasunął zasłonę i wyszedł z łazienki. Dołączył do innych w bawialni. Wraz z rodzicami przyjechał do mieszkania Pitta i Cassy. Było dość duże, trzypokojowe, położone w

kompleksie parkowym. Uznał, że jest fajne. Było w nim kilka imponujących akwariów i tropikalnych roślin.

Zamierzał powiedzieć im, co widział, ale byli zbyt pochłonięci rozmową. Przynajmniej wszyscy poza ojcem. On stał nieco z boku oparty o półkę nad kominkiem. Jonathan znał ten wyraz łaskawego przyzwolenia. Ojciec wyglądał tak zawsze, kiedy Jonathan prosił go o pomoc w matematyce.

Jonathan został już wszystkim przedstawiony. Czarnego policjanta spotkał wcześniej. Zrobił na nim wówczas duże wrażenie. Odwiedził ich klasę zeszłej jesieni, w dzień poświęcony poznawaniu różnych zawodów. Doktor Sheili Miller nigdy przedtem nie widział. Wydała mu się bardzo rozważną osobą. Gdyby nie blond włosy, przypominałaby mu wiedźmę z filmu o Królownie Śnieżce, który rodzice kazali mu oglądać, kiedy był dzieckiem. Nie była tak kobieca jak Cassy. Nie zmieniały tego długie paznokcie, tym bardziej że miała je pomalowane na ciemny kolor.

Kolega Cassy, Pitt, robił wrażenie porządnego faceta, tyle tylko że Jonathan był trochę zazdrosny o studentkę. Nie wiedział, czy chodzą ze sobą, ale wyglądało na to, że mieszkają razem. Żałował, że nie wygląda jak Pitt, a nawet że nie ma ciemnych włosów, jeśli takie właśnie lubi Cassy.

Sheila chrząknęła.

– Podsumujmy więc. Mamy do czynienia z czynnikiem zakażającym, który wywołał chorobę u świnki morskiej, ale zwierzęta nie wytworzyły żadnych rozpoznawalnych mikrociał, przede wszystkim wirusów. Choroba nie przenosi się drogą kropelkową, inaczej wszyscy byśmy się zarazili. Przynajmniej ja bym zachorowała, skoro niemal mieszkam ostatnio w szpitalnej izbie przyjęć. Wypełniona jest przecież od kilku dni chorymi, którzy nieustannie kaszlą i kichają.



– Wyhodowaliście jakieś kultury? – spytała Nancy.

– Nie. Sama nie jestem dostatecznie biegła w takiej pracy.

– Sądzi pani, że chorobę roznoszą wyłącznie czynniki zewnętrzne – powiedziała Nancy.

– Zdecydowanie – potwierdziła Sheila. – Te czarne dyski.

Oba dyski leżały w otwartym plastikowym pojemniku stojącym na ławie. Nancy wzięła widelec i zaczęła je okręcać dookoła, aby lepiej się im przyjrzeć. Następnie spróbowała odwrócić jeden z nich, ale że nie miała ochoty złapać go palcami, operacja okazała się niewykonalna. Zrezygnowała.

– Nie rozumiem, jak to może ukłuć. Wydaje się tak jednorodne.

– Ale bez wątpienia potrafią kłuć – zapewniła ją Cassy. – Widzieliśmy na własne oczy.

– Otwór pojawia się na krawędzi – powiedział Jesse, wziął widelec i wskazał miejsce. –

Wtedy wyskakuje igła i strzyka tym czymś.

– Naprawdę nie widzę, gdzie by to mogło być – stwierdziła Nancy.

Jesse wzruszył ramionami.

– Nas to też zdumiało.

– Choroba jest nietypowa – powiedziała Sheila, zmieniając temat rozmowy. – Jej objawy zasadniczo przypominają symptomy grypy, lecz okres inkubacji trwa tylko kilka godzin od zakażenia. Przebieg jest krótki i samoograniczający, trwa także tylko kilka godzin z wyjątkiem osób chronicznie chorych, na przykład cukrzyków. Niestety, dla tych osób choroba niesie błyskawiczną śmierć.

– Podobnie dla tych z chorobą krwi – wtrącił Jesse na wspomnienie Alfreda Kinselli.

– Prawda – przytaknęła Sheila.

– I jak do tej pory nie udało się wyizolować wirusa – dodał Pitt.

– Też prawda – zgodziła się Sheila. – A najbardziej zaskakujące i zdumiewające jest w tej

chorobie to, że po wyzdrowieniu zmienia się osobowość chorego. Chorzy czują się nawet lepiej niż przed chorobą. Zaczynają też interesować się środowiskiem naturalnym. Mam rację, Cassy?

Cassy przytaknęła.

– Odkryłam, że mój chłopak wyszedł w środku nocy, żeby porozmawiać z obcymi ludźmi. Kiedy go zapytałam, o czym rozmawiali, odparł, że o środowisku. W pierwszej chwili myślałam, że żartuje, ale mówił poważnie.

– Joy Taylor powiedziała mi, że ona z mężem codziennie urządzają spotkania w sprawie środowiska naturalnego – wtrąciła Nancy. – Nagle podjęła problem niszczenia wiecznie zielonych lasów.

– Zaraz, zaraz! – odezwał się Eugene. – Jako naukowiec mam wszelkie podstawy, by twierdzić, że wszystko, co do tej pory usłyszałem, to pogłoski i historyjki. Przesadzacie, moi drodzy.

– To nie tak – zaprotestowała Cassy. – Widzieliśmy, jak dysk się otworzył, i widzieliśmy igłę. Widzieliśmy nawet ludzi ukłutych.

– Nie w tym rzecz – zauważył Eugene. – Nie macie żadnych naukowych dowodów, że ukłucia wywołują chorobę.

– Nie mamy wiele materiału dowodowego, ale świnki morskie zachorowały. To jest pewne – stwierdziła Sheila.

– Musicie wykryć związek przyczynowo-skutkowy w warunkach w pełni kontrolowanych. Na tym polega badanie naukowe. W innym wypadku można mówić jedynie o nieokreślonych podejrzeniach. Potrzebujecie dowodu na powtarzalność.

– Mamy dyski – powiedział Pitt. – Nie są wymysłem naszej wyobraźni.

Eugene odepchnął się lekko od kominka i pochylił nad pojemnikiem z dyskami.

– Czy dobrze was rozumiem? Staracie się powiedzieć, że te lite małe drobiazgi otwierają się, chociaż nie ma żadnych śladów rysy, tym bardziej jakichś drzwiczek czy klapki.

– Wiem, że to brzmi dziwnie – stwierdził Jesse. – Też bym w to nie uwierzył, gdybyśmy tego nie zobaczyli. Wyglądały, jakby najpierw pękły, a później same się zespawały.

– Właśnie pomyślałam o czymś – wtrąciła Sheila. – Mieliśmy w szpitalu dziwny przypadek. Jeden z naszych sprzątaczy zmarł. Miał w dłoni otwór, który powstał w niewyjaśniony sposób. Pokój, w którym go znaleźliśmy, był zdemolowany. Pamiętasz, Jesse. Byłeś tam.

– Jasne, że pamiętam. Spekulowano o promieniowaniu, ale niczego nie odkryliśmy.

– W tym pokoju leżał wcześniej mój chłopak – wyjaśniła Cassy.

– Jeżeli tamta sprawa jest związana z chorobą i czarnymi dyskami, mamy większy problem, niż sądziliśmy – uznała Sheila.

Wszyscy z wyjątkiem Eugene’a, który znowu oparł się o obramowanie kominka, spoglądali na czarne dyski i ze sceptycyzmem odnosili się do tego, co podpowiadały im ich umysły. W końcu odezwała się Cassy:

– Myślę, że wszyscy myślimy o tym samym, ale boimy się to powiedzieć. Więc ja to powiem. Może te małe czarne dyski nie są stąd. Może te przedmioty nie pochodzą z naszej planety.

Eugene westchnął zniecierpliwiony. Inni przyjęli słowa Cassy całkowitym milczeniem.

Jedynie oddechy i tykanie ściennego zegara wypełniały wnętrze. Gdzieś w oddali usłyszeli klakson samochodu.

– Zastanówmy się nad tym – przerwał ciszę Pitt. – W noc poprzedzającą znalezienie przez Beau dysku, wybuchł mi telewizor. Prawdę powiedziawszy, wielu studentów straciło wtedy telewizory, radia, komputery, różnego rodzaju elektroniczny sprzęt, który akurat był

włączony.

– O której to było? – spytała Sheila.

– Piętnaście po dziesiątej.

– Wtedy przepalił mi się magnetowid – przypomniała sobie Sheila.

– To tak jak moje radio – dodał Jonathan.

– Jakie radio? – spytała Nancy. Pierwszy raz o tym słyszała.

– To znaczy radio Tima, w samochodzie – poprawił się chłopak.

– Sądysz, że wszystkie te wypadki są związane z czarnymi dyskami? – Pitt zapytał Cassy.

– To zastanawiające – odparła Nancy. – Eugene, czy te silne fale radiowe znalazły ostateczne wyjaśnienie?

– Nie, niestety. Ale nie podpierałbym tymi faktami niedorobionej teorii.

– Bo ja wiem – powiedziała Nancy. – Jest to co najmniej podejrzane.

– Ooo! To znaczy że rozmawiamy o pozaziemskim wirusie. Ekstra! – zawołał Jonathan.

– Żadne ekstra! – oburzyła się jego mama. – To przerażające.

– Hej, kochani – ostrzegła Sheila. – Nie pozwalajmy, żeby nasze fantazje zaczęły żyć własnym życiem. Jeżeli dojdziemy do wniosku, że zarazki z Andromedy opanowują Ziemię, trudno będzie zdobyć jakąś pomoc.

– Przed tym właśnie próbuję was ostrzec – zauważył Eugene. – Zaczynacie przypominać grupę maniaków od zagadnień paranormalnych.

– Czy choroba pochodzi z zaświatów, czy stąd, jest faktem – stwierdził Jesse. – Uważam, że nie powinniśmy się o to kłócić. Raczej należy zacząć wyjaśniać, co to jest i co możemy z tym zrobić. Nie powinniśmy marnować czasu, bo jeżeli rozprzestrzenia się to tak szybko, jak sądzymy, wkrótce może być za późno.

- Masz całkowitą rację – zgodziła się Sheila.
- Wyizoluję wirus, jeżeli występuje w próbce – obiecała Nancy. – Wykorzystam moje laboratorium. Nikt tam nie pyta, co robię. Kiedy będziemy mieli wirus, będziemy mogli przedstawić naszą sprawę w całości w Waszyngtonie albo dyżurnemu lekarzowi kraju.
- Pod warunkiem, że do tego czasu lekarz dyżurny kraju sam nie zostanie zainfekowany – zauważyła Cassy.
- To rozsądna uwaga – pochwaliła Nancy.
- Nie mamy wyboru – zdecydowała Sheila. – Eugene ma rację, że jeśli zaczniemy rozpowiadać dookoła o domysłach i hipotezach, nikt nie zdecyduje się nam zawierzyć.
- Zacznę pracę rano – oświadczyła Nancy.
- Czy ja też mógłbym jakoś pomóc? – spytał Pitt. – Jestem na wyższym kursie chemii, ale interesuję się mikrobiologią i pracowałem w szpitalnym laboratorium.
- Oczywiście. Ja też zauważyłam w Serotecu dziwnie zachowujących się ludzi. Nie będę wiedziała, komu zaufać – przyznała Nancy.
- Chciałbym pomóc w wyjaśnieniu, czym są te dyski, ale nie wiem, gdzie zacząć szukać – przyznał Jesse.
- Zabiorę je do mojego laboratorium – zaoferował się Eugene. – Nawet jeśli ma to polegać jedynie na dowiedzeniu, że nie pochodzą z Andromedy, warte będzie mojego czasu.
- Niech pan nie dotyka krawędzi – ostrzegł Jesse.
- Nie ma potrzeby się martwić. Mamy możliwości manipulowania przy nich na odległość, na wypadek gdyby okazały się radioaktywne.
- Szkoda, że nie możemy wprost porozmawiać z którąś z tych chorych osób – wtrącił Jonathan. – Rany! Moglibyśmy po prostu zapytać ich, co się stało. Może oni wiedzą.
- To mogłoby się okazać niebezpieczne – ostrzegła Sheila. – Są powody, aby

podejrzewać, że świadomie się ich rekrutuje. Poza tym nas także chcą zainfekować. Mogą nas nawet postrzegać jako wrogów.

– Rzeczywiście rekrutują ludzi – potwierdził przypuszczenia Jesse. – Myślę, że kapitan aktywnie poszukuje wśród naszych ludzi tych, którzy jeszcze nie zachorowali.

– To może być niebezpieczne, ale i odkrywcze – uznała Cassy. Patrzyła przez chwilę niewidzącym wzrokiem, ale w jej głowie aż kipiało.

– Cassy! – zawołał Pitt. – O czym ty myślisz? Nie podoba mi się ten wyraz twarzy.

## **Rozdział 13**

## Godzina 6.30

– Oni są ze mną – powiedziała Nancy Sellers. Wraz z Sheilą i Pittem stała przed stanowiskiem strażnika dyżurującego na nocnej zmianie w Serotec Pharmaceuticals. Strażnik obracał w palcach identyfikator Nancy. Raz już okazała go przy bramie wjazdowej na parking.

– Macie państwo jakieś dowody tożsamości ze zdjęciem? – zapytał strażnik gości Nancy. Sheila i Pitt okazali prawa jazdy, które usatysfakcjonowały strażnika. Cała trójka weszła do windy.

– Strażnicy są bardzo czujni po samobójstwie – wyjaśniła Nancy.

Powodem, dla którego Nancy przyprowadziła Sheilę i Pitta tak wcześnie, była chęć uniknięcia innych pracowników. I udało się. Nie było jeszcze nikogo i całe trzecie piętro było puste. Znajdowały się tu pomieszczenia, w których zajmowano się badaniami z zakresu biologii. Była nawet mała menażeria ze zwierzętami doświadczalnymi.

Nancy otworzyła swoje laboratorium i weszli do środka. Zamknęła drzwi na klucz. Nie chciała, aby ktokolwiek im przeszkadzał lub zadawał jakieś pytania.

– Dobrze – powiedziała. – Wkładamy odzież ochronną i wszystko wykonujemy zgodnie z procedurą trzeciego stopnia zabezpieczenia. Jakież pytania?

Ani Sheila, ani Pitt nie mieli żadnych wątpliwości.

Nancy zaprowadziła ich do bocznego pomieszczenia, w którym znajdowały się kabiny.

Tam dała im ubrania odpowiednich rozmiarów i poprosiła o przebranie się. Sama oczywiście też włożyła strój ochronny. Potem spotkali się znowu w głównej sali.

– Weźmy próbki – zdecydowała Nancy.

Sheila wyłożyła skrawek bibuły z pojemnika na blat stołu. Obok położyła liczne próbki krwi osób chorujących na grypę. Próbki zostały pobrane w różnych stadiach choroby.

– Świetnie – powiedziała Nancy, zacierając obciążone gumowymi rękawiczkami dłonie.

– Najpierw pokażę wam, jak zaszczepiać kultury.

– Skąd, u diabła, wytrzasnąłeś tę rzecz? – zapytał Carl Maben swojego szefa, Eugene’a Sellersa. Carl był doktorantem. Pracował na wydziale fizyki.

Eugene uniósł brwi i spojrzał na Jesse’ego, którego zaprosił, by obserwował badania jednego z czarnych dysków. Jesse odparł, że dysk został zabrany jednemu z aresztowanych za lubieżne zachowanie w miejscu publicznym.

Obaj, Carl i Eugene, wyglądali na zainteresowanych.

– Nie znam szczegółów – przyznał Jesse.

Na twarzy naukowców pojawiło się uczucie zawodu.

– Wiem tylko tyle, że ten człowiek został zatrzymany za uprawianie seksu w parku – wyjaśnił Jesse.

– Mój Boże! To zadziwiające, jakie ryzyko podejmują ludzie – powiedział Carl. – Strach chodzić po parku nocą, a co dopiero uprawiać tam miłość.

Jesse sprostował, że zajście nie miało miejsca w nocy, tylko w porze lunchu.

– No to musieli być zakłopotani – domyślił się Eugene.

– Wręcz przeciwnie. Byli zirytowani, że im przeszkadzono. Powiedzieli, że policja powinna raczej więcej uwagi poświęcić wzrastającemu poziomowi dwutlenku węgla w atmosferze i skutkom efektu cieplarnianego.

Carl i Eugene roześmiali się.

Gdy Jesse opowiadał tę historię, przypomniła mu się rozmowa z poprzedniego wieczoru o zainfekowanych ludziach i ich trosce o środowisko. Nie pomyślał wcześniej, że zwolennicy seksu w parku mogą być ludźmi chorymi na grypę.

Carl i Eugene powrócili do przerwanych czynności.



– Nie sądzę, żeby to zadziałało – stwierdził Carl.

W tej chwili za ciemnym szklanym ekranem bombardowali jeden z dysków promieniem lasera o wysokiej mocy, aby uzyskać wolne cząstki. Chromatograf gazowy został uruchomiony, aby zbadać uzyskany gaz. Niestety, laser na nic się nie przydał.

– Dobra, wyłącz go – polecił Eugene.

Jasny promień zwartej światła zniknął, gdy przerwano zasilanie. Obaj naukowcy przyjrzeni się dyskowi.

– Ma twardą powierzchnię – stwierdził Carl. – Jak sądzisz, z czego ją wykonano?

– Nie wiem. Ale niech mnie, dowiemy się. Ktokolwiek to zrobił, lepiej, żeby miał patent albo sam go zdobędzie.

– Co zrobimy teraz? – spytał Carl.

– Użyjemy wiertła diamentowego. Później zamienimy skrawki w gaz i nasz chromatograf gazowy wykona analizę.

Wychodząc z terminalu lotniczego, Cassy włożyła do ust tabletkę przeciw nadkwasocie.

Stała w kolejce oczekujących na taksówkę. Od porannego przebudzenia czuła niepokój, a im bliżej było do Santa Fe, tym bardziej on wzrastał. Pogłębiła problem kawą wypitą na pokładzie samolotu. Teraz żołądek dawał znać o sobie.

– Dokąd, panienko? – spytał kierowca.

– Wie pan coś o Instytucie Nowego Początku? – spytała.

– Jasne. Jest całkiem nowy. To adres połowy moich kursów. Chce tam pani jechać?

– Proszę. – Cassy usiadła z tyłu i beznamiętnie obserwowała przetaczające się za szybą samochodu widoki.

Pitt był zdecydowanie przeciwny pomysłowi Cassy, ale gdy raz zagościł on w głowie dziewczyny, nie mogła się go pozbyć. Chociaż zgadzała się z Sheilą, że może pojawić się

pewne niebezpieczeństwo, nie potrafiła dopuścić do siebie myśli, iż Beau mógłby ją skrzywdzić.

– Muszę panią wysadzić przy bramie – oznajmił taksówkarz, kiedy podjechali do granic posiadłości zajmowanej przez Instytut. – Nie lubią spalin samochodowych wokół swego domu. Ale to już niedaleko. Tylko jakieś dwieście metrów.

Cassy zapłaciła za kurs i wysiadła. Widać było, że wszystko tu żyje w zgodzie z naturą. Białe ogrodzenie przypominało stadninę. W poprzek drogi była także brama, ale otwarta. Dwaj porządnie ubrani mężczyźni w wieku Cassy stali po obu stronach wejścia. Byli opaleni i wyglądali zdrowo. Obaj przyjemnie się uśmiechali, a gdy Cassy się zbliżyła, uśmiechy ani trochę się nie zmieniły. Zupełnie jakby ich twarze zastygły w wyrazie zadowolenia. Nawet jeśli ich uśmiechy były sztuczne, oni sami okazali się serdeczni. Gdy oświadczyła, że ma nadzieję spotkać się z Beau Starkiem, odpowiedzieli, że doskonale to rozumieją. Wskazali jej drogę do budynku. Choć takie przyjęcie wzbudziło w niej pewne obawy, poszła krętą ścieżką wśród drzew. Po obu stronach drogi w cieniu drzew zauważyła duże psy. Przyglądały się uważnie, ale żaden jej nie niepokoił.

Kiedy cienie sosen ustąpiły trawnikom otaczającym dom, Cassy, pomimo wewnętrznego niepokoju, była pod wrażeniem. Jedynym elementem psującym wspaniały widok był rozciągnięty nad wejściem olbrzymi transparent.

W sekundzie, w której weszła na stopnie ganku, pojawiła się kobieta, również w wieku Cassy. Uśmiechała się identycznie jak mężczyźni przy bramie wejściowej. Z wnętrza doszły Cassy odgłosy remontu.

– Przyszłam zobaczyć się z Beau Starkiem – powiedziała Cassy.

– Tak, wiem – odparła kobieta. – Proszę za mną. – Zeszła schodami i poprowadziła Cassy wokół olbrzymiego domu.

– Piękna posiadłość – zauważyła Cassy, chcąc nawiązać rozmowę.

– Prawda? – podchwyciła kobieta. – I pomyśleć, że to dopiero początek. Wszyscy jesteśmy bardzo podekscytowani.

Tył domu zdominował ogromny taras z pergolą porośniętą bluszczem. Za tarasem znajdował się basen kąpielowy. Nad brzegiem basenu duży parasol ocieniał stół na osiem miejsc. U szczytu stołu siedział Beau. Kilka metrów od niego leżał King.

Podchodząc do Beau, Cassy uważnie mu się przyglądała. Musiała przyznać, że wygląda wspaniale. Prawdę powiedziawszy, rzadko prezentował się tak dobrze. Jego gęste włosy lśniły bardziej niż zwykle, twarz promieniowała, jakby dopiero co wyszedł z orzeźwiającej kąpieli w morzu. Był starannie ubrany w białą, marszczoną koszulę. Pozostali mieli na sobie garnitury i krawaty, także kobiety.

Na kilku stojakach rozpięto duże arkusze papieru pokryte tajemniczymi schematami i niezrozumiałymi zestawieniami. Stół zavalony był papierami. Szumiało kilka laptopów.

Cassy jeszcze nigdy nie czuła się tak niepewnie. Niepokój osiągnął szczyt, gdy zbliżyła się do Beau. Nie miała pojęcia, co powiedzieć. Sprawa wyglądała tym gorzej, że chyba przerwała spotkanie z ważnymi osobistościami. Wszyscy byli starsi od Beau i robili wrażenie profesjonalistów, prawników albo lekarzy.

Ale zanim stanęła przy stole, Beau odwrócił się w jej stronę. Gdy ją poznał, uśmiechnął się szeroko i wstał z krzesła. Bez słowa wyjaśnienia oddalił się od stołu, podszedł szybko do Cassy i chwycił ją za rękę. Jego błękitne oczy iskrzyły. Cassy niemal zemdląła. Czuła się tak, jakby za chwilę miała zatopić się w jego dużych, czarnych źrenicach.

– Tak się cieszę, że przyjechałaś – przywitał ją Beau. – Bardzo chciałem z tobą porozmawiać.

Jego słowa wyrwały Cassy z chwilowego zniewolenia.

– Więc dlaczego nie zadzwoniłeś? – Tego pytania nie odważyła się dotychczas zadać nawet samej sobie.

– Mamy tu prawdziwe szaleństwo. Pracuję dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wierz mi – wyjaśnił.

– Domyślam się, że mam dużo szczęścia, mogąc z tobą teraz rozmawiać – powiedziała.

Popatrzyła na towarzystwo przy stole cierpliwie czekające na dalszy rozwój wypadków.

Podobnie jak King, który usiadł. – Jesteś teraz bardzo ważnym człowiekiem.

– Mam pewne obowiązki – przyznał Beau. Poprowadził ją kilka metrów od grupy i wskazał na dom. Drugą ręką ciągle trzymał jej dłoń. – Co sądzisz? – zapytał z dumą.

– Jestem nieco oszołomiona. Nie wiem, co myśleć.

– To, co tu widzisz, to tylko początek. Wierzchołek góry lodowej. To takie ekscytujące.

– Początek czego? Co ty tu robisz?

– Jesteśmy po to, aby przywrócić porządek. Pamiętasz, jak przez ostatnie sześć miesięcy mówiłem, że mam zamiar odegrać ważną rolę na tym świecie, jeśli tylko dostanę pracę u Randy'ego Nite'a? No cóż, wszystko potoczyło się w sposób, którego nie mogłem nawet przewidzieć. Beau Stark, chłopak z Brooklinu, pomaga wprowadzić świat w nowy początek.

Cassy patrzyła prosto i głęboko w oczy Beau. Wiedziała, że on tam jest. Gdyby tylko udało jej się przedrzeć przez tę fasadę megalomanii. Zniżając głos i nie cofając wzroku przed jego spojrzeniem, powiedziała:

– Wiem, że to nie ty mówisz. Nie ty to robisz. Coś... ktoś cię kontroluje.

Beau odchylił głowę i zaśmiał się serdecznie.

– Och, Cassy. Ciągle sceptyczna. Uwierz, nikt mnie nie kontroluje. Jestem Beau Stark. Jestem ciągle tym samym facetem, którego kochasz i który cię kocha.

– Beau, ja cię kocham – powiedziała Cassy z niespodziewaną gwałtownością. – I

myślę, że ty mnie też kochasz. Dla tej miłości wróc ze mną do domu. W centrum medycznym jest lekarka, która chce z tobą porozmawiać, dowiedzieć się, co cię zmieniło. Podejrzewa, że zaczęło się od tej grypy, którą miałaś. Proszę, zwalcz to, cokolwiek to jest! – Pomimo wysiłków Cassy, aby opanować uczucia, łzy popłynęły jej po policzkach. Nie chciała płakać, ale nie miała sił, żeby się powstrzymać. – Kocham cię – zdołała tylko powtórzyć.

Beau wytarł palcem łzy w kącikach oczu Cassy. Odnosił się do niej z prawdziwą miłością. Przyciągnął ją do siebie i objął ramionami, przyciskając swoją twarz do jej.

W pierwszej chwili chciała się cofnąć, ale czując ten mocny uścisk, poddała się. Też go objęła i zamknawszy oczy, mocno przytuliła. Nie chciała, by odchodził, nigdy.

– Kocham cię – wyszeptał. Jego usta pieściły ucho Cassy. – I pragnę, abyś dołączyła do nas. Stała się jedną z nas, ponieważ nie zdołasz nas powstrzymać. Nikomu się to nie uda!

Cassy zeszywniała. Słowa Beau były jak nóż wbijany w serce. Otworzyła oczy. Z twarzą ciągle przyciśniętą do jego policzka dostrzegła rozmazany zarys ucha Beau. Ale nagle krew w żyłach zmroziła jej małą, sina plamka na skórze za uchem. Odruchowo podniosła rękę i dotknęła tego miejsca. Było szorstkie, prawie łuskowate i zimne. Beau mutował! W odruchu wstrętu spróbowała wyrwać się z jego objęć, ale trzymał ją mocno. Był mocniejszy, niż jej się zdawało.

– Wkrótce do nas dołączysz, Cassy – szepnął. Nie zważał na jej wysiłki. – Dlaczego by nie teraz? Proszę!

Zmieniła taktykę i zrezygnowała z prób wyswobodzenia się. Zamiast tego zanurkowała pod jego ramieniem, upadła na ziemię i natychmiast się poderwała. Jej miłość i obawy zmieniły się w przerażenie. Cofnęła się o kilka kroków. Jedyne widok łez w oczach Beau powstrzymał ją od natychmiastowej ucieczki.

– Błagam! – mówił. – Dołącz do nas, najdroższa.

Mimo tej nieoczekiwanej demonstracji uczuć, Cassy popędziła pod najbliższą pergolą w stronę szczytu domu. Kobieta, którą Cassy spotkała na ganku, przesunęła się do przodu.

Dotąd stała dyskretnie z boku. Popatrzyła w oczy Beau i wskazała na Cassy. Beau zrozumiał gest. Pytała, czy ma posłać kogoś za nią. Wahał się. Walczył sam z sobą. W końcu pokręcił przecząco głową, odwrócił się i poszedł w kierunku czekających na niego osób.

Kiedy większa część produktów z listy zakupów znalazła się w koszyku, Jonathan nagrodził się puszką coca-coli i przejechał przejściem między półkami z chipsami. Wybrał kilka ulubionych rodzajów i już wjeżdżał w sektor mięsny, kiedy jego wózek dosłownie zderzył się wózkiem Candee.

– Mój Boże, Candee! – wykrzyknął zaskoczony. – Gdzie się podziewałaś? Dzwoniłem ze dwadzieścia razy.

– Jonathan! – Candee była uradowana spotkaniem. – Tak się cieszę, że cię widzę, tęskniłam za tobą.

– Tak? – zapytał Jonathan. Nie mógł nie zauważyć, że dziewczyna świetnie wygląda.

Miała na sobie minisukienkę dokładnie opinającą górną część ciała. Każde wygięcie jej szczupłego, gibkiego ciała można było podziwiać.

– Och, tak! Wiele o tobie myślałam.

– Dlaczego nie byłaś w szkole? Szukałem cię.

– Też cię szukałam.

Jonathan siłą woli zdołał podnieść wzrok i spojrzeć na dziecianną twarz Candee.

Uśmiechała się. Było w tym coś nienormalnego, chociaż kompletnie nie potrafił stwierdzić, co to takiego.

– Chciałam ci powiedzieć, że myliłam się co do moich rodziców – oświadczyła Candee. –

Całkowicie się myliłam.

Zanim Jonathan zdołał zareagować na to zdumiewające oświadczenie, rodzice Candee wyszli zza regałów na końcu przejścia i podeszli do nich. Ojciec położył ręce na ramionach córki i rozpromienił się.

– Widzisz, jaka to miła i ładna dzierlatka? – odezwał się z dumą Stan. – A dodatkową zaletą są dobre, zdrowe geny w jej jajnikach.

Candee podniosła wzrok na ojca i obdarzyła go czułym spojrzeniem.

Jonathan odwrócił wzrok. Czuł, że zaraz zwymiotuje. Ci ludzie powinni się znaleźć w zoo.

– Czekaliśmy na ciebie – powiedziała Joy, matka Candee. – Może wpadłbyś do nas dziś wieczór. Będzie co prawda sporo dorosłych, ale przecież to nie znaczy, że wy, młodzi, nie będziecie mogli spędzić trochę czasu tylko ze sobą.

– Tak, naprawdę, to brzmi znakomicie – odparł Jonathan. Zaczął wpadać w panikę, gdy spostrzegł, że Joy przesuwa się w jego stronę, przyciskając go do półek. Candee i Stan blokowali drogę odwrotu.

– Możemy na ciebie liczyć? – spytała Joy.

Jonathan rzucił spojrzenie na twarz Candee. Ciągle uśmiechała się tym samym uśmiechem i Jonathan zrozumiał, co było w nim dziwnego. Był fałszywy. To był ten rodzaj uśmiechu, który ludzie przywołują na twarz, gdy się do tego zmuszają. Nie odzwierciedlał wewnętrznych uczuć.

– Mam dziś sporo pracy w domu – usprawiedliwiał się Jonathan. Zaczął się wycofywać z wózkiem.

Joy zerknęła do koszyka chłopaka.

– Rzeczywiście jesteś zajęтым młodym człowiekiem. Ty także urządzasz dzisiaj spotkanie towarzyskie? Może wszyscy razem się spotkamy.

– Nie, nie – zareagował nerwowo Jonathan. – Nikt nie przychodzi. Nic takiego, absolutnie. Po prostu mam zamiar oglądać telewizję i wziąłem trochę zakąsek. – Zastanawiał się, czy ci ludzie domyślają się czegoś o ich małej grupie.

Kolejne spojrzenie na ich fałszywe uśmiechy wywołało u Jonathana dreszcz strachu i sprowokowało go do odwrotu. Gwałtownie szarpnął wózek w tył, zawrócił nim, stęknął, że musi już iść, i szybko podążył w stronę kas. Idąc, czuł na plecach wzrok Taylorów.

– To tamta ulica – powiedział Pitt. Wskazywał Nancy drogę do mieszkania, w którym czasowo mieszkał z Cassy. Ustalili, że jeszcze raz zorganizują tam spotkanie. Z tyłu minivana siedziała Sheila. Trzymała plik papierów.

Zapadł już zmrok i latarnie uliczne oświetlały drogę. Gdy dotarli do właściwego kompleksu, Nancy zwolniła.

– Zdaje się, że dzisiaj będzie tu sporo ludzi – stwierdziła.

– Ma pani rację – powiedział Pitt. – Wygląda bardziej jak centrum w południe, a nie przedmieścia wieczorem.

– Rozumiem tych z psami, ale co robi reszta? Chodzą bez celu? – zastanawiała się Sheila.

– Dziwne – przyznał Pitt. – Chyba w ogóle ze sobą nie rozmawiają, ale bez przerwy się uśmiechają.

– Rzeczywiście – potwierdziła Sheila.

– Co mam robić? – spytała Nancy. Byli już blisko celu.

– Objedź blok. Zobaczymy, czy zwrócą na nas uwagę – zaproponowała Sheila.

Nancy zastosowała się do propozycji. Kiedy wrócili do miejsca, z którego zaczęli objazd, żaden z przechodniów nie spoglądał w ich kierunku.

– Wjedźmy – powiedziała Sheila.

Nancy zaparkowała. Szybko wysiedli. Pitt puścił kobiety przodem. Zanim doszedł do



wejścia, panie szły już schodami na górę. Odwrócił się i wyrzwał na ulicę. Miał niewyraźne przeczucie, że kiedy szedł ścieżką, był obserwowany, ale gdy teraz rozglądał się dookoła, nie zauważył, aby ktokolwiek spoglądał w jego kierunku.

Na pukanie Pitta drzwi otworzyła Cassy. Twarz mu pojaśniała. Z ulgą przyjął jej obecność.

– Jak się udała wycieczka? – spytał.

– Nie najlepiej – przyznała.

– Widziałaś się z Beau?

– Tak, widziałam go. Ale wolałabym teraz o tym nie rozmawiać.

– Jasne – odpowiedział Pitt, rozumiejąc jej decyzję. Był zaniepokojony. Cassy robiła wrażenie naprawdę zmartwionej. Poszedł za nią do pokoju dziennego.

– Cieszę się, że w końcu wszyscy się tu zebraliśmy – powiedział Eugene. Jego błękitna koszula była rozpięta pod szyją, a dziergany krawat poluźniony. Ciemnymi oczami wodził od jednej osoby do drugiej. Był spięty. Miało to niewiele wspólnego ze znużeniem, jakie towarzyszyło mu poprzedniego wieczoru.

Przy ławie siedzieli Jesse, Nancy i Sheila. Na ławie stał plastikowy pojemnik z dwoma czarnymi dyskami i chipsy przyniesione przez Jonathana. On sam stał przy oknie i co jakiś czas zerkał przez nie, obserwując ulicę. Pitt i Cassy usiedli na krzesłach.

– Na zewnątrz jest od cholery ludzi – powiedział Jonathan.

– Jonathan, uważaj na swój język – upomniała go matka.

– Widzieliśmy ich. Zignorowali nas – wtrąciła Sheila.

– Mogę prosić wszystkich o uwagę? – zaczął Eugene. – Najdelikatniej mówiąc, miałem interesujący dzień. Carl i ja użyliśmy wszystkiego, czym dysponujemy. Dyski są niewiarygodnie twarde.

– Kto to jest Carl? – spytała Sheila.

– Mój asystent, doktorant.

– Zdaje się, że uzgodniliśmy, iż będziemy trzymać sprawę w tajemnicy przed innymi.

Przynajmniej do czasu, aż się dowiemy, z czym mamy do czynienia – przypomniała Sheila.

– Carl jest w porządku. Ale ma pani rację. Może powinienem pracować sam. Przyznaję, że byłem sceptycznie nastawiony, ale to się zmieniło.

– Co pan odkrył? – spytała Sheila.

– Dysku nie wykonano z żadnego naturalnego materiału. To jakiś rodzaj polimerów. Coś bardziej przypominającego ceramikę, ale nie jest zwykła substancja ceramiczna, bo zawiera komponenty metali.

– Jest w tym nawet diament – wtrącił Jesse.

Eugene przytaknął.

– Diament, silikon i metal, którego jeszcze nie zidentyfikowaliśmy.

– Jakie jest pańskie zdanie? – spytała Cassy.

– Powiedziałbym, że wykonano go z substancji, której nasze obecne możliwości nie pozwalają odtworzyć.

– Powiedz to po ludzku – odezwał się Jonathan. – To jest pozaziemskie, i tyle.

Znaczenie tego stwierdzenia wprawiło wszystkich w osłupienie, chociaż wszyscy poza Eugene'em tego się właśnie spodziewali.

– My też osiągnęliśmy dziś pewien postęp – powiedziała Sheila i spojrzała na Nancy.

– Udało nam się próbnie wyizolować wirus – przyznała Nancy.

– Obcy wirus? – spytał blady Eugene.

– I tak, i nie – odparła Sheila.

– No dalej! – ponaglił zniecierpliwiony Eugene. – Przestańcie nas drażnić. Co

sugerujecie?

– Z moich wstępnych badań, a muszę podkreślić słowo „wstępnych”, wynika, że mamy do czynienia z wirusem, ale nie ma go w tych czarnych dyskach. Przynajmniej teraz. Wirus przebywa tu od bardzo dawna, ponieważ znalazłam go we wszystkich organizmach, które dziś przebadalam. Moim zdaniem znajduje się w każdym ziemskim organizmie z genomem wystarczająco dużym, aby go pomieścić.

– Więc nie przybył do nas w tych małych statkach kosmicznych? – zauważył Jonathan. W jego głosie słyszało się rozczarowanie.

– Co w takim razie zawiera tajemniczy płyn, jeśli nie wirusa? – spytał Eugene.

– To proteina. Coś jak prion. Wiecie, to, co wywołuje chorobę szalonych krów. Ale nie jest identyczne, ponieważ ta proteina reaguje z wirusowym DNA. To dlatego tak szybko udało mi się zlokalizować wirus. Użyłam proteiny jako sondy.

– Naszym zdaniem proteina działa jako uaktywniacz wirusa – dodała Sheila.

– Więc choroba przypominająca grypę jest w istocie reakcją organizmu na tę proteinę – wyciągnął wniosek Eugene.

– Tak uważam – zgodziła się Nancy. – Proteina jest antygeniczna i wywołuje rodzaj immunologicznego przeciążenia. Dlatego limfokiny produkowane są w takiej ilości i to właśnie one są odpowiedzialne za powstałe symptomy.

– Do czego jest zdolny raz uaktywniony wirus? – zapytał Eugene.

– Odpowiedź na to pytanie wymaga dalszych badań – przyznała Nancy. – Mamy jednak wrażenie, że inaczej niż pozostałe wirusy, które opanowują pojedynczą komórkę, ten może przejmować kontrolę nad całym organizmem, szczególnie nad mózgiem. Nazywanie go wirusem nie wydaje się więc słuszne. Pitt miał dobry pomysł. Nazwał to megawirusem. Pitt zarumienił się.

– Tak samo jakoś przyszło – usprawiedliwił się.

– Ten megawirus najwyraźniej był tu, zanim wyewoluował gatunek ludzki – stwierdziła Sheila. – Nancy znalazła go w zakonserwowanym segmencie DNA.

– Segmencie, który badacze pomijają przy badaniach – wyjaśniła Nancy. – To jeden z nie kodujących fragmentów, a przynajmniej tak się sądzi. Jest sporych rozmiarów. Długi na setki tysięcy podstawowych łączy.

– Więc nasz megawirus czekał – domyśliła się Cassy.

– Taki jest nasz wniosek – potwierdziła Nancy. – Może jakiś obcy szczep wirusów albo obcy gatunek zdolny do przeformowania się w postać wirusa na czas podróży kosmicznej odwiedził Ziemię całą wieczność temu, kiedy zaczęło powstawać życie. Zaszczepili się w DNA niczym strażnicy czekający na to, jaka forma życia ostatecznie się rozwinie.

Podejrzewam, że od czasu do czasu mogły ich budzić te czarne dyski. Jedyne, czego potrzebują, to uruchamiających protein.

– I obecnie przyjęliśmy postać, w której chcieliby zamieszkać – powiedział Eugene. –

Może to była przyczyna tych nocnych zakłóceń. Może potrafią się kontaktować z miejscem, z którego pochodzą.

– Chwileczkę – wtrącił się Jonathan. – Chcecie powiedzieć, że ten kosmiczny wirus siedzi we mnie jakby zahibernowany?

– Tak właśnie nam się wydaje – odpowiedziała Sheila. – Zakładając, że nasze założenia są właściwe. Zdolność do ujawnienia się zależy od naszego genomu, to coś jak onkogen, który pod wpływem pewnych czynników może spowodować transformację nowotworową zdrowych komórek. Wiemy już, że regularne wirusy gnieźdzą się w DNA.

Przez kilka minut pokój pogrążony był w ciszy. Pitt sięgnął po chipsy ziemniaczane i zaczął je chrupać. Brzmiało to nienaturalnie głośno. Gdy się zorientował, że wszyscy się w

niego wpatrują, rozejrzał się po zebranych.

– Przepraszam – powiedział.

– Mam wrażenie, że tym tak zwanym megawirusom nie wystarcza zapanowanie nad organizmem – odezwała się nagle Cassy. – Obawiam się, że mają dość siły, aby spowodować jego mutację.

Teraz wszystkie oczy zwróciły się na nią.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – zapytała Sheila.

– Widziałam się dzisiaj z Beau, moim chłopakiem – przyznała Cassy.

– Moim zdaniem nie było to roztropne – stwierdziła Sheila.

– Musiałam – odparła dziewczyna. – Musiałam spróbować porozmawiać z nim, prosić go, by wrócił i poddał się badaniom.

– Powiedziałaś mu o nas? – spytała Sheila.

Cassy zaprzeczyła głową. Przypomniała sobie spotkanie z Beau i łzy napłynęły jej do oczu.

Pitt przysiadł na oparciu krzesła Cassy i objął ją ramieniem.

– Co miałaś na myśli, mówiąc o mutacji? – zapytała Nancy. – Chodzi o somatyczną mutację, jak zmiany w ciele?

– Tak. – Cassy schwyciła Pitta za ramię. – Skóra za jego uchem zmieniła się. To nie jest ludzka skóra. Nigdy niczego podobnego nie dotykałam.

Te nowe rewelacje wywołały kolejną chwilę ciszy. Teraz zagrożenie wyglądało na jeszcze poważniejsze. W każdym mogło drzemać monstrum.

– Musimy postarać się coś z tym zrobić. Musimy natychmiast coś zrobić! – przerwał milczenie Jesse.

– Zgadzam się – przytaknęła Sheila. – Nie dysponujemy wieloma danymi, ale co nieco

mamy.

– Mamy proteinę – przypomniała Nancy. – Nawet jeśli niewiele o niej wiemy.

– Mamy też dyski ze wstępną analizą ich składu – dodał Eugene.

– Jedyne problem polega na tym, że nie wiemy, kto został zainfekowany, a kto nie – uznała Sheila.

– Trzeba zaryzykować – powiedziała Cassy.

Nancy zgodziła się.

– Nie mamy wyboru. Zbierzmy wszystkie nasze ustalenia w mniej czy bardziej formalny raport. Chcę mieć coś w ręku. Odpowiednim miejscem będzie mój gabinet w Serotecu. Nikt nie powinien nas niepokoić, będziemy też mieć dostęp do komputera, drukarki i ksero. Co wy na to?

– Moim zdaniem nie ma co dalej tracić czasu – stwierdził Jesse i wstał z kanapy.

Eugene włożył pojemnik z dyskami do plecaka, w którym schował też wydruki z przeprowadzonych w laboratorium badań. Przewiesił go przez ramię i wyszedł za innymi z mieszkania.

Wszyscy wcisnęli się do minivana Sellersów. Nancy prowadziła. Gdy wyjechali z parkingu, Jonathan popatrzył przez okno. Kilka osób z licznych przechodniów patrzyło w ich stronę, większość jednak zignorowała grupę.

Po godzinie wszyscy ciężko pracowali. Podzielili się zadaniami według możliwości.

Cassy i Pitt zajęci byli przy stanowiskach komputerowych, a Jonathan służył im pomocą techniczną. Nancy i Eugene wykonywali kopie wyników swych testów. Sheila zestawiała karty pacjentów chorych na gripę. Jesse wisiął na telefonie.

– Uważam, że to ty powinnaś mówić – Nancy odezwała się do Sheili. – Jesteś doktorem medycyny.

– W tej sprawie nie ma wątpliwości – poparł żonę Eugene. – Będziesz o wiele bardziej godna zaufania. My będziemy mogli wspierać cię dowodami, gdy potrzebne będą jakieś detale.

– To olbrzymia odpowiedzialność – powiedziała Sheila.

Jesse odwiesił słuchawkę.

– Za godzinę i dziesięć minut jest nocny lot do Atlanty. Zarezerwowałem trzy miejsca.

Przypuszczam, że pojedzie Sheila, Nancy i Eugene.

Nancy popatrzyła na Jonathana.

– Może ja lub Eugene powinniśmy zostać – powiedziała.

– Mamo! – jęknął Jonathan. – Dam sobie radę.

– Myślę, że ważne jest, abyście oboje tam byli – wtrąciła Sheila. – To ty przeprowadziłaś badania.

– Jonathan może zostać z nami – zadeklarowała Cassy.

Twarz Jonathana pojaśniała.

Przed frontowe wejście do Serotecu podjechało kilka samochodów. Przechodnie zatrzymali się, następnie podeszli do wozów i pomogli otwierać drzwi. Z pierwszego wozu wysiadł kapitan Hernandez. Jego kierowca również wysiadł. To był Vince Garbon. Drugi samochód opuścił policjant ubrany po cywilnemu oraz Candee i jej rodzice.

Przechodnie stojący przed kapitanem wskazywali na światło w oknie na trzecim piętrze.

Mówili, że wszyscy „nie zmienieni” są na górze. Kapitan skinął, potem machnął w stronę pozostałych, żeby poszli za nim. Całą grupą weszli do budynku.

Cassy skończyła wpisywanie i czekała przy drukarce na wydruki. Jonathan podszedł i stanął obok niej.

– Ciągle nie rozumiem, dlaczego Atlanta – powiedział. – Dlaczego nie pójść z tym do

tutejszych władz medycznych?

– Bo nie wiemy, kto jest wplątany – wyjaśniła Cassy. – Problem powstał tu, w tym mieście, więc nie możemy opowiedzieć wszystkiego, co wiemy, być może jednemu z nich.

– Ale skąd wiadomo, że to samo nie dzieje się w Atlancie?

– Nie wiemy. Mamy tylko nadzieję.

– Poza tym – wtrącił Pitt, który słyszał rozmowę – CKCh jest najlepszą instytucją do radzenia sobie z tego rodzaju problemami. To organizacja państwowa. W razie potrzeby będą mogli objąć kwarantanną miasto, nawet cały stan. A najważniejsze, że mogą sprawie nadać rozgłos. Cały problem rozwinął się tak szybko, że media nawet nie zdążyły go zauważyć.

– Może i tak, a może media też znalazły się w rękach zainfekowanych – powiedziała Cassy. Zebrała swoje kartki i połączyła je z materiałem Pitta. Gdy je razem spinała, błysnęło światło.

– Do diabła, co jest? – zareagował Jesse. Był spięty tak jak pozostali.

Przez moment nikt się nie poruszył. Nagle zgasło światło. Błyszcząły jedynie monitory komputerów, pracujące teraz na zasilaniu awaryjnym.

– Bez paniki – odezwała się Nancy. – Budynek ma własny generator.

Jonathan podszedł do okna. Uchylił je i wystawił głowę na zewnątrz. Zobaczył, że na niższych piętrach palą się światła. Przekazał tę niepokojącą informację pozostałym.

– Nie podoba mi się to – powiedział Jesse.

Usłyszeli odgłos jadącej windy.

– Wynośmy się stąd! – zawołał policjant.

W szalonym pośpiechu zebrali wszystkie papiery i włożyli do skórzanej teczki, następnie opuścili pomieszczenie. W ciemnym korytarzu dostrzegli sygnalizator świetlny informujący o zbliżającej się windzie.



Nancy bez słowa wskazała drogę. Pobiegli korytarzem do wyjścia awaryjnego, wyszli na klatkę schodową i ledwo zaczęli zbiegać, usłyszeli trzask otwieranych drzwi na parterze. Jesse, który teraz znalazł się na czele, podjął błyskawiczną decyzję i wskoczył na korytarz drugiego piętra. Wszyscy poszli za jego przykładem. Skierowali się do drzwi wychodzących na klatkę schodową po drugiej stronie. Jesse prowadził, a Sheila zamykała grupę. Już miał otworzyć drzwi, gdy przez okienko dostrzegł kogoś wchodzącego po schodach.

Błyskawicznie schylił się i gestem nakazał to pozostałym. Usłyszeli ciężkie kroki kilku osób zmierzających na trzecie piętro.

W chwili, w której Jesse'emu zdawało się, że słyszy zamykanie drzwi piętro wyżej, pchnął te, przed którymi stał. Popatrzył w górę. Zadowolony, że schody są puste, skinął na resztę, aby poszli za nim na parter. Przegrupowali się przed drzwiami, na których widniał napis ostrzegający przed alarmem i informujący, że jest to wyjście jedynie dla pracowników.

– Wszyscy są? – szeptem zapytał Jesse.

– Wszyscy – odparł Eugene.

– Wskakujemy do auta i znikamy stąd. Ja prowadzę. Proszę dać mi kluczyki – zdecydował Jesse.

Nancy z ulgą przekazała je porucznikowi.

– Dobra, naprzód! – rozkazał Jesse.

Pchnął drzwi, włączając alarm. Pobiegli zgięci wpół za policjantem. W ciągu kilku sekund znaleźli się w samochodzie i Jesse zapalił silnik.

– Trzymajcie się! – ostrzegł.

Dodał gazu. Puścił sprzęgło i z piskiem opon wyskoczyli z parkingu. Nawet nie zwrócił uwagi na bramkę strażników. Van uderzył w biało-czarny drewniany szlaban i rozbił go.

Jonathan odwrócił się i wyjrzał przez tylne okno. Spoglądając w górę na trzecie piętro,

dostrzegł w ciemnych oknach kilka par błyszczących oczu. Wyglądały jak kocie ślepie odbijające światło w mroku.

Jesse prowadził ostro, ale pewnie, na granicy dopuszczalnej prędkości. Minał kilka wozów policyjnych, nie zwracając ich uwagi.

Gdy stanęli na czerwonym świetle, zaczęli się uspokajać. Rozpoczęła się rozmowa.

Zastanawiali się przede wszystkim nad tym, kto chciał ich przygwoździć w budynku Serotecu. Nikt nie miał pojęcia. Nie wiedzieli też, kto mógł ich zdradzić. Nancy przyszło do głowy, czy może nocny strażnik nie jest czasami jednym z nich.

Na kolejnych światłach Pitt popatrzył na samochód stojący obok nich. Kiedy jego kierowca obrócił się i spojrzał na Pitta, natychmiast ściągnęła mu się twarz. Pitt dostrzegł, że kierowca sięga po telefon komórkowy.

– Może to szalone, ale zdaje się, że facet w wozie obok rozpoznał nas – powiedział Pitt.

W odpowiedzi Jesse zignorował czerwone światło. Wyskoczył do przodu pomiędzy innych samochodów, natychmiast zjechał z głównej drogi i wjechał w boczną ulicę.

– Czy nie jedziemy w kierunku przeciwnym do lotniska? – spytała Sheila.

– Spokojnie – odparł Jesse. – Mogę przysiąc, że miasto znam jak własną kieszeń.

Skręcali jeszcze kilka razy i wjeżdżali w jakieś małe uliczki. Nagle, ku zaskoczeniu wszystkich pasażerów, Jesse wyjechał na drogę przejazdem, o którym nikt z obecnych nie miał pojęcia. Resztę drogi na lotnisko przejechali w milczeniu. Zjawisko przybrało takie rozmiary, że nie mogli osłabiać czujności ani na moment.

Jesse podjechał do bloku odpraw i zaparkował samochód w sektorze C. Wszyscy wysiedli z minivana.

– Odtąd musimy sami uważać na siebie – powiedziała Sheila, biorąc do ręki teczkę z raportem. – Może reszta z was pojedzie do domu i ukryje się bezpiecznie.

– Upewnimy się, że odleciecie – zdecydował Jesse. – Chcę wiedzieć na sto procent, że nie pojawiły się żadne dodatkowe kłopoty.

– Co z samochodem? – spytał Pitt. – Mam w nim zostać?

– Nie – powiedział Jesse. – Chcę, żebyśmy wszyscy weszli do środka.

Wnętrze terminalu o tej porze było zdecydowanie wyludnione. Porządkowi polerowali posadzki. Jedynie na stanowisku Deltą byli pasażerowie. Monitory informowały, że lot do Atlanty odbędzie się zgodnie z rozkładem.

– Idźcie do wyjścia, a ja pójdę odebrać bilety. Nie wypuszczajcie dokumentów z rąk – komenderował Jesse zdecydowanym głosem.

Cała grupa podeszła do stanowiska ochrony lotniska i ustawili się w kolejce do stanowiska kontroli bagażu przez detektor prześwietlający promieniami X.

– Gdzie są dyski? – szepnęła Cassy do Pitta.

– Eugene ma je w swoim plecaku.

W tym momencie Eugene położył plecak na pasie transmisyjnym. W następnej chwili bagaż zniknął w urządzeniu prześwietlającym.

– Co będzie, jeśli uruchomi alarm? – zastanowiła się Cassy.

– Bardziej się boję, że strażnicy mogą należeć do nich i rozpoznają dyski po kształcie – powiedział Pitt.

Oboje wstrzymali oddech, kiedy strażniczka obsługująca maszynę zatrzymała ją, aby skontrolować bagaż. Spojrzała uważnie na ekran monitora. Zdawało się, że minęła pełna minuta, zanim znowu włączyła pas. Cassy odetchnęła z ulgą. Przeszła z Pittem przez bramkę wykrywacza metalu i dołączyła do pozostałych.

Idąc przejściem, unikali spojrzeń innych pasażerów. Niemożność zorientowania się, kto jest zainfekowany, a kto nie, wprawiała ich w nerwowy nastrój. Jakby odgadując myśli

współtowarzyszy, Jonathan podzielił się swoimi spostrzeżeniami.

– Można ich rozpoznać po uśmiechu albo po oczach.

– O czym mówisz? – spytała go matka.

– Mają fałszywy uśmiech albo ich oczy świecą – wyjaśnił. – Oczywiście oczy można rozpoznać wyłącznie w ciemności.

– Jonathan ma chyba rację – zgodziła się Cassy. Sama widziała jedno i drugie.

Dotarli do wyjścia. Samolot już podstawiono. Stanęli z boku, oczekując na Jesse'ego.

– Popatrzcie na tamtą kobietę – odezwał się Jonathan. – Widzicie ten głupi uśmieszek?

Stawiam pięć dolców, że jest jedną z nich.

– Jonathan! Pohamuj się nieco – Nancy szepnęła z naciskiem.

Vince Garbon zaparkował nie oznakowany policyjny samochód tuż za minivanem

Sellersów.

– Nie ma wątpliwości, są tu – powiedział kapitan Hernandez i wysiadł z wozu.

Drugi wóz zatrzymał się tuż za pierwszym. Candee, jej rodzice i policjant w cywilu także wysiedli.

Niczym opiłki żelazne wokół magnesu zainfekowani pracownicy lotniska skupili się przy kapitanie.

– Wyjście 5, terminal C – oznajmił jeden z nich Hernandezowi. – Lot 917 do Atlanty.

– Idziemy! – rozkazał kapitan. Wszedł przez automatyczne drzwi terminalu i machnął ręką na pozostałych, aby podążyli za nim.

– Gdzie się podziewa Jesse? – Sheila zaczęła się niecierpliwić. – Nie chcę się spóźnić na lot. – Patrzyła w górę przejścia, wyglądając przyjaciela.

– Eugene – Nancy szepnęła do męża. – Mam wątpliwości, czy jednak jedno z nas nie powinno zostać z Jonathanem.

– Będę na niego uważał – powiedział Jesse. Stał tuż za grupą i usłyszał ostatnie słowa

Nancy. – Wy zróbcie swoje w Atlancie. My damy sobie tu radę.

– Skąd się tu wzięłeś? – spytała Sheila.

Jesse wskazał na nie oznaczone drzwi za sobą.

– Tyle razy tu byłem w różnych kryminalnych sprawach, że poruszam się po lotnisku swobodnie jak po mieszkaniu.

Wręczył bilety Sheili, Nancy i Eugene’owi. Nancy po raz ostatni uścisnęła syna. Jonathan nie odwzajemnił jednak uścisku – stał sztywno z rękoma opuszczonymi wzdłuż tułowia.

– Uważaj na siebie, słyszysz? – powiedziała Nancy, starając się spojrzeć mu prosto w oczy.

– Mamo! – Jonathan stęknął z wyrzutem.

– Chodźmy – ponagliła Sheila. – Najwyższy czas.

Sheila szła pierwsza. Nancy jeszcze raz odwróciła się i pomachała do syna. Pokazali dokumenty i przeszli przez bramkę. Rękawem doszli do samolotu i zniknęli na jego pokładzie. Chwilę później rękaw oderwał się od maszyny, która zaczęła kołować na pas startowy.

Jesse odwrócił się z ulgą od okna. Samolot wystartował.

– Polecieli dzięki Bogu – powiedział. – Ale teraz my...

Przerwał w pół zdania, dostrzegłszy kapitana Hernandeza i Vince’a Garbona na czele sporej grupy ludzi. Szybkim krokiem szli środkiem przejścia, kierując się wprost ku wyjściu numer 5.

Cassy, widząc, jak spochmurniała twarz Jesse’ego, chciała zapytać, co się stało. Ale porucznik nie dał jej szansy. Gwałtownie pchnął przyjaciół w stronę nie oznakowanych drzwi.

– Co się dzieje? – zapytał Pitt.

Jesse nie zwrócił uwagi na pytanie i bez zwłoki wprowadził kod cyfrowy otwierający drzwi.

– Idźcie! – rozkazał.

Pierwsza przeszła Cassy, za nią Jonathan, na końcu Pitt. Jesse pchnął mocno drzwi za sobą, tak że się zamknęły.

– Chodźcie! – nakazał cichym, ale nie znoszącym sprzeciwu głosem. Zszedł szybko po metalowych schodach i ruszył wzdłuż korytarza, aż doszedł do drzwi prowadzących na zewnątrz. Na wieszakach znaleźli wiele żółtych przeciwdeszczowych peleryn z kapturami. Nie zastanawiając się, podał każdemu po jednej i kazał je włożyć i naciągnąć kaptury na głowę.

Natychmiast wykonali polecenie. Cassy zapytała, kogo zobaczył.

– Szefa policji. Jestem absolutnie pewny, że jest jednym z nich.

Znowu wprowadził kod do cyfrowego zamka i otworzył drzwi, tym razem na zewnątrz.

Wyszli na płytę lotniska. Znaleźli się dokładnie pod wyjściem numer 5.

– Widzicie tamte wózki bagażowe? – porucznik wskazał ręką przed siebie. Chodziło mu o ciągnik podobny do traktora i zaczepionych do niego pięć wózków do przewożenia bagaży.

Stały zaparkowane około piętnastu metrów od nich. – Podejdziemy do nich normalnym krokiem. Problem w tym, że będziemy widziani z okna nad nami. Wejdziecie do wózka i z bożą pomocą zawrócimy do terminalu A. A, nie C.

– Ale nasz samochód stoi przy terminalu C – przypomniał Pitt.

– Zostawiamy samochód – zdecydował Jesse.

– Tak? – zdziwił się Jonathan. Był zaskoczony. To był przecież samochód jego rodziców.

– Jak jasna cholera – potwierdził dosadnie Jesse. – Chodźmy!

Do wózków bagażowych dotarli bez kłopotów. Każdy z nich odczuwał przemożną chęć popatrzenia w górę, w okno, ale powstrzymali się. Jesse uruchomił ciągnik, gdy pozostali weszli na wózek. Wdzięczni byli Jesse'emu za jego szybkie i stanowcze decyzje. Uspokoili się, kiedy zakręcili jak wąż i spokojnie skierowali się w stronę terminalu A.

Minęli kilku pracowników lotniska, lecz w żadnym z nich Jesse nie wzbudził podejrzeń.

Dojechali do terminalu A bez żadnych przeszkód. Tam znowu wykorzystali to, że porucznik zna rozkład lotniska i obowiązujących procedur. Po minucie byli na zewnątrz terminalu i czekali na lotniskowy autokar.

– Pojedziemy autobusem do centrum. Tam weźmiemy mój wóz – powiedział Jesse.

– Co z autem rodziców? – spytał Jonathan.

– Jutro się nim zajmę – obiecał porucznik.

Ryk silników potężnego odrzutowca przelatującego nad głowami uniemożliwił na chwilę rozmowę.

– To musieli być oni – powiedział Jonathan, kiedy znowu mógł być usłyszany.

– Teraz tylko pozostaje mieć nadzieję, że dotrą do odpowiednich ludzi w CKCh – dodał Pitt.

– Muszą dotrzeć – powiedziała Cassy. – To nasza jedyna szansa.

Beau zajmował apartament w rezydencji. W pokoju znajdowały się drzwi prowadzące na taras i dalej nad basen. Drzwi były uchylone i lekka, nocna bryza poruszała papierami na biurku. W pokoju był Randy Nite i kilkoro z jego bliższych współpracowników. Starali się wykonać pracę przeznaczoną na ten dzień.

– Cieszę się – powiedział Randy.

– Ja także – dodał Beau. – Sprawy nie mogłyby toczyć się lepiej. – Przeczesał palcami włosy. Dotknął zmienionej skóry za prawym uchem. Podrapał się. Sprawilo mu to

przyjemność.

Zadzwonił telefon. Odebrał go jeden z asystentów Randy'ego. Po krótkiej rozmowie podał słuchawkę Beau.

– Kapitan Hernandez – ucieszył się Beau. – Dobrze, że pan dzwoni.

Randy chciał usłyszeć, co mówi kapitan, ale nie zdołał.

– Więc są w drodze do CKCh w Atlancie – powiedział Beau. – Dziękuję, że nas pan powiadomił, ale zapewniam pana, że nie będzie tam żadnego problemu. – Beau przerwał połączenie, lecz nie odłożył słuchawki. Zamiast tego wybrał kolejny numer pod kierunkowym 404. Kiedy usłyszał głos z drugiej strony, odpowiedział: – Doktor Clyde Horn? Tu Beau Stark. Grupa, o której rozmawialiśmy dzisiaj, jest w drodze do Atlanty. Myślę, że jutro pojawią się w Centrum Kontroli Chorób, więc proszę ich przejąć, jak zdecydowaliśmy. – Teraz Beau oddał słuchawkę.

– Spodziewasz się jakichś kłopotów? – spytał Randy.

Beau uśmiechnął się.

– Jasne, że nie. Nie bądź śmieszny.

– Jesteś pewny, że należało pozwolić odjechać Cassy Winthrope?

– Rany boskie, ależ ty dzisiaj jesteś upierdliwy – skomentował Beau. – Tak, jestem pewny. Jest dla mnie kimś wyjątkowym, więc uznałem, że nie będę jej traktował z pozycji siły. Chcę, aby przystąpiła do nas z własnej woli.

– Nie rozumiem, dlaczego tak o to dbasz – wyznał Randy.

– Sam nie wiem do końca, dlaczego tak się dzieje. Ale dość o tym. Chodźmy! Już czas.

Beau i Randy wyszli na balkon. Beau obrzucił krótkim spojrzeniem nocne niebo, wsunął głowę z powrotem do pokoju i polecił jednemu z asystentów zejść na dół i włączyć światła w dnie basenu.



Kilka minut później basen rozjaśnił się. Efekt był imponujący. Gwiazdy intensywniej świeciły, szczególnie te z galaktycznego serca Drogi Mlecznej.

– Ile jeszcze? – zapytał Randy.

– Dwie sekundy – odparł Beau.

Ledwie to powiedział, a niebo rozświetliło mnóstwo spadających gwiazd. Było ich dosłownie tysiące. Spadały obfitym deszczem jak iskry podczas pokazu sztucznych ogni.

– Piękne, prawda? – skomentował Beau.

– Cudowne.

– To ostatnia fala – powiedział Beau. – Ostatnia fala!

## **Rozdział 14**

## Godzina 8.15

- Nigdy nie widziałem niczego podobnego – powiedział Jesse. – Wiecie, o czym mówię. Jak długo trójka młodych ludzi może się zbierać, zanim usiądzie wspólnie do śniadania?
  - To wina Cassy – powiedział Pitt. – Siedziała w łazience osiem lat.
  - Nieprawda – zaprzeczyła gwałtownie i natychmiast się obraziła. – Nie siedziałam tam tak długo jak Jonathan. Poza tym musiałam umyć włosy.
  - Nie siedziałem długo – zachnął się Jonathan.
  - Właśnie, że tak – upierała się Cassy.
  - Dobrze już, wystarczy! – krzyknął Jesse, po czym dodał łagodniejszym tonem: – Zapomniałem już, jak to jest mieć dookoła siebie dzieciaki.
- Wszyscy spędzili noc w mieszkaniu kuzyna Pitta, uznając je za najbezpieczniejsze miejsce. Pitt i Jonathan dzielili pokój. Jedynym problemem była pojedyncza łazienka.
- Gdzie zjemy? – spytał Jesse.
  - Zwykle jadamy „U Costy” – powiedziała Cassy. – Ale moim zdaniem ich kelnerka też została zainfekowana.
  - Nieważne, dokąd pójdziemy, wszędzie będą – stwierdził Jesse. – Chodźmy do Costy. Nie chcę jechać gdzieś, gdzie mogę spotkać kumpli z posterunku.
- Dzień był piękny, słoneczny. Porucznik wyszedł pierwszy. Pozostałym kazał zaczekać kilka minut, a sam sprawdził dokładnie samochód. Gdy się upewnił, że nikt go nie ruszał, skinął na ukrytych za drzwiami przyjaciół. Szybko wsiedli do auta.
- Muszę jeszcze zatankować – poinformował Jesse, wyjeżdżając na ulicę.
  - Ciągłe kręci się tu sporo ludzi – zauważył Jonathan. – Tak samo jak zeszłej nocy. I wszyscy mają przyklejony ten gówniany uśmiech.
  - Taki język nie będzie dłużej akceptowany – upomniała go Cassy.

– Jezu, jakbym słyszał matkę – jęknął chłopak.

Zajechali na stację benzynową. Jesse wysiadł, żeby zatankować, a Pitt, aby dotrzymać mu towarzystwa.

– Zauważyłeś to, co ja? – spytał policjant, gdy bak był już prawie pełny. Na stacji od rana aż roiło się od ludzi.

– Ma pan na myśli to, że prawie każdy wydaje się chory na grypę? – domyślił się Pitt.

– Właśnie to mam na myśli – przytaknął Jesse.

Większość ludzi na stacji kaszlała, kichała, wyglądali blado.

Kilka przecznic od restauracji Jesse podjechał do krawężnika, zatrzymał się przy kiosku i poprosił Pitta o kupienie gazety. Chłopak wysiadł i stanął w kolejce. Podobnie jak na stacji, tu też było sporo ludzi. Gdy zbliżył się do lady z gazetami, zauważył, że każdy stos przygnieciony jest czarnym dyskiem!

Pitt zapytał kioskarsza o te dziwne przyciski do papieru.

– Małe spryciarze, nie? – odparł kioskarsz.

– Skąd pan je ma?

– Pełno ich leżało na moim podwórku dziś rano.

Pitt wskoczył do samochodu i opowiedział wszystkim o dyskach.

– Cudownie! – stwierdził z sarkazmem Jonathan. Spojrzał na nagłówki. „Epidemia łagodnej grypy”. – Jakbyśmy już o tym nie wiedzieli – dodał.

Cassy wzięła gazetę i zajęła się czytaniem, podczas gdy Jesse ruszył do Costy.

– Piszą, że choroba jest przykra, ale krótka – relacjonowała. – Przynajmniej dla zdrowych. W wypadku osób przewlekle chorych zaleca się niezwłoczny kontakt z lekarzem po pojawieniu się pierwszych symptomów.

– Niewiele im to pomoże – skomentował Pitt.

W restauracji zajęli stół z przodu. Pitt i Cassy rozglądali się za Marjorie, lecz nigdzie jej nie widzieli. Kiedy po zamówieniu przyszedł chłopak w wieku Jonathana, spytali o kelnerkę.

– Pojechała do Santa Fe – odpowiedział chłopak. – Wielu naszych pracowników tam pojechało. Dlatego ja pracuję. Jestem Stephanos, syn Costy.

Po zniknięciu Stephanosa Cassy opowiedziała przyjaciołom, co widziała w Santa Fe.

– Wszyscy pracują w tym domu wyglądającym jak zamek – powiedziała.

– Co robią? – spytał Jesse.

Cassy wzruszyła ramionami.

– Pytałam, to było naturalne. Ale Beau odpowiedział komunałami i ogólnikami o nowym początku i naprawieniu wszystkiego, cokolwiek by to, u diabła, miało znaczyć.

– Wydawało mi się, że taki język nie będzie tolerowany – wtrącił Jonathan.

– Masz rację. Przepraszam.

Pitt chyba z dziesięć razy spojrzął na zegarek.

– Niedługo powinni być w CKCh.

– Mogą czekać na otwarcie Instytutu – uznała Cassy. – Są już pewnie w Atlancie od kilku godzin. Biorąc pod uwagę różnicę czasu, Centrum może zostać otwarte za jakąś godzinę.

Rodzina przy sąsiednim stole zaczęła kaszleć i kichać. Wszyscy naraz. Objawy choroby rozwijały się szybko. Pitt obejrzał się za siebie i natychmiast rozpoznał charakterystyczną błądź zwiastującą gorączkę, szczególnie u mężczyzny.

– Chciałbym ich ostrzec – powiedział.

– I co byś im powiedział? – zapytała Cassy. – Że mają w sobie potwora z kosmosu, który został obudzony, i że do jutra nie będą już sobą?

– Masz rację. W tej chwili nie możemy wiele zdziałać. Kluczem jest prewencja.

– Dlatego właśnie wysłaliśmy ich do Centrum – przypomniała Cassy. – Oni zajmują się

prewencją. Musimy trzymać kciuki za to, że tam uznają sprawę za dostatecznie poważną, zanim będzie za późno.

Doktor Wilton Marchand odchylił się w fotelu i założył ręce na pełnym brzuchu. Nigdy nie zastosował się do zaleceń własnej organizacji i nie stosował ani diety, ani ćwiczeń fizycznych. Bardziej przypominał zadowolonego właściciela browaru z końca dziewiętnastego wieku niż dyrektora Centrum Kontroli Chorób.

Doktor Marchand zwołał pospiesznie niektórych szefów działów na zaimprovizowaną naradę. Zebrali się: doktor Isabel Sanchez, szefowa oddziału grypy, doktor Delbert Black, szef patogenezy, doktor Patrick Delbanco, szef wirusologii, doktor Hamar Eggans, szef epidemiologii. Doktor Marchand pragnął zebrać też innych kierowników działów, ale albo nie było ich w mieście, albo byli zajęci na innych spotkaniach.

– Dziękuję – doktor Marchand zwrócił się do Sheili, gdy zakończyła pełną ekspresji prezentację problemu. Dyrektor patrzył na swych podwładnych, którzy spoglądali sobie przez ramiona, czytając jedyną kopię raportu wręzonego na początku przez Sheilę.

Sheila popatrzyła na Nancy i Eugene'a siedzących po jej prawicy. W pokoju panowało całkowite milczenie. Nancy skinęła głową w stronę Sheili, przyznając gestem, że wykonała doskonałą robotę. Eugene w odpowiedzi na ciszę wzruszył ramionami i uniósł brwi. Zadawał sobie w duchu pytanie, jak to możliwe, że tylu specjalistów CKCh zdołało z równie zimną krwią przyjąć podobne rewelacje.

– Przepraszam – odezwał się w końcu, nie mogąc znieść przedłużającego się milczenia. – Jako fizyk muszę podkreślić, że owe czarne dyski zostały wykonane z materiału, który nie mógł powstać na Ziemi.

Doktor Marchand postawił pojemnik na swoim biurku i przymrużonymi oczami przyglądał się schowanym w nim dwóm obiektom.

– A bez wątplenia zostały wyprodukowane – kontynuował Eugene. – Nie są pochodzenia naturalnego. Innymi słowy, pochodzą z zaawansowanej cywilizacji... pozaziemskiej cywilizacji! – Po raz pierwszy użyli słowa „pozaziemska”. Powiedzieli wiele, ale dotąd unikali tak jednoznacznego określenia.

Marchand uśmiechnął się, dając do zrozumienia, że wie, o czym mówi Eugene. Podał pojemnik doktorowi Blackowi, który sam teraz przyjrzał się dyskom.

– Całkiem ciężkie – zauważył Black, zanim przekazał pojemnik doktorowi Delbanco.

– Mówi pan, że w waszym mieście jest dużo takich przedmiotów – powiedział doktor Marchand.

Sheila wyrzuciła ręce w górę z wyraźnym rozdrażnieniem i wstała z fotela. Nie mogła dłużej wysiedzieć.

– Może i tysiące – powiedziała. – Ale nie w tym rzecz. Rzecz w tym, że jesteśmy na początku epidemii wywołanej przez prawnirus z naszego genomu. W rzeczywistości znajduje się on w genomie każdego zwierzęcia, które przebadaliśmy, a to sugeruje, że występuje na ziemi od milionów lat. A najbardziej przerażające jest to, że pochodzi spoza Ziemi.

– Każdy element, każdy atom, każda cząsteczka naszego ciała jest spoza Ziemi – zdecydowanym tonem stwierdził doktor Black. – Cała nasza rzeczywistość zrodziła się w czasie wybuchu supernowej.

– Być może – przytaknął Eugene. – Ale my mówimy o formie żywej. Nie o zwykłych atomach.

– No właśnie – wtrąciła Sheila. – Wirusopodobny organizm, który znajduje się w uśpieniu w genomie istot ziemskich, w tym ludzi.

– A został tu przywieziony w owych miniaturowych transporterach kosmicznych, z których dwa znajdują się w pojemniku – doktor Marchand zauważył z wyraźnym znużeniem.

Sheila potarła twarz, chcąc się uspokoić. Zdawała sobie sprawę, że jest wyczerpana i spięta. Tak jak Nancy i Eugene w nocy nie zmrużyła oka.

– Wiem, że to brzmi niewiarygodnie – starała się mówić wolno. – Ale to się dzieje. Te czarne dyski potrafią kłuć i wstrzykiwać płyn w żywe organizmy. Udało nam się uzyskać ten płyn i wyizolować z niego białko, która według nas działa jak prion.

– Prion wywołuje jedynie jedną z form encefalomalacji – wtrącił z szerokim uśmiechem doktor Delbanco. – Wątpię, aby pani białko okazała się prionem.

– Powiedziałam jak prion! – sprostowała z naciskiem Sheila. – Nie mówiłam, że to jest prion.

– Białko wchodzi w reakcję z określonym fragmentem DNA, który dotąd uznawano za nie kodujący – odezwała się Nancy. Widziała, że Sheila zaczyna się złościć. – Może lepiej będzie powiedzieć, że to funkcjonuje bardziej jak inspirator.

– Możemy zarządzić krótką przerwę? – spytała Sheila. – Chętnie wypiłabym kawę.

– Oczywiście – odpowiedział doktor Marchand. – Jakiż ja jestem bezmyślny.

Beau intensywnie drapał Kinga za uchem, spoglądając jednocześnie w dal nad trawnikami rozciągającymi się przed domem. Z balkonu biblioteki, nad kutymi w żelazie poręczami rozciągał się widok na drogę znikającą wśród drzew. Była zapchana nowo nawróconymi idącymi do rezydencji. Niektórzy machali do Beau, a on odwzajemniał im się tym samym.

Powiódł wzrokiem po okolicy. Widział na służbie swych przyjaciół – psy. Był zadowolony. Nie życzył sobie, by mu przeszkadzano.

Wrócił do domu, zszedł na parter i wszedł do sali bankietowej. Klębiło się tu mnóstwo zapracowanych osób. Pokój został kompletnie przebudowany, wyglądał teraz zupełnie inaczej niż poprzedniego dnia. Pracujący tworzyli niezwykle zróżnicowaną grupę ludzi wszelkich

profesji i różnego wieku. Działali jednak razem niczym drużyna pływania synchronicznego. Z perspektywy Beau warto było na to popatrzeć, miał przed sobą obraz sprawności i skuteczności. Nikt nie musiał wydawać poleceń. Jak pojedyncze komórki wielokomórkowego organizmu, każdy miał w głowie kalkę całego projektu.

Na środku sali zauważył szczęśliwego i zapracowanego przy skleconym naprędcie warsztacie Randy'ego Nite'a. Zespół Randy'ego był szczególnie zróżnicowany: od osiemdziesięcioletnich mężczyzn po dziesięcioletnie dziewczynki. Pracowali przy zestawie zaawansowanego technicznie sprzętu elektronicznego. Każdy z nich miał na głowie świecące urządzenie powiększające przypominające to, którego używają chirurdzy oka.

Beau zaczął się przechadzać.

– Hej, Beau! – zawołał uradowany Randy, dostrzegając przyjaciela kątem oka. – Wielki dzień, ha!

– Znakomicie – Beau odpowiedział z równym entuzjazmem. – Przepraszam, że przeszkadzam. Przyszli twoi prawnicy z papierami do podpisu. Przypominam o przepisaniu twoich aktywów na Instytut.

– Nie ma sprawy – odpowiedział Randy. Starł pył z czoła. – Wydaje mi się, że powinniśmy wynieść stąd całą elektronikę.

– Pewnie masz rację – przyznał Beau. – Ale remont prawie dobiega końca.

– Inny kłopot polega na tym, że nasz sprzęt nie jest tak zaawansowany jak nam potrzeba.

– Wykorzystamy go na tyle, na ile jest to możliwe – powiedział Beau. – Wiedzieliśmy, że będą problemy ze stopniem ich precyzji. Ale czego nie mamy, sami stworzymy.

– W porządku – zgodził się Randy, choć nie był przekonany.

– Dalej, Randy. Odpręż się! Wszystko idzie po naszej myśli.

– Tak, uwinęli się z tym pomieszczeniem – potwierdził Randy. Omiótł wzrokiem salę. –



Bez wątplenia wygląda inaczej. Pośrednik mówił mi, że to była sala balowa sławnej francuskiej rezydencji.

– Kiedy skończymy, będzie służyć znacznie wspanialszemu celowi – stwierdził Beau.

Klepnął Randy'ego przyjacielsko po plecach. – Nie chcę cię dłużej zajmować. Zobaczymy się później na spotkaniu z prawnikami.

Stephanos zebrał ze stołu brudne talerze. Porucznik poprosił o jeszcze jedną kawę.

Stephanos wrócił za ladę po dzbanek.

– Słyszeliście, jak kaszłał, zanim podszedł do nas? – spytała Cassy.

Pitt skinął.

– Wygląda coraz gorzej. Nie ma wątpliwości. Ale nie dziwi mnie to. Kiedy byliśmy tu ostatnio, zaczęliśmy podejrzewać, że zachorował jego ojciec.

– Do diabła z kawą – zdecydował Jesse. – To miejsce zaczyna przyprawiać mnie o gęsią skórkę. Chodźmy stąd. – Wstali od stołu, porucznik położył napiwek. – Ja stawiam – powiedział.

Wziął rachunek i poszedł do kasy znajdującej się przy wyjściu. Pozostali ruszyli za nim.

– Jak sądzisz, co teraz robi Beau? – zapytał Pitt.

– Nie chcę nawet o tym myśleć – odparła Cassy.

– Nie chce mi się wierzyć, że mój najlepszy przyjaciel jest przywódcą tego wszystkiego – powiedział Pitt.

– Nie jest przywódcą! – rzuciła Cassy. – To już nie jest Beau. Kontroluje go ten wirus.

– Masz rację – szybko przytaknął Pitt. Zdał sobie sprawę, że poruszył delikatną strunę.

– Myślisz, że skoro włączyli CKCh – zastanowiła się Cassy – to wrócą z jakimś lekiem, szczepionką?

– Bo ja wiem, są przecież antywirusowe leki – odparł Pitt, starając się nadać głosowi ton

pełen nadziei. – To chyba możliwe.

– Och, Pitt, tak na to liczę. – Dziewczyna była bliska płaczu.

Pitt przełknął ślinę. To nie było eleganckie, ale cieszył się, że Beau zszedł ze sceny. Jego uczucia wobec Cassy nadal były żywe. Jednocześnie widział, jak źle się czuje. Objął ją i przytulił. Odwzajemniła uścisk.

– Hej, spójrzcie na to – powiedział Jesse, klepiąc Pitta po ramieniu. Sam wpatrywał się w ekran małego telewizora wiszącego za kasą.

Pitt i Cassy odsunęli się od siebie. Jonathan zbliżył się do nich. Telewizor nastawiony był na CNN. Zaczęły się wiadomości.

– Oto najświeższe informacje – mówił prezenter. – Bezprecedensowy deszcz meteorów, który miał miejsce poprzedniego wieczoru, był obserwowany od Zachodniej Europy aż do Hawajów. Meteorologowie sądzą, że zjawisko objęło cały glob, ale z powodu słonecznego dnia na drugiej półkuli zjawisko nie zostało zaobserwowane. Przyczyny nie są znane.

Astronomowie zostali całkowicie zaskoczeni. Gdy tylko zdobędziemy więcej informacji, natychmiast je państwu prześlemy.

– Czy to może mieć coś wspólnego... no, wiecie z czym? – zapytał Jonathan.

– Może najbardziej z czarnymi dyskami – zasugerował Jesse. – To musi być to.

– Mój Boże! – jęknął Pitt. – Jeśli tak, to cały świat został opanowany.

– Nie powstrzymamy tego. – Cassy potrząsnęła głową.

– Coś się stało, kochani? – zapytał Costa, właściciel restauracji.

Jesse odwrócił się w stronę kasy. Schował się za kilkoma innymi klientami.

– Nie – odparł Pitt. – Śniadanie było doskonałe.

Jesse zapłacił rachunek i cała grupa szybko opuściła lokal.

– Widzieliście jego uśmiech? – zapytał Jonathan. – Widzieliście, jaki był sztuczny? Też

jest zainfekowany. Stawiam na to pięć dolców.

– Musisz się założyć z kimś innym – powiedział Pitt. – My wiemy, że on jest jednym z nich.

Po krótkiej przerwie, w czasie której Sheila i Nancy poszły do toalety, by się odświeżyć, cała trójka wróciła do biura doktora Marchanda. Sheila ciągle była wyprowadzona z równowagi, więc głos zabrała Nancy.

– Zdajemy sobie sprawę, że to, co mówimy, brzmi nieprawdopodobnie, a w raporcie brak wielu danych i uściśleń – zaczęła. – Lecz jesteśmy trójką zawodowców z poważnym dorobkiem i przyjechaliśmy do was, ponieważ niepokoiimy się nie na żarty. To, o czym mówimy, dzieje się naprawdę.

– Nie kwestionujemy waszych motywów – odpowiedział doktor Marchand. – Jedyne wnioski. Wysłaliśmy już do was urzędnika w celu rozpoznania sprawy. Mamy powody do wątpliwości. Dostaliśmy raport naszego wysłannika. – Doktor Marchand pokazał jednostronicowe sprawozdanie. – Według niego macie do czynienia z epidemią grypy o dość łagodnej postaci. Opisał też konsultacje z dyrektorem szpitala, doktorem Halprinem.

– Jego wizyta miała miejsce, zanim zorientowaliśmy się, z czym mamy do czynienia – wtrąciła Sheila. – Poza tym doktor Halprin już wtedy był jedną z ofiar choroby. Staraliśmy się to jasno wyjaśnić waszemu pracownikowi.

– Raport państwa jest bardzo zdawkowy – zauważył doktor Eggans, kładąc go na biurku Marchanda po dokładnym przeczytaniu. – Wiele tu supozycji, mało materiału dowodowego. Jednakże...

Sheila z całej siły powstrzymywała się, żeby nie wstać i nie wyjść w złości. Nie mogła zrozumieć, jak ci mali pseudointelektualiści zdołali zdobyć swoje obecne pozycje przy biurokracji panującej w CKCh.

– Jednakże – powtórzył Eggans, gładząc się po brodzie – jest to dostatecznie interesujące, abym zdecydował się osobiście pojechać i zbadać rzecz na miejscu.

Sheila spojrzała na Nancy. Nie była pewna, czy dobrze usłyszała. Nancy uniosła kciuk, sygnalizując, że jest dobrze.

– Czy wysłali państwo swój raport do innych agend rządowych? – zapytał doktor Marchand. Podniósł papiery z biurka i zaczął przerzucać strony.

– Nie! – z naciskiem odpowiedziała Sheila. – Uznaliśmy, że CKCh będzie najlepszym miejscem do rozpoczęcia działań.

– Nie wysłaliście go do Departamentu Stanu albo lekarza dyżurnego kraju?

– Nie – zaprzeczyła Nancy.

– Staraliście się określić skład aminokwasów w proteinie? – spytał doktor Delbanco.

– Jeszcze nie. Ale to nie będzie trudne – uznała Nancy.

– Określiliście, czy wirus można wyizolować u chorego po wyzdrowieniu? – indagował dalej Delbanco.

– Co z naturą związków pomiędzy proteiną a DNA? – wtrąciła się szczupła pani doktor Sanchez.

Nancy uśmiechnęła się i uniosła ręce. Cieszyła się nagłym wzrostem zainteresowania.

– Powoli – poprosiła. – Mogę odpowiedzieć tylko na jedno pytanie naraz.

Pytania padały szybko i było ich wiele. Nancy odpowiadała najlepiej, jak potrafiła, pomagał jej Eugene, gdy tylko mógł. Sheila początkowo była równie zadowolona jak Nancy, ale kiedy minuty płynęły, a pytania stawały się coraz bardziej hipotetyczne, uznała, że coś jest nie tak.

Wzięła głęboki oddech. Może była zbyt zmęczona. Może pytania były typowe dla profesjonalnych badaczy. Jednak spodziewała się działań, a nie intelektualizowania. Teraz

pytali Nancy, jak wpadła na pomysł, aby połączyć białko z DNA.

Sheila zaczęła rozglądać się po pokoju. Ściany ozdobione były typowym zestawem zawodowych dyplomów, świadectw i akademickich nagród. Były zdjęcia doktora Marchanda z prezydentem i innymi politykami. Nagle zatrzymała wzrok na uchylonych drzwiach. W szparze dostrzegła twarz doktora Clyde'a Horna. Rozpoznała go natychmiast między innymi dzięki lśniącej łysinie. Na twarzy Horna widniał charakterystyczny uśmiech. Sheila zamknęła oczy, a kiedy znowu je otworzyła, doktor Horn zniknął. Znowu zamknęła oczy. Czyżby z wyczerpania i napięcia miała przywidzenia? Widok twarzy doktora Horna przypomniawszy jej, jak Horn opuszczał jej gabinet w towarzystwie Halprina. Słyszała jakby dopiero co wypowiedziane przez Halprina słowa: „Mam nawet coś, co chciałbym, abyś zawiózł do Atlanty. Coś, co chyba zainteresuje CKCh”.

Otworzyła oczy. W nagłym olśnieniu i z absolutną pewnością mogła powiedzieć, co takiego doktor Halprin przekazał do Atlanty: oczywiście czarna dysk. Spojrzała na zgromadzonych w pokoju pracowników Centrum i z tą samą pewnością mogła przysiąc, że też zostali zainfekowani. Nie interesowali się epidemią i tym, jak ją powstrzymać, ale zadawali pytania, aby się dowiedzieć, w jaki sposób ich grupie udało się uzyskać takie wyniki.

Sheila wstała. Położyła rękę na ramieniu Nancy i powiedziała:

– Chodź, Nancy. Czas na nas. Musimy odpocząć.

Nancy uwolniła ramię z uścisku. Była zaskoczona.

– Zaczęliśmy wreszcie robić postępy – szepnęła z naciskiem.

– Eugene, potrzebujemy kilku godzin snu. Nawet jeśli Nancy tego nie rozumie, ty na pewno zgodzisz się ze mną.

– Czy coś się stało, pani Miller? – zapytał doktor Marchand.

– Ależ nie. Uświadomiłam sobie, że jesteśmy wyczerpani i że nie powinniśmy zabierać państwu więcej czasu, dopóki nie wypoczniemy. Po kilku godzinach snu staniemy się bez wątpienia bardziej komunikatywni. Niedaleko jest hotel Sheraton. Tak będzie najlepiej dla wszystkich.

Sheila podeszła do biurka Marchanda i sięgnęła po raport. Jednak on położył na nim rękę.

– Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chcielibyśmy jeszcze go przestudiować, gdy będziecie państwo odpoczywać.

– Doskonale – zgodziła się. Cofnęła się i znowu chwyciła Nancy za ramię.

– Sheilo, uważam... – zaczęła Nancy, ale w tej samej chwili jej oczy napotkały spojrzenie Sheili. Dostrzegła w nim napięcie i zdecydowanie. Nancy wstała. Zaświtało jej, że Sheila wie coś, czego ona nie wie.

– Może spotkalibyśmy się po lunchu – zaproponowała Sheila. – Powiedzmy między pierwszą a drugą.

– Myślę, że odpowiada to nam – zgodził się doktor Marchand. Popatrzył na swoich podwładnych. Skinęli głowami z akceptacją.

Eugene założył nogę na nogę. Nie zauważył wymiany spojrzeń między żoną a Sheila.

– Może ja tu zostanę – powiedział.

– Pójdiesz z nami – stwierdziła Nancy, stawiając go tym na równe nogi. Następnie uśmiechnęła się do gospodarzy spotkania, a oni odwzajemnili się tym samym.

Sheila wyszła pierwsza z gabinetu Marchanda. Przeszli przez sekretariat i dalej bladozielonym korytarzem. Przy windzie Eugene zaczął zgłaszać pretensje, ale Nancy nakazała mu milczenie.

– Przynajmniej do chwili, aż znajdziemy się w wynajętym samochodzie – szepnęła Sheila.

Nadjechała winda, wsiedli do niej i uśmiechnęli się do pasażerów. Wszyscy mieli pogodne miny i chwalili znakomitą pogodę.

Zanim znaleźli się w samochodzie, Eugene był już nieco poirytowany.

– Co się z wami dzieje, kobiety? – rzucił, wkładając kluczyk do stacyjki. – Straciliśmy godzinę, żeby ich zainteresować sprawą, a kiedy się udało, nagle musimy iść odpocząć. To czyste szaleństwo.

– Są zainfekowani. Wszyscy bez wyjątku – oznajmiła Sheila.

– Jesteś pewna? – zapytał Eugene. Był oszołomiony tym, co usłyszał.

– Absolutnie. Nie mam żadnych wątpliwości.

– Domyślam się, że nie jedziemy do Sheratona – zauważyła Nancy.

– Do diabła, jasne, że nie. Jedziemy na lotnisko. Wracamy do punktu wyjścia – odparła Sheila.

Przed bramą Instytutu zebrali się dziennikarze. Chociaż nie zostali zaproszeni, Beau oczekiwał ich przyjazdu, nie wiedział tylko, którego dnia. Kiedy młodzi ludzie pilnujący przy bramie poinformowali Beau o przyjeździe dziennikarzy, ten kazał zatrzymać ich jakies piętnaście minut, aby zdążyć wyjść na drogę i dojść do miejsca, gdzie wchodzi między drzewa. Nie chciał żadnych reporterów w sali balowej, przynajmniej jeszcze nie teraz. Kiedy Beau stanął przed dziennikarzami, był lekko zaskoczony liczbą osób. Spodziewał się dziesięciu może piętnastu zainteresowanych. Zamiast tego przyszło ich około pięćdziesięciu. Reprezentowali wszystkie środki masowego przekazu: gazety, czasopisma, telewizję. Było z dziesięć kamer, każdy miał mikrofon.

– A więc widzicie państwo Instytut Nowego Początku – powiedział Beau, wskazując rezydencję za sobą.

– Słyszeliśmy, że przeprowadzacie remont kapitalny budynku – odezwał się jeden z

dziennikarzy.

– Nie powiedziałbym, że kapitalny – skomentował Beau. – Ale tak, wykonujemy pewne zmiany podyktowane koniecznością przystosowania budowli do nowych potrzeb i chęcią odświeżenia budynku.

– Czy możemy zajrzeć do wnętrza? – zapytał dziennikarz.

– Nie dzisiaj. Przeszkodziłobyśmy zbyt w pracy, która ciągle trwa.

– Więc przyjechaliśmy tu po nic – uznał dziennikarz.

– Nie uważam, by tak sprawy się miały. Możecie państwo się przekonać na własne oczy, że Instytut jest rzeczywistością, a nie jedynie wymysłem.

– Czy to prawda, że wszystkie aktywa Cipher Software są w tej chwili pod kontrolą Instytutu Nowego Początku?

– Większość – Beau odparł enigmatycznie. – Należałoby o to zapytać raczej pana Randy’ego Nite’a.

– Chcielibyśmy – odparł jeden z reporterów. – Ale jest nieosiągalny. Bez przerwy próbuję umówić się z nim na wywiad.

– Wiem, że jest zajęty. Całym sercem oddał się Instytutowi. Ale myślę, że zdołam go nakłonić do rozmowy w niedalekiej przyszłości.

– Czym jest ów „nowy początek”? – zapytał jakiś sceptyczny dziennikarz.

– O właśnie – zareagował Beau. – Zrodził się z potrzeby poważnego potraktowania roli przywództwa na naszej planecie. Ludzkość wykonała straszliwą robotę, czego dowodem są zanieczyszczenia, spustoszenia w ekosystemach, nieustające konflikty i wojny. Sytuacja wymaga zmian albo, jeśli wolicie, nowego początku, a Instytut będzie czynnikiem pobudzającym zmiany.

Sceptyczny dziennikarz uśmiechnął się krzywo.



– Niezwykle praktyczna retoryka – ocenił słowa Beau. – Brzmi to dość górnolotnie, może nawet prawdziwie, przynajmniej część o szkodach wyrządzonych światu przez ludzi. Ale pomysł ze zinstytucjonalizowaniem problemu tu, w odosobnionej posiadłości jest absurdalny. Cała operacja z ludźmi, którzy robią wrażenie, że przeszli przez pranie mózgu, bardziej przypomina mi sektę niż cokolwiek innego.

Beau skupił wzrok na sceptycznym dziennikarzu, źrenice rozszerzyły mu się maksymalnie. Ruszył w stronę mężczyzny, niepomny blokujących ścieżkę ludzi. Większość rozstąpiła się, kilku Beau odepchnął. Nie zrobił tego mocno, raczej odsunął ich z drogi. Doszedł do dziennikarza, który odwzajemniał spojrzenie. Cała grupa w milczeniu obserwowała konfrontację. Beau zwalczył pokusę złapania przeciwnika w ręce i nauczenia go szacunku. Zamiast tego postanowił zabrać krnąbrnego dziennikarza do Instytutu i zainfekować go.

Ale nagle zaświtała mu myśl, że łatwiej będzie zainfekować ich wszystkich. Podaruje każdemu z nich upominek w postaci czarnego dysku.

– Przepraszam, Beau! – młoda, atrakcyjna kobieta poinformowała o ważnym telefonie.

Dziewczyna nazywała się Veronica Paterson. Wybiegła z domu. Ledwie łapała oddech.

Ubrana była w ponętny, jednoczęściowy elastyczny strój, który wyglądał, jakby został wylany na jej gibkie, zgrabne ciało. Szczególnie męska część dziennikarskiego towarzystwa wydawała się zaintrygowana.

– Jak sądzisz, dasz sobie z nimi radę? – spytał ją Beau.

– Bez dwóch zdań – zapewniła.

– Niech nie wchodzą do środka.

– Oczywiście, że nie.

– Mają opuścić nas z podarunkami. Wydaj im wszystkie czarne dyski. Powiedz, że to

nasz emblemat.

Veronica uśmiechnęła się.

– Podoba mi się to – powiedziała.

– Proszę wszystkich o uwagę! – zawołał Beau do tłumu reporterów. – Nieoczekiwanie zostałem odwołany, ale nie mam wątpliwości, że jeszcze państwa zobaczę. Panna Paterson odpowie na pozostałe pytania. Wręczy państwu także małe upominki na pamiątkę dnia spędzonego w naszym instytucie.

Na to oświadczenie odpowiedziała seria pytań. On jednak ledwie się uśmiechnął i odszedł. Klasnął w dłonie i u jego logi pojawił się natychmiast King. Kiedy rozmawiał z dziennikarzami, trzymał psa na dystans.

Ostry gwizd Beau przywołał kilkanaście innych psów. Pstryknął palcami i wskazał na dziennikarzy. Przywołane psy błyskawicznie rozstawiły się wokół grupy reporterów, usiadły na zadach i cierpliwie obserwowały ludzi.

Po wejściu do domu skierował się prosto do biblioteki. Wybrał numer do doktora Marchanda i uzyskał natychmiastowe połączenie.

– Wyjechali – poinformował Marchand. – Ale to był nieoczekiwany fortel. Powiedzieli, że udają się do Sheratona, ale nie zjawili się tam.

– Masz ich raport?

– Oczywiście.

– Zniszcz go.

– Co mamy zrobić w ich sprawie? Powinniśmy ich zatrzymać?

– Nie ma wątpliwości. Nie należy zadawać pytań, na które odpowiedź jest oczywista.

Marchand roześmiał się.

– Ma pan rację. To ta dziwna ludzka cecha, która nakazuje zawsze zachowywać się

dyplomatycznie.

Poranny ruch na ulicach nie był oczywiście taki, jak w godzinie szczytu, ale i tak przekraczał natężenie, do którego przywykł Eugene.

– Wszyscy wydają się tu jacyś agresywni – narzekał.

– Dobrze ci idzie, kochanie – zapewniła go żona, chociaż nie podobało jej się, że nie utrzymuje bezpiecznej odległości od innych wozów.

Sheila zajęta była obserwowaniem drogi przez tylną szybę.

– Jedzie ktoś za nami? – spytał Eugene, spoglądając na Sheilę we wstecznym lusterku.

– Nie sędzę – odpowiedziała. – Wydaje mi się, że kupili bajeczkę o odpoczynku. W końcu brzmiało to sensownie. Martwi mnie jednak to, że teraz już wiedzą, że wiemy! Może należałoby raczej powiedzieć: „obcy” wiedzą.

– To brzmi, jakbyś miała na myśli pojedyncze istnienie – zauważył Eugene.

– Wszyscy zainfekowani ludzie pracują razem – powiedziała Sheila. – To duchowa jedność. Jakby wirusy same w sobie, wszystkie pracują dla jednego wspólnego celu. Albo jak kolonia mrówek, w której każda pojedyncza mrówka zdaje się doskonale wiedzieć, co robi każda inna i co powinno być ostatecznym efektem wspólnego wysiłku.

– To by sugerowało, że między zainfekowanymi istnieje sieć powiązań – wyciągnął wniosek Eugene. – Możliwe, że istota pozaziemska składa się z wielu pojedynczych organizmów. Gdyby tak się rzecz miała, to problem z organizacją nabiera zupełnie innego wymiaru. Ale wiecie, co mi przyszło do głowy? Może „to” potrzebuje pewnej skończonej liczby, która stanowi jakby masę krytyczną.

– Dla mnie fizycy zawsze zbyt teoretyzują – powiedziała Sheila. – Poza tym uważaj na drogę! Chyba za bardzo zbliżyliśmy się do tego czerwonego samochodu.

– Ale jedno jest pewne – stwierdziła Nancy. – Jakikolwiek jest poziom rozwoju tej

organizacji, musimy mieć na uwadze, że mamy do czynienia z jakąś formą życia. A to znaczy, iż instynkt samozachowawczy jest jednym z głównych bodźców działania.

– Przetrawanie zależy od możliwości rozpoznania i zniszczenia wrogów. Takich jak my! – powiedziała Sheila.

– Niezwykle pocieszająca uwaga – skomentowała Nancy, czując jednocześnie dreszcz przechodzący jej po plecach.

– Co zrobimy, gdy znajdziemy się na lotnisku? – spytał Eugene.

– Jestem otwarta na propozycje. Musimy nadal próbować dotrzeć do kogoś lub do jakiejś instytucji, aby uzyskać ponoć.

Sheila spojrzała na kierowcę czerwonego auta, które ciągle jechało obok nich. W tej samej chwili samochód przyspieszył.

– Mój Boże! – zawołała.

Nancy szybko odwróciła głowę.

– Co się stało?

– Kierowca w tym czerwonym wozie! – krzyknęła Sheila. – Brodacz. To ten epidemiolog z Centrum. Jak on się nazywał?

– Hamar Eggans – przypomniała Nancy. Odwróciła się z powrotem i rozejrzała. – Masz rację, to on. Myślisz, że nas widział?

W tym samym momencie czerwony samochód zajechał im drogę. Eugene zaklął.

Zderzaki minęły się dosłownie o milimetry.

– Czarny samochód z lewej – krzyknęła Nancy. – To chyba Delbanco.

– Och, nie! Z prawej następny! – zawołała Sheila. – Black siedzi w białym wozie.

Otoczyli nas!

– Co mam robić? Jest ktoś za nami? – pytał spanikowany Eugene.

– Są jakieś samochody, ale nikogo w nich nie poznaję – odparła Sheila.

W sekundzie, w której Sheila wypowiedziała ostatnie słowo, Eugene wcisnął gwałtownie pedał hamulca. Małym, czterocylindrowym samochodem szarpnęło i zarzuciło. Opony zapiszczały w proteście podobnie jak opony samochodów za nimi. Eugene nie zatrzymał się, ale i tak wóz z tyłu uderzył w nich. Osiągnął jednak to, co chciał. Trzy samochody z CKCh znalazły się daleko z przodu, zanim ich kierowcy także zdołali zahamować. To dało Eugene’owi szansę zjechania w lewo. Nancy krzyknęła, widząc zbliżające się z góry samochody. Eugene dodał gazu i uniknął kolizji. Wskoczył w wąską uliczkę. Stało tu kilkanaście pojemników na odpadki. Śmieci walały się dookoła. Szerokość ulicy była w sam raz dla małego auta, więc kartony i pojemniki trafione przez samochód gwałtownie wylatywały w powietrze.

Nancy i Sheila kurczowo trzymały się uchwytów.

– Rany boskie, Eugene! – wrzasnęła Nancy, gdy trafili szczególnie duży kubeł, który poleciał w górę i spadł na dach auta, uderzając w nie z hałasem. W efekcie rozbił szyberdach. Eugene walczył z kierownicą, aby utrzymać samochód w prostej linii. Mimo to samochód ocierał się o mury z przeraźliwym zgrzytem przypominającym drapanie paznokciami po szkolnej tablicy.

Droga wyglądała na pustą, więc Eugene zaryzykował spojrzenie we wsteczne lusterko.

Ku swemu przerażeniu ujrzał wjeżdżający właśnie w uliczkę czerwony samochód.

– Eugene, patrz! – krzyknęła Nancy. Pokazywała przed siebie.

Spojrzał przed siebie i zobaczył zbliżające się ku nim ogrodzenie. Zdecydował, że nie ma wielkiego wyboru, krzyknął tylko do kobiet, żeby się trzymały, i wcisnął gaz do dechy.

Samochód nabrał prędkości. Uderzyli w przeszkodę. Eugene i Nancy gwałtownie polecili do przodu, ale dzięki pasom nic im się nie stało, Sheila wpadła zaś na przedni fotel. Samochód

zdołał się przebić i lądując na placu za ogrodzeniem, wzbił w niebo tumany kurzu. Zarzuciło nim kilka razy, ale Eugene'owi udało się opanować wóz i uchronić go od przekoziołkowania.

Pusty plac miał około stu metrów kwadratowych. Nie rosły na nim żadne drzewa.

Dostrzegł przed sobą niewielkie wzniesienie porośnięte z rzadka jakimiś roślinami. Dalej biegła ruchliwa ulica. Za szczytem wzniesienia zobaczył samochody stojące na światłach przed skrzyżowaniem.

Z suchymi ustami i bolącym ramieniem jeszcze raz spojrzął za siebie. Czerwony samochód próbował wjechać w dziurę w ogrodzeniu. Biały wóz był tuż za czerwonym.

Plan Eugene'a był prosty: przejechać przez wzniesienie i rozpląnąć się w ulicznym ruchu.

Jednak teren podyktował inne rozwiązanie. Gleba była piaszczysta i kiedy mały samochód z napędem na przednie koła podjechał pod wzniesienie, zakopał się. Przechylił się w lewo, wywrócił i zatrzymał w chmurze pyłu. Cała trójka pasażerów poważnie się poobijała.

Eugene pierwszy doszedł do siebie. Wyciągnął rękę w stronę żony. Czują się jak przebudzona z koszmarne snu. Odwrócił się w stronę Sheili. Była oszołomiona, ale cała.

Eugene odpiął pas i wyszedł z samochodu na trzęsących się nogach. Spojrzął na ogrodzenie.

Czerwony samochód najwyraźniej utknął w dziurze. Dźwięk kręcących się w miejscu kół słychać było aż na ulicy.

– Chodźcie! – zawołał do kobiet. – Jest szansa. Za to wzniesienie, a potem znikniemy w mieście.

Gdy panie wychodziły z auta, Eugene nerwowo spoglądał w stronę czerwonego samochodu. Brodacz także postanowił wysiąść.

Dalej, pospieszcie się! – ponaglał swoje towarzyszkę. Spodziewał się, że brodacz pospieszy za nimi, on tymczasem starał się wydobyć coś z samochodu. Kiedy podniósł to w górę, Eugene uznał, że przypomina bardzo pojemnik z czarnymi dyskami, który przywieźli do

Atlanty.

Nieco zaskoczony tym gestem, Eugene w dalszym ciągu patrzył na brodacza, a Nancy i Sheila, pomagając sobie wzajemnie, podchodziły pod wzniesienie. Kilka sekund później Eugene zorientował się, że wpatruje się w jeden z dysków. Ku jego największemu zaskoczeniu zawisł on w powietrzu tuż przed jego twarzą.

– Chodź, Eugene! – zawołała Nancy ze wzniesienia. – Na co czekasz?

– To czarny dysk! – krzyknął.

Nagle zauważył, że dysk zaczął gwałtownie wirować. Drobne wybrzuszenia stały się teraz jak jedna cienka krawędź. Czarny dysk zbliżył się do jego twarzy. Skóra zaczęła go swędzić.

– Eugene! – ponaglała Nancy.

Cofnął się o krok, ale nie potrafił oderwać oczu od dysku, który zrobił się czerwony i zaczął wydzielać ciepło. Zdjął marynarkę i zwinął ją. Zaczął nią wymachiwać, chcąc strącić dysk na ziemię. Lecz nic takiego się nie stało. Zamiast tego wirujący czarny przedmiot wypalił w marynarce dziurę tak szybko, że Eugene nie poczuł najmniejszego oporu. Jak nóż w masło.

– Eugene! – krzyczała Nancy. – Dalej!

Fizyk był oczarowany, szczególnie gdy aureola wokół dysku zmieniła się z czerwonej w białą. Swędzenie skóry wzmogło się. Aureola nagle rozszerzyła się w błyszczącą kulę światła o takiej jasności, że dysk w jej wnętrzu zniknął z pola widzenia.

Teraz i Nancy widziała, co przyciągnęło uwagę Eugene'a. Już miała go zawołać kolejny raz, gdy zobaczyła, jak jasna kula pochłania jej męża. Krzyk Eugene'a w jednej chwili urwał się i zamienił w syk. Dźwięk wzmocnił się, ale tylko na moment i ustał tak nagle, że Nancy i Sheila poczuły wstrząs jak po eksplozji.

Eugene zniknął. Wynajęty samochód wyglądał jak powyginana bryła stopionego metalu.

Stał w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą stał mąż Nancy.

Nancy chciała zbiec w dół, ale Sheila złapała ją i powstrzymała.

– Nie! – krzyknęła. – Nie możemy. – Obok wraku samochodu zaczęła formować się następna ognista kula.

– Eugene! – zawołała zdesperowana Nancy i wybuchnęła płaczem.

– Odszedł – powiedziała Sheila. – Musimy stąd uciekać.

Następna ognista kula pochłonęła samochód.

Sheila pociągnęła Nancy za wzniesienie, w stronę tętniącego życiem miasta. Miały przed sobą wzmożony ruch uliczny i, co ważniejsze, tysiące przechodniów. Za nimi rozległ się następny świst i cisza.

– Co to było, Boże drogi? – wykrztusiła przez łzy Nancy.

– Może sądzili, że jesteśmy jeszcze w samochodzie – domyśliła się Sheila. – Gdybym musiała zgadywać, powiedziałabym, że byłyśmy świadkami powstania dwóch miniaturowych czarnych dziur.

– Dlaczego nie mamy od nich żadnych wiadomości? – zapytał Jonathan. Dzień mijał, a on coraz bardziej się martwił. Teraz, gdy zapadł mrok, niepokój wzrósł jeszcze bardziej. – W Atlancie jest nawet później.

Jonathan, Jesse, Cassy i Pitt siedzieli w samochodzie Jesse'ego i krążyli po ulicy Jonathana. Kilka razy minęli już ich dom. Jesse bał się wejść do środka, ale ustąpił, gdy Jonathan nalegał, twierdząc, że potrzebuje czystych rzeczy i swojego laptopa. Chciał też sprawdzić, czy rodzice nie zadzwonili i nie zostawili jakichś informacji w jego komputerze.

– Twoi rodzice i doktor Miller są pewnie bardzo zajęci – powiedziała Cassy. Ale w głębi serca sama nie wierzyła w takie wyjaśnienia. Bardzo się martwiła.



– Co sądzisz, Jesse? – spytał Pitt, kiedy po raz kolejny przejeżdżali obok domu Jonathana.

– Myślisz, że jest bezpiecznie?

– Według mnie wygląda czysto – powiedział Jesse. – Nie widzę żadnych obserwatorów.

Dobra, zrobmy to, ale pospieszmy się.

Wjechali na podjazd i wyłączyli światła. Na nalegania porucznika poczekali jeszcze kilka minut, aby sprawdzić, czy nic się nie zmieniło w sąsiednich domach i samochodach.

Wyglądało spokojnie.

– Dobra. Idziemy – odezwał się Jesse.

Weszli frontowymi drzwiami. Jonathan natychmiast pobiegł na górę do swojego pokoju.

Jesse włączył w kuchni telewizor i znalazł sobie piwo w lodówce. Zaproponował je także Cassy i Pittowi. Pitt też się poczęstował. Telewizor nastawiony był na CNN.

– I oto się stało – zaczął prezenter. – Kilka chwil temu Biały Dom odwołał międzynarodowy szczyt na temat terroryzmu, informując, że prezydent zachorował na gripę.

Sekretarz prasowy prezydenta, Arnold Lerstein powiedział, że spotkanie prawdopodobnie mogłoby się odbyć zgodnie z planem bez udziału prezydenta, gdyby nie to, iż przypadkowo większość przywódców innych państw zdaje się cierpieć na tę samą chorobę. Lekarz prezydenta oświadczył, że jego zdaniem prezydent zachorował na tę samą „szybką” gripę, która dziesiątkowała mieszkańców Waszyngtonu w ostatnich kilku dniach, więc powinien wrócić do zdrowia już rano.

Pitt pokręcił głową z przerażeniem.

– Zaczyna opanowywać całą naszą cywilizację jak wirus centralnego układu nerwowego opanowuje swego żywiciela. Dociera do mózgu.

– Potrzebujemy szczepionki – stwierdziła Cassy.

– Potrzebowaliśmy jej wczoraj – powiedział Jesse.

Dzwonek telefonu wszystkich poderwał na równe nogi. Cassy i Pitt spojrzeli na Jesse'ego z pytaniem, czy powinni odebrać. Zanim odpowiedział, Jonathan podniósł słuchawkę na piętrze.

Policjant natychmiast poszedł na górę. Pitt i Cassy deptali mu po piętach.

– Chwileczkę – powiedział Jonathan do słuchawki, widząc przyjaciół. Poinformował, że to doktor Miller.

– Przełącz na głośne mówienie – powiedział Jesse.

Jonathan wcisnął przycisk.

– Jesteśmy tu wszyscy – powiedział Jesse. – Włączyliśmy zestaw głośno mówiący. Jak wam się powiodło?

– Kiepsko – przyznała Sheila. – Kontrolowali nas. Minęło sporo czasu, zanim się zorientowałam, że wszyscy są zainfekowani. Jedyne, co ich interesowało, to jak udało nam się odkryć, co się dzieje.

– Chryste! – stęknął Jesse. – Trudno było się wyrwać? Próbowali was zatrzymać?

– Początkowo nie. Powiedzieliśmy, że musimy iść do hotelu odpocząć. Musieli nas śledzić, bo złapali nas w drodze na lotnisko.

– Były kłopoty?

– Tak. Przykro mi to mówić, ale straciliśmy Eugene'a.

Spojrzeli na siebie. Każdy inaczej zrozumiał znaczenie słowa „straciliśmy”. Tylko Jesse był pewien, że wie, jak to rozumieć.

– Szukaliście go? – spytał Jonathan.

– To wyglądało tak jak tamto wydarzenie w pokoju szpitalnym. Jeśli wiesz, co mam na myśli – odpowiedziała Sheila.

– W jakim pokoju szpitalnym? – zapytał Jonathan. Ogarniała go panika.

Cassy objęła go ramieniem.

– Gdzie jesteście? – spytał Jesse.

– Na lotnisku w Atlancie. Nancy jest w fatalnym nastroju, jak się łatwo domyślacie, ale radzimy sobie. Zdecydowałyśmy się wrócić do domu, ale potrzebujemy kogoś, kto zarezerwuje dla nas bilety i zapłaci za nie.

– Załatwię wszystko – obiecał porucznik. – Zobaczymy się zaraz po waszym powrocie.

Przerwał połączenie i niezwłocznie zadzwonił do biura rezerwacji biletów. Kiedy porucznik dokonywał rezerwacji, Jonathan zapytał Cassy wprost, czy coś złego wydarzyło się jego ojcu.

Dziewczyna przytaknęła.

– Obawiam się, że tak. Ale nie jestem pewna co. Żeby się dowiedzieć czegoś więcej, będziesz musiał poczekać na powrót matki.

Jesse odłożył słuchawkę i popatrzył na chłopca. Zastanawiał się, co mógłby w tej sytuacji powiedzieć, ale zanim coś wymyślił, usłyszał pisk opon. Przez okno wpadło migające, kolorowe światło.

Jesse przyskoczył do okna i lekko rozchylił firankę. Tuż za jego samochodem stał wóz policyjny z włączonymi światłami sygnalizacyjnymi i wysiadali z niego umundurowani funkcjonariusze. Był wśród nich Vince Garbon. Wszyscy trzymali owczarki niemieckie na krótkich smyczach.

Pojawiły się kolejne samochody policyjne, jedno oznaczone, inne nie, nawet wóz do przewożenia aresztantów. Wszystkie zatrzymały się przed podjazdem Sellersów, a policjanci wysypali się na ulicę.

– Co to jest? – odezwał się Pitt.

– Policja. Musieli jednak obserwować to miejsce. Widzę nawet mojego byłego partnera

czy co tam z niego zostało.

– Idą tu? – spytała Cassy.

– Obawiam się, że tak – odparł Jesse. – Zgaście wszystkie światła.

Rozbiegli się po domu i szybko pogasili światła. Zebrali się w ciemnej kuchni. Przez okna wpadały strumienie światła z zewnątrz. Tworzyły niesamowity efekt.

– Muszą wiedzieć, że jesteśmy w środku – domyśliła się Cassy.

– Co zrobimy? – zastanowił się Pitt.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli wielki wybór – stwierdził porucznik.

– Ten dom ma ukryte wyjście – powiedział Jonathan. – Przez piwnicę. Używałem go czasami, żeby wymknąć się w nocy.

– No to na co jeszcze czekamy? Prowadź! – polecił Jesse.

Jonathan poszedł pierwszy, niosąc swój laptop. Ruszali się powoli i cicho, unikając światła, które penetrowały wewnątrz domu przez okna. Kiedy znaleźli się na schodach prowadzących do piwnicy i zamknęli za sobą drzwi, poczuli się nieco bezpieczniej. Trudno jednak było posuwać się naprzód z powodu kompletnych ciemności. Nie chcieli zapalać światła, ponieważ piwnica miała kilka małych okienek.

Szli gęsiego. Trzymali się za ręce, aby się nie pogubić. Jonathan prowadził ich w kierunku tylnej ściany domu. Tam otworzył ciężkie drzwi, które zaskrzypiały w zawiasach. Poczuli na nogach chłodny podmuch powietrza.

– Gdybyście pytali, co to jest, to jesteśmy w schronie wybudowanym w latach pięćdziesiątych. Rodzice wykorzystują go jako piwniczkę na wina.

Weszli, a Jonathan poprosił ostatniego o zamknięcie drzwi. Zatrzasnęły się z głośnym odgłosem.

Gdy tylko zamknięto drzwi, Jonathan zapalił światło. Znaleźli się w betonowym przejściu

z drewnianymi regałami. Na podłodze stało kilka skrzynek z winem.

– Tędy – powiedział chłopak.

Stanęli przy kolejnych drzwiach. Za nimi zeszli jeden stopień i znaleźli się w pomieszczeniu z kojami i całą ścianą zabudowaną szafkami. Było też wąskie przejście i mała łazienka. W drugim pomieszczeniu urządzono kuchnię. Za nią znajdowały się kolejne solidne drzwi. Za nimi korytarz prowadził do suchego łożyska rzeki za domem Sellersów.

– A niech mnie – skomentował Jesse. – Zupełnie jakbyśmy uciekali ze średniowiecznego zamku. Podoba mi się to.

## **Rozdział 15**

## Godzina 9.45

– Nancy! – zawołała cicho Sheila. – Jesteśmy.

Nancy otworzyła oczy; przebudziła się spłoszona.

– Która godzina? – spytała, starając się równocześnie zorientować, z kim i gdzie jest.

Sheila odpowiedziała.

– Okropnie się czuję – wyznała Nancy.

– Ja również.

Całą noc spędziły w ruchu na Międzynarodowym Lotnisku Hartsfield w Atlancie. Nie opuszczał ich strach, że mogą zostać rozpoznane. Wejście na pokład samolotu we wczesnych godzinach porannych było swego rodzaju ulgą. Obie nie spały od czterdziestu godzin.

Natychmiast po starcie zapadły w głęboki sen.

– Co ja mam powiedzieć synowi? – zapytała Nancy, ale właściwie nie oczekiwała odpowiedzi. Ilekroć pomyślała o zniknięciu męża w gorejącej kuli światła, łzy napływały jej do oczu.

Zebrały swoje rzeczy i opuściły pokład samolotu. Wobec każdego zachowywały się podejrzliwie, każdego posądzały o to, że im się przygląda. Kiedy wyszły z rękawa, Nancy dostrzegła Jonathana i podbiegła do niego. Padli sobie w objęcia i trwali tak przez długą chwilę w milczeniu, podczas gdy Sheila przywitała się z Jessem, Pittem i Cassy.

– Okay, chodźmy stąd – powiedział porucznik, klepiąc delikatnie trwających w uścisku matkę i syna.

Grupą ruszyli w stronę terminalu. Całą drogę Jesse kręcił głową niczym radarem, obserwując ludzi wokół. Z ulgą przyjął, że nie zwrócili niczyjej uwagi, szczególnie ochrony lotniska. Piętnaście minut później siedzieli w minivanie Jesse'ego, jego prywatnym samochodzie, i ruszyli w stronę miasta. Sheila i Nancy w szczegółach opisały przebieg

nieszczęśliwej wyprawy. Łamiącym się głosem Nancy zdołała także opowiedzieć o ostatnich chwilach Eugene'a. Wieść o tragedii przyjęto w zupełnym milczeniu.

– Musimy zdecydować, dokąd pojedziemy – przypomniał Jesse.

– Nasz dom będzie najwygodniejszy – powiedziała Nancy. – Nie jest może wytworny, ale ma dużo pokoi.

– To chyba nie byłoby rozsądne – stwierdził Jesse. Teraz on opowiedział o wydarzeniach ostatniej nocy.

Nancy była oburzona.

– Wiem, że to może egoistyczne złościć się wobec tego wszystkiego, co się dzieje dookoła – powiedziała – ale przecież to mój dom.

– Gdzie w takim razie spędziliście noc? – spytała Sheila.

– W mieszkaniu mojego kuzyna – odparł Pitt. – Problem w tym, że są tam tylko trzy sypialnie i jedna łazienka.

– W tych okolicznościach wygody to luksus, którego nie możemy wymagać – stwierdziła Sheila.

– Dziś rano w „Wiadomościach” grupa specjalistów od zdrowia oświadczyła zgodnie, że grypa, która panuje, nie jest groźna – powiedziała Cassy.

– Pewnie te dranie z CKCh – domyśliła się Sheila.

– Martwi mnie to absolutne milczenie mediów na temat czarnych dysków – wtrącił Pitt. –

Dlaczego pomija się ich istnienie, skoro pojawiło się ich nagle tak wiele?

– Jawią się jako nieszkodliwa ciekawostka – zauważył Jesse. – Ludzie bez wątplenia rozmawiają o nich, ale nikt widocznie nie uznał ich za warte komentarzy telewizyjnych.

Niestety, nie ma poważnego powodu, aby łączyć dyski z chorobą. A kiedy można je połączyć, jest za późno.

– Musimy wymyślić sposób na ostrzeżenie ludzi – powiedziała Cassy. – Nie wolno nam dłużej czekać.

– Cassy ma rację – zgodził się Pitt. – Czas na to, żebyśmy zaczęli informować ludzi w każdy możliwy sposób: przez telewizję, radio, gazety, obojętnie jak. Społeczeństwo musi się dowiedzieć.

– Mniejsza o społeczeństwo – zaprzeczyła Sheila. – Musimy przede wszystkim włączyć w to świat medycyny. Za chwilę nie będzie ani jednej osoby, która byłaby w stanie wymyślić, jak to powstrzymać.

– Mnie się wydaje, że rację mają dzieciaki – uznał Jesse. – Spróbowaliśmy z CKCh i kłapa. Musimy znaleźć kogoś w mediach, kto nie jest zainfekowany, i rozgłosić na cały świat to, co wiemy. Niestety, nie znam nikogo poza kilkoma dziennikarzami z kronik kryminalnych.

– Nie, rację ma Sheila... – zaczęła Nancy.

Jonathan był zupełnie wyłączony. To, co spotkało jego ojca, załamało go. Dla nastolatka istota śmierci była czymś nierealnym. Nie potrafił nawet w pełni przyjąć do wiadomości tego, co usłyszał. Jonathan przyglądał się uważnie ludziom na ulicach, nie zwracając uwagi na spory toczone w samochodzie. Wszędzie było mnóstwo ludzi. Od samego początku wydawało się, że ulice są zatłoczone, bez względu na porę dnia czy nocy. No i każdy miał ten fałszywy, głupawy uśmiech przyklejony do ust. Jonathan zauważył coś jeszcze. Ludzie byli bardzo zapracowani; współpracowali ze sobą i pomagali sobie wzajemnie. Czy to był przechodzień pomagający robotnikowi wyjąć narzędzia, czy dziecko pomagające starszej osobie nieść paczkę, wszyscy działali razem. Miasto przypominało ul.

Tymczasem rozmowa w samochodzie stawała się coraz głośniejsza, szczególnie gdy Sheila zaczęła przekonywać Pitta.



– Zamknijcie się! – wrzasnął Jonathan.

Ku jego zaskoczeniu, pomogło. Wszyscy spojrzeli na niego, nawet Jesse, który przecież prowadził.

– Ta kłótnia jest głupia – powiedział chłopak. – Musimy pracować razem. – Odwrócił głowę i znowu popatrzył przez okno. – Oni tak właśnie robią.

Skarceni przez nastolatka, poszli za jego przykładem i przyjrzeni się otoczeniu.

Zrozumieli, co miał na myśli, i natychmiast otrzeźwieli.

– To straszne. Są jak automaty – powiedziała Cassy.

Jesse skręcił w ulicę, przy której mieszkał kuzyn Pitta. Zaczął hamować, gdy nagle zauważył dwa samochody. Nie były oznaczone, lecz był pewien, że siedzą w nich policjanci obserwujący otoczenie.

– To nasz blok – powiedział Pitt, widząc, że porucznik zamierza przejechać obok.

– Nie zatrzymujemy się – odparł Jesse i wskazał na prawo. – Zobacz te dwa zaparkowane jeden za drugim nowe fordy. Siedzą w nich policjanci po cywilnemu. Jestem tego pewny.

Cassy popatrzyła na mężczyznę.

– Nie patrz w ich stronę! – ostrzegł porucznik. – Nie chcemy zwracać na siebie ich uwagi. Jechali dalej.

– Możemy pojechać do mnie – zaproponowała Sheila. – Ale mam tylko jedną sypialnię i mieszkam w wieżowcu.

– Mam lepsze miejsce. Właściwie jest idealne – stwierdził Jesse.

W dwóch mercedesach należących do Randy’ego Nite’a, jadących z Instytutu do

Obserwatorium Donaldsona na Jackson Mountain, siedzieli Beau i jego pomocnicy. Widok z okna był wyjątkowy, szczególnie w tak pogodny dzień.

Obserwatorium było pięknie położone. Była to potężna kopuła osadzona wprost na

skalnej iglicy. W świecącym ostro słońcu błyszczała bielą. Pod zamkniętą kopułą znajdował się potężnej mocy teleskop zwierciadlany.

Z pierwszego samochodu, który zatrzymał się pod obserwatorium, wysiadł Beau i Alexander Dalton. Alexander w poprzednim życiu był prawnikiem. Zza kierownicy wysiadła Veronica Paterson. Nadal ubrana była w swój obcisły elastyczny strój. Beau przebrał się w ciemną koszulę z długimi rękawami. Kołnierz miał podniesiony, a mankiety zapięte.

– Mam nadzieję, że to wyposażenie warte jest wysiłku – powiedział.

– Według mojej wiedzy jest to najnowszy model – odparł Alexander, jeden z najbardziej zaufanych ludzi Beau. Był to wysoki, szczupły mężczyzna z pająkowatymi palcami.

Z drugiego mercedesa wysiadła grupa techników. Wszyscy mieli ze sobą narzędzia.

– Witam, Beau Stark! – zawołał jakiś głos.

Wszyscy odwrócili się i zobaczyli stojącego w drzwiach obserwatorium siwego, blisko osiemdziesięcioletniego mężczyznę. Jego twarz była pomarszczona jak wysuszona na słońcu skórka owocu.

Beau podszedł do starca i uściśnął mu rękę. Następnie przedstawił Veronicę i Alexandra doktorowi Carltonowi Hoffmanowi. Pomocnikom powiedział, że właśnie poznali panującego króla amerykańskiej astronomii.

– Jest pan zbyt łaskaw – odparł Carlton. – Proszę wejść i zaczynamy.

Beau skinął na resztę zespołu, aby weszli do środka. Ruszyli bez słowa.

– Potrzebujecie czegoś? – spytał Carlton.

– Myślę, że wszystkie potrzebne narzędzia mamy ze sobą – odpowiedział Beau.

Technicy natychmiast przystąpili do demontażu teleskopu.

– Szczególnie interesuje mnie obiektyw! – zawołał Beau do jednego z mężczyzn, który wspiął się na wysokość wymiennej końcówki.

Beau odwrócił się do Carltona.

– Oczywiście wie pan, że drzwi Instytutu stoją dla pana otworem o każdej porze – powiedział.

– To bardzo miło. Na pewno zjawię się, gdy tylko skończycie.

– To już niedługo.

– Stać! – ktoś krzyknął. Głos odbił się echem od kopuły. Praca na moment ustała. – Co tu się dzieje? Kim jesteście?

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę drzwi do komory powietrznej. Stał w nich niski, myszowaty mężczyzna. Zakaszłał gwałtownie, ale dalej obserwował robotników, którzy demontowali kolejny element teleskopu.

– Fenton, tu jesteśmy! – zawołał Carlton do mężczyzny. – Wszystko w porządku. Jest tu ktoś, kogo chciałbym ci przedstawić.

Mężczyzna, który nieoczekiwanie pojawił się w obserwatorium, nazywał się Fenton Tyler. Pełnił funkcję asystenta astronoma, więc w rzeczywistości był następcą Carltona Hoffmana. Fenton rzucił krótkie spojrzenie w stronę Carltona, ale natychmiast wrócił wzrokiem ku robotnikom odkręcającym kolejny sworzeń.

– Proszę, Fenton, zejdz do nas – Carlton powołał zaproszenie.

Tamten z oporami ruszył bokiem, nie spuszczać jednocześnie wzroku ze swego ukochanego teleskopu. Kiedy stanął przy Beau i pozostałych, nie było wątpliwości, że także jest chory.

– Ma grypę – szepnął Carlton do Beau. – Nie spodziewałem się go tutaj.

Beau kiwnął głową ze zrozumieniem.

– Oczywiście – odparł.

Fenton stanął przy szefie. Był blady i rozgorączkowany. Mocno pociągał nosem. Carlton

przedstawił go Beau i wyjaśnił, że pan Stark pożycza część teleskopu.

– Pożycza? – powtórzył Fenton. Był kompletnie zaskoczony. – Nie rozumiem.

Carlton położył dłoń na ramieniu asystenta.

– Oczywiście, że nie rozumiesz. Ale zrozumiesz. Obiecuję ci, że zrozumiesz doskonale wcześniej, niż sądzisz.

– No dobra! – zawołał Beau, klaszcząc w dłonie. – Wracać do pracy. Miejmy to za sobą.

Pomimo wyjaśnień Carltona Fenton był zdumiony i przerażony i dał wyraz swemu oburzeniu. Carlton odciągnął go na bok i starał się rzecz całą wyjaśnić.

– Cieszę się, że jest z nami doktor Hoffman – powiedział Alexander.

Beau przytaknął. Ale, prawdę powiedziawszy, nie myślał już o nieoczekiwanej przerwie.

Myślał o Cassy.

– Alexander, powiedz mi, zlokalizowałeś tę kobietę, o którą prosiłem?

– Cassy Winthrope – przypomniał sobie Alexander. Od razu domyślił się, o kim mówi

Beau. – Nie została odnaleziona. Bez wątpienia nie jest jeszcze jedną z nas.

– Hmm – mruknął zamyślony Beau. – Nie powinienem spuszczać jej z oczu po tamtej nieoczekiwanej wizycie. Nie wiem, co mnie wtedy naszło. Podejrzewam jakieś zanikające ludzkie, romantyczne odruchy. To zawstydzające. W każdym razie, odnajdź ją.

– Znajdziemy. Nie ma wątpliwości – zapewnił Alexander.

Ostatnie półtora kilometra wytrzymało ich, ale Jesse'emu udało się jakoś jechać koleinami po wyboistej, zaniedbanej drodze.

– Domek jest za następnym zakrętem – oznajmił Jesse.

– Bogu dzięki! – stęknęła Sheila.

Wreszcie samochód zatrzymał się. Przed nimi stała chatka z bali zagnieżdżona między smukłymi, ale potężnymi sosnami. Przez iglaste korony przedzierały się promienie

oślepiająco jasnego światła słonecznego.

– Gdzie jesteście? W Timbuktu? – spytała Sheila.

– Nie bardzo – roześmiał się Jesse. – Mamy tu prąd, telefon, telewizję, bieżącą wodę i toaletę.

– A więc czterogwiazdkowy hotel – skomentowała Sheila.

– Pięknie tu – zachwyciła się Cassy.

– Chodźcie. Pokażę wam wnętrze i jezioro za domem – zaprosił porucznik.

Wysiedli za auta. Wszyscy byli zesztywniali, szczególnie Sheila i Nancy. Sięgnęli po skromny bagaż, który udało im się ze sobą zabrać. Jonathan niósł pod pachą swój laptop.

Powietrze było czyste i rześkie, przesycone aromatem sosnowych igieł. Lekki wiaterek kołysał koronami wiecznie zielonych drzew, wywołując miły dla uszu szum. Zewsząd rozlegały się odgłosy ptaków.

– Jak ci się udało kupić taką chatę? – spytał Pitt, kiedy wspięli się na frontowy ganek.

Podpory i poręcze balustrady zrobione zostały z pni. Podłogę wykonano z ledwo przetartych desek.

– Kupiliśmy to z myślą o wędkowaniu – wyjaśnił Jesse. – Annie była zapalonym wędkarzem, nie ja. Gdy umarła, jakoś nie mogłem go sprzedać. Ale nie dlatego, że często tu przyjeżdżałem, szczególnie w ostatnich kilku latach.

Trochę się pomocował, zanim otworzył drzwi. Weszli do środka. Pachniało wilgocią.

Wewnątrz dominował potężny kominek zrobiony z polnych kamieni, ciągnący się aż po sam szczyt domu. Po prawej znajdowała się prymitywna kuchnia z ręczną pompą nad steatytowym zlewozmywakiem. Na lewo były dwie sypialnie. Drzwi do łazienki znajdowały się na prawo od kominka.

– Czarujące – stwierdziła Nancy.

– A już na pewno odosobnione – dodała Sheila.

– Trudno mi sobie wyobrazić lepsze miejsce – wtrąciła Cassy.

– Przewietrzmy je – zaproponował Jesse.

Przez następne pół godziny starali się urządzić chatę tak wygodnie, jak to było możliwe.

Po drodze do samotni zatrzymali się przy supermarkecie i zaopatrzyli w artykuły spożywcze.

Mężczyźni przynieśli wszystko z samochodu, a panie pochowały produkty.

Jesse uparł się, aby rozpaść w kominku, choć nie było zimno.

– W domu jest wilgoć, ogień osuszy powietrze – wyjaśniał. – Poza tym zbliża się wieczór i będziecie zadowoleni, że rozpałem. Noce bywają tu zimne, nawet o tej porze roku.

– Powinniśmy zachować ostrożność – powiedział Jonathan. Otworzył paczkę chipsów ziemniaczanych i zaczął je chrupać.

– Na razie jesteśmy bezpieczni. Jeśli się nie mylę, nikt na posterunku, włącznie z moimi najbliższymi kolegami, nie wie o tym miejscu. Ale nie przyjechaliśmy tu na wakacje. Co powinniśmy dalej zrobić?

– Jak szybko ta grypa może objąć wszystkich? – spytała Cassy.

– Jak szybko? – powtórzyła Sheila. – Zdaje się, że mieliśmy już doskonały pokaz.

– Biorąc pod uwagę krótki okres inkubacji choroby, równie krótki przebieg oraz to, że zainfekowani odczuwają chęć zarażania innych, epidemia może się rozprzestrzenić w tempie burzy ogniowej – stwierdził Pitt. Mówiąc to, pracował równocześnie na laptopie. – Gdybym wiedział, ile dysków wylądowało na Ziemi, mógłbym zrobić całkiem wiarygodne obliczenia symulacyjne. Ale nawet przy zaniżonych szacunkach sprawy nie wyglądają najlepiej. –

Odwrócił komputer tak, aby pozostali mogli popatrzeć na ekran. Zobaczyli wykres kołowy z zaznaczonym na czerwono klinem. – Tak to wygląda po kilku dniach – powiedział.

– Mówimy więc o milionach ludzi – zauważył Jesse.

– Biorąc pod uwagę ewangelizujące nastawienie zainfekowanych oraz to, że współpracują ze sobą, niedługo będziemy mówić o miliardach – skomentował Pitt.

– Co ze zwierzętami? – zapytał Jonathan.

Pitt westchnął.

– Nigdy poważnie nad tym się nie zastanawiałem. Ale bez wątpienia ich też to dotyczy, jak każdego organizmu, który ma w swoim genomie wirusa – odparł.

– Tak – odezwała się zadumana Cassy. – Beau musiał zainfekować tego swojego wielkiego psa. Od samego początku zachowywał się dziwnie.

– Więc obcy opanowują też inne organizmy – skonstatował Jonathan.

– Analogicznie do normalnego wirusa, który opanowuje pojedyncze komórki – stwierdziła Nancy. – Przypomnijcie sobie, dlaczego Pitt nazwał to megawirusem. – Wszyscy z zadowoleniem usłyszeli głos Nancy. Od wielu godzin milczała. – Wirusy to pasożyty – ciągnęła. – Potrzebują organizmu żywiciela. Samotnie nie są zdolne nic zdziałać.

– W stu procentach prawda – przytaknęła Sheila. – Potrzebują żywiciela. Szczególnie ten kosmiczny szczep. Nie ma mowy, żeby taki mikroskopijny wirus sam budował urządzenia kosmiczne.

– Racja! – zgodziła się Cassy. – Obcy wirus musi infekować inne gatunki gdzieś we wszechświecie, które mają dość wiedzy, są dostatecznie duże i zdolne do produkowania tych ich czarnych dysków.

– Nie byłabym taka pewna – wtrąciła Nancy. – Prawdopodobnie mogą je robić sami.

Pamiętasz, że sugerowałam, iż obcy być może potrafią spakować siebie albo część swojej wiedzy w formę wirusa dla łatwiejszego pokonywania międzygalaktycznych przestrzeni. W takim przypadku ich normalna forma byłaby zupełnie inna niż wirus.

– Eugene, zanim zniknął, postawił hipotezę, że obca świadomość może zostać osiągnięta

przez skończoną liczbę zainfekowanych pracujących wspólnie.

– Wszyscy jesteście zbyt tajemniczy dla mnie – przyznał Jesse.

– W każdym razie mogą teraz kontrolować miliony przedstawicieli różnych form życia w całej Galaktyce – powiedział Jonathan.

– A w tej chwili uznali, że najlepsze dla rozwoju i wzrostu będzie ludzkie ciało. Ale dlaczego właśnie teraz? Co się takiego wyjątkowego teraz dzieje? – zastanowiła się Cassy.

– Myślę, że to zwykły przypadek – stwierdził Pitt. – Może sprawdzają wszystko co kilka milionów lat. Może zapuścili sondę na Ziemię, aby sprawdzić, jaka forma życia wyewoluowała u nas.

– Obudzenie uspiętego wirusa – powiedziała Nancy.

– Wirus przejmuje kontrolę nad pojedynczym żywicielem. Żywiciel bada topografię terenu, że się tak wyrażę, i raportuje do bazy macierzystej.

– No cóż, jeśli tak się właśnie stało – odezwał się znowu Jesse – to raport musiał być diabelnie dobry, bo siedzimy w kłopotach po uszy.

Cassy skinęła głową.

– To ma sens. A Beau może być pierwszym żywicielem.

– Możliwe. Ale jeżeli scenariusz jest prawdziwy, to mógł być ktokolwiek gdziekolwiek – uznała Sheila.

– Staram się przypomnieć sobie wszystko od początku – Cassy mówiła raczej do Pitta niż do kogokolwiek innego – Beau musiał być pierwszy. I wiecie co? Gdyby to nie zdarzyło się właśnie jemu, bylibyśmy jak wszyscy inni, kompletnie nieświadomi tego, co się dzieje.

– Albo bylibyśmy już z nimi – dodał Jesse.

Te otrzeźwiający uwagi wszystkich uciszyły. Przez kilka minut jedynymi dźwiękami były trzask palonych w kominku polan i ćwierkanie ptaków leśnych dochodzące przez otwarte



okno.

– Hej! – zawołał Jonathan, przerywając ciszę. – Co będziemy tu robić, siedzieć beczynnie?

– Do diabła, nie! – odpowiedział Pitt. – Róbmy coś! Zaczniemy walczyć!

– Właśnie – przytaknęła Cassy. – Jesteśmy za to odpowiedzialni. W końcu możliwe, że wiemy o nieszczęściu znacznie więcej niż ktokolwiek inny na świecie.

– Potrzebne są antyciała – powiedziała Sheila. – Antyciała i szczepionka przeciwko wirusowi i wywołującej chorobę proteinie. Albo jakiś lek antywirusowy. Nancy, co sądzisz o tym?

– Spróbować nie zawadzi. Jednak do tego potrzebny będzie sprzęt i szczęście.

– Jasne, że potrzebujemy sprzętu. Możemy tu zainstalować laboratorium. Niezbędne będą kultury bakterii, inkubatory, mikroskopy, wirówki. Ale to wszystko jest osiągalne. Musimy to tutaj zgromadzić – Sheila zapaliła się do pomysłu.

– Zrób listę – poprosił Jesse. – Prawdopodobnie zdobędę większość sprzętu.

– Muszę się dostać do mojego laboratorium – zdecydowała Nancy.

– Ja także – dodała Sheila. – Będziemy potrzebować próbek krwi od zakażonych. No i próbki z płynem z dysku.

– Zróbmy streszczenie raportu, który przygotowaliśmy dla CKCh i rozprowadźmy to – zaproponowała Cassy.

– Tak – z entuzjazmem zgodził się Pitt, łapiąc sposób myślenia przyjaciółki. – Możemy to wprowadzić do Internetu.

– Świetny pomysł – Jonathan zaakceptował rozwiązanie.

– Zaczniemy od przesłania raportu do wszystkich ważnych laboratoriów wirusologicznych – zaproponowała Sheila.

– Znakomicie. I do zakładów farmaceutycznych, które przeprowadzają własne badania.

Niemożliwe, żeby wszystkie były zainfekowane. Może znajdziemy kogoś, kto zechce nas wysłuchać – Nancy wyraziła nadzieję.

– Mogę podłączyć do sieci „ducha” – powiedział Jonathan. – Albo uruchomić fałszywe połączenia internetowe między plikami danych. Dopóki będę je systematycznie zmieniał, nie wyśledzą nas.

Przez chwilę przyglądali się sobie nawzajem. Z jednej strony czuli lekki zawrót głowy, z drugiej ciężar wielkości i trudu zadania, którego się podjęli. Każdy starał się określić, jaka jest szansa na sukces, ale bez względu na szacunek zgadzali się, że muszą coś zrobić. W ich sytuacji bezczynność byłaby znacznie trudniejsza do zniesienia z psychologicznego punktu widzenia.

Gdy Nancy, Sheila i Jesse wsiadali do samochodu, słońce właśnie zachodziło. Cassy, Jonathan i Pitt stali na ganku, machali do nich i prosili o ostrożność.

Kiedy Nancy i Sheila trochę się przespały, zdecydowali się pojechać do miasta, aby wykraść z laboratoriów niezbędny sprzęt. Uznali również, że młodzież powinna zostać w chacie, tak by w samochodzie było miejsce na sprzęt. Początkowo protestowali, szczególnie Jonathan, lecz po dłuższej rozmowie zgodzili się, że to najlepsze rozwiązanie.

Gdy tylko minivan odjechał, Jonathan zniknął w chacie, a Cassy i Pitt wybrali się na krótki spacer. Okrążyli dom i weszli w sosnowy las schodzący ku jezioru. Tam przeszli na sam koniec niewielkiego pomostu i w milczeniu podziwiali urodę okolicy. Noc szybko zapadała, malując odległe wzgórza głęboką purpurą i ciemnymi, srebrzystymi granatami.

– Tu, w otoczeniu cudownej natury, wszystkie problemy wydają się tylko złym snem – odezwał się Pitt. – Zupełnie jakby nie mogły być prawdopodobne.

– Wiem, o czym mówisz. Jednak mając świadomość, że w tej samej chwili to wszystko

dzieje się naprawdę, a cała ludzkość jest zagrożona, czuję się wewnętrznie tak zespólna z innymi, jak nigdy dotąd. Wydaje mi się, że wszyscy jesteśmy sobie bliscy, dopiero teraz patrzę na ludzkość jak na jedną wielką rodzinę. I pomyśleć, co sami sobie wyrządziliśmy. –

Po plecach Cassy przeszedł dreszcz.

Pitt objął dziewczynę ramieniem. Sprawilo jej to przyjemność w chłodną noc. Tak jak

Jesse przepowiedział, po zachodzie słońca temperatura wyraźnie opadła.

– Groźba utraty tożsamości zmusza także do spojrzenia na swoje życie – powiedziała

Cassy. – Trudno jest mi zaakceptować stratę Beau, ale muszę. Obawiam się, że nie ma już tego Beau, którego znałam. Jak gdyby umarł.

– Może odkryjemy antyciała – wspomniał Pitt. Patrzył na Cassy i tak bardzo pragnął ją pocałować, jednak nie ośmielił się.

– Och tak, jasne. Święty Mikołaj ma tu jutro wpaść – odpowiedziała pogardliwie.

– Oj, Cassy! – Pitt delikatnie potrząsnął dziewczyną. – Nie poddawaj się.

– A kto tu mówi o poddawaniu się? Staram się tylko zaakceptować rzeczywistość najlepiej jak potrafię. Ciągle kocham tamtego Beau i zawsze będę kochać. Ale powoli zaczynam sobie uświadamiać także coś jeszcze.

– Co takiego? – zapytał niewinnie.

– Zaczynam rozumieć, że kochałam także ciebie. Nie mam zamiaru wprawiać cię w zakłopotanie, ale gdy kiedyś się spotykaliśmy, nigdy nie sądziłam, że troszczysz się o mnie szczerze, lecz że celowo aranżujesz zdarzenia. Więc nie zastanawiałam się nad swoimi uczuciami. Ale w ciągu ostatnich kilku dni zaczęłam... doszłam do odmiennego wniosku. Sądzę, iż mogłam się wtedy mylić.

Uśmiech zrodził się w duszy Pitta i powoli wypłynął na twarz niczym promień wschodzącego słońca.

– Mogę cię zapewnić, że jeśli sądziłaś, że nie troszczę się o ciebie, to byłaś absolutnie, całkowicie i bezspornie w błędzie.

Cassy i Pitt przyglądali się sobie nawzajem w ogarniającym ich mroku nocy. Mimo całej sytuacji poczuli nieoczekiwaną radość. To była magiczna chwila, której czar prysł, gdy usłyszeli nieoczekiwany krzyk.

– Hej, wy tam, zbierzcie tyłki i chodźcie tu! – wołał Jonathan. – Musicie to zobaczyć!

Bojąc się najgorszego, Pitt i Cassy pobiegli do chaty. Przez te kilka minut, które spędzili nad jeziorem, między smukłymi sosnami zapanowała prawdziwa ciemność, biegli więc, potykając się o korzenie. Gdy wpadli do domu, zobaczyli Jonathana siedzącego na oparciu kanapy i oglądającego telewizję. Bezwiednie wkładał do ust jednego chipsa za drugim.

– Słuchajcie – powiedział niewyraźnie, wskazując na telewizor.

– ...wszyscy zgodnie stwierdzają, że prezydent jest pełen entuzjazmu i bardziej żywotny niż kiedykolwiek wcześniej. Cytując jednego z pracowników Białego Domu, powiemy, że:

„Prezydent jest odmienionym człowiekiem”. – Prezenterowi przerwał niespodziewanie

kaszel. Przeprosił i kontynuował: – Tymczasem dziwna grypa rozprzestrzenia się w stolicy.

Wysokiej rangi urzędnicy rządowi, podobnie jak większość członków obu izb Kongresu, została zarażona tą szybko rozszerzającą się epidemią. Oczywiście cały kraj pogrążony jest w żałobie po śmierci senatora Piersona Cranmore’a. Jako diabetyk stał się inspiracją dla innych dotkniętych tą nieuleczalną chorobą.

Jonathan wyłączył pilotem dźwięk.

– Wygląda na to, że kontrolują niemal cały rząd – zauważył.

– Myślę, że tego się spodziewaliśmy – powiedziała Cassy. – Co ze streszczeniem, które zrobiliśmy po południu? Chyba powinieneś przygotować je do wysłania do Internetu.

– Już to zrobiłem – przyznał Jonathan. Popchnął leżący na ławie laptop w stronę Cassy,

aby mogła widzieć ekran. Do komputera była podłączona też linia telefoniczna. – Wszystko gotowe – zapewnił.

– To w takim razie zacznijmy – zaproponowała Cassy.

Jonathan wcisnął odpowiedni klawisz i pierwszy opis oraz ostrzeżenie o tym, co się dzieje na świecie, zostały wpuszczone na szeroką, światową elektroniczną infostradę. Raport znalazł się w Internecie.

## **Rozdział 16**

# Godzina 10.30

Beau siedział przed zestawem telewizorów, które kazał zainstalować w bibliotece. Dla lepszego odbioru obrazu wysokie, łukowato wykończone okna zasłonięto ciężkimi, aksamitnymi zasłonami. Za nim stała Veronica i masowała mu ramiona.

Beau lekko zagrał palcami na klawiaturze i wszystkie monitory ożyły. Podniósł głośność w górnym lewym odbiorniku. NBC transmitowała konferencję prasową sekretarza prasowego prezydenta, Arnolda Lersteina.

„Nie ma powodów do paniki. Taki pogląd wyraził zarówno pan prezydent, jak i lekarz dyżurny kraju, doktor Alice Lyons. Grypa osiągnęła rozmiary epidemii, ale ma szybki przebieg i nie pozostawia ubocznych skutków. Wiele osób nawet przyznaje, że po chorobie czuje wzrost sił witalnych. Jedynie osoby z przewlekłymi chorobami powinny...”

Beau przełączył dźwięk na następny monitor. Mówiący był bez wątpienia Brytyjczykiem.

„...na terenie Wysp Brytyjskich. Jeśli zauważysz u siebie albo kogoś z twoich bliskich objawy, nie panikuj. Połóż się, wypij ciepłą herbatę, kontroluj temperaturę”.

Beau przeskakiwał z jednego telewizora na drugi. Informacje były podobne, nieważne, czy przesyłano je po rosyjsku, chińsku, hiszpańsku czy w innym z około czterdziestu dziwnie brzmiących języków.

– To wszystko brzmi uspokajająco – skomentował informacje Beau. – Inwazja przebiega zgodnie z planem.

Veronica przytaknęła, nie przerywając masażu.

Beau przełączył na monitor widok z kamery obserwującej frontowe wejście na teren posiadłości. Szerokokątny obiektyw obejmował grupę około pięćdziesięciu protestujących, niepokojących pilnujących bramy młodych strażników. Kilka psów Instytutu warowało w pogotowiu za bramą.

– Tam jest moja żona! – wołał jeden z protestujących. – Żądam widzenia z nią. Nie macie prawa jej przetrzymywać.

Uśmiechy na ustach strażników nie zmieniły się ani na jotę.

– Moi dwaj synowie! – krzyczał ktoś następny. – Są tam. Wiem o tym. Chcę z nimi rozmawiać. Muszę wiedzieć, że nic im nie jest!

W tej samej chwili wiele osób z grupy zaczęło wołać i krzyczeć. Nagle wszystko ucichło. Przez bramę zaczęli wchodzić różni ludzie. Wszyscy uśmiechali się, tak jak strażnicy. Ci ludzie byli zainfekowani. Wezwano ich do pracy w Instytucie, więc strażnicy łatwo ich rozpoznali i nie robili żadnych trudności.

Fakt, że inni mogą wejść na teren Instytutu bez żadnych trudności, rozognił nastroje wśród protestujących. Odkąd się tu zjawili, całkowicie ich ignorowano. Bez ostrzeżenia rzucili się w stronę bramy. Wybuchła walka wręcz z głośnymi wrzaskami i przepychankami. Posypały się nawet ciosy. Ale psy szybko opanowały sytuację. Zaatakowały szturmujących. Ich groźne warczenie i kąsanie po nogach błyskawicznie pozbawiło całą grupę odwagi. Protestujący natychmiast wycofali się.

Beau wyłączył monitor. Opuścił głowę na piersi, aby Veronica mogła rozmasować mu mięśnie karku. Spał tylko godzinę zamiast dwóch, których potrzebował do pełnego wypoczynku.

– Powinieneś się cieszyć – odezwała się Veronica. – Wszystko idzie po twojej myśli.

– Cieszę się – przytaknął Beau. Nagle zmienił temat. – Czy w sali balowej jest Alexander Dalton? Widziałas go, kiedy tam zeszedł?

– Na oba pytania odpowiedź brzmi: „tak”. Jest tak, jak sobie życzyłeś. On nigdy nie sprzeciwiłby się twoim poleceniom.

– W takim razie powinienem tam zejść – powiedział Beau. Podniósł głowę i wstał.

Krótkim gwizdnięciem przywołał do nogi Kinga. Razem zeszli głównymi schodami.

Poziom aktywności w przestronnej sali wyraźnie się podniósł. Pracowało teraz więcej osób niż poprzedniego dnia. Filary podtrzymujące sufit oraz elementy konstrukcyjne ścian zostały całkowicie odsłonięte. Potężne żyrandole oraz obficie dekorowane gzymsy zupełnie zniknęły. Wielkie, łukowate okna niemal w całości zostały zamurowane. Pośrodku sali wyrastała skomplikowana, elektroniczna konstrukcja. Wykonano ją z części wyniesionych z obserwatorium, różnych ośrodków elektronicznych i uniwersyteckiego wydziału fizyki.

Widok skoordynowanej pracy dla osiągnięcia wielkiego celu wywołał szeroki uśmiech na twarzy Beau. Nie mógł się powstrzymać od refleksji, że kiedyś ta sala służyła tak frywolnym uciechom jak taniec.

Alexander dostrzegł stojącego w wejściu do sali balowej Beau i niezwłocznie dołączył do niego.

– Wygląda nieźle, co?

– Cudownie – odparł Beau.

– Mam jeszcze inne dobre wiadomości – oznajmił Alexander. – Udało nam się już zamknąć większość najbardziej zanieczyszczających zakładów znad Wielkich Jezior.

Powinniśmy to zakończyć w ciągu tygodnia.

– Co z Europą Wschodnią? Oni niepokoją mnie najbardziej.

– Ta sama sytuacja. Szczególnie w Rumunii. Zamkniemy ich w tym tygodniu.

– Wybornie.

Randy Nite, widząc Beau rozmawiającego z Alexandrem, pospieszył do nich.

– I co myślisz? – zapytał Randy, z dumą spoglądając na urządzenie w centrum sali.

– Na razie wszystko idzie dobrze – odparł Beau – ale cieszyłbym się z przyspieszenia robót.



– Wobec tego potrzebuję dodatkowej pomocy – stwierdził Randy.

– Wszystko, czego sobie życzysz – rzekł Beau.

– Musimy być gotowi na Przyjście. – Rozpromieniony Nite wrócił do swoich zajęć.

Beau spojrzał na Alexandra.

– Co nowego w sprawie Cassy Winthrope? – Niespodziewanie w jego głosie pojawiło się napięcie.

– Ciągle nie została zlokalizowana – odpowiedział Alexander.

– Jak to możliwe?

– Sprawa jest tajemnicza. Policja i pracownicy uniwersytetu wręcz wzorcowo z nami współpracują. Ujawni się. Może nawet przy bramie, i to z własnej woli. Gdybym był tobą, nie martwiłbym się.

Beau gwałtownie odwrócił się i złapał przedramię Alexandra w żelazny uścisk, który natychmiast wstrzymał krążenie krwi. Zszokowany tym ewidentnie wrogim odruchem Alexander spojrzał na dłoń, która go trzymała. To nie była ludzka ręka. Palce były długie i oplatały ramię niczym miniaturowe węże boa.

– Poszukiwania tej dziewczyny to nie jest mój kaprys – powiedział Beau. Patrzył na Alexandra oczami, które zmieniły się w wielkie źrenice. – Chcę jej teraz!

Alexander podniósł wzrok, aby spojrzeć w oczy Beau. Doskonale wiedział, że walka nie ma sensu.

– Uczynimy to sprawą absolutnie priorytetową – zadeklarował.

Jesse naciął sosnowych gałęzi i przykrył nimi zaparkowany przy szopie samochód. Z zewnątrz chata wyglądała na całkiem opuszczoną, jedynie smużka dymu z kamiennego komina zdradzała mieszkańców.

W przeciwieństwie do spokojnie wyglądającego otoczenia domu jego wnętrze

przemieniło się w zatłoczoną stację badawczą. Lwią część powierzchni zajęło prowizoryczne laboratorium biologiczne. Tutaj rządziła Nancy, z którą blisko współpracowała Sheila.

Wszyscy oczekiwali, że żal po stracie Eugene'a sprawi, że Nancy zapragnie znaleźć sposób na zatrzymanie obcego wirusa. W istocie, matka Jonathana była owładnięta tą myślą.

Pitt siedział zajęty przy komputerze. Starał się otrzymać dokładniejszy wykres, korzystając z wszystkich dostępnych w telewizji informacji. Media w końcu podjęły temat czarnych dysków, ale nie łączono ich z epidemią grypy. Historia opowiedziana w telewizji miała raczej zainteresować widzów i zachęcić do szukania dysków.

Jesse szybko wziął na siebie funkcje logistyczne, szczególnie zaopatrzenie w jedzenie i podtrzymywanie ognia w kominku. W tej chwili kończył jedną ze swoich specjalności: chili.

Cassy i Jonathan siedzieli przy stole z laptopem. Ku radości Jonathana nastąpiła znacząca zmiana ról: teraz on był nauczycielem. Także ku jego zachwytowi Cassy miała na sobie jedną z tych cienkich bawełnianych sukienek. A że nie nosiła stanika, co oczywiście rychło odkrył, skoncentrowanie się na pracy było niezwykle trudne.

– Więc co mam robić? – spytała.

– Co? – odpowiedział Jonathan, jakby został zbudzony z głębokiego snu.

– Czy ja cię nudzę?

– Nie – zaprzeczył z wigorem.

– Pytam, czy mam zmienić te trzy ostatnie litery w adresie? – powiedziała Cassy.

Skupiona była na ekranie laptopa i zupełnie nie zdawała sobie sprawy, jaki efekt u chłopaka wywołują zewnętrzne atrybuty jej kobiecości. Przyszła tu wprost z kąpieli i sutki jej piersi sterczały jak wykute z marmuru.

– Prawda, ychmm... tak – jękał się Jonathan. – Kropka G O V. Następnie...

– Łamane, 6 0 6, duże R, małe g, łamane – dokończyła Cassy. – Teraz wciskam enter.

Cassy spojrzała na Jonathana i zauważyła, że chłopak się rumieni.

– Czy coś się stało? – spytała.

– Nie – zaprzeczył.

– No więc powinnam to zrobić?

Jonathan skinął i Cassy wcisnęła enter. Niemal równocześnie uruchomiła się drukarka i zaczęła zapisywać kolejne strony.

– *Voilà* – powiedział Jonathan. – Oto jesteśmy w naszej skrzynce pocztowej, a nikt nie zdoła nas wyśledzić.

Cassy uśmiechnęła się i klepnęła go przyjacielsko.

– Jesteś dobrym nauczycielem.

Jonathan znowu spłonął rumieńcem, odwrócił wzrok i zajął się wyciąganiem wydrukowanych stron z drukarki. Cassy wstała i podeszła do Pitta.

– Zupa za trzy minuty! – zawołał Jesse. Nikt nie odpowiedział. – Wiem, wiem, jesteście zbyt zajęci, ale musimy jeść. Wszyscy zainteresowani znajdą talerz na stole.

Cassy oparła się rękoma na ramionach Pitta i spojrzała na ekran komputera. Pitt wyrysował następny diagram kołowy. Tym razem czerwone przeważało już nad niebieską resztą.

– W tym miejscu jesteśmy według ciebie? – zapytała Cassy.

Pitt lekko ścisnął rękę dziewczyny.

– Tego się właśnie obawiam. Jeśli dane pochodzące z telewizji są umiarkowane albo zaniżone, to program sugeruje, że około sześćdziesiąt osiem procent światowej populacji zostało zainfekowane.

Jonathan dotknął pleców Nancy.

– Przepraszam, mamie, że ci zawracam głowę. To ostatnie wydruki z Internetu.

– Jest coś z Winnipeg o sekwencji aminokwasów w proteinie? – zapytała Sheila.

– Tak – potwierdził Jonathan. Przerzucił kilka stron i wyjął tę z wydrukiem z Winnipeg.

Wręczył ją Sheili. Przerwała na chwilę pracę i zabrała się do czytania. – Połączyłem się także z nową grupą z Trondheim w Norwegii. Pracują w laboratorium ukrytym pod uniwersytecką salą gimnastyczną.

– Przesłałeś im nasze uaktualnione dane? – spytała Nancy.

– Jasne. Tak jak i pozostałym.

– Ooo, zrobili pewne postępy! – zawołała Sheila. – Mamy teraz pełną sekwencję aminokwasów proteiny. To znaczy, że możemy zacząć tworzyć własną.

– Tu jest to, co przesłali nam Norwegowie. – Jonathan wręczył mamie kartkę, ale Sheila złapała ją i natychmiast zaczęła czytać. Nagle zmięła ją.

– To wszystko już określiliśmy, co za strata czasu.

– Pracowali w kompletnej izolacji – uwaga Sheili sprawiła, że Cassy stanęła w obronie norweskich naukowców.

– Mamy coś od Francuzów? – zapytał Pitt.

– Wiele – odpowiedział Jonathan, wyjął z pliku kartek te z Francji i wręczył je Pittowi. – Wygląda na to, że inwazja ciągle rozwija się tam wolniej niż gdziekolwiek indziej.

– Pewnie to ich czerwone wino – zaśmiała się Sheila.

– To może być ważne – zauważyła Nancy. – Jeżeli to się utrzyma i okaże się, że to nie strzał na chybił trafił, i jeżeli zdołamy wyjaśnić dlaczego, to może okazać się pożyteczne.

– Są też złe wiadomości. – Jonathan podał kolejną kartkę. – Na całym świecie zmarła olbrzymia liczba osób chorych na cukrzycę, hemofilię, raka, no wiecie.

– Wygląda na to, że wirus oczyszcza sobie genetyczne pole – zauważyła Sheila.

Jesse przyniósł wazę z chili i poprosił Pitta o przesunięcie komputera. Czekaając na wolne

miejsce, zapytał Jonathana, z iloma ośrodkami badawczymi ze świata zdołał się połączyć poprzedniego dnia.

– Stu sześcioma.

– A dzisiaj?

– Dziewięćdziesięcioma sześcioma.

– O rany! – jęknął Jesse, stawiając wazę na stole. Wrócił do kuchni po talerze i sztuce. –

To spora strata.

– Trzy z nich mogą ciągle być w porządku, ale zadawali za dużo pytań o to, kim jesteśmy i gdzie się znajdujemy, więc zrezygnowałem z tych połączeń.

– Jak to mówią: „Lepiej być za ostrożnym, niż później żałować” – wtrącił Pitt.

– Ale i tak to jest spora strata – powtórzył Jesse.

– Co z tym, kto podpisuje się jako Doktor M? Masz coś od niego? – spytała Sheila.

– Jest trochę materiałów – przytaknął Jonathan.

– Kim jest Doktor M? – zainteresował się Jesse.

– On pierwszy odpowiedział na nasz list w Internecie – wyjaśniła Cassy. – Już w pierwszej godzinie. Sądzymy, że jest w Arizonie, ale nie mamy pojęcia gdzie.

– Przekazał nam mnóstwo ważnych danych – dodała Nancy.

– Wystarczająco dużo, abym stał się podejrzliwy – wtrącił Pitt.

– No dalej, chodźcie. Chili zaraz wystygnie – ponaglił Jesse.

– W tej chwili podejrzewam każdego – odparła Sheila. Podeszła do stołu i jak zwykle usiadła przy jednym z jego końców. – Ale jeśli zjawia się ktoś z użytecznymi informacjami, zamierzam z nich skorzystać.

– Tak długo, jak długo kontakty z nim nie narażają nas na dekonspirację – uznał Pitt.

– To się rozumie samo przez się – zauważyła Sheila protekcjonalnie. Wzięła wydruk z

informacjami od Doktora M, który wręczył jej Jonathan. W jednej ręce trzymała kartki, a drugą jadła chili. Wyglądała jak studentka przygotowująca się do egzaminu.

Reszta także usiadła przy stole. Położyli serwetki na kolanach i zaczęli jeść.

– Jesse, przeszedłeś sam siebie – odezwała się Cassy, gdy przełknęła pierwszą łyżkę.

– Komplementy mile widziane – odparł pochwalony.

Jedli przez kilka minut w milczeniu, aż Nancy chrząknęła.

– Nie chciałabym tego mówić, ale obawiam się, że niestety brakuje nam sprzętu laboratoryjnego. Jeżeli nie wyprawimy się ponownie do miasta, wkrótce nie będziemy w stanie kontynuować badań. Wiem, że to niebezpieczne, lecz nie mamy chyba wyboru.

– Żaden problem – odparł Jesse. – Sporządź listę, a postaram się jakoś wszystko zdobyć.

Ważne, żebyście nie przerywały prac. Poza tym i tak potrzebujemy więcej jedzenia.

– Ja też pojedę – zadeklarowała się Cassy.

– Nie beze mnie – dodał Pitt.

– Ja też pojedę – odezwał się Jonathan.

– Ty zostaniesz z nami – Nancy powiedziała kategorycznym tonem do syna.

– Mamo, no co ty! – zachnął się Jonathan. – Nie rozpieszczaj mnie. Poza tym jestem częścią tego tak jak wy wszyscy.

– Jeżeli ty pojedziesz, ja również pojedę – powiedziała Nancy. A prawdę powiedziawszy, to jedynie Sheila i ja wiemy, czego będziemy potrzebować.

– O mój Boże! – odezwała się nagle Sheila.

– Co się stało? – spytała wystraszona Cassy.

– Ten człowiek, ten Doktor M – powiedziała Sheila. – On wczoraj zapytał nas, co mamy na temat szybkości sedymentacji w tej części DNA, w której według naszej wiedzy znajduje się wirus.

– Przesłaliśmy mu nasze obliczenia, prawda? – zapytała Nancy.

– Przesłałem wszystko, co mi daliście – potwierdził Jonathan. – Nawet o tym, że nasza wirówka nie jest w stanie osiągnąć potrzebnych obrotów na minutę.

– No cóż, wygląda na to, że on ma dostęp do odpowiedniej – stwierdziła Sheila.

– Pozwól mi spojrzeć. – Nancy wyciągnęła rękę po materiały. Zaczęła czytać. – Rany boskie, jesteśmy bliżej wyizolowania wirusa, niż sądziliśmy.

– Właśnie – potwierdziła Sheila. – Wyizolowanie wirusa to nie są jeszcze antycyjala czy szczepionka, ale to ważny krok. Może najważniejszy pojedynczy krok.

– Która godzina? – zapytał Jesse.

Pitt podniósł rękę do twarzy, aby zobaczyć tarczę zegarka. Pod drzewami na urwisku z widokiem na uniwersytet było ciemno.

– Dziesiąta trzydzieści – odparł.

Jesse, Pitt, Cassy, Nancy i Jonathan siedzieli w minivanie. Zjawili się tu pół godziny wcześniej, ale porucznik nalegał, aby poczekali. Nie chciał, żeby ktokolwiek z nich wchodził do centrum medycznego, dopóki nie zacznie się zmiana o jedenastej. Liczył na ogólne zamieszanie panujące przy zmianie, które powinno ułatwić zabranie potrzebnego sprzętu i bezpieczne wyniesienie go z budynku.

– Ruszamy o dziesiątej czterdzieści pięć – zdecydował.

Z ich dogodnego punktu obserwacyjnego doskonale widzieli, że z części parkingu przed szpitalem zerwano asfalt i rozkopano. Teren oświetlały lampy, a zainfekowani pracowali przy sadzeniu roślin.

– Są dobrze zorganizowani – zauważył Jesse. – Patrzcie, jak sprawnie pracują. W ogóle nie rozmawiają.

– Ale gdzie w takim razie parkować samochody? – zastanowił się Pitt. – Ich ekologizm

staje się ekstremalny.

– Może zamierzają zrezygnować z samochodów. W końcu auta są głównymi trucicielami środowiska – domyślała się Cassy.

– Najwyraźniej postanowili oczyścić miasto. To im przynajmniej trzeba oddać – stwierdziła Nancy.

– Prawdopodobnie oczyszczą całą planetę. Paradoksalnie stawia nas to w nie najlepszym świetle. Zdaje się, że to, co my zawsze braliśmy za rzecz naturalną, obcy o wiele bardziej doceniają.

– Wystarczy – przerwał Jesse. – Zaczynacie gadać, jakbyście byli po ich stronie.

– Zaraz będzie czas – wtrącił Pitt. – Oto, co moim zdaniem powinniśmy zrobić. Jonathan i ja wejdziemy do laboratorium medycznego w szpitalu. Ja znam dobrze drogę, a Jonathan zna się na komputerach. Będziemy w stanie zdecydować, co zabrać, i wyniesiemy to...

– Uważam, że powinnam zostać z Jonathanem – powiedziała Nancy.

– Mamo! – jęknął chłopak. – Ty musisz iść do apteki i nie potrzebujesz tam mnie. Jestem potrzebny Pittowi.

– To prawda – potwierdził Pitt.

– Cassy i ja pójdziemy z Nancy – stwierdził Jesse. – Kiedy Nancy zajmie się kupowaniem niezbędnych odczynników, my zrobimy zakupy w spożywczym.

– Dobra – zgodził się Pitt. – Spotkamy się tu za trzydzieści minut.

– Lepiej przyjąć czterdzieści pięć. Mamy nieco dalej – poprawił Jesse.

– Zgoda. Już czas. Chodźmy – zdecydował Pitt.

Wysiedli z samochodu. Nancy szybko uścisnęła syna, Pitt złapał Cassy za rękę.

– Uważaj na siebie – powiedział.

– Ty też – odparła Cassy.



– Pamiętajcie – upomniął wszystkich Jonathan. – Macie przykleić sobie do ust szeroki uśmiech i tak trzymać. Oni wszyscy tak robią.

– Jonathan! – upomniała go Nancy.

Już mieli się rozejść, gdy Cassy pociągnęła Pitta za rękaw i pocałowała w usta. Szybko pobiegła za Nancy i Jessem, a Pitt dogonił Jonathana. Pomaszerowali w noc.

Zdjęcie Cassy zostało zrobione jakieś sześć miesięcy wcześniej. Cassy leżała na przypominającej alpejską łące pełnej kwiatów. Włosy rozrzucone dookoła głowy tworzyły ciemne halo. Uśmiechała się do obiektywu.

Beau wyciągnął pomarszczoną, jakby gumową rękę. Długie, węzowe palce oplotły ramkę z fotografią, uniosły ją i zbliżyły do oczu. Ich wewnętrzne światło rozjaśniło zdjęcie tak, że mógł dokładniej przyjrzeć się rysom dziewczyny. Siedział w bibliotece przy zgaszonych światłach. Nawet zestaw monitorów był wyłączony. Jedynym światłem była mdła poświata księżycy przenikająca do pokoju przez okno.

Zorientował się, że ktoś wszedł do biblioteki i stanął za nim.

– Czy mogę włączyć światło? – zapytał Alexander.

– Jeżeli musisz.

Jasność wypełniła pokój. Oczy Beau zwęziły się.

– Dzieje się coś złego, Beau? – spytał Alexander, zanim dostrzegł w jego ręku fotografię.

Zapytany nie odpowiedział.

– Nie bierz mi za złe tego, co powiem, ale nie powinieneś pozwolić się tak opętać. To nie nasz sposób bycia. To wbrew wspólnemu dobru.

– Próbuję się powstrzymać – przyznał Beau – ale nie mogę sobie z tym poradzić.

Z siłą trzasnął fotografią o stół. Szkło rozsypało się.

– Gdy moje DNA się replikuje, ludzkie DNA powinno zanikać, jednak w mózgu ludzkie

emocje ciągle dają o sobie znać.

– Ja czułem coś podobnego – przyznał Alexander. – Moja dziewczyna miała wadę genetyczną, więc nie przeszła przez fazę przebudzenia do nowego życia. Myślę, że to uczyniło sprawę łatwiejszą.

– Uczuciowość to przerażająca słabość – powiedział Beau. – Nasz rodzaj nigdy nie stanął przeciwko gatunkowi z takimi interpersonalnymi powiązaniem. Nie ma precedensu, który podpowiedziałby mi, jak się zachować.

Wężowe palce Beau wsunęły się pod stłuczoną ramkę od zdjęcia. Kawałek szkła skaleczył go i z palca popłynęła zielona piana.

– Zraniłeś się – zauważył Alexander.

– To nic. – Beau podniósł zdjęcie i znowu na nie popatrzył. – Muszę wiedzieć, gdzie ona jest. Musimy ją zainfekować. Gdy o się stanie, będę usatysfakcjonowany.

– Rozesłano rozkazy. Gdy tylko ją zlokalizują, natychmiast zostaniemy powiadomieni.

– Musiała się gdzieś ukryć – głos Beau przypominał lament. – To mnie doprowadza do szaleństwa. Nie mogę się koncentrować.

– Jeśli chodzi o Bramę... – Alexander próbował zmienić temat.

– Potrzebuję Cassy Winthrope – przerwał Beau. – Nie mów mi o Bramie!

– Mój Boże! Spójrz na to miejsce! – powiedział Jesse.

Stali na parkingu przed supermarketem Jeffersona. Stało tu kilka porzuconych samochodów z otwartymi drzwiami, jakby ich pasażerowie musieli je nagle opuścić. Kilka dużych okien wystawowych było rozbitych, a potłuczone szkło leżało na chodniku. Wnętrze oświetlały jedynie lampy włączane na noc, ale było dostatecznie jasno, aby się zorientować, że sklep został splądrowany.

– Co się stało? – zapytała Cassy. Sceneria przypominała obraz z kraju Trzeciego Świata

pogrążonego w wojnie domowej.

– Trudno mi sobie wyobrazić – odpowiedziała Nancy.

– Może kilka nie zainfekowanych osób wpadło w panikę – Jesse próbował się domyślić. –

Może wymiar sprawiedliwości taki, jaki dotąd znaliśmy, dłużej już nie funkcjonuje.

– Co teraz zrobimy? – zastanowiła się Cassy.

– To, po co tu przyszedliśmy – odparł Jesse. – Kurczę, przecież teraz jest nawet łatwiej.

Myślałem, że może będę musiał włamać się do sklepu.

Podeszli ostrożnie do jednego z dużych, stłuczonych okien wystawowych i zajrzeli do środka. W sklepie panował spokój.

– Bałagan, ale zdaje się, że niewiele towarów wyniesiono. Wygląda na to, że sprawcy raczej zainteresowani byli kasą – uznała Nancy.

Z miejsca, w którym stali, widzieli, że wszystkie kasy stały otworem.

– Głupcy! – skomentował Jesse. – Jeśli władze cywilne upadną, pieniądz papierowy wart będzie tyle, ile zapłacą za makulaturę. – Jeszcze raz rozejrzał się po pustym parkingu. Nie dostrzegł żywej duszy. – Ciekawe, dlaczego nikogo nie ma w pobliżu? Zdaje się, że wszyscy kręcą się w innych częściach miasta. No, ale darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby.

Zróbmy to.

Weszli przez wybite okno i głównym przejściem poszli w stronę działu z

farmaceutykami, znajdującego się z tyłu marketu. Nie było to łatwe, bo w pomieszczeniu panował półmrok, a na podłodze porozrzucone były puszkami, butelkami i pudełkami z jedzeniem.

Dział farmaceutyczny oddzielony był od reszty sklepu metalową siatką sięgającą od podłogi aż po sufit. Ten, kto buszował po półkach z żywnością, zajrzał również do apteki.

Leżącymi nadal na podłodze nożycami do drutu wycięto sporą dziurę w siatce. Jesse odciągnął na boki poszarpane krawędzie otworu, a Nancy prześliznęła się na drugą stronę.

Szybko rozejrzała się za ladą.

– Jak to wygląda? – spytał Jesse, stojąc cały czas po drugiej stronie siatki.

– Zniknęły narkotyki, ale to nie problem. Leki antywirusowe są na miejscu i antybiotyki także. Daj mi dziesięć minut, a będę miała wszystko, czego potrzebuję.

Jesse odwrócił się do Cassy.

– Zajmijmy się zaprowiantowaniem.

Wzięli siatki i ruszyli wzdłuż sklepowych półek. Cassy wybierała produkty, a Jesse przejął funkcję tragarza. Znajdowali się w połowie stoiska z makaronami, gdy porucznik pośliznął się na płynie wylanym z rozbitej butelki. Na winylowej podłodze było dosłownie lodowisko.

Cassy w ostatniej chwili złapała go za ramię i pomogła utrzymać równowagę. Pomimo że ją odzyskał, jego stopy ciągle się ślizgały, zmuszając go do posuwania się na szeroko rozstawionych nogach. Przypominało to prawdziwą komedię.

Cassy schyliła się i przyjrzała butelce.

– Nic dziwnego. To olej, więc musisz być ostrożny.

– Ostrożność to moje drugie imię. Myślisz, że jak udało mi się przetrwać trzydzieści lat w policji? – Uśmiechnął się i pokręcił głową. – Zabawne, ale miałem nadzieję na jeszcze jedno duże hura przed emeryturą. Jednak ten epizod to znacznie więcej, niż oczekiwałem.

– To znacznie więcej, niż ktokolwiek z nas oczekiwał – zauważyła.

Skręcili w następny rząd półek, tym razem z produktami mącznymi. Cassy musiała się przedostać przez potężną górę pudełek i dużych kartonów. Nagle wciągnęła gwałtownie powietrze, jak ktoś zszokowany tym, co nieoczekiwanie zobaczył.

– Co jest? – Jesse natychmiast znalazł się przy niej.

Cassy wskazała ręką. Wewnątrz skleconego z kartonów domku dojrzeli cherubinkową

buzię małego chłopca. Miał nie więcej niż pięć lat. Był brudny, a ubranie miał poszarpane.

– Dobry Boże! – rzucił Jesse. – Co on tu robi?

Cassy instynktownie nachyliła się, żeby podnieść dziecko.

– Chwileczkę – powstrzymał ją. – Niczego o nim nie wiemy.

Cassy spróbowała wykręcić rękę z uścisku, lecz Jesse nie puścił.

– To tylko dziecko – powiedziała. – Jest przerażony.

– Ale nie wiemy... – zaczął.

– Przecież nie możemy go tu zostawić.

Z wahaniem puścił ramię dziewczyny. Schyliła się i wyjęła chłopca z jego kartonowego schronienia. Chłopiec przytulił się do dziewczyny, wtulając swoją buzię między szyję a ramię Cassy.

– Jak masz na imię? – spytała, głaszcząc malca delikatnie po plecach. Zaskoczona była siłą, z jaką chłopiec ją trzymał.

Cassy i Jesse wymienili spojrzenia. Oboje myśleli o tym samym: jak to niespodziewane wydarzenie wpłynie na ich i tak już trudną sytuację?

– Chodźmy – powiedziała. – Wszystko będzie dobrze. Ale musimy znać twoje imię, aby móc mówić do ciebie.

Dziecko powoli odchyliło się w tył.

Cassy uśmiechnęła się ciepło do chłopca i raz jeszcze chciała go upewnić, że jest bezpieczny, gdy zauważyła, że malec śmieje się pełen zachwytu. Ale jeszcze bardziej szokujące były jego oczy. Wielkie źrenice świecące jakby wewnętrznym światłem.

Czując nagłą niechęć, schyliła się i odstawiła chłopca. Próbowwała zatrzymać go za rękę, ale okazał się niezwykle silny i wykręcił się z uchwytu, po czym natychmiast pobiegł w stronę wyjścia.

– Hej! Wracaj! – zawołał Jesse i ruszył za chłopcem.

– On jest zainfekowany! – krzyknęła Cassy.

– Wiem. Dlatego nie mogę pozwolić mu uciec.

Pościg wzdłuż zasypanego towarami przejścia i do tego w półmroku nie był łatwy dla policjanta. Na podszwach butów ciągle miał ślady oleju, co dodatkowo utrudniało bieg.

Chłopiec tymczasem zdawał się nie mieć żadnych kłopotów z omijaniem przeszkód i dotarł do wyjścia znacznie przed porucznikiem. Stał przed jednym z rozbitych okien wystawowych, podniósł pulchną rączkę i rozprostował palce. Z jego dłoni uniósł się natychmiast czarny dysk i zniknął w mroku nocy.

Jesse dopadł chłopca, ledwo dysząc po tych wszystkich skokach i poślizgach. Lekko utykał od uderzenia w biodro. Przewrócił się przy jednej z kas i upadł nieszczęśliwie na puszkę zupy pomidorowej.

– Dobra, synu – starał się złapać oddech. Odwrócił chłopca. – O co chodzi? Skąd się tu wzięłeś?

Ciągle z tym samym przyklepionym do ust uśmiechem chłopiec wpatrywał się w twarz Jesse'ego. Nie powiedział ani słowa.

– No dalej, chłopcze. Przecież nie żądam wiele.

Cassy zjawiała się za Jessem i spojrzała mu przez ramię.

– Co zrobił?

– Nic, o ile mogłem się zorientować. Podbiegł tu i zatrzymał się. Ale chciałbym, żeby pozbył się tego uśmiechu z buzi. Mam wrażenie, że sobie z nas żartuje.

Oboje w tym samym momencie zauważyli światła samochodu. Pojazd wjechał na parking supermarketu i skierował się w ich stronę.

– No nie! – jęknął Jesse. – To, czego właśnie sobie nie życzyliśmy: towarzystwo.

Samochód podjeżdżał z dużą prędkością. Oboje instynktownie cofnęli się o kilka kroków.

Pisk opon oznajmił, że samochód zatrzymał się tuż przed sklepem. Reflektor oślepiającym światłem zaczął przeczesywać wnętrze sklepu. Cassy i Jesse podnieśli ręce, żeby osłonić oczy. Dziecko pobiegło w stronę światła i zniknęło w jego blasku.

– Biegnij do Nancy i uciekajcie tylnym wyjściem! – Jesse szepnął z naciskiem.

– Co z tobą?

– Dotrzymam im towarzystwa. Jeżeli w ciągu kwadransa nie zjawię się na miejscu spotkania, odjedźcie beze mnie. Znajdę sobie inny samochód.

– Jesteś pewny? – Cassy nie podobał się pomysł opuszczenia przyjaciela.

– Jasne, że jestem pewny. Biegnij!

Oczy Cassy przyzwyczyły się już do światła, więc dostrzegła, że z samochodu wysiedli jacyś ludzie. Światła reflektorów nadal przeszukiwały wnętrze sklepu, wydobywając z mroku wszystkie szczegóły.

Cassy odwróciła się i zniknęła w głębi marketu. W połowie drogi odwróciła się jeszcze i zauważyła Jesse'ego wychodzącego przez rozbite okno. Szedł wprost w oślepiające światło.

Cassy spieszyła się, jak tylko potrafiła, i z rozmysłem wpadła na siatkę oddzielającą aptekę od sklepu. Złapała za nią i z całej siły potrząsnęła, wołając równocześnie Nancy. Ta wychyliła się zza lady i natychmiast zauważyła światło wpadające do sklepu z zewnątrz.

– Co się dzieje? – spytała.

Cassy z trudem łapała powietrze.

– Kłopoty. Musimy się stąd wynosić.

– Dobra. I tak już mam, czego chciałam.

Nancy wyszła zza kontuaru i próbowała się przedostać przez otwór w siatce. Jednak ostre zakończenia pociętego drutu nie pozwoliły jej na to i Nancy utknęła.

– Weź to – powiedziała do Cassy, wręczając jej worek z lekami. Używając obu rąk, chciała wyzwolić się z pułapki. Okazało się, że to wcale nie jest łatwe.

Światło wpadające do sklepu dramatycznie się wzmocniło. W tym samym momencie dał się słyszeć coraz głośniejszy świst. Kiedy osiągnął ogłuszający poziom, wszystko ucichło jak nożem uciął. Efekt był tak poruszający, że z półek pospadało nawet trochę towarów.

– Och nie! – jęknęła Nancy.

– Co? – zapytała Cassy.

– Taki sam dźwięk słyszałam, kiedy zniknął Eugene. Gdzie jest Jesse?

– Chodź. Musimy się stąd wynosić – ponagliła ją Cassy.

Położyła na podłodze worek z lekami i starała się rozchylić przeciętą siatkę. Snop światła zaczął błędzić po wnętrzu sklepu.

– Biegnij! – zawołała Nancy. – Bierz paczkę i uciekaj!

– Nie bez ciebie – zdecydowała Cassy, mocując się z drucianą siatką.

– Dobrze. Złap z tej strony, a ja popchnę z drugiej.

W końcu zdołały uwolnić Nancy. Złapały siatkę z lekami i co sił pobiegły na tyły sklepu.

Nie miały określonego celu. Liczyły jedynie, że znajdą jakieś inne wyjście. Zamiast tego znalazły biegnącą wzdłuż ściany długą szafę chłodniczą z żywnością.

Dobiegły do końca sklepu, skręciły w pierwsze przejście między półkami i pobiegły przed siebie. Sądziły, że biegnąc pod ścianami, trafią wreszcie na jakieś drzwi. Daleko jednak nie dobiegły. Przed nimi pojawiła się grupa osobników, z których większość miała latarki.

Z ust Cassy i Nancy wyrwały się jednocześnie okrzyki strachu. Szczególnie przerażały oczy tych ludzi. Świeciły w mroku niczym odległe galaktyki na nocnym niebie.

Obie natychmiast odwróciły się, lecz drogę odwrotu zastąpiła im druga grupa. Zbliżyły się do siebie i czekały na nadchodzących z obu stron ludzi. Kiedy podeszli na tyle, że mogli



rozpoznać ich rysy, okazało się, iż było tam po równo kobiet i mężczyzn, starszych i młodszych. To, co ich upodabniało do siebie, to ich świecące oczy i plastikowe uśmiechy. Przez kilka chwil nic się nie działo. Zainfekowani otoczyli obie kobiety szczelnym kordonem, który naparł na nie. Cassy i Nancy stały plecami do siebie z rękoma na ustach. Nancy upuściła torbę z lekami. Przerażona Cassy wrzasnęła, kiedy jedna z zainfekowanych osób zbliżyła się gwałtownie do niej i złapała ją za nadgarstek.

– Cassy Winthrope, jak przypuszczam – powiedział mężczyzna i zaśmiał się krótko. – To doprawdy przyjemność. Stęskniliśmy się za panią.

Pitt bębnił palcami w kierownicę minivana Jesse'ego. Jonathan zdenerwowany kręcił się na tylnym siedzeniu. Obaj byli poważnie zaniepokojeni.

– Ile już? – spytał Jonathan.

– Powinni być dwadzieścia pięć minut temu – odparł Pitt.

– Co robimy?

– Nie wiem. Sądziłem, że to my będziemy mieć kłopoty.

– Dopóki się uśmiechaliśmy, nikt kompletnie nie interesował się tym, co robimy – powiedział Jonathan.

– Zostań tu! – zdecydował nagle Pitt. – Pójdę sprawdzić ten supermarket. Jeżeli nie wrócę w ciągu piętnastu minut, jedź do chaty.

– Ale jak ty wtedy wrócisz?

– Pełno dookoła opuszczonych samochodów. To nie będzie problem.

– Ale...

– Po prostu zrób tak – rzucił Pitt. Wysiadł z wozu i szybko zszedł z urwiska. Wyszedł spomiędzy drzew na opustoszałą ulicę i skierował się wprost do supermarketu. Minął sześć przecznic, zanim skręcił w uliczkę prowadzącą do celu.

Z budynku przed nim wyszedł ktoś i skierował się w jego stronę. Pitt widział jego świecące oczy. Tłumiąc chęć do ucieczki, Pitt zamienił twarz w jeden wielki uśmiech, tak jak robili to z Jonathanem w centrum medycznym. Uśmiechał się już tyle tego wieczoru, że mięśnie twarzy zaczęły go boleć. Chwila była bardzo denerwująca. Pitt musiał się skoncentrować nie tylko na uśmiechu, ale i na tym, by patrzeć prosto przed siebie. Każdy kontakt wzrokowy mógł zostać uznany za podejrzenia.

Mężczyzna przeszedł spokojnie obok, na co Pitt zareagował westchnieniem ulgi. Co za życie, pomyślał ze smutkiem. Jak długo uda nam się tak bawić jak kot z myszą?

Minał narożnik i zbliżył się do supermarketu. Zauważył kilka samochodów parkujących tuż przed wejściem. Ale zaniepokoiły go przede wszystkim włączone światła. Gdy podszedł bliżej, usłyszał też włączone silniki. Doszedłszy do skraju parkingu, zobaczył grupę ludzi wychodzących ze sklepu i wsiadających do aut. Do jego uszu dotarł trzask zamykanych drzwi.

Pitt podskoczył do ocienionej bramy budynku stojącego przy parkingu i schował się.

Niemal w tej samej chwili ruszyły samochody i skierowały się w jego stronę. Jechały jeden za drugim. Pitt skulił się w bramie, gdy światła pierwszego wozu omiotły ulicę przed nim.

Chwilę później pierwszy z sześciu samochodów minął Pitta o jakieś sześć metrów.

Zwolnił nieco, zanim skręcił w przecznicę. Chłopak miał dość czasu, aby dostrzec uśmiechnięte twarze pasażerów. Kolejno minęły go pozostałe samochody. Kiedy ostatni zwolnił przed skretem, Pitt wstrzymał oddech. Po plecach przeszedł mu dreszcz najgorszego z możliwych przerażenia. Na tylnym siedzeniu znajdowała się Cassy!

Pitt nie mógł się powstrzymać. Nie zważając na ewentualne konsekwencje, wyszedł z cienia, jakby zamierzał dogonić samochód i otworzyć siłą drzwi. Blade światła ulicy odkryły jego sylwetkę i w tym samym momencie Cassy popatrzyła w jego stronę.

Przez ułamek sekundy ich spojrzenia się spotkały. Pitt chciał pobiec za autem, ale Cassy pokręciła głową i moment minął. Samochód przyspieszył i rozplynął się w ciemnej nocy. Pitt cofnął się w cień bramy. Był wściekły na siebie za to, że niczego nie zrobił. Z drugiej jednak strony w głębi zdawał sobie sprawę z beznadziejności sytuacji. Gdy zamknął oczy, widział twarz Cassy w oknie odjeżdżającego pojazdu.

## **Rozdział 17**

## Godzina 5.15

Nocne niebo usiane gwiazdami jaśniało w różowawym błękicie zwiastującym na wschodzie następny dzień. Nadchodził świt.

Usłyszawszy dobrą wiadomość, Beau wyszedł na balkon swojej sypialni i cieszył się nocnym powietrzem. Teraz niecierpliwił się, że minuty mijają tak wolno. Wiedział, że spotkanie wisi w powietrzu. Widział samochód, który jechał szosą i zniknął mu z oczu, zajeżdżając przed front posiadłości.

Słyszał kroki w sypialni i ruch klamki przy otwieraniu drzwi balkonowych. Ale nie odwrócił się. Nieruchomy wzrok utkwiał w odległym punkcie horyzontu, gdzie zaczęło wschodzić słońce, gdzie zaczynał się nowy dzień, nowy początek.

– Masz towarzystwo – powiedział Alexander, po czym się wycofał i zamknął za sobą drzwi.

Beau przyglądał się pierwszym złotym promieniom. Czuł w ciele dziwne napięcie, które z jednej strony rozumiał, z drugiej jednak było dla niego tajemnicze i przerażające.

– Witam, Cassy – odezwał się, przerywając ciszę. Powoli odwrócił się. Ubrany był w ciemny aksamitny szlafrok.

Cassy uniosła ręce, by osłonić oczy przed promieniami słonecznymi, w których ginęły rysy twarzy Beau.

– Czy to ty, Beau? – zapytała.

– Oczywiście, że to ja – odparł. Podeszedł do niej.

Nagle dostrzegła szczegóły i aż wstrzymała oddech. Zmiany mutacyjne postępowały.

Mała plamka zza prawego ucha, którą przypadkowo odkryła podczas poprzedniego spotkania, rozlała się na szyję i sięgała teraz linii żuchwy. Niczym pełzającymi mackami zaczęła wchodzić nawet na policzki. Skóra na głowie przypominała patchwork pozszywany z

kawałków nowej, obcej skóry i starej, ciągle porośniętej włosami. Usta, choć uśmiechnięte, były ściągnięte, z wąskimi wargami, za którymi poźółkłe zęby wyraźnie się cofnęły. Oczy przypominały czarne koła pozbawione tęczówek. Nieustannie nimi mrugał, ale to raczej dolna powieka podnosiła się, a nie górna opadała jak u ludzi.

Cassy cofnęła się gwałtownie, z przerażeniem.

– Nie bój się – poprosił Beau. Zbliżył się do niej i objął ją.

Cassy zeszywniała. Palce Beau oplatały jej ciało niczym węże. Bił od niego trudny do wytrzymania odór.

– Proszę, Cassy, nie bój się. To tylko ja, Beau.

Nie odpowiedziała. Musiała całą siłą woli walczyć, aby nie krzyczeć.

Beau odchylił się, zmuszając dziewczynę do ponownego spojrzenia w jego twarz.

– Tak bardzo za tobą tęskniłem – wyznał.

W nagłym, nieoczekiwanym przyplýwie energii Cassy wrzasnęła i odepchnęła go, uwalniając się. Tym ruchem całkiem zaskoczyła Beau.

– Jak możesz mówić, że za mną tęskniłeś? Nie jesteś już moim Beau.

– Ależ jestem – odpowiedział uspokajająco. – Zawsze będę Beau. Ale teraz jestem jeszcze czymś więcej. Jestem połączeniem mojej byłej ludzkiej natury i gatunku starego niemal tak jak stara jest sama Galaktyka.

Cassy ostrożnie przyjrzała się Beau. Jedna część osobowości kazała jej uciekać, druga w przerażeniu paraliżowała ruchy.

– Ty także staniesz się częścią nowego życia. Każdy nią będzie, a przynajmniej ci, którzy nie mają jakichś okropnych genetycznych obciążeń. Ja dostąpiłem zaszczytu bycia pierwszym, ale to sprawa przypadku. To mogłaś być ty albo ktokolwiek inny.

– Więc teraz rozmawiam z Beau? Czy może ze świadomością wirusa przemawiającą

przez medium, którym jest Beau?

– Odpowiedź brzmi, jak już zaznaczyłem, z oboma – cierpliwie wyjaśnił Beau. – Ale obca świadomość narasta wraz z każdą przemienioną osobą. Składają się na nią wszyscy zainfekowani ludzie, tak jak ludzki mózg złożony jest z pojedynczych komórek.

Wyciągnął ostrożnie rękę przed siebie. Nie chciał jeszcze bardziej niepokoić Cassy.

Zacisnął palce w pięść i lekko potarł jej policzek.

Musiała zwalczyć uczucie słabości, jakie ogarnęło ją na myśl o zalotach tej kreatury.

– Muszę coś wyznać – powiedział Beau. – Początkowo próbowałem nie myśleć o tobie. –

Nie było to nawet trudne z powodu pracy, która musiała zostać wykonana. Lecz ciągle pojawiała się w mych myślach, co pozwoliło mi zrozumieć istotę ludzkich emocji. To niespotykana słabość w kosmosie. Człowiek we mnie kocha cię, Cassy, i jestem podekscytowany perspektywą obdarowania cię wieloma światami. Pragnę, abyś została jedną z nas.

– Nie przyjeżdżają – powiedziała Sheila. – Bez względu na to, jak bolesna jest rzeczywistość, obawiam się, że musimy ją zaakceptować. – Wstała i przeciągnęła się. To była bezsenna noc. Przez okna chaty widzieli zatopione we wczesnych promieniach wierzchołki drzew porastających zachodni brzeg jeziora. Nad taflą wody unosiła się mgła, która miała szybko wyparować w promieniach wschodzącego słońca. – I jeśli to jest rzeczywistość – dodała – musimy zabierać stąd tyłki, zanim złożą nam nie zapowiedzianą wizytę.

Ani Pitt, ani Jonathan nie odpowiedzieli. Siedzieli w fotelach naprzeciw siebie, pochyleni do przodu, z twarzami ukrytymi w dłoniach i łokciami wspartymi na kolanach. Na ich twarzach malowało się wyczerpanie, zaskoczenie i złość.

– No cóż, nie mamy czasu, żeby zabrać wszystko – mówiła Sheila. – Ale myślę, że powinniśmy wziąć dane oraz kultury tkankowe, w nadziei że uda nam się uzyskać wiriony.

– Co z moją mamą? – spytał Jonathan. – A Cassy i Jesse? Co jeśli wrócą tu i będą nas szukać?

– Już przez to przechodziliśmy. Nie utrudniaj. Już i tak jest dostatecznie trudno – poprosiła Sheila.

– Ja też uważam, że nie powinniśmy stąd wyjeżdżać – powiedział Pitt. Chociaż stracił nadzieję co do Cassy, ciągle wierzył, że Nancy i Jesse mogą się pojawić.

– Posłuchajcie obaj. Dwie godziny temu zgodziliście się czekać do świtu. Teraz świta. Im dłużej czekamy, tym większe jest prawdopodobieństwo, że zostaniemy złapani.

– Ale dokąd pojedziemy? – zapytał Pitt.

– Chyba będziemy musieli improwizować. Dalej, zacznijmy zbierać rzeczy.

Pitt wstał. Popatrzył na Sheilę, a jego spojrzenie wyrażało olbrzymi ból. Złagodniała, podeszła i przytuliła go.

Jonathan wstał energicznie i podszedł do laptopa. Otworzył go i zaczął coś wystukiwać na klawiaturze. Po wysłaniu wiadomości wpatrzył się w ekran. Po minucie nadeszła odpowiedź.

– Hej! – zawołał do przyjaciół. – Skontaktowałem się z Doktorem M. Zmienił zdanie i chce się z nami spotkać. Co powiecie?

– Jestem sceptyczna. Powierzenie życia w ręce kogoś, kogo znamy jedynie jako Doktora M, wydaje się absurdalne. Ale z drugiej strony przekazał nam wiele intrygujących danych.

– Zdaje się, że nie mamy wielkiego wyboru – stwierdził Jonathan.

– Pozwól mi zerknąć na ostatnią wiadomość – powiedział Pitt. Podszedł do Jonathana i spojrzał mu przez ramię na ekran. Po przeczytaniu zerknął w stronę Sheili. – Myślę, że powinniśmy skorzystać z tej okazji. Nie chce mi się wierzyć, żeby nie był pewny. Do diabła, Doktor M tak samo boi się nas jak my jego.

– To lepsze, niż wyjechać na szosę i jeździć w kółko – stwierdził Jonathan. – Poza tym on ma dostęp do Internetu, więc jeśli mama albo inni wrócą, będziemy mogli przesłać im wiadomość.

– No dobrze – Sheila ustąpiła. – Myślę, że to jest kompromis. Spotkanie z Doktorem M oznacza, że się stąd wyniesiemy, więc zbierajmy się.

– Cassy, wiem, że to dla ciebie trudne – powiedział Beau. – Nie spoglądam już na swoje odbicie w lustrze. Ale musisz być ponad to.

Cassy oparta o balustradę spoglądała w dół na ogród otaczający Instytut. Słońce było wysoko i krople rosy wyparowały. Sznur zainfekowanych ludzi z całego globu zmierzał do Instytutu.

– Stworzyliśmy tu imponujące środowisko. A teraz to rozprzestrzeni się na cały świat. Naprawdę zaczyna się nowy początek – stwierdził Beau.

– To był także nasz świat.

– Nie myślisz tak. Nie, kiedy zważysz te wszystkie problemy, z którymi mieliśmy tu do czynienia. Ludzkość wiodła Ziemię ku katastrofie samozniszczenia, szczególnie przez ostatnie pięćdziesiąt lat. A tak być nie powinno, bo Ziemia to cudowne miejsce. We wszechświecie jest wiele planet, lecz jedynie nieliczne są odpowiednio ciepłe, wilgotne i tak gościnne jak ta.

Cassy zamknęła oczy. Była wyczerpana, potrzebowała snu, a w dodatku część tego, co mówił Beau, zawierała w sobie odrobinę prawdy. Zmuszała się do myślenia.

– Kiedy wirus po raz pierwszy pojawił się na Ziemi? – zapytała.

– Pierwsza inwazja? – zastanowił się Beau. – Trzy miliardy ziemskich lat temu. Warunki na Ziemi osiągnęły stan, w którym życie zaczęło ewoluować w błyskawicznym i nagłym zrywie. Statek badawczy złożył wiriony w praocianie i w procesie ewolucji zostały one



włączone do DNA.

– To pierwszy ich powrót na Ziemię?

– O nieba, skądże. Mniej więcej co sto milionów ziemskich lat sonda przylatywała na naszą planetę i budzono wirusa, by sprawdzić, jaka forma życia tu wyewoluowała.

– I wirusowa świadomość nie przetrwała?

– Wirus zachował się sam w sobie, ale masz rację, ożywiona świadomość zamierała.

Organizmy żywicieli były zdecydowanie nieodpowiednie.

– Kiedy doszło do ostatniego sprawdzianu?

– Około stu milionów ziemskich lat temu. To była katastrofalna wizyta. Na Ziemi roiło się od wielkich, drapieżnych stworzeń, które napadały na siebie wzajemnie i pożerały się.

– Mówisz o dinozaurach?

– Tak, tak zdaje się je nazwaliście. Ale mniejsza o nazwę, sytuacja była absolutnie nie do zaakceptowania dla naszej świadomości. Stworzenia zostały więc wyeliminowane. Jednak genetyczne przystosowanie dokonało się, więc drapieżcy mogli wyginąć, by pozwolić wykształcić się innym gatunkom.

– Na przykład istotom ludzkim.

– Właśnie. To cudownie wszechstronne ciała i odpowiednio rozwinięte mózgi. Słabą stroną są uczucia.

Cassy wbrew sobie zaśmiała się krótko. Fakt, że obca cywilizacja potrafiła grasować po całej Galaktyce, a nie umiała sobie poradzić z ludzkimi emocjami, wydawał się niedorzecznością.

– To prawda – potwierdził Beau. – Prymat odczuć, w wyolbrzymiony sposób uznawanych za najważniejszą część świadomości jednostki, staje w kolizji z dobrem kolektywu. Z mojej podwójnej perspektywy zaskakujące staje się to, jak wiele ludzkość

zdołała osiągnąć. W wypadku gatunku, w którym każda jednostka odczuwa potrzebę wynoszenia się ponad i poza potrzeby podstawowe, wojny i konflikty stają się nieuniknione. Pokój jest zakłóceniem normy.

– Ile jeszcze innych gatunków w Galaktyce nosi wirusa?

– Tysiące. Kiedyś znajdziemy właściwą formę.

Cassy cały czas spoglądała w dal. Nie chciała patrzeć na Beau, ponieważ jego wygląd nie pozwalał jej myśleć, a musiała myśleć. Nie mogła się pozbyć wrażenia, że im więcej wie, tym większą ma szansę uniknięcia infekcji i pozostania sobą. A już wiele się dowiedziała. Im dłużej rozmawiała Beau, tym słabiej słyszała w jego głosie człowieka, a mocniej obcego.

– Skąd przybyliście? – spytała nagle.

– Gdzie się znajduje nasza rodzima planeta? – Beau powtórzył, jakby dobrze nie usłyszał pytania. Zawahał się, starając się sięgnąć do dostępnego dla niego wspólnego banku danych.

Jednak odpowiedź się nie pojawiła. – Zdaje się, że nie wiem. Nawet nie wiem, jaka jest nasza pierwotna postać. Dziwne! Pytanie nigdy się nie pojawiło.

– Czy kiedykolwiek wirus zastanowił się nad tym, że to może nie w porządku przejmować panowanie nad organizmem, który wykształcił własną świadomość?

– Nie, dopóki oferujemy w zamian coś znacznie lepszego.

– Jak możecie być tego tacy pewni?

– To proste – odparł. – Odwołuję się do waszej historii. Spójrz, co zrobiliście sami sobie i tej planecie w czasie krótkiego panowania.

Cassy skinęła. W tym, co usłyszała, znowu było sporo sensu.

– Chodź ze mną, Cassy. Chciałbym ci coś pokazać. – Beau podszedł do drzwi prowadzących do sypialni i otworzył je.

Cassy odwróciła się. Rzuciła wzrokiem na Beau, ale jego powierzchowność wydała jej

się równie odpychająca jak przy pierwszym spojrzeniu. Przytrzymał dla niej drzwi. Wskazał ręką przed siebie i powiedział:

– Na parterze.

Zeszli głównymi schodami. Inaczej niż na opustoszałym piętrze, na parterze roiło się od zapracowanych, uśmiechniętych ludzi. Nikt nie zwrócił uwagi na Beau i Cassy. Wprowadził ją do sali balowej, w której aktywność ludzi graniczyła z szaleństwem. Trudno było nawet zrozumieć, jak tak wiele osób może ze sobą współpracować.

Podłoga, ściany i sufit pokryte były plątaniną kabli. W samym centrum sali dostrzegła ogromną konstrukcję, która tak w swej formie, jak i przeznaczeniu wydawała się dziełem rzeczywiście pozaziemskim. Przykrywał ją potężny, stalowy cylinder przypominający urządzenie do rezonansu magnetycznego. Stalowe dźwigary załamywały się pod różnymi kątami. Ta superkonstrukcja podtrzymywała coś, co według Cassy wyglądało na urządzenie do akumulowania i transmisji energii elektrycznej o wysokim napięciu. Centrum kontrolne urządzenia znajdowało się z boku i składało się z bardzo wielu monitorów, liczników i sygnalizatorów świetlnych.

Początkowo Beau nic nie mówił. Po prostu pozwolił, aby sceneria przytłoczyła Cassy.

– Prawie skończyliśmy – odezwał się w końcu.

– Co to jest? – zapytała Cassy.

– Nazywamy to Bramą. To połączenie z innymi światami, które zaludniamy.

– Co znaczy „połączenie”? To urządzenia do komunikowania się?

– Nie, do transportowania.

Cassy przełknęła z trudem. Wyszło jej w gardle.

– Chcesz powiedzieć o przenoszeniu się innych gatunków z innych planet, które zostały przez ciebie, to znaczy przez wirusa, zainfekowane? Będą mogli tu przybyć? Na Ziemię?

– A my do nich – triumfalnie dokończył Beau. – Odtąd Ziemia będzie połączona z tymi światami. To oznacza kres izolacji we wszechświecie. Stajemy się naprawdę częścią Galaktyki.

Cassy poczuła nagłą słabość. Do strachu przed inwazją obcych na Ziemię dołączyły się obawy o własny los. Mieszanina szalonego, koszmarnego poruszenia panującego w sali z fizycznym, emocjonalnym i psychicznym wyczerpaniem przyprawiła ją o zawrót głowy. Pokój zaczął wirować, w oczach Cassy pociemniało i straciła przytomność.

Kiedy wróciła do siebie, nie miała pojęcia, jak długo była nieprzytomna. Najpierw zaniepokoiło ją uczucie mdłości, które przeszło szybko w dreszcz. Następnie uświadomiła sobie, że jej prawa dłoń jest zwinięta w pięść i ktoś mocno ją trzyma.

Otworzyła oczy. Znajdowała się na podłodze w sali balowej i spoglądała na fragment futurystycznego urządzenia, które przypuszczalnie było zdolne do transportowania obcych istot na Ziemię.

– Nic ci nie będzie – powiedział Beau.

Cassy wzdrygnęła się. Zawsze raczono pacjenta tym samym komunałem bez względu na to, jakie były przewidywania i prognozy. Zmusiła się, by na niego spojrzeć. Klęczał przy niej i trzymał jej zaciśniętą dłoń. Wtedy dopiero dotarło do niej, że w dłoni coś trzyma, coś zimnego i ciężkiego.

– Nie! – krzyknęła. Starła się wyrwać rękę, lecz Beau nie pozwolił na to. – Błagam, Beau... – płakała.

– Nie martw się. Będziesz zadowolona – odparł łagodnie.

– Beau, jeśli mnie kochasz, nie rób tego.

– Cassy, uspokój się. Kocham cię.

– Jeżeli zachowałeś odrobinę kontroli nad swymi odruchami, puść moją rękę. Chcę

pozostać sobą.

– Będiesz. I nawet więcej. Mam kontrolę nad wszystkim. Robię, co chcę. Chcę władzy, która została mi dana, i pragnę ciebie.

– Achhh! – krzyknęła Cassy.

Beau natychmiast puścił jej rękę. Cassy usiadła gwałtownie i z okrzykiem wstrętu odrzuciła czarny dysk. Z poślizgiem przeleciał po podłodze i wpadł w plątaninę kabli.

Cassy złapała zdrową ręką zranioną dłoń i spojrzała na małą kropelkę krwi u nasady wskazującego palca. Została ukłuta, a druzgocąca świadomość, co to dla niej oznacza, spowodowała, że padła znów na podłogę. Z oczu potoczyły się łzy i spłynęły po policzkach na ziemię. Teraz była jedną z nich.

## **Rozdział 18**

## Godzina 9.15

Stacja benzynowa wyglądała jak dekoracja filmowa z lat trzydziestych albo jak okładka starego magazynu „Saturday Evening Post”. Stały tu dwa staroświeckie dystrybutory, które przypominały wyglądem zbudowane w stylu art déco dwa miniaturowe drapacze chmur z półkolistym zwieńczeniem. W jego środku wymalowano czerwoną farbą wizerunek Pegaza, ciągle możliwy do rozszyfrowania mimo łuszczącej się farby.

Budynek za dystrybutorami był w tym samym stylu. Wbrew zdrowemu rozsądkowi nadal stał. Przez ostatnie pół wieku piasek z pustyni uderzał o ściany, czyszcząc je z wszelkich śladów farby. Jediną względnie nietkniętą częścią był smołowany, spadzisty dach. Drzwi pozbawione siatkowych osłon poruszały się uderzane ciepłymi podmuchami wiatru. Stojący hołd złożony długowieczności i solidności konstrukcji.

Pitt zjechał na pobocze drogi naprzeciw starej stacji, więc mogli się jej dobrze przyjrzeć.

– Miejsce zapomniane przez Boga – stwierdziła Sheila, ścierając jednocześnie kroplę potu z powieki. Pustynne słońce zaczęło dawać dowody swej południowej mocy.

Znajdowali się na opuszczonej dwupasmowej drodze, która kiedyś pełniła rolę głównej szosy prowadzącej przez pustynię Arizony. Ale autostrada międzystanowa biegnąca dwadzieścia mil na południe zmieniła to. Obecnie samochody rzadko trafiały w asfaltowe koleiny przysypywane systematycznie piaskiem wdzierającej się pustyni.

– Powiedział, że tu się z nami spotka – oświadczył Jonathan. – Jest tu dokładnie tak, jak opisał, drzwi i w ogóle.

– Tak, w takim razie gdzie jest? – zapytał Pitt. Powiódł wzrokiem po odległym horyzoncie. Poza kilkoma samotnymi skałami nie dostrzegł niczego. We wszystkich kierunkach ciągnęła się pustynia. Poruszały się jedynie suchorosty niesione przez wiatr.

– Siedzmy i czekajmy – zaproponował Jonathan. Z powodu nie przespanej nocy oczy

same mu się zamykały.

– Nie ma się tu gdzie ukryć – zauważył Pitt. – Denerwuje mnie to.

– Może powinniśmy zajrzeć do tego budynku stacji – odezwała się Sheila.

Pitt włączył silnik, przejechał przez drogę i zaparkował między dystrybutorami a budynkiem stacji. Cała trójka z niepokojem wpatrywała się w barak. Było w nim coś niesamowitego, szczególnie przez te zamykające się i otwierające drzwi. Byli teraz tak blisko, że słyszeli skrzypienie zardzewiałych zawiasów. Małe okno, dziwnym trafem całe, było zbyt brudne, aby można było cokolwiek przez nie zobaczyć.

– Zajrzyjmy do środka – zasugerowała Sheila.

Z wahaniem wysiedli z auta i weszli na ganek. Stały tu dwa bujane fotele z dawno przegniłymi trzcinowymi siedziskami. Przy drzwiach stał zardzewiały, również staroświecki pojemnik na trzymaną w lodzie coca-colę. Pokrywa była otwarta, a wewnątrz wypełnione wszelkiego rodzaju śmieciami.

Pitt otworzył zewnętrzne drzwi, chroniące przed kurzem i owadami, i spróbował uchylić wewnętrzne. Nie były zamknięte, więc pchnął je.

– Idziecie czy nie? – spytał swoich przyjaciół.

– Za tobą – odpowiedziała Sheila.

Pitt wszedł do pomieszczenia, a za nim kolejno Jonathan i Sheila. Z powodu brudnych okien światło było mdłe. Na prawo znajdował się metalowy kontuar, a za nim na ścianie wisiał kalendarz. Był na nim rok 1938. Podłogę pokrywał brud, piasek, rozbite butelki, stare gazety, puste pojemniki po oleju i części starych samochodów. Pajęczyny zwisały z belek sufitu niczym moskitiera. Z lewej zobaczyli drzwi. Były lekko uchylone.

– Wygląda, że od dawna nie było tu nikogo – zauważył Pitt. – Sądziecie, że to rzekome spotkanie zostało sfingowane?

- Nie wydaje mi się – stwierdził Jonathan. – Może czeka na nas na pustyni, obserwuje nas, żeby się przekonać, że jesteśmy w porządku.
- Skąd mógłby nas obserwować? – zastanowił się Pitt. – Dookoła jest płasko jak na stole.
- Podszedł do uchylonych drzwi i otworzył je na całą szerokość. Zaskrzypiały głośno jakby w proteście. W drugim pokoju z jednym małym okienkiem było nawet ciemniej niż w pierwszym. Ściany zastawione półkami sugerowały, że pomieszczenie pełniło funkcje sklepu.
- I tak nie jestem pewna, czy to jakaś różnica, czy go znajdziemy, czy nie znajdziemy. – Sheila była wyraźnie zniechęcona. Potrąciła nogą jakiś śmieć na podłodze. – Miałam nadzieję, że skoro dostarcza nam ciekawych informacji, to ma dostęp do laboratorium czy czegoś takiego. Chyba nie ma potrzeby mówić, że w takim miejscu nie wykonamy niezbędnych prac. Moim zdaniem lepiej będzie, jak stąd odjedziemy.
- Poczekajmy jeszcze chwilę – upierał się Jonathan. – Jestem pewny, że ten facet jest okay.
- Powiedział, że będzie tu, kiedy przyjedziemy – przypomniała Sheila. – Albo nas okłamał, albo...
- Albo co? – przerwał Pitt.
- Albo go dostali. Do tej pory może już być jednym z nich.
- A to dopiero pocieszające – skomentował Pitt.
- Musimy spojrzeć prawdzie w oczy – stwierdziła Sheila.
- Zaraz – powiedział Pitt. – Słyszeliście to?
- Co? Drzwi wejściowe? – spytała Sheila.
- Nie, to było coś innego. Jakieś drapanie.
- Jonathan podniósł rękę do głowy.
- Coś na mnie spadło. Jakiś pył, czyja wiem. – Popatrzył w górę. – Uff, tam coś jest.



Wszyscy natychmiast podnieśli wzrok. Dopiero teraz zorientowali się, że nie ma tu sufitu.

Ponad krokwiemi było ciemniej niż w samym pomieszczeniu. Ale gdy ich oczy przywykły do mroku, zdołali rozpoznać mężczyznę stojącego na jednej z belek.

Pitt schylił się i podniósł łyżkę do opon, która leżała na podłodze między innymi przedmiotami.

– Rzuć to – usłyszeli chrapliwy głos. Z zaskakującą szybkością mężczyzna zeskoczył na ziemię, spuszczając się na jednej ręce. W drugiej trzymał imponującego colta.<sup>45</sup> Twardym wzrokiem zlustrował trójkę przyjaciół. Był sześćdziesięcioletnim, rumianym, żyłastym mężczyzną z kręconymi, siwymi włosami.

– Rzuć brechę – powtórzył polecenie.

Pitt upuścił żelazne narzędzie z hałasem i pokazał pustą dłoń.

– Jestem Jumpin Jack Flash – powiedział podnieconym głosem Jonathan, wskazując jednocześnie kilka razy palcem na siebie. – To moje imię z Internetu. Pan jest Doktor M?

– Mogę być – odparł mężczyzna.

– Naprawdę nazywam się Jonathan, Jonathan Sellers.

– Ja jestem doktor Sheila Miller.

– A ja Pitt Henderson.

– Obserwował nas pan? Dlatego skrył się pan pod dachem? – zapytał Jonathan.

– Może – odpowiedział mężczyzna. Gestem nakazał trójce cofnąć się w głąb sklepu.

Pitt zawahał się.

– Jesteśmy przyjaciółmi. Jesteśmy normalnymi ludźmi.

– Dalej! – powiedział mężczyzna i podniósł rewolwer na wysokość twarzy Pitta.

Chłopak nigdy nie widział czterdziestki piątki, szczególnie z perspektywy, z której mógł zajrzeć w głąb ciemnej lufy.

– Idę, idę – powiedział pospiesznie.

– Wszyscy – ponaglił mężczyzna.

Niechętnie ruszyli w głąb sklepu.

– Odwróćcie się do mnie twarzami – nakazał mężczyzna.

Przestraszeni, bojąc się tego, co może się za chwilę zdarzyć, wykonali polecenie. Z

kompletnie wyschniętymi gardłami wpatrywali się w żyłastego mężczyznę, który dosłownie na nich wpadł. Ten odwzajemnił się uważnym spojrzeniem. Zapadła chwila ciszy.

– Rozumiem już, co pan robi – odezwał się nagle Pitt. – Sprawdza pan nasze oczy. Patrzy pan, czy nie świecą!

Mężczyzna w końcu skinął głową.

– Zgadza się. I z zadowoleniem stwierdzam, że w ogóle nie świecą. Dobrze! – Schował rewolwer do kabury. – Nazywam się McCay. Doktor Harlan McCay. Domyślam się, że będziemy pracować razem. Bardzo się cieszę, że was widzę, wierzcie mi.

Z wielką ulgą Pitt i Jonathan wyszli z mężczyzną na zewnątrz i rozradowani uścisnęli mu rękę. Sheila poszła za nimi, ale była wyraźnie poirytowana przywitaniem. Poskarżyła się nawet, że gospodarz ją przestraszył.

– Przepraszam. Nie zamierzałem was straszyć, ale ostrożność to produkt naszych czasów.

No, ale mamy to już za sobą. Chodźcie tam, gdzie będziemy pracować. Obawiam się, że jeżeli szybko nie dojdziemy do jakichś wyników, niewiele zostanie nam czasu.

– Ma pan laboratorium albo jakieś miejsce przygotowane do pracy? – spytała Sheila.

Nastrój nieco jej się poprawił.

– Tak. Mam małe laboratorium. Ale musimy podjechać. To jakieś dwadzieścia minut stąd.

Poszli do samochodu. Pitt usiadł za kierownicą, Sheila obok niego, a Jonathan z

Harlanem z tyłu. Pitt włączył silnik.

– Dokąd? – zapytał.

– Prosto. Powiem, kiedy skręcić.

– Praktykował pan, zanim doszło do tych kłopotów? – zapytała Sheila, gdy wyjechali na drogę.

– Tak i nie – odpowiedział Harlan. – Pierwszą część mego zawodowego życia spędziłem w UCLA jako pracownik akademicki. Specjalizowałem się w internie ze szczególnym uwzględnieniem immunologii. Mniej więcej pięć lat temu uznałem, że wypaliłem się już jako naukowiec i zdecydowałem się przyjechać tutaj i otworzyć praktykę w małym miasteczku Paswell. Na mapie to ledwo punkcik. Wiele pracowałem z rdzennymi mieszkańcami Ameryki z okolicznych rezerwatów.

– Immunologia! – ucieszyła się Sheila. Była pod wrażeniem. – Nic dziwnego, że przesłał nam pan tyle ciekawych materiałów.

– Mogę się odwdziżyć tym samym. Jakie pani ma doświadczenie?

– Niestety, przede wszystkim pierwsza pomoc, chociaż pracowałam też jako internistka – powiedziała Sheila.

– Pierwsza pomoc! – powtórzył Harlan. – W takim razie jestem pod jeszcze większym wrażeniem, biorąc pod uwagę wasze wyniki. Miałem odczucia, że kontaktuję się z kolegą immunologiem.

– Obawiam się, że nie mogę przypisywać sobie tych zasług – przyznała Sheila. –

Pracowała z nami mama Jonathana i to ona była wirusologiem. Wykonała większą część pracy.

– Zdaje się, że nie powinienem pytać, gdzie się teraz znajduje – skomentował Harlan.

– Nie wiemy, gdzie jest – odpowiedział Jonathan. – Zeszłej nocy poszła do apteki po leki

i nie wróciła.

– Przykro mi – powiedział Harlan.

– Skontaktuje się ze mną przez Internet – odparł chłopak, nie tracąc nadziei.

Przez kilka minut jechali w milczeniu. Nikt nie chciał niweczyć nadziei chłopca.

– Czy teraz jedziemy do Paswell? – zapytała Sheila. Perspektywa przebywania w miasteczku była dość pociągająca. Chciała wejść pod prysznic i wyspać się w łóżku.

– Na Boga, nie – zaprzeczył Harlan. – Wszyscy tam są zainfekowani.

– Jak udało się panu tego uniknąć? – zapytał Pitt.

– Najpierw cholerne szczęście. Byłem z przyjacielem, wtedy kiedy został ukłuty przez jeden z tych dysków, więc unikałem ich jak dżumy. A potem, gdy zrozumiałem, co się dzieje i że nie mogę nic poradzić, wyjechałem na pustynię. Od tego czasu się ukrywam.

– Jak więc to możliwe, że przebywając na pustyni, mógł pan odbierać i przysyłać informacje? – pytała Sheila.

– Już wam powiedziałem. Mam małe laboratorium.

Sheila obserwowała krajobraz po swojej stronie. Płaska, pozbawiona wyrazu pustynia rozciągała się aż po góry na horyzoncie. Nie było żadnych budynków, tym bardziej laboratorium biologicznego. Zaczęła się zastanawiać, ile zdrowych szarych komórek zachowało się pod siwą czupryną Harlana.

– Posunąłem się troszeczkę w badaniach. Gdy daliście mi sekwencję aminokwasów naszej proteiny i udało mi się ją uzyskać, zdołałem wyprodukować antyciało monoklonalne.

Sheila gwałtownie odwróciła głowę. Patrzyła z niedowierzaniem w spaloną słońcem, niebieskooką twarz człowieka z pustyni.

– Jest pan pewien? – zapytała.

– Pewnie, że jestem pewien – odparł Harlan. – Ale nie ma się co podniecać, nie jest tak

określone, jak bym sobie życzył. Jednak działa. Podstawową kwestią jest to, że udowodniłem, iż mogę wytworzyć antyciała u myszy. Muszę wyodrębnić lepsze limfocyty B, żeby uzyskać hybrydomę\*.

\* Limfocyt B – limfocyt pochodzący ze szpiku, wytwarzający przeciwciała; hybrydoma – komórka powstająca z

fuzji komórki szpiczaka i komórki śledziony uczulonego zwierzęcia, produkująca monoklonalne przeciwciała

(przyp. tłum.).

Pitt rzucił krótkie spojrzenie w stronę Sheili. Mimo że skończył kilka kursów z biologii, nie miał pojęcia, o czym Harlan mówi ani nawet, czy mówi z sensem. Sheila jednak sprawiała wrażenie osoby nadzwyczaj poruszonej.

– Aby uzyskać monoklonalne przeciwciało, potrzeba skomplikowanych odczynników i materiałów, na przykład źródła komórek szpiczaka – stwierdziła Sheila.

– Bez wątpienia. Skręć tutaj, zaraz za tym kaktusem – powiedział Harlan, wskazując w prawo.

– Ale tu nie ma drogi.

– Jedyne formalnie rzecz biorąc. W każdym razie skręć.

Cassy zbudziła się z krótkiej drzemki, wstała z łóżka i podeszła do wielkiego okna.

Znajdowała się w pokoju gościnnym na piętrze rezydencji. Okno wychodziło na południe. Po lewej widziała sznur pieszych idących drogą. Na wprost widok miała ograniczony linią wysokich, liściastych drzew. Po prawej dostrzegła kawałek tarasu okrążającego basen i sto metrów trawnika, który graniczył ze ścianą sosnowego lasu.

Spojrzała na zegarek. Zastanowiła się, kiedy zacznie odczuwać objawy choroby. Starła się przypomnieć sobie, ile czasu minęło między skaleczeniem Beau a pojawieniem się u niego symptomów grypy, jednak nie potrafiła. Wtedy powiedział jej tylko, że zaczęło się, gdy był

na zajęciach. Nie wiedziała nawet, na których.

Wróciła do drzwi i jeszcze raz nacisnęła klamkę. Ciągle były zamknięte, tak samo jak w chwilę po jej wejściu. Odwróciła się, oparła plecami o drzwi i rozejrzała po pomieszczeniu. Było wspaniałe, wysokie, ale poza łóżkiem całkiem puste. A łóżko składało się jedynie z gołego materaca na sprężynach.

Drzemka przywróciła Cassy jasność widzenia. Czuła mieszaninę złości i przygnębienia. Pomyślała, żeby położyć się z powrotem, ale nie sądziła, że zdoła zasnąć. Zamiast się położyć, znowu stanęła przy oknie.

Widząc, że nie ma zamka, spróbowała je otworzyć. Ku jej zaskoczeniu udało się bez kłopotów. Wychyliła się na zewnątrz i popatrzyła w dół. Około sześciu metrów poniżej był wykładany kamieniem chodnik, który łączył taras z tyłu posiadłości z frontowym.

Ograniczony był balustradą wykonaną w wapieniu. Gdyby spróbowała skoczyć, lądowanie byłoby twarde, mimo to poważnie się zastanowiła. Wołała umrzeć, niż stać się jedną z nich. Jednak upadek z sześciu metrów mógł jedynie okaleczyć, nie zabić.

Podniosła wzrok i popatrzyła uważniej na wierzchołki drzew. Szczególnie jedna gruba gałąź przyciągnęła jej uwagę. Wyrastała z głównego pnia, wyginała się wprost ku oknu, ale tuż przed nim wykręciła w prawo. Zainteresował ją poziomy odcinek konara znajdujący się jakieś półtora metra od okna.

Zastanowiła się, czy zdołałaby wyskoczyć, złapać gałąź i utrzymać się na niej. Nie wiedziała. Nigdy w swoim życiu nie robiła niczego podobnego i nawet zdziwiła się, że pomyślała o tym. Z drugiej jednak strony nie były to normalne okoliczności, więc pomysł szybko ją wciągnął. Zadanie wydawało się wykonalne, tym bardziej po tych wszystkich ćwiczeniach z ciężarkami, które za zachętą Beau wykonywała przez ostatnie pół roku.

Poza tym, pomyślała, coź się stanie, jeśli nie trafię? Obecnie jej perspektywy malowały

się w smętnych barwach. Uderzenie o balustradę nie mogło chyba o wiele pogorszyć sytuacji i wyrządzić szkód większych ponad zwykłe skaleczenia i stłuczenia. Wspięła się na parapet, podniosła skrzydło okna na pełną wysokość, aby mieć dość miejsca do przejścia. Z tej pozycji ziemia dramatycznie się oddaliła.

Zamknęła oczy. Serce waliło, oddech miała przyspieszony. Odwaga słabła. Przypomniła sobie, jak będąc dzieckiem, poszła do cyrku i oglądała akrobatów na trapezie. Wtedy uważała, że nigdy nie mogłaby robić czegoś podobnego. Lecz przyszli jej na myśl Eugene i Jesse, i to, czym stał się Beau. Przerazała ją świadomość utraty własnej osobowości.

Z nagłym postanowieniem otworzyła oczy i skoczyła przed siebie.

Miała wrażenie, że minęła wieczność, zanim trafiła na przeszkodę. Może jakiś instynkt po przodkach żyjących na drzewach, z którego nie zdawała sobie sprawy, pozwolił jej idealnie wymierzyć skok. Dłonie pewnie zacisnęły się na konarze. Teraz zastanowiła się, czy uchwyt wytrzyma. Kilka chwil niepewności i kołysanie ustało. Udało się! Ale to nie był koniec.

Ciągle wisiała sześć metrów nad ziemią, choć teraz już nie nad brukowanym chodnikiem, lecz nad zielonym trawnikiem. Wymachując nogami, pomagała sobie przesunąć się po gałęzi, aż poczuła pod prawą stopą niższy konar. Stąd było już względnie łatwo zejść i w końcu zeskoczyć na trawę.

Gdy poczuła ziemię pod stopami, natychmiast wstała i ruszyła przed siebie.

Powstrzymała się przed biegiem przez rozległy trawnik, doskonale wiedząc, że to tylko przyciągnęłoby uwagę innych. Zamiast tego zmusiła się do niedbałego kroku po przejściu przez niższą balustradę. Podążyła ścieżką prowadzącą przed front domu.

Rozluźniona, z uśmiechem na twarzy i spojrzeniem błędnie utkwionym gdzieś w dal,

Cassy wmieszała się w tłum zainfekowanych ludzi wychodzących na szosę. Najtrudniej przychodziło jej powstrzymanie się od rozglądania dookoła, szczególnie spoglądania na

psy.

– Po czym pan poznaje, dokąd powinniśmy jechać? – spytał Pitt. Już kilka mil jechali drogą, która niczym się nie wyróżniała od nagiego pustynnego otoczenia.

– Już prawie jesteśmy – odparł zapytany.

– Och, proszę – odezwała się Sheila ze zniecierpliwieniem. – Jesteśmy w samym środku cholernej pustyni. To bardziej jeszcze przypomina zapomniany przez Boga kąt świata niż stara stacja benzynowa. Czy to ma być jakiś żart?

– Żaden żart – zapewnił Harlan. – Bądźcie cierpliwi! Daję wam wielką szansę uratowania ludzkości.

Sheila spojrzała na Pitta, jednak on całą swoją uwagę skupił na nie istniejącej drodze.

Głośno westchnęła. Właśnie gdy zaczęła dobrze myśleć o Harlanie, stało się oczywiste, że ciągnie ich na zupełnie beznadziejną wyprawę. Na pustyni nie było żadnego laboratorium.

Cała sytuacja stała się absurdalna.

– Dobra – odezwał się Harlan. – Zatrzymaj się za tym następnym kwitnącym kaktusem.

Pitt zrobił, jak mu kazano. Zaciągnął hamulec i wyłączył silnik.

– Świetnie. Wszyscy wysiadają – polecił Harlan.

Sam dał przykład, wychodząc z wozu i stając na pustynnym piasku. Jonathan wręcz deptał mu po piętach.

– No dalej – Harlan ponaglił pozostałą dwójkę.

Sheila i Pitt popatrzyli na siebie. Stali pośrodku pustyni. Oprócz jakichś kamieni, kilku kaktusów i nielicznych piaszczystych pagórków niczego wokół nich nie było.

Harlan odszedł kilka metrów, po czym odwrócił się, zaskoczony, że nikt nie ruszył za nim. Jonathan wysiadł z samochodu, ale jak reszta wahał się i nie poszedł za przewodnikiem.

– Na miłość boską! – zawołał Harlan. – Czego potrzebujecie, specjalnego zaproszenia?



Sheila westchnęła i wysiadła z auta. Pitt poszedł za jej przykładem. Teraz cała trójka bez przekonania poczłapała za doktorem, który podążył przed siebie, wprost ku nie wiadomo czemu.

Sheila potarła czoło.

– Nie wiem, co o tym myśleć – szepnęła. – W jednej chwili jest jak wybawienie, w następnej zwykłym dziwakiem. A na dodatek jest tu goręcej niż w Hadesie.

Harlan zatrzymał się i poczekał, aż pozostali go dogonią. Wskazał palcem na ziemię i powiedział:

– Witam w Washburn-Kraft Biological Warfare Reaction Laboratory.

Zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć na niedorzeczne zaproszenie, Harlan schylił się i wygrzebał spod piasku ukryte żelazne kółko. Pociągnął za nie i okrągła cząstka pustyni uniosła się. Pod klapą znajdował się otwór ze stalowymi schodami prowadzącymi w dół.

Widoczny był tylko koniec poręczy.

Harlan wykonał ręką gest prezentacji.

– Cały ten obszar, kilka mil w stronę Paswell, jest jak plaster miodu zbudowany z podziemnych komór. Próbowano to zachować w wielkiej tajemnicy, ale tubylcy i tak o tym wiedzieli.

– To wojskowe laboratorium? – spytała Sheila. Rozwiązanie wydało się zbyt dobre, aby było prawdziwe.

– Zostało zachowane na wypadek jakiejś potrzeby. Zbudowano je w szczytowym okresie zimnej wojny, ale gdy uznano, że zagrożenie, iż do USA dotrze broń biologiczna, jest mało prawdopodobne, uznano laboratorium za zbędne. Poza kilkoma biurokratami, którzy zaopatrywali je regularnie, można ten ośrodek uznać za zapomniany. Tak przynajmniej widzę obecną sytuację. W każdym razie, gdy zaczęły się kłopoty, zszedłem tu i ożywiłem go. Więc

żeby już odpowiedzieć na twoje pytanie, powiem: tak, to jest wojskowe laboratorium.

– A to jest wejście? – zapytała Sheila. Pochyliła się nad otworem i zajrzała w głąb.

Dostrzegła włączone światła. Schody prowadziły na głębokość około dziesięciu metrów.

– Nie, to jest wyjście awaryjne oraz szyb wentylacyjny. Właściwe wejście jest bliżej Paswell, ale boję się go używać, gdyż mógłby mnie zauważyć któryś z moich byłych pacjentów.

– Możemy tam zejść? – zapytała znowu Sheila.

– Cóż, po to tu przyjechaliśmy. Ale zanim wyprawimy się w głąb, chciałbym ukryć samochód pod siatką maskującą.

Zeszli po schodach do białego, nowocześnie wyposażonego korytarza oświetlonego rzędem fluorescencyjnych lamp. Ze schowka umieszczonego u podstawy schodów Harlan wyjął wspomnianą siatkę. Pitt postanowił pomóc, więc wrócił z Harlanem na górę.

– Lepiej niż świetnie – powiedziała Sheila. – Więc jednak zbawienie. I pomyśleć, że zbudowano to na wypadek rosyjskiego ataku biologicznego, a zamiast tego zostanie wykorzystane do odparcia ataku dokonanego przez kosmitów. O ironio!

Kiedy Pitt i Harlan wrócili, naukowiec poprowadził ich, jak sam powiedział, na północ.

– Minie trochę czasu, zanim zaczniecie się orientować. Póki co, radzę wam trzymać się razem.

– Gdzie są ludzie, którzy utrzymują to laboratorium w stanie gotowości? – zastanowiła się Sheila.

– Przychodzili tu na zmiany, jak to się robi przy podziemnych silosach raketowych – wyjaśnił Harlan. – Ale odkąd zostali zainfekowani, wydaje mi się, że albo zapomnieli o laboratorium, albo gdzieś zniknęli. W Paswell sporo się mówiło, że poszli z jakiegoś powodu do Santa Fe. W każdym razie nie ma ich w pobliżu i jak na razie nie spodziewam się

odwiedzin.

Dotarli do drzwi próżniowych. Harlan otworzył je i wpuścił wszystkich do pomieszczenia. Wisiało tu kilka błękitnych kombinezonów. Harlan zamknął drzwi i przekreślił jakieś tarcze. Dał się słyszeć szum powietrza. Wejście zostało zablokowane.

– To zabezpieczenie nie pozwala przeniknąć do laboratorium żadnym biologicznym czynnikiem zagrażającym życiu, chyba że przeniesiemy je sami w szczelnych pojemnikach. Ale to nam nie grozi – powiedział Harlan.

– Skąd bierze się zasilanie? – spytała Sheila.

– Energia jądrowa. To jest jakby podwodna łódź o napędzie atomowym. Całe to miejsce jest zupełnie niezależne od tego, co dzieje się na powierzchni.

Po chwili poczuli ucisk w uszach, gdyż następowało wyrównanie ciśnień między komorą powietrzną a resztą laboratorium. Kiedy proces dobiegł końca, Harlan otworzył kolejne drzwi.

Sheila była oszołomiona. W całym życiu nie widziała takiego laboratorium. Składało się z trzech wielkich pomieszczeń wyposażonych w wielkie inkubatory i chłodnie. Zdumienie jej pogłębiał fakt, że całe wyposażenie było absolutnie najnowocześniejsze.

– Ta chłodnia to dość przerażające miejsce – powiedział Harlan, pukając palcem w metalowe drzwi. – Można znaleźć za nimi wszelkie znane biologiczne formy zagrażające człowiekowi, tak bakterie, jak i wirusy. – Następnie wskazał na inne metalowe drzwi z zasuwami jak w bankowym sejfie. – Tam znajdują się odczynniki chemiczne. Któryś z wrogów Jamesa Bonda miałby tam niezłą zabawę.

– Co jest tam? – spytała Sheila, wskazując na zamykane podciśnieniem drzwi z okrągłym iluminatorem.

– Prowadzą do części szpitalnej i kostnicy. Domyślam się, że stworzyli tego rodzaju

uzupełnienie, na wypadek gdyby niektórzy z pracujących tu ludzi ulegli temu, nad czym przyszłoby im pracować.

– Patrzcie! – zawołał Jonathan i wskazał na rząd czarnych dysków położonych pod okapem wyciągu powietrza.

– Nie dotykaj ich! – zareagował zaniepokojony Harlan.

– Proszę się nie martwić – uspokoił Jonathan. – Wiemy, co to jest.

Wszyscy podeszli i przyjrzeni się kolekcji.

– Mogą znacznie więcej, niż tylko zainfekować – powiedziała Sheila.

– Jakbym nie wiedział. Chodźcie ze mną. Coś wam pokażę – zaproponował Harlan.

Poprowadził ich do małego korytarza, w którym było kilka pokoi do prześwietlania promieniami X oraz skaner rezonansu magnetycznego. Weszli do jednego z pokoi rentgenowskich. Urządzenie do prześwietlania uległo zniszczeniu, przypominało kupę stopionego i powyginanego metalu.

– Mój Boże! – szepnęła Sheila. – Wygląda identycznie jak w pokoju na oddziale studenckim. Wie pan, jak do tego doszło?

– Tak mi się zdaje. Próbowałem jeden z dysków prześwietlić promieniami X i najwyraźniej nie spodobało mu się to. Może to brzmi jak szaleństwo, ale moim zdaniem dysk wytworzył miniaturową czarną dziurę. Podejrzewam, że tak się tu dostali i tak stąd odchodzą.

– Pasuje – wtrącił Jonathan. – Ale jak to robią?

– Chciałbym wiedzieć – odparł Harlan. – Mogę jednak powiedzieć, jak sobie to tłumaczę. W jakiś sposób potrafią wygenerować dość wewnętrznej energii, aby stworzyć chwilowe potężne pole grawitacyjne i natychmiast następuje implozja.

– Więc gdzie znikają? – pytał Jonathan dalej.

– A tu już trzeba zaryzykować. Może sięgnąć do teorii czarnych dziur i przenikających

się światów. W takim przypadku mogą się znajdować w świecie równoległym.

– Rety! – jęknął Jonathan.

– To już trochę za dużo dla mnie – stwierdził Pitt.

– Dla mnie też – dodała Sheila. – Wróćmy do laboratorium. – Gdy tam przeszli, zapytała:

– A co z myszą i komórkami szpiczaka uzyskanymi tu dla produkcji monoklonalnych antyciał?

– Mamy nie tylko mysz. Mamy szczury, świnki morskie, króliki, a nawet kilka małp.

Prawdę powiedziawszy, połowę czasu tracę na ich karmienie.

– Co z naszymi kwaterami? – Sheila była zmęczona i brudna, nie potrafiła myśleć o niczym innym jak prysznic i drzemka.

– Tędy – powiedział Harlan.

Wyprowadził ich na główny korytarz i dalej przez podwójne drzwi. Pierwszy pokój, do którego weszli, był wielkim salonem z telewizorem i biblioteczką pełną książek. Obok pokoju znajdowała się jadalnia połączona z nowoczesną kuchnią. Za jadalnią, wzdłuż korytarza znajdowały się drzwi prowadzące do licznych sypialni, z których każda miała własną łazienkę.

– No, to jest całkiem niezłe! – zawołał Jonathan, widząc, że w każdym z gościnnych pokoi znajduje się terminal komputerowy.

– Jest dobrze – zgodził się Pitt na widok łóżka. – Bardzo dobrze.

Gdy Cassy wydostała się poza teren Instytutu, bez trudu znalazła porzucony samochód.

Stały ich na ulicach setki, jakby zainfekowani ludzie z minuty na minutę przestali się nimi całkiem interesować. Chorzy zdawali się preferować spacerować.

Gdy tylko znalazła telefon, spróbowała zadzwonić do chaty. Wysłuchiwała sygnału ze dwadzieścia razy, zanim zrezygnowała. Najwyraźniej nikogo tam nie było, a to mogło

znaczyć tylko jedno: zostali odkryci. Ta świadomość była przygnębiająca i Cassy przez godzinę siedziała bez ruchu w „pożyczonym” samochodzie. Jej pragnienie porozmawiania z Pittem i pozostałymi, jeszcze choćby raz, zostało udaremnione.

Tym, co ostatecznie wyrwało ją z odrętwienia, było nagłe klucie w nosie i seria kichnięć. Natychmiast się zorientowała, o co chodzi: pojawiły się objawy obcej grypy.

Podeszła do telefonu i chociaż wiedziała, że to daremny trud, ponownie spróbowała się połączyć z chatą. Jak się spodziewała, nie było odpowiedzi. Ale kiedy czekała na nią, pomyślała, iż nawet gdyby chata została odkryta, istniała niewielka szansa, że ktoś z ich grupy ocalał. Wtedy też przypomniała sobie, jak cierpliwie Jonathan uczył ją poruszania się po Internecie.

Wsiadła do samochodu. Zaczęła już czuć, jak ból z nosa rozchodzi się na gardło. Wkrótce pojawił się kaszel. Początkowo było to bardziej chrząkanie, lecz szybko zmieniło się w prawdziwe napady duszności.

Cassy wjechała do miasta. Jeździły jakieś samochody, ale było ich niewiele. Natomiast tłok panował na chodnikach. Tysiące pieszych przemieszczało się we wszystkie strony i zajmowało różnymi życiowymi sprawami. Wiele osób sadiło rośliny. Wszyscy się uśmiechali, nieliczni rozmawiali.

Zaparkowała samochód i wysiadła. Niektóre firmy ciągle funkcjonowały, podczas gdy inne stały opuszczone, ich właściciele zapewne nagle wstali i wyszli. Wszystko stało otworem.

Jednym z nieczynnych zakładów była pralnia chemiczna. Cassy weszła, ale nie znalazła, czego szukała. Natrafiła na to obok, w punkcie ksero. Był to komputer z modemem.

Usiadła i włączyła urządzenie. Właściciele odeszli, nawet nie odłączywszy sprzętu. Cassy pamiętała internetowe imię Jonathana: Jumpin Jack Flash. Zaczęła uderzać w klawisze.

– To wszystko, co pan ma? – zapytała Sheila. Trzymała w dłoni małą fiołkę z przezroczystym płynem.

– Jak na razie – odparł Harlan. – Mam jednak jeszcze kilka myszy z hybrydomami wszczepionymi w jamy otrzewnowe, ale także w komórki wyhodowane w inkubatorach. Z pewnością otrzymamy więcej antyciał monoklonalnych. To tylko efekty tygodniowej pracy. Spróbowałbym raczej poszukać komórki chętniej produkującej antyciała.

Sheila, Pitt i Jonathan wzięli szybko prysznic i skorzystali z krótkiego odpoczynku, byli jednak zbyt podekscytowani, żeby zasnąć. Szczególnie Sheila wręcz paliła się do dalszej pracy i żądała od Harlana, aby pokazał jej wszystko, czego dokonał.

Jonathan i Pitt trzymali się cały czas razem. Pitt z trudem nadążał za wyjaśnieniami Harlana, podczas gdy Jonathan nawet nie próbował. Wobec tego, że w szkole nie miał za dużo biologii, wszystko brzmiało dla niego jak greka. Zamiast słuchać, usiadł przy jednym z komputerowych terminali i zaczął stukać w klawiaturę.

– Pokażę wam proces wykorzystywany do wyselekcjonowania limfocytów B ze śledziony myszy. Pod warunkiem że wy pokażecie mi wiriony, które ty i mama Jonathana zdołałyście wyizolować.

– Nie mamy pewności, że wiriony są w kulturach tkankowych – odparła Sheila. – Jedyne spodziewamy się, że tam są. Byłyśmy gotowe do wyizolowania ich.

– No cóż, nie powinniśmy mieć trudności z ich znalezieniem – stwierdził Harlan.

– O mój Boże! – zawołał nagle Jonathan.

Zaskoczeni tym wybuchem spojrzeli w stronę chłopaka. Jonathan nie odrywał wzroku od ekranu monitora.

– Co jest? – zapytał wystraszony Pitt.

– Wiadomość od Cassy! – krzyknął Jonathan.

Pitt właściwie przefrunął nad stołem laboratoryjnym, aby się znaleźć przy komputerze.

Wpatrywał się w monitor z szeroko otwartymi oczami.

– Wysyła informację dokładnie w tej chwili – stwierdził Jonathan. – To znaczy, że rozmawiamy z nią teraz.

– To fantastyczne – skomentował Pitt.

– Dzielna dziewczyna. Robi dokładnie tak, jak ją uczyłem. – Jonathan był dumny.

– Co pisze? – spytała Sheila. – Pisz, gdzie jest?

– Och, nie! – jęknął Jonathan. – Mówi, że została zainfekowana.

– Cholera! – zaklął Pitt i zacisnął zęby.

– Odczuwa już pierwsze symptomy grypy – kontynuował Jonathan. – Życzy nam powodzenia.

– Skontaktuj się z nią! Teraz, zaraz, zanim się rozłączy! – krzyknął Pitt.

– Pitt, to nie ma sensu – powiedziała Sheila. – Będzie jeszcze trudniej. Ona jest zainfekowana.

– Może sobie być zainfekowana, ale to jest ciągle Cassy. Inaczej nie życzyłaby nam powodzenia. – Gwałtownie odsunął Jonathana na bok i zaczął wystukiwać coś na klawiaturze.

Jonathan podniósł głowę i popatrzył na Sheilę. Pokręciła głową. Chociaż wiedziała, że to błąd, nie miała serca go powstrzymać.

Obraz na monitorze rozmazywał się przed oczami Cassy. Kiedy pisała, łzy zaczęły napływać jej do oczu. Zamykając je na chwilę i przecierając grzbietem dłoni, starała się odzyskać kontrolę nad wzrokiem. Pragnęła przesłać ostatnią wiadomość do Pitta. Chciała powiedzieć mu, że go kocha.

Otworzyła oczy i wróciła do klawiatury. Miała napisać ostatnie zdanie, gdy na ekranie pojawiła się wiadomość. Patrzyła zaskoczona i czytała: „Cassy, to ja, Pitt. Gdzie jesteś?”



To były najdłuższe sekundy w życiu Pitta. Wpatrywał się w monitor i oczekiwał odpowiedzi. Nagle, jakby ją wymodlił, czarne litery zaczęły wyskakiwać na ekranie.

– Jest! – wrzasnął, przecinając powietrze zaciśniętą pięścią. – Złapałem ją. Wie, że tu jestem.

– Co mówi? – spytała Sheila. Bała się pytać, bo wiedziała, że ten kontakt może doprowadzić do poważnych kłopotów.

– Nie jest zbyt daleko stąd. Zamierzam jej napisać, żebyśmy się spotkali – odparł Pitt.

– Pitt, nie! – zaprotestowała Sheila. – Nawet jeśli teraz nie jest jedną z nich, niedługo będzie. Nie możesz ryzykować. Nie wolno ci wyjawiać istnienia tego laboratorium.

Pitt spojrzał na Sheilę z ogromnym bólem. Jego oddech był szybki, urywany.

– Nie mogę jej zostawić. Po prostu nie mogę!

– Musisz. Widziałeś, co się stało z Beau – upomniała go Sheila.

Palce Pitta zawisły na klawiaturę. Jeszcze nigdy nie musiał podejmować tak dramatycznej decyzji.

– Poczekaj – wtrącił się nagle Harlan. – Zapytaj, ile czasu minęło od ukłucia.

– Jaka to różnica? – zapytała poirytowana Sheila. Była zła, że tamten wtrąca się w takiej chwili.

– Zrób to – polecił Harlan. Stanął tuż za Pittem.

Pitt wysłał pytanie. Odpowiedź nadeszła natychmiast: około czterech godzin. Harlan spojrzał na zegarek i w zamyśleniu gryzł policzek od wewnątrz.

– Co panu chodzi po głowie? – zapytała Sheila, spoglądając w oczy doktora.

– Muszę wam coś wyznać – powiedział. – Nie powiedziałem całej prawdy o tych czarnych dyskach. Jeden z nich ukłuł mnie, kiedy zbierałem ostatnią grupę.

– Więc jesteś jednym z nich! – zawołała przerażona Sheila.

– Nie, przynajmniej na razie tak nie uważam. Połączyłem moje słabe monoklonalne antyciała z białkiem i zaszczepiłem się po zainfekowaniu. Pociągałem nosem, ale grypy nie dostałem.

– To fantastyczne! – zawołał Pitt. – Pozwólcie, że powiem o tym Cassy.

– Czekaj! – rozkazała Sheila. – Ile czasu po ukłuciu przyjął pan szczepionkę?

– Tylko to budzi mój niepokój. Po trzech godzinach. Kiedy to się stało, byłem w Paswell. Trzy godziny zajął mi powrót tutaj.

– W wypadku Cassy minęły już cztery godziny. Co pan o tym sądzi?

– Myślę, że warto spróbować. Możemy położyć ją w jednym z pokojów szpitalnych i obserwować, co się zdarzy. Jeśli to nie pomoże, nie ma sposobu, żeby się stąd wydostała. Te pokoje są jak lochy więzienne.

Pitt nie potrzebował dalszej zachęty. Bez jednego słowa wstępu napisał do Cassy, że mają antyciała i podał namiary na stację benzynową przy pustynnej drodze.

– Dlaczego nie powiedział pan o zainfekowaniu? – zapytała Sheila. Nie wiedziała, czy się złościć, czy raczej odczuwać ulgę i nadzieję po usłyszeniu takiej nowiny.

– Szczerze mówiąc, obawiałem się, że nie mi zaufacie. Prędzej czy później i tak bym wam powiedział. Jednak to, że szczepionka chyba działa, nastawia mnie raczej optymistycznie.

– Tak, myślę, że powinnam się zgodzić. To pierwsza naprawdę dobra wiadomość.

Pitt zakończył połączenie z Cassy i podszedł do Sheili i Harlana.

– Mam nadzieję, że byłeś tak dyskretny, jak to tylko możliwe – powiedział Harlan. – Nie potrzebujemy tłumu zainfekowanych czekających na ciebie na stacji.

– Staralem się. Z drugiej jednak strony chciałem, aby Cassy trafiła. Miejsce jest zresztą tak odosobnione.

– Rzeczywiście ryzyko jest raczej małe – uznał Harlan. – Z moich obserwacji wynika, że zainfekowani nie korzystają z Internetu. Chyba nie potrzebują go, skoro wydaje się, że wiedzą, co każdy z nich myśli.

– Nie pojedzie pan ze mną? – zapytał Pitt.

– Chyba nie powinienem – odpowiedział Harlan. – Została tylko niewielka porcja antyciał. Postaram się uzyskać więcej substancji; przyda się, gdy twoja przyjaciółka zjawi się u nas. To znaczy, że sam będziesz musiał znaleźć drogę. Myślisz, że dasz radę?

– Wydaje się, że nie mam wielkiego wyboru.

Harlan wręczył Pittowi fiolkę z resztką antyciał i strzykawkę.

– Mam nadzieję, że wiesz, jak wykonać zastrzyk – powiedział.

Odparł, iż po trzech latach spędzonych w szpitalu na praktyce powinien dać sobie z tym radę.

– Najlepiej podaj dożylnie, ale bądź gotów na wstrząs anafilaktyczny i zastosowanie sztucznego oddychania.

Pitt najwyraźniej z trudem przełknął ślinę, ale skinął głową.

– Lepiej weź też ze sobą to – mówiąc to, Harlan wyjął z kabury colta. – Radzę użyć, jeżeli będziesz musiał. Pamiętaj, że zainfekowani będą chcieli za wszelką cenę cię zainfekować, gdy odkryją, że nie jesteś jednym z nich.

– A co ze mną? – wtrącił Jonathan. – Pojadę z Pittem. Może mieć kłopoty ze znalezieniem powrotnej drogi, a dwie pary oczu są lepsze niż jedna.

– Uważam, że lepiej, jeśli zostaniesz z nami – stwierdziła Sheila. – Znajdziemy mnóstwo pracy dla ciebie. – Podwinęła rękawy. – I będziemy bardzo zajęci.

Gdy udało się odszukać Cassy, sprowadzić ją do Instytutu, a następnie zainfekować, prace nad Bramą nabrały wyraźnego rozpędu. Chociaż nikt z tysięcy pracowników nie był

indywidualnie instruowany, co i jak robić, polecenia bez wątpienia pochodziły od Beau. W związku z tym Beau musiał spędzać znaczną część czasu przy konstrukcji. Jego umysł musiał być wolny od wszelkich niepotrzebnych myśli. Wiedząc, że Cassy jest na piętrze, że wkrótce stanie się jedną z nich, Beau z łatwością mógł sprostać ciężącym na nim obowiązkom. Postęp w pracach osiągnął taki moment, kiedy możliwe było krótkie podłączenie sieci pod napięcie. Test okazał się udany, choć wykazał, że część systemu wymaga dalszego udoskonalenia. Beau przekazał niezbędne instrukcje i zrobił sobie przerwę. Stopień po stopniu wszedł na górę, mimo że zdawał sobie doskonale sprawę, iż łatwiej byłoby mu teraz wskakiwać po pięć, sześć schodów naraz. Mięśnie jego nóg uległy ostatnio wyraźnemu powiększeniu.

Gdy stanął na szczycie schodów, wyczuł, że coś jest nie tak. Nie czuł tego na dole, gdyż poziom telepatycznie przekazywanych informacji w sprawie Bramy był bardzo wysoki. Ale teraz był sam, sytuacja się zmieniła. Powinien już odczuwać pojawiającą się we wspólnej świadomości więz z Cassy. Ponieważ jednak nie było żadnych jej śladów, wystraszył się, że dziewczyna zmarła.

Przyspieszył kroku. Bał się, że Cassy cierpiała na jakieś genetyczne schorzenie, które ujawniło się w nowych okolicznościach. W takich warunkach wirus prowadził do autodestrukcji.

W stanie paniki, której nie potrafił sobie wytłumaczyć, starał się szybko otworzyć zamknięte na zamek drzwi. Wyobrażając sobie jej leżące na materacu bezwładne ciało, stanął zaskoczony, gdy stwierdził, że pokój jest pusty.

Spojrzał w otwarte okno. Podeszedł do niego i popatrzył w dół. Widział chodnik i balustradę. Wtem jego wzrok uchwycił drzewo i zatrzymał się na grubym konarze. Nagle zrozumiał. Uciekła.

Wydał z siebie krzyk, który echem odbił się od ścian wielkiego domu, wybiegł z pokoju i zbiegł schodami na parter. Opanowała go złość, a złość nie działała na rzecz wspólnego dobra. Wspólna świadomość z rzadka doświadczała uczucia złości i nie wiedziała, jak sobie teraz z nim poradzić.

Beau wszedł do sali balowej i natychmiast cała praca ustała. Spojrzenia obecnych zwróciły się w jego stronę. Wszyscy mieli w oczach tę samą złość, chociaż zupełnie nie wiedzieli dlaczego. Nozdrza Beau rozszerzały się, gdy wzrokiem szukał Alexandra. Dostrzegł go przy konsoli punktu dowodzenia.

Podszedł wprost do niego i zacisnął dłoń z wężowatymi palcami na ramieniu swego asystenta.

– Zniknęła! Chcę ją mieć! Natychmiast!

## **Rozdział 19**

## Godzina 12.45

Pitt kopnął kilka kamyków leżących na drodze przy starej stacji benzynowej. Schylił się, podniósł kilka innych i zaczął nimi rzucać w staromodny dystrybutor. Kamienie uderzały w zardzewiałą blachę.

Oslonił oczy od słońca, które teraz stało się o wiele groźniejsze, grzało mocniej, z większą intensywnością niż dwie godziny wcześniej, i popatrzył wzdłuż drogi aż do punktu, gdzie łączyła się z horyzontem. Zaczął się niepokoić. Sądził, że już powinna była dojechać.

Gdy miał zamiar cofnąć się znowu w cień budynku stacji, zauważył błysk promieni słonecznych odbitych od szyby auta. Samochód zbliżał się.

Mimowolnie oparł dłoń na kolbie rewolweru. Ciągle towarzyszyły mu obawy, że osobą, która przyjedzie, może nie być Cassy.

Gdy pojazd się przybliżył, rozpoznał w nim nowoczesny samochód z szerokimi oponami i wbudowanym w karoserię koszem na bagaże. Jechał szybko. Pitt przez moment zastanawiał się, czy nie ukryć się w budynku, tak jak to zrobił Harlan, ale zrezygnował z pomysłu. W końcu na widoku stał samochód Jesse'ego.

Auto wjechało na stację. Pitt nie był pewny, czy to Cassy przyjechała, dopóki dziewczyna nie otworzyła drzwi i nie zawołała go. Szyby w samochodzie były z przyciemnianego szkła.

Pitt pospieszył do samochodu, aby pomóc dziewczynie wysiąść. Bardzo kaszłała i miała przekrwione oczy.

– Może nie powinieneś podchodzić zbyt blisko – przez nos mówiła Cassy. – Nie wiemy przecież, czy to może się przenosić z człowieka na człowieka.

Ignorując jej uwagę, Pitt objął ją serdecznie. Jedynym, co go skłoniło do wypuszczenia Cassy z objęć, była chęć jak najszybszego podania antyciał.

– Mam ze sobą lekarstwo, o którym wspomniałem – oznajmił. – Oczywiście uważamy, że

powinnaś dostać je jak najszybciej, a to oznacza zastrzyk dożylny.

– Gdzie to zrobimy? – zapytała.

– W samochodzie. Jak się czujesz?

– Okropnie. Fatalnie mi się jechało w aucie z napędem na cztery koła, ma twarde zawieszenie. Bolał mnie wszystkie mięśnie. Poza tym mam chyba gorączkę. Pół godziny temu dostałam dreszczy, jeśli to w ogóle możliwe w tym upale.

Pitt otworzył drzwi minivana. Pomógł Cassy położyć się na tylnym siedzeniu.

Przygotował strzykawkę, założył opaskę uciskową i wtedy przyznał się do braku doświadczenia w wykonywaniu zastrzyków dożylnych.

– Nie chcę nawet tego słuchać – powiedziała Cassy, odwracając głowę. – Dalej. Przecież chcesz być lekarzem.

Pitt tysiące razy widział zastrzyki dożylne, ale osobiście nigdy nie próbował ich wykonywać. Konieczność przekłucia skóry drugiej osoby przerażała go, tym bardziej że chodziło o kogoś, kogo kochał. Jednak niewykonanie zabiegu mogło przynieść tak fatalne skutki, że zdołał pokonać strach. Ostatecznie udało się całkiem nieźle, co potwierdziła również sama zainteresowana.

– Po prostu dzielnie się spisałaś – powiedział.

– Nie, naprawdę. Prawie nie poczułam. – Ledwie wypowiedziała ostatnie słowo, dopadł ją taki atak kaszlu, że niemal straciła oddech.

Pitt wystraszył się, że to reakcja na zastrzyk, o której uprzedzał Harlan. Chociaż skończył kurs udzielania pierwszej pomocy, nigdy nie musiał wykorzystywać tej wiedzy. Z niepokojem chwycił jej nadgarstek i sprawdził puls. Z ulgą stwierdził, że jest wyraźny i regularny.

– Przepraszam – zdołała wykrztusić, gdy odzyskała oddech.

– Wszystko w porządku?

Cassy przytaknęła.

– Dzięki Bogu! – powiedział Pitt i odetchnął z ulgą. – Zostań z tyłu. Mamy przed sobą około dwudziestu minut jazdy.

– Dokąd jedziemy?

– Do miejsca, które jest chyba naszym wybawieniem – odpowiedział Pitt. – To podziemne laboratorium zbudowane na wypadek ataku biologicznego albo chemicznego. Jest idealne dla naszych potrzeb. Poza tym znajduje się tam również ambulatorium, w którym będziemy mogli zadbać o twoje zdrowie.

Gdy Pitt zajmował miejsce za kierownicą, Cassy ścisnęła go za ramię.

– A co, jeśli antyciała nie zadziałają? – spytała. – Mówiłeś przecież, że są dość słabe i nie sprawdzone. Co zrobicie ze mną, gdy stanę się jedną z nich? Nie chcę narażać was ani tego, co robicie.

– Nie martw się – uspokoił ją Pitt. – Jest z nami lekarz, doktor Harlan McCay, który został ukłuty, zaaplikował sobie antyciała i ciągle ma się dobrze. Ale gdyby miało dojść do najgorszego, są tam izolatki. Jednak nie martw się, będzie dobrze. – Poklepał ją po ramieniu.

– Podaruj sobie, Pitt. Biorąc pod uwagę to, co już się stało, mało prawdopodobne, żeby wszystko się obróciło na dobre.

Wzruszył ramionami. Wiedział, że Cassy ma rację. Usiadł za kierownicą, włączył silnik i wyjechał na drogę. Cassy położyła się na tylnym siedzeniu.

– Mam nadzieję, że tam, dokąd jedziemy, znajdzie się aspiryna powiedziała. Nigdy jeszcze nie czułam się tak źle.

– Jestem pewny, że się znajdzie. Jeżeli ambulatorium jest takie jak reszta, będzie tam wszystko, co potrzebne – zapewnił ją Pitt.

Kilka mil przejechali w ciszy. Pitt skupił się na drodze w obawie, że przeoczy zjazd na



pustynię. Gdy wyjechał na drogę, ułożył mały kopczyk z kamieni, ale teraz bał się, że go nie zauważy. Kamyki były małe, a wszystko dookoła miało ten sam kolor.

– Nie mogę się pozbyć przekonania, że mój przyjazd to nie był dobry pomysł – odezwała się Cassy po następnym ataku kaszlu.

– Nie mów tak! – odparł Pitt. – Nie chcę tego słuchać.

– Minęło już ponad sześć godzin. Może nawet więcej. Nie jestem pewna, o której dokładnie zostałam ukłuta. Tyle się od tego czasu wydarzyło.

– Co się stało z Jessem i Nancy? – zapytał Pitt. Unikał tego pytania, ale teraz chciał zmienić temat rozmowy.

– Nancy została zainfekowana. Zrobili to przy mnie. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego ze mną czekali tak długo. Jesse to inna historia. Zdaje się, że zrobili z nim to samo co z Eugene'em. Ale nie wiem na pewno. Nie widziałam tego. Tylko słyszałam i zobaczyłam błysk światła. Nancy powiedziała, że było tak samo, jak wcześniej.

– Harlan twierdzi, że czarne dyski potrafią tworzyć małe czarne dziury.

Cassy wstrząsnął dreszcz. Zniknięcie w czeluściach czarnej dziury – to brzmiało jak kwintesencja destrukcji. Ze wszechświata zniknęłyby wszelkie ślady człowieka.

– Znowu widziałam Beau – powiedziała.

Pitt na ułamek sekundy zwrócił wzrok na Cassy. To była ostatnia rzecz, której spodziewał się od niej usłyszeć.

– I co z nim?

– Okropność. Zmienia się coraz bardziej. Jak go ostatnio widziałam, miał tylko drobne znamię na skórze za uchem. Teraz zmiana objęła większą część jego ciała. To dziwne, ale inni zainfekowani nie wyglądają na zmienionych. Nie wiem, czy to nastąpi, czy też dzieje się tak tylko z Beau, bo był pierwszy. Bez dwóch zdań jest ich przywódcą. Robią wszystko, co

on chce.

– Czy miał coś wspólnego z twoim zainfekowaniem?

– Niestety tak. Zrobił to osobiście.

Pitt pokręcił głową z niedowierzaniem. Nie mógł pojąć, że jego najlepszy przyjaciel mógł zrobić coś takiego, ale z drugiej strony Beau nie był już jego przyjacielem.

– Dla mnie najgorsze jest to, że w nim ciągle znajduje się częśćka tamtego Beau. Mówił nawet, że tęsknił za mną i że mnie kocha. Dasz wiarę?

– Nie – odparł Pitt krótko, płonąąc równocześnie gniewem. Miał wrażenie, że Beau nawet jako obcy stara się odebrać mu Cassy.

Beau stał w cieniu z boku stanowiska kontrolnego Bramy. Oczy lśniły mu gniewem i zawziętością. Trudno było mu się skoncentrować na bieżących sprawach, ale musiał. Czas naglił.

– Może powinniśmy jeszcze raz obciążyć część sieci – zaproponował Randy. Siedział przy konsolce kontrolnej. Pojawiły się jakieś drobne nieprawidłowości w działaniu aparatury, a Beau ciągle nie zasugerował rozwiązania kłopotu.

Wyrwany z zamyślenia o Cassy, Beau starał się skupić na problemie. Od samego początku nie było wiadomo, jak wytworzyć dość energii, aby zmienić potężną chwilową grawitację zgrupowanych czarnych dysków pracujących jednocześnie w antygravitację, tak aby utrzymać Bramę w całości. Reakcja musi trwać jedynie ułamek sekundy, w czasie której materia z równoległego wszechświata zostanie zassana i przeniesiona do tego świata. Nagle przyszła mu do głowy odpowiedź: więcej ekranu ochronnego.

– Jasne – odparł Randy, zadowolony z otrzymanych wreszcie instrukcji. On z kolei pobudził tysiące pracowników, którzy natychmiast zaroili się z powrotem przy gigantycznej konstrukcji.

– Myślisz, że to pomoże? – zapytał Randy.

Beau przesłał pozytywną odpowiedź. Poradził, aby podłączyć napięcia w sieci natychmiast, gdy zostanie zakończone ekranowanie.

– Niepokoi mnie, że pierwszych przybyszów spodziewamy się dziś w nocy – powiedział Randy. – Będzie nieszczęście, jeśli nie zdążymy. Istoty rozplyną się w przestrzeni rozbite na cząstki elementarne.

Beau mruknął. Bardziej interesowało go to, że do sali wszedł Alexander. Nie lubił takich wibracji. Mógł się domyślić, że jej nie znaleźli.

– Tropiliśmy ją – raportował Alexander. Świadomie stał w pewnej odległości od Beau. – Doszliśmy do miejsca, w którym zabrała samochód. Teraz szukamy tego pojazdu.

– Znajdźcie ją! – warknął Beau.

– Znajdziemy – szybko odpowiedział Alexander. – Do tej pory jej świadomość powinna wyjść poza nią, a to nam bardzo pomoże.

– Po prostu ją znajdźcie – powtórzył Beau.

– Nie potrafię tego wyjaśnić – powiedziała Sheila.

Ona i Harlan siedzieli na taboretach na kółkach, dzięki czemu mogli się łatwo przesuwać od jednego stołu do drugiego.

Harlan pocierał brodę dłonią i gryzł wargę. Zawsze tak się zachowywał, gdy był głęboko zamyślony.

– Mogliśmy popełnić jakiś błąd? – zapytała Sheila.

Harlan pokręcił głową.

– Przeszliśmy tę procedurę kilka razy. To nie sprawa techniczna. Chodzi o coś ważniejszego.

– Zróbmy wszystko jeszcze raz – zaproponowała Sheila. – Nancy i ja wykorzystaliśmy

pożywkę otrzymaną z wymazu z gardła i dodałyśmy proteinę.

– Co było podłożem dla proteiny? – zapytał Harlan.

– Normalne kultury tkankowe. Proteina jest niezwykle łatwo rozpuszczalna w roztworze wodnym.

– Dobrze, co było później?

– Po prostu pozwoliłyśmy się kulturom inkubować. Uznałyśmy, że wirus został uaktywniony przez szybką syntezę DNA, przekraczającą to, czego potrzeba do replikacji.

– Jak oznaczyłyście próbę?

– Użyłyśmy nieaktywnego adenowirusa do przenoszenia DNA oznaczonego fluoresceiną.

– Co dalej?

– Do tego doszłyśmy. Odstawiłyśmy kultury do dalszej inkubacji w nadziei, że otrzymamy wirusy.

– Jak dotąd wszystko dobrze – uznał Harlan.

– Tak, ale spójrz na nie. Pod mikroskopem elektronowym wirus wygląda, jakby przeszedł przez miniaturową maszynkę do mięsa. Ten wirus nie jest zakaźny. Coś go zabiło, ale w kulturach tkankowych nie ma nic, co byłoby zdolne do takiego reagowania. To nie ma sensu.

– Sensu nie ma, ale czuję instynktownie, że w ten sposób próbuje nam się coś przekazać.

Jesteśmy tylko zbyt głupi, żeby zrozumieć co.

– Może należałoby spróbować jeszcze raz – zasugerowała Sheila. – Może nasze próbki za bardzo się rozgrzały podczas jazdy samochodem.

– Dobrze je pani spakowała. Nie sądzę, żeby tu tkwiła odpowiedź. Ale niech będzie, zrobmy to jeszcze raz. Mam kilka zainfekowanych myszy. Spróbujmy wyizolować u nich wirus.

– Świetny pomysł! To może być nawet łatwiejsze.

– Na to nie ma co liczyć. Zainfekowane myszy są niewiarygodnie silne i wyjątkowo sprytne. Muszę je trzymać oddzielnie, i to pod kluczem.

– Matko Boska! – powiedziała zaskoczona Sheila. – Chce pan powiedzieć, że także myszy zamieniły się w kosmitów?

– Obawiam się, że tak może być. W pewnym sensie. Podejrzewam, że gdyby w jednym miejscu zgromadzić dość zainfekowanych myszy, mogłyby pracować kolektywnie jak jedna inteligentna istota.

– Może lepiej będzie, jeśli tymczasowo będziemy się trzymać kultur tkankowych. Tak czy inaczej, musimy wyizolować żywy, zarażający wirus. Jeżeli mamy zamiar poradzić sobie jakoś z inwazją, to to musi być nasz następny krok.

Usłyszeli syk z luku powietrznego przy wejściu.

– To pewnie Pitt! – zawołał Jonathan. Podbiegł do drzwi oddzielających ich od luku i spojrzał przez iluminator. – Pitt przyjechał, Cassy jest z nim! – zawołał w stronę Sheili i Harlana.

Doktor sięgnął po fiolkę ze świeżo uzyskaną porcją antyciał monoklonalnych.

– Chyba lepiej będzie, jeśli na chwilkę zamienię się w lekarza – powiedział.

Sheila wyciągnęła rękę po lek.

– Udzielanie pierwszej pomocy chorym to moja specjalność – przypomniała. – Pana potrzebujemy bardziej jako immunologa.

– Cieszę się – odparł. – Zawsze lepiej się czułem w roli badacza niż praktykującego lekarza.

Drzwi do komory powietrznej otworzyły się. Jonathan pomógł Cassy przejść przez niewielkie drzwi do laboratorium. Była blada i rozgorączkowana. Zdenerwowanie Jonathana wzrosło, dziewczyna była bardziej chora, niż przypuszczał. Nie potrafił się jednak

powstrzymać od zapytania o matkę.

Cassy położyła dłoń na ramieniu chłopca.

– Przykro mi – powiedziała. – Po tym, jak nas złapano w supermarkecie, szybko zostaliśmy rozdzielone. Nie wiem, gdzie teraz jest.

– Została ukłuta?

– Obawiam się, że tak.

– Dalej! – ponagliła Sheila. – Mamy robotę do wykonania. – Objęła Cassy. – Zaprowadzę cię do naszego małego szpitala.

Z pomocą Sheili z jednej strony i Pitta z drugiej Cassy przeszła do kolejnego pomieszczenia. Po drodze przedstawiono ją Harlanowi, który otworzył im drzwi.

– Najlepiej chyba będzie, jak umieścimy ją w jednej z izolatek – powiedział. Przepchnął się obok trójki idących i poprowadził ich.

Pomieszczenie wyglądało jak normalny pokój szpitalny z wyjątkiem wejścia zamykanego próżniowymi drzwiami, dzięki któremu można było w nim utrzymywać inne ciśnienie atmosferyczne niż w pozostałej części laboratorium. Drzwi miały też zamek i iluminator ze szkła grubego na ponad dwa centymetry.

Wszyscy weszli do salki. Z pomocą Sheili i Pitta Cassy położyła się na łóżku i odetchnęła z ulgą.

Sheila niezwłocznie zabrała się do pracy. Z wprawą podała dożylnie sporą dawkę leku.

– Miałaś jakąś reakcję po pierwszym zastrzyku? – zapytała, wstrzykując resztę antyciał do krwiobiegu Cassy.

Dziewczyna zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie było żadnego problemu – potwierdził Pitt. – Poza atakiem kaszlu, który naprawdę mnie przeraził. – Jednak wątpię, aby był związany z podaniem leku.

Sheila podłączyła Cassy do kardiomonitora. Wykres wyglądał normalnie.

– Czujesz jakąś różnicę po pierwszym zastrzyku? – zapytał Harlan.

– Nic, o czym mogłabym powiedzieć.

– To nie jest zaskakujące – stwierdziła Sheila. – Objawy pochodzą głównie z twoich własnych limfokin, których poziom, o czym już wiemy, gwałtownie wzrasta w pierwszym okresie choroby.

– Chciałabym podziękować wam wszystkim za to, że pozwoliliście mi tu przyjechać – powiedziała Cassy. – Wiem, że sporo ryzykujecie.

– Cieszymy się, że możemy ci pomóc – odparł Harlan, ściskając ją lekko za kolano. – Kto wie, może jak ja staniesz się wartościowym przedmiotem doświadczeń.

– Życzyłabym sobie – powiedziała Cassy.

– Jesteś głodna? – spytała Sheila.

– Ani trochę. Ale chętnie wzięłabym aspirynę.

Sheila spojrzała na Pitta.

– Myślę, że powierzymy tę sprawę doktorowi Hendersonowi – powiedziała z niepewnym uśmiechem. – Tymczasem musimy wrócić do pracy.

Pierwszy wyszedł z izolatki Harlan. Sheila zatrzymała się na progu zamykanych próżniowo drzwi. Spojrzała za siebie i skinęła na Jonathana.

– Chodź. Zostawmy pacjentkę z jej lekarzem.

Jonathan niechętnie wyszedł z pokoju.

– Miałaś rację. To niewiarygodne miejsce – powiedziała Cassy.

– Na razie to tyle zaleceń lekarza – odparł Pitt. – Pójdę teraz po aspirynę.

Kilka minut zabrało mu znalezienie apteki i dalszych kilka minęło, gdy szukał aspiryny.

Kiedy wrócił do izolatki, stwierdził, że Cassy jest śpiąca.

– Nie chcę cię niepokoić – powiedział.

– Nic nie szkodzi – odpowiedziała. Zażyła proszki i położyła się z powrotem. Poklepała dłonią łóżko. – Siądź na minutkę. Muszę ci powiedzieć, czego się dowiedziałam od Beau. Ten koszmar przybiera coraz gorszy obrót.

Ciszę pustyni zakłócił nagle rytmiczny warkot silnika i wirujące śmigła wojskowego helikoptera lustrującego nagi krajobraz. Siedzący wewnątrz Vince Garbon rozglądał się po okolicy przez lornetkę. Kazał pilotowi lecieć wzdłuż asfaltowej drogi przecinającej piasek od horyzontu do horyzontu. Z tyłu siedziało dwóch byłych policjantów z komisariatu Vince’a.

– Według ostatniej wskazówki, którą dostaliśmy, jechała tą drogą – Vince przekrzykiwał hałas silnika.

Pilot skinął głową.

– Coś widzę! – zawołał Vince. – Wygląda jak stara stacja benzynowa, ale stoi tam jakiś wóz. Pasuje do opisu.

Pilot zwolnił. Vince starał się trzymać lornetkę nieruchomo.

– Tak. To chyba ten. Zejdźmy niżej i przyjrzyjmy się.

Helikopter zbliżył się do ziemi, unosząc potężne wiry z piasku i pyłu. Kiedy płozy dotknęły gruntu, pilot wyłączył silnik. Ciężkie łopaty wirnika zwolniły i w końcu się zatrzymały. Vince wysiadł z kabiny.

Samochód był pierwszą rzeczą, którą sprawdził. Otworzył drzwi i natychmiast wyczuł, że Cassy siedziała w jego wnętrzu. Zajrzał do bagażnika. Był pusty.

Dwaj pozostali policjanci weszli do budynku stacji. Vince pozostał na zewnątrz i rozglądał się po okolicy. Było tak gorąco, że widział drganie powietrza.

Policjanci szybko wyszli i potrząsnęli przecząco głowami. Nie było jej tam.

Skinął, żeby wsiedli do śmigłowca. Była blisko. Czuł to. No bo przecież jak daleko mogła



odejść stąd na piechotę, i to w taki upał?

Pitt wszedł do laboratorium, ale wszyscy byli tak zaaferowani pracą, że nikt nawet nie podniósł głowy.

– Zasnęła – powiedział.

– Zamknąłeś zewnętrzne drzwi? – zapytał Harlan.

– Nie. Myśli pan, że powinienem?

– Oczywiście – odparła Sheila. – Nie chcemy żadnych niespodzianek.

– Zaraz wracam – powiedział Pitt. Wrócił do drzwi próżniowych i spojrzał przez luk na Cassy. Ciągle spała niewinnie. Kaszel wyraźnie osłabł.

Pitt zamknął drzwi. Wrócił do laboratorium i usiadł. Znowu nikt nie zwrócił na niego uwagi. Sheila była pochłonięta wszczepianiem proteiny do kultur tkankowych. Harlan uzyskiwał więcej antyciał. Jonathan tkwił przy komputerze ze słuchawkami na uszach i joystickiem w dłoni.

Pitt zapytał go, nad czym pracuje. Jonathan zdjął słuchawki.

– To naprawdę świetne. Harlan pokazał mi, jak się połączyć z całym systemem monitorującym na powierzchni. Są tam kamery ukryte w kaktusach, którymi można sterować za pomocą joysticka. Umieścili tam również urządzenia nasłuchowe i detektory ruchu. Chcesz zobaczyć?

Pitt odmówił. Zamiast tego powiedział wszystkim, że Cassy przekazała mu szereg zdumiewających i niepokojących informacji o obcych.

– Na przykład? – zapytała Sheila, nie przerywając pracy.

– Najgorsze jest to, że zainfekowani ludzie budują potężną futurystyczną maszynę nazywaną Bramą.

– A co ta Brama ma robić? – pytała dalej Sheila, kręcąc przy tym delikatnie butelką z

pożywką tkankową.

– To szczególny rodzaj transportera. Mówiła, że przez Bramę mają przybyć na Ziemię różne istoty z odległych planet.

– Jezu Chryste! – zawołała Sheila. Odstawiła butelkę. – Nie damy sobie rady z nowymi przeciwnikami. Może powinniśmy się poddać?

– Kiedy Brama ma być gotowa? – wtrącił się Harlan.

– Też o to zapytałem. Cassy nie wiedziała, ale odniosła wrażenie, że w każdej chwili.

Beau powiedział jej, że prawie skończyli. Mówiła o tysiącach zatrudnionych tam pracowników.

Sheila głośno i z rozdrażnieniem wypuściła powietrze.

– Jakie jeszcze czarujące nowiny przekazała?

– Kilka interesujących informacji. Na przykład obcy wirus pojawił się na Ziemi trzy miliardy lat temu. Wtedy włączył się w DNA ewoluującego życia.

Sheila przymknęła oczy.

– Trzy miliardy lat temu? – zapytała.

Pitt skinął potwierdzająco.

– Tak powiedział Beau. Przyznał też, że nawiedzają Ziemię mniej więcej co sto milionów ziemskich lat i budzą wirusa, aby sprawdzić, jaka forma życia wykształciła się na naszej planecie i czy nadaje się do przejęcia. Co dla niego znaczą ziemskie lata, nie pytała.

– Może odnosi się to do ich zdolności przechodzenia z jednego wszechświata do innego – skomentował Harlan. – Tu, w naszym, jesteśmy złapani w czasoprzestrzeń. Ale z punktu widzenia innego wszechświata, czymże jest miliard lat ziemskich? Może to tylko dziesięć ich lat. Wszystko staje się względne.

Wyjaśnienie Harlana wywołało chwilę milczenia. Pitt poczuł dreszcz.

- Niestety nie mogę powiedzieć, aby to wszystko brzmiało dla mnie jasno – odparł.
- To jak piąty wymiar – dodał Harlan.
- Wracając do tego, co powiedziała Cassy, bez wątpienia obcy wirus jest odpowiedzialny za kolejne zagłady, których Ziemia była świadkiem. Za każdym razem, gdy się tu zjawiali, istoty ziemskie okazywały się nieodpowiednie, więc odchodzili.
- A zainfekowane stworzenia umierały? – domyśliła się Sheila.
- Tak to zrozumiałem – przyznał Pitt. – Wirus musi wywoływać jakąś zmianę w DNA powodującą wyginięcie całych gatunków. To dawało nowym szansę do ewolucji. Powiedziała, że Beau specjalnie wspominał o tym w odniesieniu do dinozaurów.
- A niech mnie – mruknął Harlan. – I tyle zostało z teorii spadającego asteroidu czy komety.
- Jak umierają zainfekowane istoty? – zapytała Sheila. – To znaczy jaki jest bezpośredni powód zgonu?
- Nie sądzę, żeby Cassy to wiedziała. W każdym razie nie powiedziała mi. Ale mogę ją o to później zapytać.
- Informacja może się okazać ważna – uznała Sheila. Patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. Była wzburzona. – I wirus zjawił się na Ziemi najprawdopodobniej trzy miliardy lat temu?
- Tak powiedziała.
- O czym pani myśli? – zapytał Harlan.
- Czy mamy w laboratorium jakieś bakterie beztlenowe? – spytała.
- Tak, jasne – odparł lekarz.
- Spróbujmy zainfekować je proteiną – zaproponowała z wyraźnie rosnącym podnieceniem.

– Dobra – zgodził się Harlan. Wstał. – Ale co ma pani na myśli? Do czego potrzebne są pani bakterie żyjące bez tlenu?

– Proszę mi zaufać i przygotować je dla mnie, a ja tymczasem zdobędę więcej proteiny.

Beau otworzył w dziennym pokoju drzwi balkonowe prowadzące na taras otaczający basen. Wyszedł i przeszedł przez taras. Alexander szedł za nim.

– Beau, proszę! – mówił Alexander. – Nie idź! Potrzebujemy ciebie tutaj.

– Znaleźli jej samochód – odpowiedział Beau. – Zaginęła na pustyni. Tylko ja potrafię ją znaleźć. Już niedługo na pewno będzie jedną z nas.

Beau zszedł kilkoma stopniami z tarasu na trawnik i skierował się w stronę czekającego helikoptera. Alexander szedł krok w krok za nim.

– Przecież ta kobieta nie jest aż tak ważna – mówił. – Możesz mieć każdą, którą zechcesz.

To nie jest dobry moment, żeby opuszczać Bramę. Nawet nie sprawdziliśmy sieci przy pełnym napięciu. A jeśli nie będziemy gotowi?

Beau odwrócił się na pięcie. Ze złością zaciskał wąskie wargi.

– Ta kobieta doprowadza mnie do szaleństwa. Muszę ją znaleźć. Wrócę. Do tej pory pracujcie beze mnie.

– Dlaczego nie poczekać do jutra? – nalegał Alexander. – Będzie już po Przyjeździe.

Wtedy pojedziesz jej szukać. Będziemy mieli mnóstwo czasu.

– Jeżeli zabłądziła na pustyni, do jutra umrze. To już zdecydowane – odpowiedział Beau, odwrócił się i szybko podszedł do helikoptera.

Schylił się pod wpływem podmuchu od wirujących łopat, wsiadł z przodu obok pilota, skinął siedzącemu z tyłu Vince'owi i w końcu skinął, aby startować.

– Ile czasu minęło? – zapytała Sheila.

– Około godziny – odparł Harlan.

– Powinno wystarczyć. – Sheila nie miała cierpliwości. – Jedną z pierwszych obserwacji, jakie poczyniliśmy, było stwierdzenie, że proteina zaczyna działać bardzo szybko po zainfekowaniu komórek. Potraktujmy teraz nasze próbki łagodną porcją promieni X.

Harlan spoglądał z ukosa na Sheilę.

– Zaczynam się powoli domyślać, co się zrodziło w pani umyśle – powiedział. – Traktuje pani ten wirus jak prowirus, którym w rzeczy samej jest. A teraz chce pani zmienić go z jego postaci utajonej do litycznej. Ale dlaczego bakteria beztlenowa? Dlaczego nie w naturalnym środowisku z tlenem?

– Zanim to wyjaśnię, sprawdźmy, co się stanie – poprosiła Sheila. – Po prostu trzymajcie kciuki. Może właśnie tego szukamy. Pięta Achillesowa obcego.

Przepuścili przez zainfekowaną kulturę bakteryjną dawkę promieni X bez naruszania otaczającego ją dwutlenku węgla. Kiedy Sheila umieszczała próbkę pod mikroskopem elektronowym, dłonie drżały jej z podniecenia. Miała nadzieję, że znaleźli się wreszcie u progu najważniejszego odkrycia.

Beau kopnął drzwi starej stacji benzynowej swoją niezwykle silną nogą. Uderzenie wyrwało drzwi z zawiasów i rzuciło je pod przeciwległą stronę sali. Gdy wszedł do mrocznego wnętrza, oczy zaczęły mu intensywnie świecić. Lot helikopterem nie stłumił jego wściekłości.

Stał w półmroku kilka sekund, nagle odwrócił się i wyszedł na słońce.

– Nigdy jej tu nie było – powiedział.

– Nie uważam tak – zaprzeczył Vince. Pochylił się i przyglądał piaskowi po przeciwnej stronie wiekowej stacji. – Są tu świeże ślady opon innego samochodu. – Wyprostował się i spojrzał na wschód. – Musiał być drugi wóz. Może ją zabrali.

– Co sugerujesz? – spytał Beau.

– Bez wątplenia nie pojawiła się w żadnym mieście. Inaczej już byśmy o tym wiedzieli.

To znaczy, że jest gdzieś tu, na pustyni. Wiemy, że istnieją pojedyncze grupy „uciekierów”, którzy jak dotąd uniknęli infekcji i ukrywają się. Może dołączyła do jednej z nich.

– Ale ona jest zainfekowana – przypomniał Beau.

– Wiem. Dlatego sprawa jest tajemnicza. Tak czy siak uważam, że powinniśmy polecieć wzdłuż tej drogi na wschód i sprawdzić, czy nie zauważymy śladów samochodu skręcającego na pustynię. Musi tam być jakiś obóz czy coś w tym rodzaju.

– Dobrze – zgodził się Beau. – Zróbmy tak. Czas ucieka.

Wsiedli z powrotem do helikoptera i wystartowali. Pilot dostał polecenie, by lecieć na tyle wysoko, aby nie wzniecać kurzu, ale i dostatecznie nisko, żeby można było zauważyć ewentualne ślady opon na piasku.

– Mój Boże, jest – powiedział Harlan.

Patrzyli na wirion powiększony sześćdziesiąt tysięcy razy. Mieli przed sobą dużego, nitkowatego wirusa, który wyglądał jak filowirus z cienkimi nibyrzęskami.

– To przerażające wiedzieć, że patrzy się na wysoce inteligentną formę życia spoza Ziemi

– odezwała się Sheila. – Zawsze uważaliśmy wirusy i bakterie za formy prymitywne.

– Nie sądzę, że to obcy we własnej postaci – wtrącił Pitt. – Cassy wspomniała, że postać wirusa umożliwia obcym znieść podróż kosmiczną i opanować inne formy życia w Galaktyce.

Jednak Beau nie potrafił powiedzieć, jak wygląda pierwotna postać obcego.

– Może do tego jest właśnie Brama – domyślił się Jonathan. – Może wirusowi tak się tu spodobało, że przejdą przez nią sami obcy.

– Możliwe – zgodził się Pitt.

– Dobra – Harlan powiedział do Sheili. – Więc ta mała sztuczka z beztlenowcami zadziałała. Zobaczyliśmy wirusa. Na czym polega pani tajemnica?

– Tajemnica tkwi w tym, że wirus zjawił się na Ziemi trzy miliardy lat temu. Wtedy nasza planeta była zupełnie innym miejscem. W ówczesnej, pierwotnej atmosferze było bardzo mało tlenu. Od tamtej pory wiele się zmieniło. Wirus ma się ciągle dobrze, kiedy jest w swojej utajonej postaci, ale także gdy jest transportowany czy zmienia komórkę. Jednak kiedy przyjmuje postać wiriona, niszczy go tlen.

– Interesująca teoria – zgodził się Harlan. Spoglądał na kulturę, której wierzchnia warstwa uległa zniszczeniu w zetknięciu z atmosferą laboratorium. – Jeśli jest prawdziwa, zaobserwujemy inaktywację wirusa, gdy przygotujemy następny preparat.

– Taką mam nadzieję – powiedziała Sheila.

Nie tracąc czasu, oboje zabrali się do przygotowywania następnej próbki. Pitt przyłączył się, pomagając, jak tylko potrafił. Jonathan wrócił natomiast do komputerowego systemu kontroli bezpieczeństwa.

Kiedy Harlan umieścił na szkiełku następny preparat, natychmiast się okazało, że Sheila miała rację. Wirus zachowywał się tak, jakby coś go zjadało, kawałek po kawałku.

Sheila i Harlan podskoczyli z radości, przybili piątkę i wpadli sobie w objęcia. Byli zachwyceni.

– Cóż za genialny pomysł – komplementował Sheilę Harlan. – Należą się pani gratulacje.

To wielka przyjemność obserwować na żywo, jak dokonuje się naukowych odkryć.

– Gdybyśmy rzeczywiście prowadzili badania naukowe, musielibyśmy się cofnąć i wyczerpująco udowodnić hipotezę. Teraz jednak bierzemy sprawy takimi, jakie są.

– Och, zgoda. Ale to ma sens. Nie do wiary, jak toksyczny potrafi być tlen i jak niewielu zwykłych ludzi o tym wie.

Pitt nie miał jednak wyraźnej miny.

– Nie rozumiem. W czym to odkrycie nam pomoże?

Uśmiechy zniknęły z twarzy Sheili i Harlana. Popatrzyli na siebie i po sekundzie usiedli na taboretach. Zamyślili się. Wreszcie po chwili odezwała się Sheila:

– Nie jestem pewna, w czym pomoże nam nasze odkrycie. Ale musi. To musi być pięta Achillesowa obcego.

– Musieli jakoś zabić wszystkie dinozaury – stwierdził Harlan. – Kiedy postanowili zrezygnować z inwazji, wszystkie wirusy zmieniły postać z utajonej na wiriony. Wtedy nastąpiło bum! Pod wpływem tlenu uległy zniszczeniu.

– Nie brzmi to bardzo naukowo – stwierdziła Sheila z uśmiechem.

Harlan też się roześmiał.

– Zgoda. Ale to podsuwa nam pomysł. Musimy spowodować, by wirus u zainfekowanych ludzi się ujawnił i opuścił komórkę.

– Jak można wywołać wirusa z utajonej postaci? – zapytał Pitt.

Harlan wzruszył ramionami.

– Na wiele sposobów. W hodowli tkankowej można tego dokonać promieniowaniem elektromagnetycznym, na przykład ultrafioletem albo słabą dawką promieni X, jak myśmy zrobili z kulturami beztlenowców.

– Można też osiągnąć ten sam skutek stosując preparaty chemiczne – dodała Sheila.

– To prawda – przytaknął Harlan. – Niektóre antymetabolity i inne utleniacze. Ale to nam nie pomoże. Promienie X również. Nie mamy przecież możliwości napromieniować nimi nagle całej planety.

– Czy są inne takie wirusy jak ten pozaziemski? – pytał dalej Pitt.

– Wiele – odpowiedziała Sheila.

– Oczywiście – potwierdził Harlan. – Na przykład wirus HIV.

– Czy cała grupa herpeswirusów wywołujących opryszczki – dodała Sheila. – Potrafią się



doskonale ukryć albo wywoływać nawracające problemy.

– Jak, powiedzmy, febra?

– Właśnie. To opryszczka pospolita. Pozostaje w ukryciu w niektórych neuronach.

– Więc kiedy pojawia się febra, oznacza to, że utajony wirus zostaje pobudzony do postaci wirusa aktywnego? – domyślał się Pitt.

– To prawda – odpowiedziała Sheila z lekkim rozdrażnieniem.

– Mam febrę za każdym razem, gdy jestem przeziębiony – przyznał Pitt.

– Niezwykle ciekawe – Sheila zaczęła być sarkastyczna. – Pitt, może powinieneś nas zostawić, żebyśmy się w spokoju zastanowili. Chyba nie mamy teraz czasu na wykłady.

– Zaraz, zaraz – przerwał Harlan. – Pitt poddał mi pewien pomysł.

– Naprawdę? – zapytał Pitt niewinnie.

– Wiecie, co jest najlepszym czynnikiem wzbudzającym wirusy? – Harlan zapytał retorycznie. – Inna infekcja wirusowa.

– I jak to może nam pomóc? – zastanowiła się Sheila.

Harlan wskazał palcem na potężne drzwi do chłodni.

– Mamy tam wszystkie rodzaje wirusów. Zdaje się, że powinniśmy ogień zwalczać ogniem.

– Myśli pan o wywołaniu epidemii? – spytała Sheila.

– O tym właśnie myślę. Coś wyjątkowo zakaźnego.

– Ale przecież zgromadzono tu wirusy przeznaczone do użycia jako broń biologiczna. To jakbyśmy trafili z deszczu pod rynnę.

– Do diabła, przecież tam są wszystkie wirusy, od najbardziej niewinnych aż po śmiertelne. Musimy tylko wybrać ten odpowiedni – stwierdził Harlan.

– Cóż... To prawda, że nasza pożywka tkankowa została pobudzona adenowirusami

użytymi do przetestowania DNA.

– Chodźmy – ponaglił Harlan. – Pokażę pani nasze zapasy.

Sheila wstała. Nie była przekonana, że z pożarem należy walczyć ogniem, ale nie chciała też odrzucać pomysłu bez dokładniejszego przemyślenia. Obok drzwi do chłodni stało biurko z półką, na której leżały trzy duże, czarne notatniki z luźnymi kartkami. Harlan wręczył po jednym Sheili i Pittowi. Sam wziął trzeci.

– To jest jak lista win w ekskluzywnej restauracji – zażartował. – Pamiętajcie, potrzebujemy czegoś naprawdę zakaźnego.

– Co pan ma na myśli? – zapytał Pitt.

– Chodzi o coś zdolnego do zarażania przez zwykłe obcowanie z chorym, drogą kropelkową, nie jak w wypadku AIDS czy zapalenia wątroby. Potrzeba nam epidemii na całym świecie.

– Boże! – skomentował Pitt, spoglądając na listę. – Nigdy nie podejrzewałem, że istnieje tyle wirusów. O, jest filowirus. Rety! Mamy też ebole.

– Zbyt zjadliwy – uznał Harlan. – Potrzebujemy choroby, która nie będzie zabijać, a tym samym zainfekowani będą mogli zarazić wiele innych osób. Choroba kończąca się szybką śmiercią, uwierzcie albo nie, sama szybko się ogranicza.

– Są tu ameowirusy – zauważyła Sheila.

– Nadal zbyt groźne – oświadczył Harlan.

– Co z myksowirusami? – zapytał Pitt. – Grypa bez wątplenia jest zakaźna. Zdarzały się już światowe epidemie.

– To jest jakieś rozwiązanie – zgodził się Harlan. – Jednak te wirusy mają względnie długi okres inkubacji, no i mogą być śmiertelne. Szukałbym raczej czegoś szybszego, ale i bardziej łaskawego dla chorych. To jest coś interesującego. Tego właśnie szukałem.

Odłożył notatnik na blat biurka. Był otwarty na dziewięćdziesiątej dziewiątej stronie.

Sheila i Pitt pochyłili się, żeby sprawdzić.

– Pikornawirusy – przeczytał powoli Pitt. – Co one wywołują?

– To rodzaj, którego poszukuję. – Harlan wskazał na jedną z podgrup.

– Rhinowirusy – przeczytał Pitt.

– Właśnie – potwierdził Harlan. – Popularne przeziębienie. Czyż to nie ironia, że zwykłe przeziębienie może uchronić ludzkość od zagłady?

– Ale przecież nie wszyscy się przeziębają, gdy choroba panuje wkoło – stwierdził Pitt.

– Racja. Każdy z nas ma inny poziom odporności na setki różnych szczepów, które istnieją. Ale popatrzmy, co nasi zatrudnieni przez Pentagon mikrobiologowie przygotowali na wszelki wypadek.

Harlan przerzucił kilka stron w notatniku, aż dotarł do rhinowirusów. Zabierały trzydzieści siedem stron. Na pierwszej stronie znajdował się wykaz typów serologicznych i krótki wstęp. Przeczytali go po cichu. Wyjaśniono, że rhinowirusy mają ograniczoną wartość jako broń biologiczna. Powód był taki, że chociaż infekcja górnych dróg oddechowych może wpływać na zdolność działania współczesnej armii, nie osłabi jej w znaczący sposób, a z pewnością nie aż tak jak enterowirusy wywołujące biegunkę.

– Wygląda na to, że nie mieli dobrego zdania o tych rhinowirusach – zauważył Pitt.

– Owszem. Lecz nam nie chodzi o unicestwienie wrogiej armii. Pragniemy jedynie wprowadzić naszego wirusa do organizmu i wywołać kłopoty metaboliczne, które wypędzą z komórki wirusa obcych.

– Tu jest coś, co może nas zainteresować – Sheila wskazała palcem. Były to *Sztuczne rhinowirusy*.

– Tego nam trzeba – entuzjastycznie zareagował Harlan. Znowu przewrócił kilka stron,

by trafić na odpowiedni podrozdział. Czytał szybko.

Pitt próbował zrobić to samo, ale czuł się, jakby czytał tekst napisany w sanskrycie. Tekst był naszpikowany specjalistycznym żargonem.

– Są doskonałe! Idealne! – zapalił się Harlan. Spojrzał na Sheilę. – Zrobione na zamówienie w przenośni i dosłownie. Wytworzyli rhinowirus, który nigdy nie ujrział światła dziennego, a to oznacza, że nie istnieje żadna odporność na niego. To serotyp, na który nikt nie był wystawiony, więc każdy zachoruje. Spadło nam to z nieba!

– Zdaje się, że jak dotąd zdajemy się głównie na nasze przekonania – zauważyła Sheila. – Nie sądzi pan, że powinniśmy najpierw sprawdzić tę teorię?

– Oczywiście. – Harlan z podekscytowaniem nacisnął klamkę drzwi chłodni. – Wezmę próbkę wirusa i rozmnożę ją dla nas. Później sprawdzimy to na myszach, które zainfekowałem. Ale się cieszę, że to zrobiłem. – Otworzył chłodnię i zniknął w środku.

Pitt spojrzał na Sheilę.

– Czy to zadziała? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– On wydaje się nastawiony bardzo optymistycznie.

– Czy ktoś może umrzeć, jeżeli to zadziała? – Pitt myślał o Cassy, a nawet o Beau.

– Nie ma sposobu, żeby wiedzieć na pewno. Z tego, co do tej chwili wiemy, poruszamy się po omacku w ciemności.

– Zatrzymaj się! – zawołał Vince. Przyciskał do oczu lornetkę. – Zdaje się, że widzę ślady opon skręcające na południe.

– Gdzie? – zapytał Beau.

Vince wskazał w dół. Beau skinął głową.

– Lądujemy tam – polecił pilotowi.

Pilot posadził maszynę na szosie, a i tak mnóstwo piasku i kurzu uniosło się w powietrze.

– Mam nadzieję, że ten pył nie przykryje śladów – powiedział Vince.

– Jesteśmy od nich dość daleko – uspokoił go pilot. Wyłączył silnik i wirnik powoli się zatrzymał.

Vince i Robert Sherman, policjant siedzący obok niego, natychmiast wyskoczyli z kabiny i podbiegli do miejsca, w którym zauważyli ślady. Beau i pilot także wysiedli, ale stanęli przy śmigłowcu.

Beau z językiem wywieszonym jak zdyszany pies ciężko oddychał przez usta. Skóra, która go teraz pokrywała, nie pocila się, więc zaczął odczuwać przegrzanie organizmu.

Rozejrzał się dookoła za odrobiną cienia, ale nie było ucieczki od grzejącego niemiłosiernie słońca.

– Chcę wrócić do kabiny – powiedział.

– Tam będzie za gorąco – ostrzegł pilot.

– Włącz silnik – polecił Beau.

– Ale to utrudni im powrót do nas.

– Silnik ma być włączony – warknął Beau.

Pilot skinął i zrobił, jak mu kazano. Włączona klimatyzacja szybko obniżyła temperaturę.

Na zewnątrz wirujące śmigła wywołały małą burzę piaskową. Ledwie widzieli dwóch mężczyzn zgiętych wpół i badających grunt jakieś sto metrów przed nimi.

Zatrzeszczało radio i pilot założył słuchawki. Beau spoglądał na południe w stronę horyzontu. Oprócz złości zaczął teraz odczuwać narastający niepokój. Nienawidził tych ludzkich emocji.

– Jest wiadomość z Instytutu – odezwał się pilot. – Pojawił się problem. Nie mogą dać pełnej mocy w sieć elektryczną. W systemie pojawiają się przepięcia.

Długie, węzowe palce zwinęły się w pięści przypominające węzły. Puls przyspieszył. W skroniach tętniło.

– Co mam im powiedzieć? – spytał pilot.

– Powiedz im, że wkrótce będę z powrotem.

Po przekazaniu informacji pilot zdjął słuchawki. Dzięki zbiorowej świadomości odczuwał emocje, siedział więc w swoim fotelu zdenerwowany. Ulżyło mu, gdy zobaczył pozostałych towarzyszy wracających do helikoptera. Nie odezwali się ani słowem, dopóki nie zamknęli za sobą drzwi.

– To te same ślady, które znaleźliśmy na stacji benzynowej. Pojechali na południe. Co chcesz zrobić?

– Lecimy za nimi! – polecił Beau.

Z olbrzymimi trudnościami Harlan, Sheila, Pitt i Jonathan zdołali przenieść sześć zainfekowanych myszy do nowoczesnego i bezpiecznego szklanego pojemnika na stanowisku do badań biologicznych.

– Dobrze, że to nie są szczury – powiedział Pitt. – Gdyby były choć trochę większe niż zwykłe myszy, raczej nie poradziłibyśmy sobie z nimi.

Harlan pozwolił Sheili zdezynfekować i obandażować kilka ugryzień, których się dorobił.

– Wiedziałem, że sprawią nam sporo kłopotu.

– Co zrobimy teraz? – zapytał Jonathan. Intrygował go cały eksperyment.

– Wprowadzimy wirusa – wyjaśnił Harlan. – Znajduje się w tym szklanym pojemniku z hodowlą tkanek, który stoi już pod kloszem.

– Czy kabina jest szczelna? Nie chcemy przecież, żeby wirus się wydostał, w razie gdyby nie zadziałał. – Sheila chciała mieć zupełną pewność co do bezpieczeństwa doświadczenia.

– Wyciąg powietrza poddawany jest napromieniowaniu. Nie ma więc obawy – wyjaśnił

Harlan.

Włożył swoją obandażowaną rękę w grubą, gumową rękawicę przyłączoną na stałe do szklanej ściany klosza. Chwycił naczynie z kulturami, otworzył zamknięcie i wylał zawartość na płaski talerzyk.

– No. Szybko wyparuje i nasi mali, wściekli przyjaciele zaczną wdychać sztucznie wytworzonego wirusa.

– Czym są te czarne plamki na bokach myszy? – zapytał Jonathan.

– Każda kropka oznacza jeden dzień od zainfekowania – wyjaśnił Harlan. – Zarażałem je kolejno, abym mógł obserwować, jak postępują objawy infekcji. Teraz się cieszę, że tak zrobiłem. Mogą się pojawić różne reakcje w zależności od tego, jak bardzo nasz wirus się uzewnętrznia.

Przez kilka minut wszyscy stali i przypatrywali się, jak myszy biegają w swojej nowej klatce.

– Nic się nie dzieje – narzekał Jonathan.

– Nic na poziomie całego organizmu – zgodził się Harlan. – Lecz intuicja podpowiada mi, że wiele dzieje się na poziomie komórkowym, molekularnym.

Kilka minut później Jonathan ziewnął.

– To jest jak oglądanie schnących farb. Wracam do komputera.

Po następnych kilku minutach ciszę przerwał Pitt.

– Interesujące, jak współpracują ze sobą. Patrzcie, zbudowały piramidę, żeby zbadać wnętrze więzienia.

Sheila mruknęła potwierdzająco. Widziała zachowanie myszy, ale nie zaciekało jej to.

Chciała zobaczyć jakąś fizyczną zmianę. A że poziom ich aktywności nie zmieniał się, stawała się coraz bardziej nerwowa. Jeżeli eksperyment nie zadziała, będą musieli wrócić do

punktu wyjścia.

Jakby czytając w myślach Sheili, Harlan powiedział:

– Nie powinniśmy długo czekać. Według mnie wystarczy opanowanie jednej komórki, aby wywołać reakcję łańcuchową. Martwię się tylko tym, że nie przetestowaliśmy żywotności wirusa. Może powinniśmy to zrobić.

Gdy odwrócił się, żeby zabrać się do pracy, Sheila złapała go za ramię.

– Czekaj! – krzyknęła. – Popatrz na tę z trzema kropkami.

Harlan odszukał wzrokiem wskazaną mysz. Pitt stanął za plecami Harlana i spoglądał mu przez ramię. Myszka zatrzymała się nagle, rezygnując z dotychczasowego szalonego biegania po szklanej klatce, usiadła na tylnych łapkach i zaczęła przednimi łapkami przecierać oczy.

Kilka razy jej ciałem wstrząsnęły drgawki. Trójka obserwatorów wymieniła spojrzenia.

– Czy ona kichnęła? – spytała Sheila.

– Cholera, żebym to ja wiedział – odparł Harlan.

Mysz zachwiała się i wywróciła na grzbiet.

– Nie żyje? – zapytał Pitt.

– Nie – zaprzeczyła Sheila. – Ciągle słabo oddycha, ale to nie wygląda obiecująco.

Spójrzcie na tę pianę sączącą się z jej oczu.

– I z pyszczka – dodał Harlan. – Kolejna mysz zaczyna mieć takie same objawy.

Wygląda, że ma atak.

Słyszac poruszenie, Jonathan wrócił i wcisnął głowę między pozostałych. Rzucił wzrokiem na chore myszy.

– Uuu! – stęknął. – Piana jest zielonkawa.

Harlan ponownie włożył ręce w rękawice i chwycił pierwszą z myszy. W przeciwieństwie do poprzedniego walecznego zachowania teraz nie stawiała żadnego oporu. Leżała spokojnie



na jego dłoni i wolno oddychała. Harlan odłożył ją i sięgnął po tę, która miała atak.

– Ta nie żyje. Ona była najdłużej zainfekowana. Myślę, że to nam coś mówi.

– Mówi nam zapewne, jak wyginęły dinozaury. Bez wątpienia wydarzyło się to nagle – stwierdziła Sheila.

Harlan odłożył zdechłą mysz i wyjął ręce. Zatarł je z entuzjazmem.

– No cóż, powiedziałbym, że pierwsza część eksperymentu poszła całkiem zgrabnie. Etap doświadczeń na zwierzętach uważam za zakończony, teraz nadszedł czas na ludzi.

– Ma pan zamiar uwolnić wirusa? – spytała Sheila. – Tak po prostu otworzyć drzwi i wypuścić go na zewnątrz?

– Nie, nie jesteśmy jeszcze gotowi na etap kliniczny – odparł z błyskiem w oku. –

Myślałem, że kolejny krok postawimy raczej tutaj. Uznałem siebie za doskonały obiekt badań.

– Chwileczkę... – zaprotestowała Sheila.

Harlan uniósł ręce.

– Historia znanych uczonych lekarzy wykorzystujących siebie jako króliki doświadczalne jest niezwykle długa. To znakomita okazja do podtrzymania tradycji. Zostałem zainfekowany i stało się to wiele dni temu, zatrzymałem rozwój choroby we wczesnym stadium dzięki antyciałom monoklonalnym. Czas najwyższy, abym w ogóle się pozbył wirusa. Więc zamiast myśleć o sobie jak o koźle ofiarnym, uważam się raczej za beneficjanta naszej wspólnej pracy.

– Jak chciałby pan to zrobić? – zapytała Sheila. – Co innego eksperymentować na myszach, a co innego na ludziach.

Harlan chwycił szklaną fiolkę zawierającą sztuczne rhinowirusy i skierował się w stronę ambulatorium.

– Zrobimy to tak samo jak z myszami. Różnica jest tylko taka, że zamkniecie mnie w jednej z izolatek.

– Może powinniśmy najpierw sprawdzić na jeszcze innym zwierzaku? – zasugerowała Sheila.

– Nonsens – zaprzeczył Harlan. – Nie mamy zbyt wiele czasu. Pamiętajmy o tej ich Bramie.

Wszyscy poszli za Harlanem, który najwyraźniej podjął już ostateczną decyzję. Sheila całą drogę do izolatki starała się go odwieść od tego zamiaru. Harlan jednak nie dał się powstrzymać.

– Obiecujcie tylko, że zamkniecie drzwi, gdyby miało się wydarzyć coś naprawdę dziwnego. Nie chcę was niepotrzebnie narażać.

– A jeśli będzie pan potrzebował pomocy lekarskiej, na przykład, nie daj Boże, masażu serca czy sztucznego oddychania?

– To ryzyko, które muszę ponieść – odparł zdeterminowany. – No, a teraz dajcie mi się spokojnie przeziębć.

Sheila zawahała się na moment, starając się jeszcze wymyślić coś, co by zmieniło zdanie Harlana. W końcu dała za wygraną i wycofała się przez drzwi próżniowe, które zamknęła szczelnie za sobą. Spojrzała jeszcze przez iluminator. Harlan podniesionym kciukiem dał znać, że wszystko jest w porządku.

Sheila odwzajemniła gest; czuła podziw dla jego odwagi.

– Co robi? – zapytał Pitt.

Luk powietrzny przed izolatką mógł pomieścić tylko jedną osobę.

– Otwiera flakonik z wirusem – komentowała Sheila.

– Wracam do komputera – powiedział Jonathan. Rosnące napięcie sprawiało, że czuł się

nieswojo.

Pitt poszedł, by spojrzeć na Cassy. Ciągle spała spokojnie. Wrócił do Sheili.

– Dzieje się coś? – zapytał.

– Jeszcze nie. Leży i robi do mnie miny. Zachowuje się jak dwunastolatek.

Pitt pomyślał, jak by to było, gdyby to on leżał tak sam w pokoju. Uznał, że byłby przerażony i niezdolny do żartów.

– Poczekaj sekundę! – rzucił podekscytowany Vince. – Zawróć, tak żebym mógł popatrzeć jeszcze raz na tamto miejsce, nad którym przelecieliśmy.

Pilot zawrócił szerokim łukiem w lewo.

Vince przyłożył lornetkę do oczu. Teren poniżej wyglądał tak samo jak przez cały czas.

Niezwykle trudno było wypatrzeć ślady opon z powietrza, w efekcie kilka razy omyłkowo skręcali w pustynię.

– Tam coś jest – powiedział.

– Co takiego? – Beau zapytał gardłowym głosem. Nastrój zdecydowanie mu się pogorszył.

– Nie potrafię jeszcze powiedzieć. Ale chyba warto na to rzucić okiem. Moim zdaniem powinniśmy lądować.

– Ląduj! – rozkazał Beau.

Helikopter wylądował w tumanach piasku. Gdy pył osiadł, wszyscy zrozumieli, co przyciągnęło uwagę Vince'a. To był minivan zakryty siatką maskującą, którą podmuch z wirnika helikoptera częściowo odsłonił.

– Wreszcie coś pozytywnego – sapnął Beau, wysiadając z maszyny. Poszedł w stronę samochodu. Zerwał siatkę i otworzył drzwi pasażera.

– Siedziała tu – stwierdził. Popatrzył na tylne siedzenia, następnie odwrócił się i patrzył w

pustą przestrzeń.

– Beau, kolejne połączenie z Instytutem! – zawołał pilot. Nadal stał tuż przy helikopterze.

– Chcą, żebyś wiedział, że otrzymali informację. Przybędą za pięć ziemskich godzin od tej chwili. I chcą ci przypomnieć, że Brama jeszcze nie jest gotowa. Co mam im odpowiedzieć?

Beau złapał głowę w swe długie palce i ścisnął skronie. Oddychał wolno. Ignorując pilota, zawołał do Vince'a, że Cassy jest w pobliżu.

– Czuję to. Ale sygnał jest bardzo słaby – dodał.

Vince i Robert odchodzili od samochodu, zataczając coraz szersze koła. Nagle Vince zatrzymał się i pochylił. Prostując się, zawołał do Beau, żeby podszedł.

Beau szybko dołączył do dwóch mężczyzn.

Vince wskazał palcem na ziemię.

– Zakamuflowane wejście. Zamknięte od wewnątrz.

Palce Beau wśliznęły się pod krawędź pokrywy. Powoli napiął z całą mocą mięśnie, ciągnąc w górę pokrywę. Wreszcie usłyszeli syk powietrza. Vince i Beau pochylili się i zajrzeli w głąb korytarza. Natychmiast popatrzyli na siebie.

– Ona tam jest – powiedział Beau.

– Wiem – odparł Vince.

– O kurde! – Jonathan zaklął. Oczy wyszły mu niemal z orbit. Teraz krzyknął z całych sił:

– Pitt, Sheila, ktoś jest na górze!

Pitt upuścił fiolkę z antycjalami, które przygotowywał dla Cassy, i wybiegł z części szpitalnej na korytarz i dalej do laboratorium, gdzie siedział Jonathan. Nie miał pojęcia, co się stało, ale w głosie chłopaka usłyszał desperację. Wiedział, że Sheila biegnie za nim.

Zastali Jonathana przy komputerze. Wzrok wlepił w monitor, a twarz miał bladą jak ściana.

– Co się dzieje? – zapytał Pitt i podbiegł do niego.

Jonathan zaniemówił na chwilę. Zdołał jedynie wskazać na ekran komputera. Pitt spojrzął i natychmiast zakrył otwarte szeroko usta dłońmi.

– Co tam? – Sheila stanęła przy chłopakach.

– To potwór! – wykrztusił Jonathan.

Gdy Sheila zobaczyła, co się dzieje, wstrzymała oddech.

– To Beau! – Pitt był przerażony. – Cassy mówiła, że jest mutantem, ale nie miałem pojęcia...

– Gdzie on jest? – Sheila starała się myśleć trzeźwo pomimo groteskowego wyglądu Beau.

– Usłyszałem alarm, który zwrócił moją uwagę. Komputer samoczynnie włączył odpowiednią kamerę.

– Pytam, gdzie on jest – powtórzyła Sheila.

Jonathan wystukał coś na klawiaturze i wywołał schemat okolicy. Czerwona strzałka mrużyła, wskazując na jedno z wejść awaryjnych.

– To chyba to, z którego korzystaliśmy – powiedział Jonathan.

– Myślę, że masz rację – potwierdziła Sheila. – Co oznacza alarm?

– „Otwarcie wjazdu”. Myślę, że udało im się podnieść pokrywę.

– Dobry Boże! – jęknęła Sheila. – Wejdą tu.

– Co zrobimy? – zapytał Pitt.

Sheila przeczesła palcami rozczochrane jasne włosy. Jej zielone oczy szaleńczo omiatały pomieszczenie. Czowała się jak zwierzę zapędzone w narożnik.

– Pitt, idź i sprawdź, czy możesz zabezpieczyć drzwi do luku powietrznego – rzuciła. –

Mogą ich na chwilę zatrzymać.

Pitt natychmiast zniknął.

– Gdzie jest pistolet Harlana? – zapytał Jonathan.

– Nie wiem. Poszukaj go, Jonathanie! – poleciała, a sama pobiegła do szpitala.

– Dokąd pani biegnie? – zawołał za nią Jonathan.

– Muszę wyciągnąć Harlana i Cassy z izolatek – odpowiedziała.

– Beau, co mam robić? – zapytał Vince, przerywając zbyt długie, jego zdaniem, milczenie.

– Jak sądzisz, co to za miejsce? – odpowiedział tamten pytaniem, wskazując na połyskujący białą, nowoczesny korytarz.

– Nie mam najmniejszego pojęcia.

Beau zerknął za siebie, w stronę helikoptera. Pilot stał w pogotowiu obok. Wrócił wzrokiem w dół korytarza. W głowie kotłowało mu się, emocje go paliły.

– Ty i twój pomocnik zejście na dół i odnajdziecie Cassy. – Beau mówił powoli i z rozważą, jakby z wielkim wysiłkiem powstrzymywał się od wybuchu wściekłości. – Kiedy ją znajdziecie, macie ją do mnie przyprowadzić. Muszę wracać do Instytutu, ale przyślę po was helikopter.

– Jak sobie życzysz – odpowiedział Vince ostrożnie. Bał się powiedzieć coś niewłaściwego.

Napięcie Beau było wyraźne. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej czarny dysk. Podał go Vince'owi.

– Użyj, jeśli będziesz musiał – powiedział. – Ale nie zrań Cassy! – Po tych słowach odwrócił się i poszedł w stronę oczekującej na start maszyny.

## **Rozdział 20**

# Godzina 19.10

Sheila drżącymi rękami otwierała drzwi do izolatki Harlana. Zanim zdążyła je całkiem otworzyć, Harlan już przy nich stał. Był zaskoczony i poirytowany.

– Co pani, u diabła, wyprawia? – zapytał. – Skazi pani siebie i całe laboratorium.

– Nie można tego uniknąć – odpowiedziała. – Są tutaj!

– Kto jest tutaj? – Wyraz twarzy Harlana zdradził nagle zainteresowanie.

– Beau i przynajmniej jeszcze jeden z zainfekowanych ludzi – rzuciła Sheila. – Otworzyli właz, którym tutaj weszliśmy. Muszą iść za Cassy. Będą w każdej chwili.

– Cholera! – zaklął Harlan. Zastanowił się przez sekundę i po chwili wyszedł z izolatki.

Natychmiast połączyli się z Cassy i Pittem, którzy wyszli z drugiej izolatki. Chociaż dziewczyna była śpiąca i zmieszana, jej kolory poprawiły się i wyglądała ogólnie lepiej niż przed zastrzykiem.

– Gdzie jest Jonathan? – zapytał Harlan.

– W laboratorium. Szuka pańskiego rewolweru – odpowiedział Pitt.

Za Harlanem wszyscy opuścili ambulatorium i wbiegli do głównego laboratorium. Szli z jednej sali do drugiej. Znaleźli Jonathana w ostatniej części wyglądającego zza drzwi na korytarz. W obu dłoniach ścisnął rewolwer.

– Wynosimy się stąd! – Harlan zawołał do chłopaka. Wskoczył zaraz do inkubatora i wyniósł pełne naręcze fiolek z rhinowirusem.

Z korytarza doszły ich głośnie trzaski. Wszystkie oczy zwróciły się w stronę otwartego wejścia. Deszcz iskier wyglądał, jakby ktoś tam spawał. Jednocześnie ciśnienie w pomieszczeniu zaczęło opadać, tak że odczuli to nieprzyjemnie w uszach.

– Co się stało? – zastanowiła się Sheila.

– Przebili się przez luk powietrzny. Dalej! Spieszcie się! – krzyknął Harlan i wskazał

szpital, ale zanim ktoś zdążył się poruszyć, zza węgła wpadł do laboratorium czarny dysk.

Świecił jasnoczerwonym światłem, a wokół niego lśniło halo.

– Dysk! – zawołała Sheila. – Trzymajcie się od niego z dala!

– Tak! – ryknął Harlan. – Kiedy działa, jest radioaktywny. Wysyła promieniowanie alfa.

Dysk zawisł w pobliżu Jonathana, który schylił się w uniku i przyskoczył do pozostałych.

Harlan przepchnął całą grupę do następnej sali laboratoryjnej. Zamknął za sobą grube na pięć centymetrów ognioodporne drzwi.

– Szybko! – komenderował.

Byli w pół drogi do kolejnej sali, gdy w pokoju rozległ się ten sam rozrywający hałas co wcześniej. Znowu pojawił się snop iskier. Harlan odwrócił się, aby zobaczyć, jak dysk bez żadnego wysiłku przechodzi przez kolejne drzwi. Wszyscy pobiegli przez trzecią salę do ambulatorium zamykanego podwójnymi drzwiami. Harlan zatrzymał się jeszcze, żeby mimo wszystko zamknąć kolejne ognioodporne drzwi. Pobiegł, ale za sobą słyszał już hałas. Gdy wskakiwał do szpitala, z tyłu głowy czuł iskry. Drzwi zatrzęsnęły się za nim.

– Dokąd? – spytała Sheila.

– Do pracowni rentgenowskiej – rzucił Harlan, wskazując na drzwi fiolkami trzymanymi w dłoni. – Ta jedna ciągle jeszcze jest czynna.

Jonathan pierwszy dopadł drzwi. Pchnął je, wszedł do środka i przytrzymał, ułatwiając wejście pozostałym. Wszyscy stłoczyli się w środku.

– To ślepy zaułek – jęknęła Sheila. – Dlaczego pan nas tu przyprowadził?

– Schowajcie się za ekran ochronny. Szybkim ruchem oddał Pittowi i Sheili fiolki z wirusem. Następnie uaktywnił urządzenie. Wycelował wprost w drzwi i sam również schował się za ochronnym ekranem.

Jego palce błyskawicznie uderzały w konsolę obsługującą maszynę, gdy tylko przy



drzwiach pojawiły się iskry. Ponieważ ołów dodatkowo chronił drzwi pracowni, dysk stracił kilka sekund więcej na sforsowanie przeszkody. Kiedy wpadł do pokoju, jego czerwień nieco przybladła.

Harlan włączył zasilanie, aby uzyskać wiązkę promieniowania. Usłyszeli buczenie, a światła nad głowami przygasły.

– To najsilniejsze promieniowanie X, jakie możemy wydobyć z tej maszyny – wyjaśnił.

Bombardowany promieniowaniem dysk zmienił barwę z czerwonej na białą. Białe halo nasiliło się, rozszerzyło i błyskawicznie pochłonęło dysk. Odgłos przypominający rozpalenie potężnego paleniska został ucięty z głuchym uderzeniem. W tym samym momencie maszyna, metalowy stół, część drzwi i lżejsze wyposażenie zostały odkształcone, jakby jakaś siła starała się wessać je w miejsce, w którym znajdował się dysk. Nawet ludzie odczuli ten nagły impuls implozji, instynktownie się zaparli i każdy chwycił się tego, co miał pod ręką. W powietrzu zawisł gryzący, cierpki dym. Wszyscy zostali oślepieni.

– Nic wam nie jest? – zapytał Harlan.

– Zegarek mi eksplodował – powiedziała Sheila.

– Podobnie jak ścienny – zauważył Harlan. Wskazał na zegar wmontowany w ścianę.

Szkło rozsypało się, a wskazówki zniknęły. – Mieliśmy do czynienia z miniaturową czarną dziurą.

Głośnie i głuche walnięcie w laboratorium przywróciło im poczucie rzeczywistości.

– Więc przedostali się przez luk powietrzny – stwierdził Harlan. – Chodźcie! – Wziął broń z ręki Jonathana, a w zamian dał mu fiolkę z wirusami.

Cassy i Pitt zabrali resztę fiolek. Harlan poprowadził wszystkich zza zniszczonego ekranu ochronnego w stronę drzwi.

– Niczego nie dotykajcie! Ciągle możemy mieć do czynienia z promieniowaniem –

upomniał.

Wszyscy trzej mężczyźni musieli jednak wspólnym wysiłkiem otworzyć powyginane drzwi. Harlan wychylił się. Spojrzał w stronę podwójnych drzwi prowadzących do laboratorium. W pierwszych dostrzegł mały, okrągły otwór. W drugim końcu korytarza było spokojnie.

– Na lewo! – rozkazał. – Przed siebie do drzwi na końcu i dalej do pokoju dziennego.

Jasne?

Wszyscy skinęli głowami.

– Jazda!

Harlan, nie spuszczać wzroku z drzwi do laboratorium, przepuścił resztę towarzystwa.

Już miał ruszyć za przyjaciółmi, gdy pierwsze z podwójnych drzwi otworzyły się.

Harlan wystrzelił. Hałas w wąskim korytarzu był ogłuszający. Pocisk trafił w iluminator i roztrzaskał go w drobny mak. Pierwsze drzwi, przed chwilą otwarte, natychmiast się zamknęły. Harlan pobiegł korytarzem i nieoczekiwanie odkrył, że nogi ma jak z gumy. Wpadł do pokoju dziennego.

– Harlan? Czy to pan strzelał? – zapytała Sheila. – Wszyscy usłyszeli strzał.

Harlan potrząsnął głową. Z jego ust i oczu zaczęła się sączyć zielonkawa piana.

– Zdaje się, że rhinowirus dobrał się do obcego wirusa – zdołał powiedzieć. Oparł się o ścianę. – Działa. Chociaż to chyba nie najlepsza pora.

Pitt podskoczył do starego lekarza, położył jego ramię na swoich barkach, równocześnie wziął z jego dłoni broń.

– Daj to! – poleciła Sheila.

Pitt podał jej rewolwer.

– Jak pan zamierzał stąd wyjść? – zapytała Harlana.

Z laboratorium doszły ich odgłosy tłuczonego szkła.

– Wykorzystamy główne wejście. Powinien tam stać mój range rover. Nie korzystałem z niego, żeby mnie nie odkryli. Teraz to i tak nie ma znaczenia.

– Dobrze. Jak się tam dostaniemy?

– Wyjdziemy do głównego korytarza, a następnie skęcimy w prawo. Miniemy magazyny i dojdziemy do kolejnego luku powietrznego. Dalej będzie długi korytarz z elektrycznymi wózkami. Wyjście znajduje się wewnątrz budynku, który wygląda jak farma.

Sheila uchylła drzwi i zerknęła w stronę wyjścia z laboratorium. Poczwała kulę, zanim usłyszała odgłos strzału. Pocisk przeszedł tak blisko, że poruszył jej włosami i wpadł do pokoju przez częściowo uchylone drzwi.

Natychmiast cofnęła się do pokoju dziennego.

– Wiedzą, gdzie jesteśmy – powiedziała. Pomacała głowę dłonią, sprawdzając, czy nic się nie stało. Nie byłaby zaskoczona, gdyby ujrzała krew. – Jest jakaś inna droga do wyjścia? Nie zdołamy się przebić przez korytarz.

– Musimy przejść korytarzem – odpowiedział Harlan.

– Psiakrew! – Sheila mruknęła pod nosem. Spojrzała na rewolwer i zastanowiła się, z kogo bardziej sobie żartuje: z siebie czy z napastników. Nigdy nie strzelała nawet do tarczy, a tym bardziej do człowieka.

– Możemy wykorzystać system przeciwpożarowy – odezwał się Harlan. Wskazał na panel bezpieczeństwa umieszczony w ścianie pokoju. – Jeżeli włączymy zagrożenie pożarowe, to cały korytarz wypełni się proszkiem gaśniczym. Tamci z trudem będą mogli oddychać, jeżeli w ogóle.

– Och, jakie to sprytne – sarkastycznie skomentowała Sheila. – No bo my oczywiście przejdziemy, wstrzymując oddechy.

– Nie, nie – zaprzeczył Harlan. – W szafce pod panelem są maski przeciwpylowe, które powinny wystarczyć przynajmniej na pół godziny.

Sheila podeszła do szafki i zajrzała do niej. Wypełniona była maskami przypominającymi przeciwgazowe. Wyjęła pięć i podała przyjaciołom. Instrukcja na długiej rurze-trąbie kazała złamać plombę zabezpieczającą, wstrząsnąć i nałożyć.

– Akceptujecie rozwiązanie? – zapytała Sheila.

– Nie mamy chyba innej możliwości – zauważył Pitt.

Uaktywnili substancję ochronną w maskach i nałożyli je.

Kiedy wszyscy unieśli kciuki, potwierdzając gotowość, Sheila pociągnęła za rączkę uruchamiającą rozpylanie środka gaszącego.

Natychmiast usłyszeli jakiś trzask, a następnie głos powtarzający raz za razem: „Ogień w pomieszczeniu”. Chwilę później system spryskiwaczy został uruchomiony i spod sufitu prysnął strumień płynu, który natychmiast parował. Pokój wypełnił się przypominającą smog mgłą.

– Musimy się trzymać razem! – zawołała Sheila.

Trudno było rozmawiać przez maski, ale równie trudno było przez nie patrzeć. Sheila otworzyła drzwi na korytarz i z zadowoleniem odnotowała, że jest tu tak samo dużo mgły jak w pokoju. Wychyliła się i spojrzała w stronę laboratorium. Nie była jednak w stanie widzieć dalej niż na około półtora metra. Wyszła na korytarz. Nikt nie strzelał.

– Chodźmy! – zawołała do pozostałych. – Pitt, ty z Harlanem idziecie przodem, wskazując drogę, Jonathan i Cassy niosą fiolki.

Zwartą grupą ruszyli przed siebie. We mgle korytarz zdawał się nie mieć końca. Wreszcie dotarli do kolejnego luku powietrznego. Weszli. Sheila zamknęła drzwi za sobą, dopiero wtedy Pitt otworzył te, które prowadziły dalej.

Za lukiem powietrze stawało się coraz czystsze, odczuli to szczególnie, gdy wsiedli do wózków elektrycznych. Wkrótce dotarli do schodów prowadzących na zewnątrz i mogli zdjąć maski z twarzy. Od powierzchni dzieliły ich trzy piętra. Wyszli przez klapę w podłodze pokoju dziennego w wiejskim domku. Klapa przykryta była starym, poszarpanym dywanem. Kiedy była opuszczona, nikomu nie mogło przyjść do głowy, co stary dywan kryje pod sobą.

– Samochód zostawiłem w stodole. – Harlan zdjął rękę z ramion Pitta. – Dziękuję, Pitt.

Bez ciebie chyba bym sobie nie poradził, ale już czuję się odrobinę lepiej. – Głośno wysiakał nos.

– Ruszajmy! – ponaglała Sheila. – Ci, co nas gonią, mogą także znaleźć maski.

Wyszli całą grupą przez frontowe drzwi i poszli na tyły gospodarstwa, do stodoły.

Słońce już zaszło i pustynny żar raptownie ustąpił. Nad zachodnim horyzontem dostrzegli tylko krwistoczerwoną smugę. Reszta nieba miała kolor indygo. Nad głowami zamrugały im pierwsze gwiazdy.

Jak Harlan podejrzewał, jego range rover stał bezpiecznie zaparkowany w stodole. Zanim usiadł za kierownicą, umieścił fiolki w bagażniku. Wziął także rewolwer z dłoni Sheili i wrzucił go do kieszeni w drzwiach auta.

– Na pewno czuje się pan na tyle dobrze, żeby prowadzić? – zapytała Sheila. Jego szybko poprawiający się stan zdrowia wprowadził ją w zdumienie.

– Jasne. Czuję się zupełnie inaczej niż piętnaście minut temu. Jedynym objawem jest lekki katar, jak przy uczuleniu. Powiedziałbym, że nasz test na ludziach powiódł się w pełni!

Sheila usiadła z przodu. Cassy, Pitt i Jonathan zajęli miejsca z tyłu. Pitt objął dziewczynę ramieniem, a ona chętnie wtuliła się w niego.

Doktor zapalił silnik i wyprowadził auto tyłem ze stodoły. Zawrócił i wjechał na drogę.

– Inwazja obcych bez wątpienia zlikwidowała korki na drogach – powiedział. – Patrzcie.

Jesteśmy piętnaście mil od Paswell, a jak okiem sięgnąć, nie ma żadnego samochodu. –

Skręcił w prawo i przyspieszył.

– Dokąd jedziemy? – spytała Sheila.

– Mamy niewielki wybór. Według mnie rhinowirus zajmie się plagą. Problem sprowadza się teraz do Bramy. Musimy spróbować coś z tym zrobić.

Cassy drgnęła.

– Brama! Pitt powiedział wam o niej.

– Oczywiście, że powiedział. Jak twierdzisz, jest już prawie gotowa. Masz jakieś pojęcie, kiedy będą chcieli jej użyć?

– Nie powiedzieli mi, ale według mnie ma się to stać zaraz po jej skończeniu.

– No właśnie. Musimy więc mieć nadzieję, że trafimy tam na czas i znajdziemy jakiś sposób na pozbycie się tego kłopotu.

– O co chodzi z tym rhinowirusem? – zapytała Cassy.

– Raczej dobre wieści – powiedział Harlan, spoglądając na odbicie dziewczyny we wstecznym lusterku. – Szczególnie dla ciebie i dla mnie.

Teraz opowiedzieli Cassy całą historię o tym, jak doszli do odkrycia sposobu na uchronienie rasy ludzkiej przed kosmicznym wirusem. Zarówno Sheila, jak i Harlan byli jej to winni za informacje, które przekazała Pittowi.

– To informacja, że wirus przybył tu trzy miliardy lat temu, okazała się kluczowa – wyjaśniła Sheila. – Inaczej nie wpadlibyśmy na to, iż wirus może się okazać wrażliwy na tlen.

– Może i ja powinnam teraz powdychać nieco tego rhinowirusa? – zapytała Cassy.

– Nie ma potrzeby. Jesteśmy wszyscy razem, a to znaczy, że każdy z was został już zainfekowany. Myślę, że wystarczy odrobina wirionów, skoro nikt na Ziemi nie ma na nie naturalnej odporności – wyjaśnił Harlan.

Cassy rozluźniła się i znowu przytuliła do Pitta.

– Jeszcze kilka godzin temu myślałam, że wszystko zostało stracone. To szokujące odkryć, że znowu jest nadzieja – powiedziała.

Pitt ścisnął ją za ramię.

– Mieliśmy niewiarygodne szczęście.

Do rogatek Santa Fe dojechali kilka minut po dwudziestej trzeciej. Przejechali prosto przez miasto, zatrzymując się tylko raz na opuszczonej stacji benzynowej, aby napełnić bak.

Wzięli też z maszyny nieco batoników i orzeszków. W kasie stacji znaleźli mnóstwo drobnych.

Cassy została w samochodzie. Znajdowała się w szczytowym stadium choroby. Była słaba, majaczyła, a z ust i oczu sączyła jej się zielonkawa piana, tak jak u Harlana, gdy opuszczali laboratorium. Doktor był zachwycony i traktował to osłabienie jako postępujące efekty „rhino-kuracji”, jak ją sam nazwał.

Objechali centrum Santa Fe i kierując się wskazówkami Cassy, zmierzali wprost do Instytutu Nowego Początku. O tej porze zewnętrzna brama była jasno oświetlona.

Protestujący zniknęli, ale ciągle kręciło się tu mnóstwo zainfekowanych ludzi.

Harlan zjechał na pobocze i zatrzymał samochód. Pochylił się i przez szybę wozu zlustrował scenę.

– Gdzie jest dom? – zapytał.

Cassy powiedziała wszystko, co zapamiętała z rozkładu pomieszczeń. Wyjaśniła, że Brama jest na parterze w sali balowej, na prawo od głównego wejścia.

– Główny budynek znajduje się za linią drzew. Stąd nie można go zobaczyć – dodała.

– Na którą stronę wychodzą okna tej sali? – pytał Harlan.

– Zdaje się na tyły domu, ale nie mam pewności, bo zostały zamurowane – wyjaśniła

Cassy.

– No to tyle, jeśli chodzi o pomysł wejścia przez okno – skwitował Harlan.

– Biorąc pod uwagę, do czego skonstruowali Bramę, będą potrzebować wiele energii.

Może udałoby się nam odciąć zasilanie – zasugerował Pitt.

– Kapitalny pomysł – uznał Harlan. – Jednak nie sądzę, aby do transportu kosmitów w czasie i przestrzeni wykorzystywali taką samą energię, jakiej my potrzebujemy do tosterów.

Jeśli pamiętasz, co potrafi jeden czarny dysk, wyobraź sobie, co mogą zrobić, gdy zaczną pracować wszystkie naraz.

– Tak tylko pomyślałem – usprawiedliwił się Pitt. Teraz żałował, że nie zatrzymał swych myśli wyłącznie dla siebie.

– Jak daleko od wejścia jest dom? – zapytała Sheila.

– Nie tak blisko. Może kilkaset metrów. Droga prowadzi najpierw między drzewami, a później przez otwartą przestrzeń trawników.

– No cóż, to chyba nasz pierwszy problem – uznała Sheila. – Jeśli chcemy się pozbyć kłopotu, musimy najpierw dostać się do domu.

– Racja – przytaknął Harlan.

– Nie dałoby się przemknąć przez ogrodzenie na tyłach? – wtrącił się Jonathan. – Przy bramie jest sporo światła, ale nie widzę żadnych lamp z tyłu.

– Cały obszar patrolują wielkie psy. Są zainfekowane tak samo jak ludzie i współpracują ze sobą. Obawiam się, że podejście do domu przez trawnik mogłoby się okazać niebezpieczne.

Nagle niebo nad drzewami rozświetliły falujące wstęgi energii świetlnej, podobne do zorzy polarnej. Utworzyły kopułę, która zaczęła pulsować – rozszerzać się i zapadać, zupełnie jak oddychający organizm. Ale przy każdym kolejnym „wdechu” kopuła poszerzała się. Rosła



z sekundy na sekundę.

– Uff! – stęknęła Sheila. – Zdaje się, że się spóźniliśmy.

– Dobra. Wszyscy z wozu! – zakomenderował Harlan.

– Co pan chce zrobić? – zapytała Sheila.

– Chcę, żebyście wszyscy wysiedli. Mam zamiar zrobić coś niespodziewanego. Wjadę samochodem wprost do sali balowej. Nie mogę pozwolić, żeby im się udało.

– Nie robi pan tego sam – powiedziała Sheila.

– Proszę robić, jak pani uważa. Nie mam czasu na spory. Ale reszta z was, jazda!

– Nie mamy dokąd iść – powiedziała Cassy. Popatrzyła na Pitta, następnie na Jonathana.

Obaj skinęli. Mówiła więc również w ich imieniu. – Jesteśmy w tym razem.

– Rany boskie! – jęknął Harlan. Wrzucił luz i zaczął powoli zjeżdżać z drogi. – Oto,

czego potrzebuje rasa ludzka: samochodu pełnego durnych męczenników. – Włączył silnik i

kazał wszystkim zapiąć pasy. Swoją przyciągnął tak mocno, jak tylko zdołał. Włączył

odtwarzacz CD i wybrał swoją ulubioną muzykę: *Święto wiosny* Strawińskiego. Wybrał

fragment, którego szczególnie chętnie słuchał, ten kiedy rozbrzmiewają kotły. Nastawił

muzykę niemal na cały głos i wjechał na drogę.

– Co zamierza pan powiedzieć tym przy bramie? – zapytała Sheila, przekrzykując

muzykę.

– Zamierzam powiedzieć im, żeby mnie pocałowali w d...!

Na drodze zobaczyli ciężką, czarno-białą, drewnianą bramę. Piesi obchodzili ją. Harlan

przyspieszył do około osiemdziesięciu kilometrów na godzinę i jego rover rozbił deski w

drzazgi. Uśmiechnięci strażnicy odskoczyli na pobocze. Gdy się pozbierali, ruszyli biegiem

za samochodem. Za nimi pobieгла jeszcze gromada wściekle ujadających psów. Gdy Harlan

szybkim zygzakiem minął drzewa, strażnicy i psy zniknęli.

Range rover wystrzelił spośród drzew jak rakieta. Przed nimi wyłonił się dom tonący w jasnej poświacie. Z całego budynku, szczególnie z jego okien, biło światło. Promienie, które zauważyli wcześniej, pulsujące w rytm oddechu, wychodziły z dachu niczym gigantyczne płomienie.

– Nie zwolnimy choć trochę?! – krzyknęła Sheila.

Silnik wył jak turbiny odrzutowca, a grzmiące kotły Strawińskiego wzmacniały wrażenie. Zdawało się, że w samochodzie znalazła się cała orkiestra. Sheila złapała dla bezpieczeństwa za uchwyt nad drzwiami po stronie pasażera.

Harlan nawet nie odpowiedział. Cały skupił się na prowadzeniu wozu. Do tej pory jechał, trzymając się ściśle drogi. Teraz, gdy dom stał przed nim, jechał wprost na cel przez trawnik, unikając jedynie pieszych. Ludzie strumieniem wypływali z posiadłości i idąc jeden za drugim drogą, opuszczali teren Instytutu.

Niecałe sto metrów od szerokich, majestatycznie wznoszących się schodów prowadzących na frontowy taras Harlan przydusił gaz, chociaż wskazówka na prędkościomierzu właściwie wchodziła już na czerwone pole. Samochód jakby na ułamek sekundy zwolnił, ale dopiero teraz tylne koła dostały porcję prawdziwej mocy.

– Jasna cholera! – zawołał Jonathan, gdy odległość do pierwszego stopnia gwałtownie się zmniejszyła.

Ludzie na widok pędzących na nich trzech ton stali na ślepo przeskakiwali przez balustradę, ratując się przed nieoczekiwanym zagrożeniem.

Wóz wjechał na pierwszy stopień i cały podskoczył w powietrze. Opony dotknęły ponownie podłoża już na tarasie. Tylne koła znalazły się tuż za najwyższym stopniem, a przód wozu jakieś trzy metry od drzwi balkonowych. Liczne lampy oświetlały wejście z obu stron i od góry.

Wszyscy z wyjątkiem Harlana zamknęli oczy, kiedy doszło do zderzenia. Przez dźwięki muzyki przebił się brzęk tłuczonego szkła, ale samochód wyszedł bez szwanku. Harlan gwałtownie wcisnął hamulce i skręcił kierownicą w prawo. Chciał uniknąć zderzenia z głównymi schodami, które znalazły się tuż przed nim. Wóz wpadł w poślizg na czarno-białej, marmurowej posadzce, otarł się o kryształowy żyrandol, wpadł na marmurowy stolik i ścianę. Usłyszeli odgłos zderzenia i poczuli, jak pasy wrzynają im się w ciało. Poduszka powietrzna po stronie pasażera wyskoczyła i wcisnęła Sheilę w siedzenie.

Harlan walczył z kierownicą, gdy samochód tańczył na posadzce pomiędzy rozbitymi sprzętami. Ostatecznie walnął w drewniano-metalową konstrukcję pokrytą siecią kabli elektrycznych. Zatrzymał się na stalowym dźwigarze, który rozbił przednią szybę samochodu na tysiące drobnych okruchów.

Na zewnątrz range rovera iskrzyło się i dymiło; słychać było także brzęczenie, które przytłumiło nawet muzykę z samochodowego odtwarzacza.

– Wszyscy cali? – spytał Harlan. Puścił trzymaną dotąd kurczowo kierownicę. Zaciskał na niej palce tak mocno, że aż wstrzymał krążenie krwi w dłoniach. Ściszył muzykę.

Sheila mocowała się z poduszką powietrzną. Miała otarty policzek i przedramię.

Harlan wyrzwał przez pozbawione szyby przednie okno. Zauważył jedynie kable i jakieś pokrzywione fragmenty urządzeń.

– Cassy, myślisz, że trafiliśmy do sali balowej? – zapytał.

– Tak.

– W takim razie misja skończona. Z tego całego bałaganu wynika, że zderzyliśmy się z jakimś wysoko zaawansowanym technicznie urządzeniem. Tyle iskrzenia musi oznaczać, iż coś nam się udało zrobić.

Ponieważ silnik ciągle pracował, Harlan wrzucił wsteczny bieg i przy akompaniamencie

odgłosów drapania o blachę wycofał się powoli drogą, którą wjechał do pokoju. W górze dostrzegli platformę z pleksi. Prowadziły na nią schody wykonane z tego samego materiału. Na szczycie platformy stała iskrząca nieprzerwanie kosmiczna postać. Jej czarne jak węgiel oczy wpatrywały się w pasażerów samochodu z bezgranicznym niedowierzaniem.

Nagle stworzenie odrzuciło w tył głowę i zaryczało z wściekłości. Powoli obcy schylił się i ścisnął głowę w geście niewyobrażalnej udręki.

– Mój Boże! To Beau! – zawołała Cassy z auta.

– Obawiam się, że masz rację – potwierdził Pitt. – Tylko że proces mutacji dobiegł końca.

– Pozwól mi wysiąść. – Odpięła pasy.

– Nie! – zaprotestował Pitt.

– Za dużo tutaj poprzerrywanych przewodów – wtrącił Harlan. – Jest zbyt niebezpiecznie, tym bardziej że ciągle wszędzie dookoła iskrzy. Napięcie musi być astronomiczne.

– Nie dbam o to – odparła Cassy. Sięgnęła do klamki przez Pitta i otworzyła drzwi.

– Nie mogę ci pozwolić – Pitt uparł się.

– Daj mi spokój. Muszę wysiąść.

Niechętnie ustąpił i pozwolił jej wyjść z wozu. Ostrożnie przeszła pomiędzy leżącymi przewodami i wolno zaczęła wchodzić na platformę. Gdy zbliżyła się do celu, ponad szumem urządzenia i iskrzeniem usłyszała zawodzenie Beau. Zawołała go, a on uniósł powoli oczy.

– Cassy? Dlaczego cię nie wyczułem? – zapytał.

– Ponieważ zostałam uwolniona od wirusa. Jest nadzieja! Jest szansa na przywrócenie naszego starego życia.

Beau potrząsnął głową.

– Nie dla mnie. Ja nie mogę wrócić, a teraz nie mogę też pójść dalej. Zawiodłem pokładane we mnie zaufanie. Ludzkie uczucia to straszliwa przeszkoda, są zupełnie

nieprzydatne. Pragnąc cię, pogrzebałem wspólne dobro.

Nagle silne iskrzenie poprzedziło wibrację. Najpierw była słaba, ale gwałtownie uległa wzmocnieniu.

– Cassy, musisz uciekać – powiedział Beau. – Obwód elektryczny został zakłócony. Nie ma siły, aby przeciwdziałać antygravitacji. Nastąpi dyspersja.

– Chodź ze mną, Beau. Znaleźliśmy sposób uwolnienia cię od wirusa.

– Ja jestem wirusem – oświadczył Beau.

Wibracje osiągnęły taki stan, że Cassy, balansując, z trudem utrzymywała równowagę na przezroczystych stopniach.

– Uciekaj, Cassy! – zawołał Beau z pasją w głosie.

Ostatni raz dotknęła jego wyciągniętego palca i zaczęła z trudem schodzić na dół.

Podłoga drżała teraz jak podczas trzęsienia ziemi.

Udało jej się wsiąść do samochodu. Pitt przytrzymał dla niej otwarte drzwi.

– Beau powiedział, że musimy uciekać. Nastąpi dyspersja.

Harlan nie potrzebował dalszej zachęty. Wrzucił tylny bieg, wcisnął gaz i ruszył. Więcej teraz było uderzeń i podskoków niż przy wjeździe, ale szybko znaleźli się z powrotem w głównym holu. Zgrabnie obrócił samochodem w poślizgu, ustawiając się przodem do zniszczonego wyjścia. Żyrandol nad nimi huśtał się tak mocno, że kawałki kryształu spadały w różne strony. Siedząca na przednim fotelu Sheila, nie chroniona szybą samochodu musiała osłaniać twarz rękami.

– Trzymajcie się! – zawołał Harlan.

Koła zabuksowały z piskiem na śliskim marmurze i nagle samochód strzelił przez drzwi na taras i dalej w dół po schodach. Skok na drogę był równie bolesny i niespodziewany jak wcześniejszy lot na taras i do budynku. Harlan jechał po śladach zostawionych na trawniku w

stronę wcięcia w linii drzew, gdzie zaczynała się droga wyjazdowa.

– Musimy tak pędzić? – narzekała Sheila.

– Cassy powiedziała o dyspersji. Im dalej się stąd znajdziemy, tym lepiej, jak sądzę.

– Co to jest dyspersja? – zapytała lekarka.

– Nie mam pojęcia – przyznał Harlan. – Ale brzmi groźnie.

Nagle za nimi doszło do potężnej eksplozji, ale bez zwykłej w takich sytuacjach fali dźwiękowej czy wstrząsu. Cassy odwróciła się akurat po to, by zobaczyć jeszcze, jak dom dosłownie się unosi. Nie zauważyła żadnego błysku czy ognia.

W tej samej chwili wszyscy w samochodzie odnieśli wrażenie, że unoszą się w powietrzu. Silnik pracował bez żadnej przerwy, choć Harlan zdjął nogę z gazu.

Lot trwał jedynie pięć sekund, a lądowaniu towarzyszyło mocne szarpnięcie, gdyż koła się nie kręciły, a samochód z impetem parł do przodu.

Przestraszony niecodziennym zjawiskiem Harlan wcisnął hamulec i zdołał zatrzymać wóz. Wraz z utratą kontroli nad pojazdem stracił także pewność siebie, mimo że trwało to raptem kilka sekund.

– Lecieliśmy – stwierdziła Sheila. – Jak to możliwe?

– Nie wiem – przyznał Harlan. Spojrzał na wskaźniki i zegary, jakby spodziewał się w nich znaleźć odpowiedź.

– Popatrzcie, co się stało z domem. Zniknął – odezwała się Cassy.

Odwrócili się jak na komendę. Wszyscy ludzie poza samochodem zrobili to samo. Nie było ani dymu, ani żadnych szczątków. Dom po prostu zniknął.

– No to teraz już wiem, co to jest dyspersja. To musi być zjawisko przeciwne czarnej dziurze. Myślę, że wszystko, co ulega dyspersji, jest redukowane do cząstek elementarnych i ulega rozproszeniu w przestrzeni.

Cassy czuła, jak narastają w niej emocje. Nagłe silne uczucie straty spowodowało, że się rozplakała. Pitt kątem oka widział, jak łzy spływają po policzku dziewczyny. Natychmiast zrozumiał sytuację i objął Cassy ramieniem.

– Mnie też będzie go brakować – powiedział.

Cassy skinęła głową.

– Myślę, że zawsze będę go kochała – powiedziała, przecierając oczy wierzchem dłoni. I natychmiast szybko dodała: – Ale to nie znaczy, że nie Kocham Ciebie.

Z siłą, która wprawiła Pitta w zmieszanie, Cassy objęła go i przytuliła. Najpierw łagodnie, a po chwili z takim samym żarem odwzajemnił uścisk.

Harlan wysiadł z samochodu i podszedł do bagażnika. Wyjął fiołki z rhinowirusem.

– Chodźcie. Mamy jeszcze coś do zrobienia.

– Jasna cholera! – zaklął po swojemu Jonathan. – To mama!

Spojrzeli w kierunku, w którym pokazywał.

– Wiesz, chyba masz rację – potwierdziła Sheila.

Jonathan wyskoczył z samochodu i chciał pędem ruszyć do mamy, ale Harlan zdążył złapać go za rękę i podał mu jedną z fiołek.

– Niech sobie powącha, synu. Im szybciej, tym lepiej.